

Mark  
**Billingham**

**OFIARY**



**Mark Billingham**

**Ofiary**

## Podziękowania

Oto lista osób, dzięki którym ta powieść mogła powstać:

Detektyw Inspektor Neil Hibberd z Grupy ds. Przestępstw Szczególnych (znowu) za wnikliwe uwagi, spędzanie snu z powiek i jak zawsze bezcenne rady.

Victoria Jones za odpowiedzi na tysiąc głupich pytań i, jak na ironię, otwarcie właściwych drzwi.

Dyrektor, personel i osadzeni z więzienia JKM w Birmingham.

Sarah Kennedy za życzliwe słowa na samym początku, kiedy obraz jest najważniejszy.

Wendy Burns - kurator ds. nieletnich, i Louise Spanner - administratorka ds. rodzin zastępczych placówki opieki społecznej w Essex.

No i rzecz jasna... Hilary Hale, Sarah Lutyens, Susannah Godman, Mike i Alice Gunn, Paul Thome, Wendy Lee i Peter Cocks.

Oraz moja żona Claire. Wciąż domagam się szczegółów...

Dziś może albo przy niedzieli Ogrodnik przyjdzie cały w bieli, a kwiaty uschną, co zebrane...

James Elroy Flecker Złota wyprawa do Samarkandy 13 marca

Najdroższy Dougie,

Przepraszam za kolejny list pisany na maszynie, ale jak już tłumaczyłam wcześniej, trudno jest mi pisać do Ciebie z domu, więc robię to w pracy, kiedy szef nie patrzy albo w porze lunchu (jak dzisiaj!) czy jakoś tak. Wybacz więc, jeśli ten list wygląda trochę nazbyt oficjalnie. Możesz mi wierzyć, kiedy piszę do Ciebie, wcale się tak nie czuję i

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku, a jeżeli nawet coś nie gra, to może moje listy choć trochę poprawiają Ci nastrój. Lubię wyobrazać sobie, że czekasz na nie z niecierpliwością i myślisz o mnie siedzącej tutaj, tak jak ja o Tobie.

Teraz masz przynajmniej zdjęcia (podobają ci się?) więc nie musisz wyteżać wyobraźni (lubieżny uśmiezek!).

Wiem, że tam musi być naprawdę okropnie, ale nie trać nadziei, że wszystko jakoś się ułoży. Pewnego dnia wyjdiesz i będziesz miał przed sobą świetlaną przyszłość. Czy mogę ludzić się, że w tej przyszłości i dla mnie znajdzie się miejsce? Wiem, że trafiłeś tam, gdzie nie powinieneś się znaleźć. Wiem, że to, co Cię spotkało, to jawna niesprawiedliwość!!!

Będę już kończyć, bo chcę zdążyć na pocztę jeszcze w porze lunchu, a na razie nic przecież nie zjadłam. Pisanie do Ciebie, uczucie bliskości z tobą są ważniejsze niż zapiekanka z serem (westchnienie!).

Wkrótce napiszę znowu, Dougie, i być może wyślę Ci kolejne zdjęcie. Czy wieszasz je na ścianie? Nie wiem nawet, czy siedzisz w pojedynkę, czy w celi z innymi osadzonymi. W tym drugim wypadku mam nadzieję, że Ci, z którymi siedzisz pod celą, są mili. Ależ z nich szczęściarze!

Już wkrótce będzie po wszystkim, a gdy stamtąd wyjdiesz, kto wie, może się wreszcie spotkamy.

Jestem pewna, że warto będzie poczekać.

Błagam, Dougie, uważaj na siebie. Mam nadzieję, że o mnie myślisz.

Twoja, bardzo zawiedziona...

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## NARODZINY, ŚLUBY I ZGONY

10 sierpnia 1976

Przesuwał się w stronę krawędzi, każdy pokonany centymetr połączony z napięciem zwieracza zbliżał go coraz bardziej ku brzegowi wąskiej, polerowanej poręczy. Wykręcił nadgarstki, jeszcze mocniej opasując je ręcznikiem. Nie dawał sobie żadnych szans, bo wiedział, że jego ciało chciałoby je wykorzystać. Wiedział, że instynktownie próbowałby się uwolnić. Jego pięty uderzały rytmicznie o bariery poręczy poniżej. Niebieska linka holownicza, którą znalazł w garażu, drapała go wszędzie. Uśmiechnął się. Podrapanie się, nawet gdyby mógł to zrobić, byłoby jawną głupotą. Tak jak przetarcie skóry środkiem odkażającym przed wbiciem w nią igły strzykawki wypełnionej trucizną.

Zamknął oczy, pochylił głowę i pozwolił, by ciężar ciała pociągnął go do przodu i w dół. Szarpnięcie było tak silne, że pomyślał, iż urwie mu głowę, ale nawet nie zdołało przełamać kości. Nie miał czasu, by dokonać obliczeń i określić stosunek wysokości do swojej wagi. Zresztą nawet gdyby miał czas, nie był pewien, czy zdołałby to właściwie obliczyć. Pamiętał, że czytał gdzieś, iż prawdziwi kaci, Pierrepointowie, czy jak im tam, potrafili to obliczać, określić właściwą wysokość, z jakiej powinno runąć ciało, na podstawie powitalnego uścisku dłoni skazańca.

Miło mi cię poznać... jakieś trzy i pół metra... jak sądzę.

Ból w szyi był tak silny, że aż mocniej zacisnął zęby. Gdy spadał, zdań z pleców kawałek skóry, zahaczając o poręcz. Czuł gorącą krew ściekającą po podbródku i zrozumiał, że przegryzł sobie język. Ze sznura biła woń oleju silnikowego.

Pomyślał o kobiecie w łóżku niecałe trzy metry dalej. Jak cudownie byłoby ujrzeć wyraz jej twarzy, kiedy by go znalazła. W wyobraźni widział, jak rozdziawia swoje kłamliwe usta, gdy unosi dłoń, by powstrzymać kołysanie jego ciała. To byłoby doskonałe, ale rzecz jasna tak się nie stanie. To nie ona go znajdzie.

Ktoś inny odnajdzie ich oboje.

Zastanawiał się, jak do całej tej sprawy podejrze policja. Co napiszą w gazetach. W pewnych domach i gabinetach ludzie będą szeptem wymawiać ich nazwiska. Jego nazwisko, to które jej dał, będzie rozbrzmiewać echem w sali sądowej, jak to już nieraz bywało w przeszłości, gdzie zostanie skalane w brudzie i plugastwie, które rozlewało się wokół niej, jak plama ropy. Tym razem nie będą mieli na szczęście okazji być przy tym, kiedy inni zaczną o

nich plotkować, o całej tej tragedii, o zachwianiu ich równowagi umysłowej. Teraz trudno było z tym polemizować, zwłaszcza w tej chwili. Kiedy on czekał na śmierć, a ona odeszła pół godziny wcześniej, przed nim, na górze w sypialni, gdzie bury dywan powoli na - siąkał krwią.

Namądlą w głowach im obojgu. Dostała dokładnie to, na co sobie zasłużyła.

Pół godziny wcześniej jej ręce unosiły się jeszcze w obronnym geście.

Osiem miesięcy wcześniej jej ręce także się wyciągały, a nogi rozsuwały szeroko, na podłodze w magazynie.

Sama się o to prosiła...

Dławił się, pluł krwią, wyczuwając zbliżający się koniec, wiedział, że powoli uchodzi zeń życie. Jak długo to już trwało? Dwie minuty? Pięć? Opuścił i wyprężył stopy, aby ciężar ciała przyspieszył cały proces.

Usłyszał jakiś dźwięk przypominający skrzywienie, a potem pomruk zdziwienia. Otworzył oczy.

Zamiast w stronę drzwi frontowych patrzył teraz w kierunku schodów. Gwałtownie poruszył ramionami, próbując wprawić całe ciało w ruch i obrócić je. Kiedy powoli zaczęło okręcać się na sznurze, a od śmierci dzieliły je już tylko sekundy, mężczyzna spojrział w dół przekrwionymi, wychodzącymi z orbit oczyma w brązowe, nieskazitelne tęczęwki oczu dziecka.

## 1

Sportowe buty psuły trochę ogólne wrażenie. Mężczyzna ostrzyżony na zapałkę, z potem perlącym się na górnej wardze, miał na sobie granatowy garnitur, bez wątpienia zakupiony specjalnie na tę okazję, a do tego nosił białe niki. Skrzypiały na drewnianym parkiecie sali gimnastycznej, gdy nerwowo przebierał nogami pod stołem.

- Przepraszam - powiedział. - Naprawdę tak bardzo mi przykro.

Przy stoliku naprzeciw niego siedziała para w starszym wieku.

Mężczyzna o wodnistych, niebieskich oczach tkwił tam sztywno, jakby kij połknął, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mężczyzny w garniturze. Starsza kobieta trzymała staruszka za rękę. Jej oczy, takie same jak u męża, wodziły wzrokiem z boku na bok jak najdalej od młodego mężczyzny, który - kiedy widziała go ostatni raz - krępował ich oboje taśmą w ich własnym domu.

Starannie wygolony podbródek Darrena Ellisa zaczął lekko drżeć. Głos także stał się niepewny.

- Gdybym tylko mógł jakoś zadośćuczynić temu, co się stało, zrobiłbym to - powiedział.

- Nie możesz - rzekł staruszek.

- Nie mogę cofnąć tego, co uczyniłem, ale wiem, że to było złe. Wiem, przez co przeszliście.

Staruszka zaczęła płakać.

- Jak możesz? - rzucił jej mąż.

Darren Ellis także się rozplakał.

W ostatnim rzędzie krzesel, oparty plecami o drabinki siedział potężnie wyglądający mężczyzna pod czterdziestkę w czarnej skórzanej kurtce; miał ciemne oczy i włosy z jednej strony bardziej przyprószone siwizną niż z drugiej. Wydawał się zniesmaczony i odrobinę zakłopotany. Odwrócił się do mężczyzny siedzącego tuż przy nim.

- Co. Za. Bzdura - wycedził Thome.

Nadinspektor Russell Brigstocke łypnął na niego spode łba. Siedzący z przodu rudowłosy szemrany mężczyzna w typie rekruta zaczął posykiwać, aby ich uciszyć. Sądząc z wyglądu, był jednym ze zwolenników Ellisa.

- Bzdura - powtórzył Thome.

Sala gimnastyczna w Peel Centre o tej bezbożnej porze w poniedziałkowy poranek była zwykle pełna rekrutów. Jednak jako że tylko ona była dostatecznie duża, by można w niej przeprowadzić konferencję pojednawczą, młodzi, nieopierzeni konstable tego dnia robili pompki i gwiazdy gdzie indziej. Podłogę sali wyłożono zielonym brezentem, na którym ustawiono około pięćdziesięciu krzesełek. Zajmowali je poplecznicy zarówno sprawcy, jak i ofiar oraz zaproszeni funkcjonariusze, którzy, jak sądzono, nie omieszkają wziąć udziału w tej nowo opracowanej inicjatywie rozjemczej.

Becke House, gdzie mieli swą centralę Thome i Brigstocke, mieściło się w tym samym kompleksie. Pół godziny wcześniej, podczas pięciominutowego marszu do sali ćwiczeń, Thome uskarżał się otwarcie:

- Skoro to zaproszenie, czemu nie mogę odmówić?

- Zamknij się - wycedził Brigstocke. Byli spóźnieni, przyspieszył kroku, próbując nie rozlać kawy z gorącego, pełnego niemal po brzegi styropianowego kubka. Thome z ociąganiem szedł dwa kroki za nim.

- Cholera, nie wziąłem zaproszenia, może mnie nie wpuszczą.

Brigstocke łypnął na niego gniewnie, bynajmniej go to nie rozbawiło.

- A poza tym nie jestem odpowiednio ubrany. Może tam bez krawatów nie wpuszczają...

- Nie słucham cię, Tom.

Thorne pokręcił głową, szurając nogami jak rozzłoszczony uczeń.

- Próbuję zwyczajnie dojść z tym jakoś do ładu. Ta szumowina okleja parę starszków taśmą, wymierza staremu parę kopniaków, łamiąc mu przy tym... ile żeber?

- Trzy.

- Trzy Dzięki. Odlewa się na dywan, zabiera oszczędności całego życia, a my musimy wysłuchiwać, jak mu z tego powodu przykro?

- To tylko część procesu. W Australii wprowadzono resocjalizacyjne konferencje pojednawcze i wyniki są całkiem obiecujące. Przypadki recydywy zdarzają się teraz o wiele rzadziej niż dotychczas...

- O ile dobrze zrozumiałem, chodzi o to, że podsądnego konfrontuje się z ofiarami i jak wszyscy dojdą do wniosku, iż winny naprawdę poczuwa się do winy, dostaje niższy wyrok. Zgadza się?

Brigstocke wypił jeszcze jeden łyk gorącej kawy i wrzucił na wpełnię kubek do kosza.

- To nie takie proste.

Od ponad tygodnia był już czerwiec, ale o tak wczesnej porze panował jeszcze chłód. Thome wsunął dłonie do kieszeni kurtki.

- Ten, kto to wymyślił, musiał być idiotą.

W sali gimnastycznej zebrani patrzyli, jak Darren Ellis odsuwa zaciśnięte w pięści dłonie od zaczerwienionych, wilgotnych oczu. Thorne powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go osób. Niektórzy ludzie wydawali się zasmuceni i kręcili głowami. Parę robiło notatki. W pierwszym rzędzie adwokaci Ellisa podawali sobie z rąk do rąk jakieś papiery.

- Czy zaśmiałyby się pan, gdybym powiedział, że czuję się jak ofiara? - spytał Darren.

Staruszek patrzył na niego ze spokojem przez piętnaście sekund albo i dłużej, po czym beznamiętnie odrzekł:

- Chętnie wybiłbym ci wszystkie zęby.

- Nie wszystko jest takie jasne - powiedział Darren.

Staruszek nachylił się nad stolikiem. Skóra wokół jego ust się napięła.

- Powiem ci, co jest jasne. - Zerknął na żonę - Od tamtej nocy, gdy wdarłeś się do naszego domu, prawie nie zmrużyła oka. Co więcej, zdarza się jej zmoczyć łóżko. - Zniżył głos do szeptu: - Tak bardzo wychudła...

W sali rozległ się dźwięk przypominający przełknięcie śliny albo może westchnienie, gdy Darren ukrył twarz w dłoniach i dał upust swoim emocjom. Adwokat poderwał się z miejsca. W stronę stolika ruszył także jeden ze śledczych. Czas na przerwę.

Thome nachylił się do Brigstockea i rzekł donośnie:

- Jest naprawdę niezły. Do jakiego kółka teatralnego uczęszczał? - Tym razem to kilku funkcjonariuszy policji odwróciło się, by spiorunować go wzrokiem.

W dziesięć minut później wszyscy tłoczyli się już w holu na zewnątrz. Ludzie kiwali głowami i niemal szeptem wymieniali między sobą uwagi. Podano wodę mineralną i biszkopty.

- Powinienem sporządzić pisemny raport w tej sprawie - mruknął Brigstocke.

Thome pomachał do kilku znajomych z Zespołu 6.

- Lepiej ty niż ja.

- Zastanawiam się nad doborem właściwych słów, w celu opisanego nastawienia niektórych członków mojej ekipy. Obstrukcjonistyczne? Bezczelne? Masz jakieś sugestie...?

- Myślę, że to była jedna z najgłupszych rzeczy, jakie widziałem. Nie mogę uwierzyć, że ludzie potraktowali ten występ serio i mam gdzieś wyniki tego typu szopek w Australii. Nie, to nie było głupie. Raczej obrzydliwe. Obsceniczne. Wszyscy ci durni kretyni wpatrujący się w każdy grymas na twarzy tego palanta. Ile uрониł łez? Jak duże one były? Jak bardzo było mu wstyd? - Thome upił łyk wody, potrzymał przez chwilę w ustach, przełknął. - Widziałeś JEJ twarz? Patrzyłeś na twarz tej kobiety?

Zadzwoiła komórka Brigstocke'a. Odebrał natychmiast, ale Thome mówił dalej.

- Konferencja pojednawcza? Niby komu to miało przynieść jakąś korzyść? Temu staruszkowi i jego chudej jak patyk żonie? - Brigstocke gniewnie pokręcił głową i odwrócił się.

Thome odstawił szklanekę na parapet. A potem pomaszerował przed siebie, mijając kilka osób i kierując się w stronę grupki, która wyszła z sali gimnastycznej do holu drugimi drzwiami.

Darren Ellis zdjął marynarkę i krawat. Był skuty, towarzyszyło mu dwóch śledczych, przytrzymujących go za ramiona.

- Niezły dałeś popis, Darrenie - mruknął Thome. A potem zaczął klaskać w dłonie.

Ellis spojrział na niego, jego usta otwierały się i zamykały nerwowo wskutek spontanicznej reakcji, której z pewnością wcześniej nie przetrenował. Popatrzył na funkcjonariuszy, poszukując wsparcia z ich strony.

Thome się uśmiechnął.

- Co masz przygotowane na bis? Moim zdaniem na finał zawsze jest najlepsza piosenka...

Funkcjonariusz po lewej, z drobinkami łupieżu na ramionach poliestrowej marynarki zrobił groźną minę.

- Odwal się, Thome.

Zanim Thome zdążył zareagować, jego uwagę zwrócił Russell. Brigstocke zmierzał szybkim krokiem w ich kierunku. Thome prawie nie zauważył, kiedy dwaj śledczy odprowadzili Ellisa w drugą stronę. Wyraz twarzy nadinspektora sprawił, że poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Jesteś spragniony sprawiedliwości? - rzucił Brigstocke. - Będziesz miał okazję się wykazać. - Wskazał na komórkę trzymaną przez Thomea. - Chyba kroi się grubsza sprawa.

Nazywano go hotelem. Ale z drugiej strony o żandarmach wojskowych mówi się „prawi”, „honorowi” i „dżentelmeńscy”...

Neon na zewnątrz układał się w napis HOTEL, lecz Thome wiedział, że w pewnych mniej wytwornych zakątkach Londynu nie należy traktować takich słów zbyt poważnie. Gdyby wszystkie oznaczały to, co sugerują, równałoby się to mnóstwu sfrustrowanych biznesmenów siedzących w saunach i oczekujących na ręczne zaspokojenie, które nigdy nie nadejdzie.

Neon na zewnątrz powinien układać się w napis PASKUDNA NORA. To rzucało się już na pierwszy rzut oka. Brązowy dywan, niegdyś najlepszy z magazynowych odrzutów, był teraz w wielu miejscach poprzecierany. Zieleń zbutwiałego podgumowania wykładziny zlewała się z barwą pleśni pnącej się po białej tapecie pod oknem. Na parapecie stała doniczka z zeschniętym storczykiem, pokrytym warstewką kurzu. Thome rozsunął brudne, pomarańczowe zasłony, oparł się o parapet i przez chwilę chłonał zapierający dech widok aut sunących wolno wzdłuż dworca Paddington w kierunku Marylebone Road.

Dochodziła jedenasta, a korków nie ubywało.

Thorne odwrócił się i nabrał powietrza. Naprzeciw niego, w drzwiach, konstabl Dave Holland gawędził z mundurowym, czekając, jak Thome, na znak, że może wejść i rozpocząć swoją pracę. I wdepnąć obiema nogami w bagno.

W różnych częściach pokoju trzech techników pełzało po podłodze bądź kucalo w poszukiwaniu materiałów dowodowych, które oznakowywali i zbierali do plastikowych torebek - od najmniejszych włókien, po ślady organiczne. Od tego zależał los całego procesu i sprawy. W maleńkim pyłku mogło kryć się dożywocie. W kurzu i śmieciach kryła się prawda.

Patolog Phil Hendricks oparł się o ścianę, mówiąc coś do małego cyfrowego dyktafonu, z którego był bardzo dumny. Popatrzył na Thorne'a. W tym spojrzeniu zawierały się zwyczajowe pytania. Znów jesteśmy w biegu? Kiedy choć trochę nam ulży? Czemu nie rzucamy tego w cholerę i nie spędzimy reszty życia, siedząc na schodach i żłowiąc wodę brzoową? Thome, nie mogąc odpowiedzieć na te pytania, tylko odwrócił wzrok. W kącie opodal łysy technik w kombinezonie wyglądającym jak wielkie śpiochy oprószał proszkiem daktyloskopijnym krany przy brązowej umywalce. W tej norze w pokojach były przynajmniej podstawowe urządzenia. W pomieszczeniu znajdowało się w sumie siedem osób. Osiem, jeśli liczyć zwłoki.

Thome nie bez wahania przeniósł wzrok na białego jak ściana mężczyznę na łóżku. Ciało było nagie i leżało na samym materacu, krople krwi łączyły ze sobą widoczne na obiciu wyświechtanego materaca inne plamy, wyblakłe i dość stare. Ręce mężczyzny, związane brązowym skórzanym paskiem, były wyciągnięte do przodu, kiedy tak leżał z podkulonymi kolanami i wypiętymi pośladkami. Głowę, zakrytą czarnym kapturem, wciśnięto w miękki materac.

Thome patrzył, jak Phil Hendricks przechodzi wolno wzdłuż łóżka, unosząc i odwracając głowę. Powoli zdjął kaptur z głowy trupa. Thome zauważył, jak na moment ramiona jego przyjaciela sztywnieją i usłyszał zduszone westchnienie, zanim tamten opuścił głowę nieboszczyka na łóżko. Kiedy technik podszedł, by zabrać kaptur i włożyć do torebki na materiały dowodowe, Thome postąpił naprzód, by móc lepiej przyjrzeć się twarzy trupa. Oczy miał zamknięte, nos mały, lekko zadarty. Na policzku kilka drobnych kropelek krwi. Usta wyglądały jak zastygła maska zakrzepłej posoki, wargi postrzępione, tu i ówdzie widoczne strużki zaschniętej śliny. Brudne nierówne zęby były wyszczerzone, dolna warga została przygryziona, kiedy wokół szyi ofiary zaciskała się pętla.

Thome oszacował, że tamten miał jakieś trzydzieści kilka lat. Ale nie mógł być tego pewien.

Gdzieś u góry rozległ się dźwięk wyłączanego urządzenia, pewnie bojlera. Tłumiąc ziewnięcie, uniósł wzrok na falujące pajęczyny pod sufitem. Zastanawiał się, czy inni mieszkańcy nadal mieliby ochotę na poranną gorącą kąpiel, gdyby wiedzieli, co wydarzyło się pod szóstką.

Thome postąpił krok w stronę łóżka. Hendricks odezwał się, nawet na niego nie patrząc:

- Pomijając fakt, że gość nie żyje, nie wiem kompletnie nic, więc nawet nie pytaj, dobra?

- U mnie wszystko gra. Dzięki, że zapytałeś, Phil, a co u ciebie?

- Chyba raczej w porządku. Mam rozumieć, że wpadłeś tu tylko na przyjacielską pogawędkę...?

- Ale z ciebie duppek. Co jest złego w zwykłej wymianie uprzejmości? Czy nie można w ten sposób choć trochę rozładować atmosfery?

Hendricks milczał. Thome nachylił się, aby podrapać się w kostkę przez kombinezon.

- Phil...

- Mówiłem już. Nie wiem. Sam popatrz. Przyczyna śmierci jest oczywista, ale to nie takie proste. W grę wchodzi jeszcze... inne czynniki.

- Jasne. Dzięki...

Hendricks cofnął się niezręcznie i skinął na jednego z techników, który natychmiast podszedł do łóżka, zabierając po drodze niewielkie pudełko. Funkcjonariusz ukląkł i otworzył pudełko, ukazując cały zestaw lśniących narzędzi. Wyjął niewielki skalpel i nachylił się nad szyją ofiary.

Thome patrzył, jak technik wsuwa przyobleczony w rękawiczkę palec pod pętlę na szyi ofiary. Z miejsca, gdzie stał Thome, sznur, który zadziergnięto na ciele nieboszczyka, wyglądał jak zwykły sznur do bielizny, który można nabyć w każdym sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Gładki, niebieski plastik. Widział, jak mocno sznur wpił się w ciało trupa. Funkcjonariusz delikatnie przeciął skalpelem linę tak, by nie naruszyć węzła znajdującego się z tyłu, na karku ofiary. Rzecz jasna, to była standardowa procedura. Staranna i mrożąca krew w żyłach.

Będą musieli porównać węzeł z innymi, które mogą pojawić się później.

Thome spojrział na Dave a Hollanda, który uniósł brwi i rozłożył szeroko ręce. Co się dzieje? Jak długo to potrwa? Thome wzruszył ramionami. Spędzili tam już godzinę. On i Holland krążyli po pokoju, sporządzając notatki, zbierając materiały dowodowe i lustrując miejsce zbrodni. Teraz przyszła kolej na techników, a Thome nie lubił czekać. Poczulby się lepiej, gdyby mógł włączyć się do działania. Chciał szczerze powiedzieć, że nie mógł już się doczekać, aby zrobić, co do niego należało i rozpocząć proces, który może, kto wie, któregoś dnia przywiedzie sprawcę tej zbrodni przed oblicze sprawiedliwości. Na razie jednak chciał uwinąć się z tym, co miał do zrobienia jak najszybciej, i opuścić to miejsce. Chciał zdjąć plastikowy kombinezon, wsiąść do auta i odjechać. Gdyby był naprawdę szczerzy wobec siebie, musiałby przyznać, że tylko częśćka niego tego pragnęła. Ta druga aż krzyczała wewnątrz. Ta jego część, która знаła różnicę między tymi czy innymi miejscami zbrodni, która umiała rozeznawać się w takich sprawach. Thome widział ofiary rozwścieczonych

małżonków i zazdrosnych kochanek. Widział ciała rywali w interesach i ofiary gangsterskich porachunków. Na pierwszy rzut oka umiał rozpoznać coś naprawdę niezwykłego. To było szczególnie miejsce zbrodni. Dzieło zabójcy wiedzonego nietypowym impulsem, naprawdę spektakularne. Pokój cuchnął gniewem i nienawiścią. A także dumą.

Hendricks, jakby czytając w myślach Thomea, odwrócił się do niego z uśmiechem.

- Jeszcze pięć minut, dobra? Nic tu więcej nie zwojuję...

Thome pokiwał głową. Spojrzał na nieboszczyka leżącego na łóżku, w pozycji jak do modlitwy. Gdyby nie pasek i jaskrawoczerwona pręga na szyi oraz cienka strużka krwi ściekającej po bladych udach, można by pomyśleć, że ten mężczyzna się modli.

Thome domyślał się, że koniec końców zapewne tak właśnie było. W pokoju było gorąco. Thome przetarł palące oko wierzchem dłoni i poczuł strużkę potu spływającą mu po żebrach i nagle coś ścisnęło go w żołądku.

Gdzieś w dole sfrustrowany kierowca nacisnął na klakson... Thorne nawet nie zdawał sobie sprawy, że zamknął oczy, a na dźwięk telefonu uniósł gwałtownie powieki, przez moment przekonany, że oto obudził się z wyjątkowo nieprzyjemnego koszmaru. Odwrócił się zdezorientowany i ujrzał Hollanda przy nocnym stoliku. Telefon był starodawnym modelem z połowy lat siedemdziesiątych, tarczę miał pękniętą, słuchawka aż bujała się na widelkach. Thome, choć czujny, wydawał się zbity z tropu. Czy to telefon do nich? Czy to sprawa dla policji? A może osoba pracująca w czymś, co z wielką przesadą nazywano tu recepcją, nie wiedziała, co się stało pod szóstką, i przełączyła kogoś, kto dzwonił z zewnątrz? Spotkawszy kilkoro członków personelu, Thome był w stanie uwierzyć, że choć wiedzieli, co się tu stało, z powodu swej tępoty mogli połączyć rozmowę do tego pokoju. W tej sytuacji byłby to prawdziwy łut szczęścia...

Thome podszedł do aparatu. Reszta zespołu zamarła w bezruchu, obserwując go.

Ubranie ofiary - a przynajmniej przypuszczano, że należało właśnie do niej - wałało się na podłodze, opodał. Spodnie bez paska i slipki leżały obok krzesła. Koszula była zwinięta w kulę. Jeden but spoczywał pod łóżkiem u wezglowia. Brązowa, sztruksowa kurtka wisiała przerzucona przez oparcie krzesła przy łóżku, w kieszeniach nie było żadnych rzeczy osobistych - ani portfela, ani biletów na autobus czy pomiętych fotografii. Nic, co mogłoby pomóc zidentyfikować denata...

Thome nie wiedział, czy z telefonu zdjęto już odciski palców, i nie miał czasu, by o to zapytać. Wziął od jednego z techników plastikową torebkę i wsunął do niej rękę. Następnie uniósł dłoń do góry, prosząc odcisnąć. Nawet nie musiał nic mówić. Wziął głęboki oddech i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Eee... witam. - Kobięcy głos.

Thome odnalazł spojrzenie Hollanda.

- Z kim chciała pani mówić? - Odsunął nieco słuchawkę od ucha inie dosłyszał odpowiedzi. - Przepraszam, jakieś zakłócenia na linii, może pani mówić głośniej?

- Teraz lepiej?

- Doskonale. - Thome starał się mówić beznamiętnym tonem. - Z kim chciałaby pani rozmawiać?

- Cóż... właściwie to nie wiem... bo...

Thome znów spojrzał na Hollanda i pokręcił głową. Kurwa. Nie będzie łatwo.

- Z kim mówię?

- Słucham?

- Jak pani godność?

Odezwała się po dłuższej chwili. Głos miała spięty. Mimo to panowała nas sobą.

- Proszę posłuchać, nie chcę, by to zabrzmiało nieprzyjemnie, ale to do mnie zadzwoniono. Nie zamierzam się przedstawić, zanim...

- Mówi detektyw inspektor Thome z Zespołu ds. Przestępstw Szczególnych...

Chwila przerwy. I nagle:

- Sądziłam, że dzwonię do hotelu...

- I dodzwoniła się pani do hotelu. A teraz pytam ponownie, jak pani godność? - Spojrzał na Hollanda i wydał policzki. Holland czekał z notesem w dłoni; wyglądał na mocno zdezorientowanego.

- Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę - rzekła kobieta.

- Jeżeli pani sobie życzy, mogę zaraz oddzwonić. Albo jeszcze lepiej, podam pani numer, niech pani pod niego zadzwoni i zapyta o nadinspektora Russella Brigstocke a. Podam pani numer mojej komórki...

- Po co mi numer pańskiej komórki, skoro ma pan oddzwonić?

Rozmowa stawała się coraz bardziej absurdalna.

Thomeowi wydawało się, że wychwytuje w głosie kobiety nutę rozbawienia, coś na pograniczu flirtu. Choć było to miłe w ten ponury poranek, nie miał dziś nastroju na takie rzeczy.

- Droga pani, aparat, z którego z panią rozmawiam, znajduje się na miejscu zbrodni i chcę wiedzieć, czemu pani tu zadzwoniła.

Poskutkowało. Kobieta, w której głosie pojawiło się nagle zaniepokojenie, zrobiła, o co prosił.

- Otrzymałam wiadomość nagrałą na automatyczną sekretarkę. Dziś rano przyszedłam do pracy i zaczęłam odsłuchiwać wiadomości. Ta była pierwsza. Mężczyzna, który zadzwonił, zostawił numer telefonu inazwę hotelu, do którego miałam dostarczyć zamówienie...

Zadzwonił mężczyzna. Czy to ten, który leżał na łóżku, czy...?

- Jak brzmiała wiadomość?

- Złożył zamówienie. Wybrał sobie diablo dziwną porę, nie ma co. Dlatego mnie zaciekało... i zadzwoniłam. Pomyślałam, że to mógł być żart, wie pan, dzieciaki czasem się wygłupiają, ale szczeniaki nie podałyby właściwego adresu, zgadza się?

- Czy ten mężczyzna się przedstawił?

- Nie. I między innymi także dlatego dzwonię. Chciałam poprosić o numer jego karty kredytowej. Nie realizujemy zamówień za gotówkę.

- Co to znaczy, że wybrał sobie diablo dziwną porę?

- Zamówienie złożono dziesięć po trzeciej w nocy. Kupiłam telefon z automatyczną sekretarką, która zapisuje czas rejestrowanych połączeń.

Thome przyłożył słuchawkę do piersi i spojrzał na Hendricksa.

- Znam czas zgonu. Założę się o dziesiątkę, że nie podasz jej z dokładnością do pół godziny.

- Halo?

Thome na powrót przyłożył słuchawkę do ucha.

- Przepraszam, musiałem zamienić dwa słowa z kolegą. Czy mogę poprosić, by zatrzymała pani taśmę z automatycznej sekretarki, panno...?

- Eve Bloom.

- Wspomniała pani o jakimś zamówieniu?

- Nie wyjaśniłam, o co chodzi? Jestem florystką. Ten człowiek chciał zamówić kwiaty. I chyba właśnie szczegóły tego zamówienia wzbudziły mój niepokój...

- Jak to? Nic nie rozumiem.

- Cóż, składać takie zamówienie w środku nocy...

- Jak dokładnie ono brzmiało?

- Chwileczkę...

- Proszę mi tylko...

Ale już jej nie było. Po kilku sekundach Thome usłyszał trzask wciskanego klawisza i szmer przewijanej taśmy. Zapadła chwila ciszy, a potem głośny stukot, kiedy przyłożyła słuchawkę do urządzenia.

- Zaraz będzie! - zawołała.

Rozległ się szelest obracającej się taśmy.

W głosie, jaki usłyszał Thome, nie było nawet cienia akcentu czy jakichkolwiek emocji. Inspektor odniósł wrażenie, jakby ktoś bardzo się starał mówić beznamytnie, ale mimo to w jego głosie dało się wyczuć pewne rozbawienie. Głos należał do mężczyzny, który - jak przypuszczał Thome - był odpowiedzialny za okrutną śmierć człowieka spoczywającego na hotelowym łóżku.

Wiadomość była w sumie prosta i zaczęła się dość banalnie.

- Chciałbym zamówić wieniec...

## 2

3 grudnia, 1975

Podjechał maxi pod garaż, aż zderzak nieomal dotykał drzwi, po czym zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik.

Sięgnął po aktówkę, wysiadł z samochodu i pośladkami zatrzaskał drzwiczki.

Dochodziła dopiero szósta, a już było ciemno. I zimno. Będzie musiał zacząć nosić kamizelkę. Zmierzając w stronę frontowych drzwi, znów zaczął pogwizdywać tę cholerną piosenkę, której nie mógł wyrzucić z pamięci. Puszczali ją w radiu na okrągło. Co to w ogóle jest „silhouetto”? I co ma z tym wspólnego fandango? Co gorsza, piosenka była długa jak cholera. Czy przeboje pop nie powinny być krótkie? Zamknął za sobą frontowe drzwi i przez chwilę stał na słomiance, czekając, aż w nozdrza uderzy go woń przygotowanej kolacji. Lubił ten moment każdego dnia, kojarzył mu się ze sceną z jakiegoś starego serialu komediowego. Stał tak i wyobrażał sobie, że znajduje się gdzieś w Stanach, w jednym z miast Środkowego Zachodu, a nie na zafajdany, żalonym przedmieściu. Wyobrażał sobie, że jest pracownikiem jakiejś wielkiej firmy, mającym idealną żonę, która czeka na niego z gotową, smaczną pieczenią i szklaneczką koktajlu. Miał ochotę na jakiegoś fantastycznego drinka.

To nie był tylko jego żarcik, bawili się nim oboje. Ten śmieszny rytuał towarzyszył im od dawna. On od progu zawoła, że wrócił, a ona odpowie cytatem z serialu, a potem oboje zasiądą do stołu, by zjeść odgrzane z mrożonki naleśniki albo coś z kuchni indyjskiej, na słodko ze zbyt dużą ilością rodzynek.

- Kochanie, wróciłem...

Odpowiedzi nie było.

Nie poczuł znajomego zapachu.

Postawił aktówkę przy stoliku w holu i ruszył w stronę salonu. Pewnie nie miała dziś czasu, aby cokolwiek przygotować. Skończyła pracę o trzeciej, a potem miała pójść jeszcze na zakupy. Do świąt zostały dwa tygodnie, a trzeba było kupić mnóstwo różnych rzeczy...

Wyraz jej twarzy sprawił, że stanął jak wryty. Siedziała na kanapie, ubrana w jasnoniebieski szlafrok. Nogi podkuliła pod siebie. Miała mokre włosy.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Nie odpowiedziała. Kiedy postąpił krok w jej stronę, zahaczył o coś czubkiem buta; spuścił wzrok i zobaczył zmiętą sukienkę.

- Czemu to tu...?

Podniósł sukienkę z podłogi i zaśmiał się, czekając na jej reakcję. Kiedy dostrzegł rozdarcie na materiale, wsunął w nie palce i poruszał nimi.

- Chryste, coś ty z tym zrobiła? Ta sukienka kosztowała z piętnaście fimtów... Nagle uniosła wzrok i spojrzała na niego, jakby postradał rozum. Starając się nie robić tego zbyt ostentacyjnie, zaczął rozglądać się w poszukiwaniu pustej butelki i przez cały czas z wysiłkiem starał się, by z jego ust nie zniknął uśmiech.

- Byłaś dziś w pracy, kochanie?

Jęknęła cichutko.

- A co ze szkołą? Czy odebrałaś...?

Pokiwała gwałtownie głową, mokre strąki włosów przesłoniły jej twarz. Wtem usłyszał jakiś hałas na górze, trzask samochodu zabawki albo przewracanych klocków dochodzący z poddasza, które przerobili na pokój dziecienny. Pokiwał głową i odetchnął z ulgą.

- Posłuchaj, może teraz...

Cofnął się energicznie o krok, kiedy poderwała się nagle, z wilgotnymi, wychodzącymi z orbit oczami, zgięta w pół, jakby mu się kłaniała.

Iwtedy wypowiedział jej imię.

A jego żona zadarła poły niebieskiego szlafroka powyżej talii, by pokazać mu wyraźne, świeże otarcia, zaczerwienienia i sińce na skórze obu ud...

Thome przegrał zakład z Philem Hendricksem.

Odebrał telefon zaledwie w cztery godziny po znalezieniu ciała i w kilka sekund później cisnął niedojedzoną kanapkę na drugi koniec gabinetu, nie trafiając do kosza. Przeżuł szybko to, co miał w ustach, wiedząc, że i tak straci apetyt.

Hendricks dzwonił z kostnicy westministerskiej.

- Całkiem szybko - mruknął. Wydawał się mocno poruszony - Musisz przyznać, że...

- Czemu zawsze mi to robisz, kiedy jem lunch? Nie mogłeś poczekać godzinę?

- Przykro mi stary w grę wchodzi pieniądze. To jak, jesteś gotowy? Czas śmierci określiłbym na drugą czterdzieści pięć w nocy.

- Cholera. - Thome wyjrzał przez okno na rząd niskich, szarych budynków po drugiej stronie M1. Nie wiedział, czy okno jest brudne, czy to może wina Hendon. - Oby to było warte tej dychy. Mów dalej...

- Jak ma być? W żargonie medycznym, prosto, jak dla laika, czy łopatologicznie, jak patolog do tępego gliniarza?

- To cię będzie kosztowało piąta. Wal...

Hendricks mówił o śmierci i jej zawłóściach ze zdecydowanie mniejszym zaangażowaniem niż to, jakie demonstrował wobec Arsenalu. To, że pochodził z Manchesteru i nie kibicował drużynie Manchester United, nie było jego jedynym dziwactwem. Nosił ciuchy w różnych odcieniach czerni, miał wygoloną głowę i całe mnóstwo kolczyków. Każdy z nich oznaczał jego kolejnego kochanka...

Potrafił mówić beznamiętnie, wręcz obojętnym tonem, ale Thome wiedział, jak bardzo Phil Hendricks przejmował się zmarłymi. Jak usilnie słuchał ich ciał, kiedy do niego przemawiały. Kiedy zdradzały mu swe sekrety.

- Uduszenie wskutek zadławienia pętlą zadzierzgniętą na szyi - rzekł Hendricks. - Poza tym myślę, że to się stało na podłodze. Na obu kolanach miał otarcia od dywanu. Uważam, że zabójca ułożył ciało na łóżku, kiedy już było po wszystkim. Upozował je.

- Zgadza się...

- Niestety, wciąż nie potrafię stwierdzić na pewno, czy został uduszony przed, po, czy w trakcie stosunku analnego.

- A więc nie jesteś taki doskonały?

- Wiem jedno. Ktokolwiek to zrobił, ma przed sobą wielką przyszłość w branży gejowskiego porno. Nasz zabójca jest obdarzony jak osioł. Narobił niezłych szkód, wiesz gdzie...

Thome zrozumiał, że dobrze zrobił, pozbywając się kanapki. Stracił już rachubę tego typu rozmów prowadzonych z Hendricksem w ostatnich latach. Mentalnie przywykł do tego, lecz jego żołądek wciąż miewał z tym pewne problemy. Thorne nazywał to koronerską dietą.

- A co ze śladami biologicznymi?

- Przykro mi, stary, nic z tych rzeczy. Jedyne co znaleźliśmy, to ślady środka plewnikobójczego z kondomu, jakiego użył zabójca. Był ostrożny, pod każdym względem...

Thome westchnął.

- Gdzie Holland? Wciąż jest z tobą?

- A skąd, stary. Zmył się przy pierwszej okazji. Czemu go w ogóle do mnie przysłałeś? Ranisz moje uczucia, nie chcąc samemu oglądać mnie przy pracy...

Takie rozmowy, dotyczące ciała, zawsze schodziły ostatecznie na lżejsze tematy Piłkę nożną, telewizję, cokolwiek...

- Konstabl Holland nie miał okazji dostatecznie często widzieć cię przy pracy - odpowiedział Thorne. - To wciąż dla niego wstrząsające przeżycie. Wyświadczam mu przysługę, żeby trochę okrzepł...

Hendricks zaśmiał się.

- No jasne...

No jasne, pomyślał Thome. Wiedział, że gdy w grę wchodzi skalpel i stół sekcyjny, nie da się tak po prostu okrzepnąć. Można jedynie udawać, że jest inaczej...

Stojąc w sali odpraw w oczekiwaniu na zespół, Thome czuł się zwykle jak nauczyciel, który wzbudza strach, lecz nie jest szczególnie lubiany. Lekko szurnięty wuefista. Tych trzydzieści osób przed nim - detektywi, funkcjonariusze mundurowi, cywilni oraz personel pomocniczy - mogło być równie dobrze dziećmi. Różniły się od siebie nawzajem jak uczniowie w którejś z szacownych londyńskich szkół.

Byli wśród nich tacy, co z pozoru słuchali go uważnie, później jednak musieli skonsultować się z kolegami, by dowiedzieć się, co właściwie mają robić. Inni byli nadgorliwi, zadawali pytania, kiwali głową z przejęciem, ale gdy przyszło co do czego, robili możliwie jak najmniej. Byli wśród nich twardziele i mięczaki. Mózgowcy i tępaki.

Chronić i służyć. Podstawowe zadania policji. Z naciskiem na troskę i skuteczność. Thome wiedział, że wielu z tych ludzi, podobnie jak on sam, wołało dawne czasy, kiedy to policja stanowiła prawo.

I kiedy się z nią liczone.

Minęły cztery dni od rozmowy z Hendricksem, po przeprowadzonej przez niego sekcji i jeśli patolog w tym wypadku się sprężył, Zakład Kryminalistyki Sądowej pobił go na głowę. Siedemdziesiąt dwie godziny na przeprowadzenie testu DNA to prawdziwy rekord, zwłaszcza że miejsce zbrodni, czyli hotelowy pokój, było istnym koszmarem dla ekspertów w tej dziedzinie. Gorzej mogło być tylko w przytułku dla bezdomnych. Można tu było znaleźć próbki włosów i skóry kilkunastu różnych osób, tak kobiet, jak i mężczyzn. Były też ślady

sierści psów, kotów i co najmniej dwóch innych zwierząt, których gatunku dotąd nie udało się ustalić. I choć to nieprawdopodobne, udało się ustalić zgodność.

Rzecz jasna nie przybliżyło ich to do odnalezienia zabójcy, ale teraz wiedzieli przynajmniej, kim była ofiara. DNA zmarłego znajdowało się w ich archiwum, skądinąd nie bez powodu. Thome odchrząknął, aby uciszyć gwar rozmów.

- Douglas Andrew Remfry, lat trzydzieści sześć, został przed dziesięcioma dniami zwolniony z zakładu karnego Derby, po odbyciu kary dwunastu lat więzienia za gwałt na trzech nastolatkach. Próbuje odtworzyć, co robił przez te dni, ale jak dotąd ustaliliśmy jedynie, że kursował pomiędzy pubem, kolekturą zakładów bukmacherskich i domem w New Cross, gdzie mieszkał z matką i jej...? - Thome spojrzął na Russella Brigstockea, który uniósł w górę trzy palce. Odwrócił się do zebranych - TRZECIM mężem. Spodziewamy się jeszcze dziś dowiedzieć się czegoś więcej o jego poczynaniach. Konstablowie Holland i Stone udali się tam z nakazem przeszukania.

Pani Remfry nie zdradzała większej chęci do współpracy... - Jeden ze śledczych, o twarzy pokrytej śladami trądziku, odwrócił się z niesmakiem na myśl o kobiecie, której nawet nie znał. Thome spiorunował go wzrokiem.

- Ona dopiero co straciła syna - powiedział. I po krótkiej przerwie podjął swój wywód: - Jeśli wierzyć właścicielce, Remfry wynajął pokój osobiście, chyba że zabójcą był jego sobowtór. Nie podał nazwiska, ale zapłacił za pokój gotówką. Musimy dowiedzieć się, dlaczego. Czemu tak mu zależało, aby wynająć pokój w hotelu? Z kim miał się tam spotkać...?

Thome uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie rozmowy z niezwykle właścicielką hotelu - farbowaną blondynką z pyskiem buldoga przeżuwającego osę i chrypką będącą dziełem trzech paczek wypalanych dziennie fajek.

- A kto zapłaci za wymianę pościeli? - spytała. - Co z poduszkami i kocami, które zwinął ten świr? To była bawełna sto procent i wcale nie tania... - Thome pokiwał głową, udając, że coś zapisuje i zastanawiał się, czy ta kobieta ma dobrą pamięć, bo o tym, że umie kłamać w żywe oczy bynajmniej nie wątpił. - A te plamy na materacu. Kto zapłaci za czyszczenie tego wszystkiego?

- Poszukam formularza do wypełnienia - rzekł Thome, myśląc: Takiego wała, stara klępo...

W sali odpraw śledczy- żółtodziób, na którego Thome spojrzął wcześniej, uniósł do góry jeden palec. Thome skinął głową.

- Czy powinniśmy sprawdzić więzienny trop, sir? Może to robota kogoś, z kim Remfry siedział w Derby. Może nadepnął komuś na odcisk...

- Raczej wlaż komuś w tyłek! - wtrącił wąsaty konstabl siedzący w kącie sali, po lewej. Thome go nie znał. Został tu sprowadzony z nieznanego mu zespołu, jak wielu innych, dla zapewnienia odpowiedniej liczby osób. Komentarz konstabla wywołał burzę śmiechu. Thome zachichotał pod nosem, bez większego przekonania.

- Sprawdzimy to. Zanim trafił za kratki, Remfry ewidentnie gustował w kobietach...

- Niektórym za kratkami diametralnie zmieniają się gusta, czyż nie? - Tym razem śmiech policjantów był wymuszony. Thome odczekał, aż ucichnie i zniżył nieznacznie głos.

- Większość z was zajmie się śledzeniem najbardziej prawdopodobnych podejrzanych z grupy, którą zdołaliśmy określić...

Śledczy-żółtodziób pokiwał głową. Bystrzak.

Traktował odprawę jak zwykłą rozmowę.

- Męskich krewnych z rodzin ofiar gwałtu Remfry ego.

- Zgadza się - przyznał Thome. - Mężów, chłopaków, braci. Chrzanić to, ojców również weźmiemy pod lupę. Chcę odnaleźć ich wszystkich, przesłuchać i wyeliminować z kręgu podejrzanych. Przy odrobinie szczęścia wyeliminujemy wszystkich, prócz jednego. Inspektor Kitson sporządziła listę i zajmie się rozdzielaniem przydziałów.

Thome upuścił notatki na krzesło, zdjął z oparcia kurtkę, prawie skończył.

- To tyle. Remfry miał na swoim koncie naprawdę paskudne przestępstwa. Może ktoś uznał, że nie poniósł za nie odpowiedniej kary...

Konstabl z wąsikami parsknął śmiechem i mruknął coś do siedzącego przed nim mundurowego. Thome włożył kurtkę i przymrużył lekko powieki.

- Co jest?

Wyglądał teraz jak nauczyciel, który wyciąga rękę, domagając się tego, co żuł jeden z jego uczniów.

- Wydaje mi się, że ten, kto zabił Remfry ego, wyświadczył wszystkim przysługę - powiedział konstabl. - Ten skurwiel aż się o to prosił.

Nie był to pierwszy tego typu komentarz, jaki słyszał Thome, odkąd przyszły wyniki DNA. Spojrzał na konstabla. Wiedział, że powinien pyskacza usadzić. Wygłosić mowę o obowiązkach funkcjonariuszy policji i konieczności działania niezależnie od sytuacji oraz tego, kto był ofiarą. Powinien wspomnieć o spleconych długach wobec społeczeństwa i o tym, że każde życie ludzkie jest jednakowo ważne i bezcenne. Ale nie zadał sobie tego trudu.

Dave Holland czuł się najlepiej w otoczeniu przełożonych lub kiedy sam mógł wykorzystać wobec kogoś swój stopień służbowy. Natomiast gdy był sam albo z innym konstabłem, sprawiał wrażenie zdeprimowanego i odrobinę zdezorientowanego.

A przecież wszystko było takie proste. Jako konstabl podlegał detektywom od stopnia sierżanta wzwyż, sam zaś miał pod sobą początkujących śledczych i funkcjonariuszy mundurowych. Praca z innym konstabłem powinna być dla niego czymś naturalnym, nie zaś stwarzać powody do frustracji. Chyba wynikało to z jego osobistych inklinacji.

W towarzystwie Andy ego Stone a Holland czuł się przez niego przytłoczony i zahukany. Nie wiedział, dlaczego i to go wkurzało.

Jak dotąd razem radzili sobie nieźle, ale Stone niekiedy lubił się wywyższać. Był opanowany i błyskotliwy. Lubiał błyszczeć, jak zauważył Holland, zwłaszcza w towarzystwie kobiet i przełożonych. Stone był przystojny i wysportowany. Miał bardzo krótkie, ciemne włosy, niebieskie oczy, a Hollandowi wydawało się, że tamten doskonale zdaje sobie sprawę, jakie wywołuje wrażenie u innych. Holland był pewien, że Stone ma nieco lepiej skrojone garnitury i w jego obecności czuł się zawsze jak kuzyn z prowincji. Zapewne gospodynie domowe wypowiedziałyby się o Hollandzie znacznie przychylniej, ale wszystkie pragnęły mu tylko matkować. Wątpił, aby chciały matkować Andy emu Stoneowi.

Stone lubił obgadywać przełożonych i choć Holland sam też to robił, zwykle się hamował, gdy chodziło o Toma Thorne a. Holland doskonale znał wszystkie mankamenty inspektora. Nieraz poczuł na sobie jego gniew i niejednokrotnie zdarzyło mu się pójść za nim na dno...

A jednak, mimo wszystko, fakt, że Thome dobrze o nim myślał i że to, co robił, było jego zdaniem warte zachodu, przydawało Hollandowi znaczenia. I w zupełności mu wystarczało. Był w zespole znacznie dłużej niż Andy Stone i Holland uważał, że to powinno o czymś świadczyć. Ale tak nie było. Stone zaczął mówić, kiedy stanęli przed drzwiami Mary Remfry z nakazem przeszukania.

- Dzień dobry, pani Remfiry. - Głos Stone a był wyjątkowo ciepły i łagodny, jak na tak wysokiego mężczyznę. - Mamy nakaz i...

Odwróciła się i zostawiła uchylone drzwi, po czym bez słowa znikła w wyłożonej grubym dywanem sieni. Gdzieś nieopodal rozległo się szczekanie psa.

Stone i Holland weszli do środka i stanęli u podnóża schodów, zastanawiając się, od czego powinni zacząć. Stone skierował się do salonu, gdzie przez uchylone drzwi widać było siwowłosego mężczyznę siedzącego w fotelu i oglądającego poranny program w telewizji.

Sięgając dłonią do drzwi, zasyczał na Hollanda, wskazując w stronę kuchni, gdzie zapewne udała się pani Remfry.

- Sądzisz, że możemy liczyć na filiżankę herbaty?

- Raczej nie.

Holland uznał za rzecz niezwykle konieczność posiadania nakazu, aby przeprowadzić przeszukanie w domu ofiary. A jednak, jak stwierdził Stone, Remfry był skazanym gwałcicielem, a postawa jego matki nie pozostawiała im większego wyboru. Nie chodziło tylko o smutek wywołany śmiercią syna, przeradający się w gniew. To była prawdziwa wściekłość na związane z tą sprawą implikacje i sugestie zawierające się w pytaniach podczas przesłuchania. Zważywszy na sposób i okoliczności śmierci jej syna, takie postępowanie było konieczne, ona jednak nie wydawała się skłonna do współpracy.

- Dougie zawsze był pies na baby. Tylko i wyłącznie. - Powtarzała to raz po raz, kiedy nagle pojawiła się w drzwiach sypialni syna, gdzie Holland metodycznie przetrząsał kolejne szafki i szuflady.

Mary Remfry, kobieta po pięćdziesiątce, w grubej wełnianej kamizelce włożonej na nocną koszulę patrzyła na Hollanda, ale nie w pełni rozumiała, co robił. Była absolutnie skupiona na mówieniu do niego.

- Dougie kochał kobiety, a one uwielbiały jego. To święta prawda.

Holland zastanawiał się nad przejściem na drugi koniec pokoju.

Zrobiłby to, niezależnie od tego, czy pani Remfry go obserwowała, czy nie, ale zadał sobie dodatkowy trud, by z szacunkiem przejrzeć kolejne szuflady pełne kamizelek i kalesonów, zajrzał też między poszwy i narzuty na łóżko. Odkąd wypuszczono go z więzienia, Remfry najwyraźniej nie zdążył kupić sobie wielu nowych ubrań ani rzeczy osobistych, ale miał ich sporo z czasów, zanim trafił za kratki. Pochodziły jeszcze z okresu, kiedy chodził do szkoły.

- Nigdy nie przepuścił żadnej dzierlatce - powiedziała matka Remfryego. - Nawet kiedy wyszedł z pudła, wciąż oglądał się za dziewczynami. A właściwie to one się za nim uganiały. Wydzwaniały do niego. Słucha mnie pan?

Holland odwrócił się nieznacznie, skinął głową i jak na zawołanie wyjął spod łóżka plik „świerszczyków”.

- Widzi pan? - Mary Remfry wskazała na czasopisma. - Nie znajdzie pan tam zdjęć gołych facetów. - Powiedziała to z taką dumą, jakby Holland odnalazł pod łóżkiem zakurzony dyplom laureata Nagrody Nobla.

Konstabl przykucnął obok łóżka i coraz bardziej czerwony na twarzy wertował stertę „Razzle”, „Escort” i „Fiesta”, starając się nie patrzeć na stojącą w progu kobietę. Wszystkie świerszczyki pochodziły z lat osiemdziesiątych, zanim jeszcze Dougie trafił w gościnę do zakładu karnego JKM. Holland odsunął świerszczyki na bok i sięgnąwszy pod łóżko, wyjął złożoną kilkakrotnie, brązową plastikową torebkę. Otworzył ją i wysypał na dywan plik kopert spiętych szeroką gumką.

Kiedy tylko zauważył adres wypisany starannie w górnym rogu koperty Holland poczuł nagły przyływ podniecenia. Ale nie dał mu się ponieść. To, co ujrzał, prawdopodobnie o niczym nie świadczyło, ale z pewnością było ważniejsze niż stare świerszczyki i piętnastoletnie skarpety.

- Andy..!

Mary Remfry ciasniej otuliła się wełnianą kamizelką i postąpiła krok w głąb pokoju.

- Co pan tam ma?

Holland usłyszał na schodach kroki Stone'a. Zdjął gumkę z pliku kopert, sięgnął do pierwszej z nich i wyjął znajdujący się wewnątrz list.

- A więc możemy definitywnie wykluczyć autoerotyczne podduszanie, prawda? - Nadinspektor Russel Brigstocke z niejakim zakłopotaniem powiódł wzrokiem po twarzach Thome'a, Phila Hendricksa i inspektor Yvonne Kitson, siedzących przy stole.

- Nie wiem, czy możemy wykluczyć cokolwiek - mruknął Thorne. - Ale przedrostek „auto” sugeruje, iż robisz coś sobie sam.

- Wiesz, o co mi chodzi, cwaniaczku...

- W tym pokoju nie zaszło nic, co można by łączyć z erotyką - wtrącił Hendricks.

Brigstocke skinął głową.

- A więc wątpliwe jest, abyśmy mieli do czynienia z feralnymi w skutkach igraszkami seksualnymi? - parsknął drwiąco Thome.

Brigstocke pochwycił jego spojrzenie.

- O co chodzi? - spytał. Thome nie odpowiedział. - Ja tylko pytam...

- Zadajesz pytania, które podsunął ci Jesmond - rzucił Thome. Nie próbował ukrywać, że jego zdaniem, komisarz miał za sobą ten sam kurs szkoleniowy, który produkował politycznie bezbarwne, bezmózgie i kubek w kubek jednakowe trutnie. Wiecznie uśmiechnięci, z pozoru przyjaźni i rzutcy, obeznani z panującymi warunkami ekonomicznymi, żywili głęboką awersją do wszystkich, którzy nosili nazwisko Thome.

- To pytania wymagające odpowiedzi - rzekł Brigstocke. - Czy to mogła być jakaś gra seksualna?

Thome nie mógł uwierzyć, że tacy jak Trevor Jesmond mogli kiedykolwiek robić dzień w dzień te same rzeczy co on, Brigstocke czy inni podrzędni funkcjonariusze policji. Nie wyobrażał sobie, aby komisarz mógł kiedykolwiek interweniować podczas bójk w pubie, z trudem dociągać do pierwszego albo osłonić kogoś własnym ciałem przed ciosem noża.

Albo powiedzieć matce, że jej jedyny syn padł ofiarą gwałtu analnego i został brutalnie uduszony w obskurnym hotelowym pokoju.

- To nie była gra - rzekł Thome.

Brigstocke spojrział na Hendricksa i Kitson. Westchnął.

- Przyjmuję, że z trudem skrywany wyraz pogardy na waszych twarzach świadczy, iż zgadzacie się z inspektorem Thomeem, prawda?

- Zgiętym palcem poprawił na nosie okulary i przeczesał dłonią gęste, czarne włosy, którymi tak się chlubił. Gest ten nie był tak wystudiowany jak zazwyczaj, było w nim coś niejasnego. Thome od razu zorientował się, że tamten stracił rezon, bądź co bądź nadinspektor był równie twardym, jak on, facetem.

Thome, Brigstocke, Kitson i Hendricks, pracownik cywilny Ta czwórka, włącznie z Hollandem i Stone'em stanowiła rdzeń zespołu 3. Grupy ds. Przestępstw Szczególnych (zachodniej). To właśnie ta grupa podejmowała decyzje, opracowywała plany działania i kierowała śledztwem z aprobatą - a niekiedy nawet bez niej - swoich przełożonych z samej góry. Zespół 3 działał już od jakiegoś czasu, prowadząc normalne sprawy, ale specjalizował się, choć Thome raczej nie użyłby tego określenia, w przypadkach, którym daleko było do normalności...

- Zatem - rzucił Brigstocke - wszyscy mszyli w teren na poszukiwanie krewnych ofiar Remfry'ego. Czy nadal uważacie, że to najlepsze, co możemy obecnie zrobić?

Ciche potaknięcia.

- Nie powiedziałbym, że powinniśmy spocząć na laurach - wtrącił Thome. W tej sprawie były rzeczy, które nie dawały mu spokoju i które nie pasowały do teorii o zemście krewnego którejś z ofiar. Nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby przez tyle lat dźwigać brzemień gniewu, aby przerodził się on w zjadliwą, niepohamowaną wściekłość, której skutki miał okazję ujrzeć w tamtym hotelowym pokoju. W całej tej scenie było coś teatralnego, sztucznego. Ciało upozowano, stwierdził Hendricks.

No i wciąż nie dawał mu spokoju ten nocny telefon do właścicielki kwaciarni...

Thomeowi ta wiadomość też wydawała się jakaś dziwna. Nie mógł uwierzyć, że była to zwykła nieostrożność, toteż doszedł do wniosku, iż zabójca chciał, by policja usłyszała jego głos, nagrany na automatyczną sekretarkę. Zupełnie jakby się im przedstawiał.

- A co z tezą wysuniętą podczas odprawy - wtrąciła Kitson - że za kratkami Remfty zmienił preferencje seksualne i został ciotą? Może warto byłoby..? - Thome zerknął na Hendricksa. Gej puścił mimo uszu słowo użyte przez Kitson albo może raczej miał gdzieś jej opinię w tej kwestii.

- Tak - mruknął Thome. - Niezależnie od tego, czy za kratkami zmienił swoje preferencje, czy też nie, wcześniej gustował w kobietach. Nie zapominajmy, że poszedł siedzieć za trzy gwałty.

- W gwałcie nie jest ważna płeć, tylko władza i dominacja - rzuciła Kitson.

Yvonne Kitson oraz Andy Stone zostali włączeni do zespołu, by zastąpić funkcjonariuszkę, którą Thome utracił w okolicznościach, o których każdego dnia starał się zapomnieć. Ze wszystkich morderców, których posłał do pudła, Thome najczęściej wspominał człowieka odpowiedzialnego za śmierć tej policjantki, odsiadującego potrójne dożywocie w zakładzie karnym Belmarsh.

Thome spojrzał na Phila Hendricksa.

- Zostawmy Remfty ego, interesuje mnie raczej, czy mamy pewność, że zabójca jest gejem?

Hendricks odparł bez wahania:

- Absolutnie nie. Jak mówi Yvonne, gwałt nie ma nic wspólnego z seksem. Może zabójca chce, abyśmy myśleli, że jest gejem. Oczywiście może nim być, ale musimy brać pod uwagę także inne ewentualności.

- Czy to robota geja, czy nie - ciągnęła Kitson - mogła zostać zlecona przez kogoś, z kim siedział w więzieniu, kogoś, kto żywił do niego jakąś urazę.

Brigstocke odchrząknął, to wszystko wprawiało go w coraz większe zakłopotanie.

- Ale żeby od razu dupczyć?

Hendricks parsknął.

- Dupczyć? - Odrzucił manczesterski akcent i egzaltowanym tonem powtórzył: - Dupczyć!!

Brigstocke poczerwieniał.

- No dobrze. Odbyć stosunek analny, jak zwał, tak zwał. Jak można zrobić coś takiego, jeżeli nie jest się homoseksualistą?

Hendricks wzruszył ramionami.

- Zamknąć oczy i myśleć o Claudii Schiffer?

- Ja tam wolę Kylie Minogue - wtrącił Thome.

Kitson pokręciła głową z uśmiechem.

- Stary zbereźnik.

Brigstocke nie potrafił sobie tego wyobrazić. Spojrzał z przejęciem na Thome'a.

- Ale poważnie, Tom. To może być ważne. Mógłbyś zrobić coś takiego?

- To zależy, jak bardzo chciałbym kogoś zabić - odrzekł Thome. Na moment przy stole zapanowała cisza. Thome postanowił ją przerwać, zanim stanie się zbyt niepokojąca. - Remfey poszedł do tego hotelu z własnej woli. Sam wynajął pokój. Wiedział, a przynajmniej wydawało mu się, że wie, w co się pakuje.

- I cokolwiek to było - dorzucił Hendricks - wygląda na to, że przez pewien czas biernie się temu poddawał.

- Fakt - przyznała Kitson. Zaczęła wertować kserokopię raportu z autopsji. - Brak ran świadczących o tym, że się bronił, pod paznokciami nie stwierdzono obcych tkanek...

Zadzwoił stojący na blacie telefon. Thome siedział najbliżej.

- Inspektor Thome. Mów, Dave...

Inni patrzyli przez chwilę, jak Thome słucha relacji konstabla. Brigstocke zasyczał do Kitson.

- Czemu u licha Remfey poszedł do tego hotelu?

Thome skinął głową, mruknął pod nosem i zębami zdjął skuwkę pióra. Wyjął ją z ust i nałożył na drugi koniec pióra. Uśmiechnął się, powiedział Hollandowi, aby zaraz wziął dupę w troki i zakończył rozmowę.

A później odpowiedział na pytanie Brigstocke'a.

4 grudnia, 1975

Siedzieli w samochodzie, pod domem.

Przez cały ranek trzymała się dzielnie, przetrwała najtrudniejsze chwile, te najintymniejsze, najbardziej osobiste. I kiedy wydawało się, że najgorsze ma już za sobą, kiedy otworzył jej drzwi i wyszła na zewnątrz, zaczęła przeraźliwie szlochać. Wybiegła z komisariatu, zbiegła po schodach na ulicę, obcasy jej szpilek stuknęły o beton, echo niepohamowanego szlochu niesło się w dal.

W drodze powrotnej, w samochodzie płacz z wolna ustąpił miejsca niepohamowanej wściekłości, która została uwolniona w nagłych, gwałtownych wybuchach. Zaciśnął obie dłonie na kierownicy, podczas gdy ona tłukła go pięściami po ramieniu. Nie spuszczał wzroku z drogi, gdy wykrzykiwała pod jego adresem słowa, jakich nigdy nie słyszał z jej ust. Jechał ostrożnie, jak zawsze zresztą, lawirując wśród aut w ten mroźny dzień w porze lunchu, chłonąc tyle jej bólu i wściekłości, ile był w stanie przyjąć.

Siedzieli w samochodzie, oboje zbyt zdruzgotani, aby otworzyć drzwiczki. Patrzyli przed siebie, nazbyt przerażeni, by skierować wzrok w stronę domu. Domu, który teraz był po prostu miejscem, gdzie ubiegłej nocy opowiedziała mu, co się stało. Ciągami pokoi, przez które przechodzili, ślaniając się na nogach, krzycząc i szlochając. Miejscem, w którym wszystko się zmieniło. W tym domu już nigdy nie poczują się swobodnie. Nie odwracając głowy, rzuciła:

- Dlaczego nie kazałeś mi pójść na policję jeszcze wczoraj? Dlaczego pozwoliłeś mi czekać?

Silnik został wyłączony, w samochodzie panowała cisza, ale on nie zdejmował rąk z kierownicy. Jego skórzane rękawiczki zaskrzypiały, gdy jeszcze mocniej zacisnął palce.

- Nie posłuchałabyś. Nie usłuchałabyś głosu rozsądku.

- Czego się spodziewałeś? Chryste, nie wiedziałam nawet, jak się nazywam. Nie wiedziałam, co robię. Nie wzięłabym prysznic... - Oczywiście była zbyt roztrzęsiona, by myśleć logicznie. Próbował to wszystko wytłumaczyć policjantce na komendzie, dziś rano, ale ona tylko wzruszyła ramionami, spojrzała na kolegę i w dalszym ciągu pakowała rzeczy do plastikowej torby.

- Nie powinnaś była wchodzić pod prysznic, moja droga - rzekła policjantka. - To nie było mądre. Trzeba było przyjść tu od razu, jeszcze wczoraj, zaraz po tym zdarzeniu...

Silnik został zgaszony nie dalej jak minutę temu, ale w aucie zaczęło już robić się chłodno. Poczul gorące łzy spływające mu po twarzy i wąsach.

- Mówiłaś, że chcesz się umyć... że chcesz zmyć z siebie jego zapach. Odparłem, że to rozumiem, ale mówiłem, że nie powinnaś tego robić. To nie był dobry pomysł. Nie słuchałaś mnie...

Stała w holu, po tym jak wyznała mu wszystko. Te przeraźliwe minuty i godziny, po tym jak opowiedziała mu, co z nią zrobiono. Nie pozwoliła mu na wiele rzeczy. Nie dała mu się przytulić. Nie pozwoliła mu do nikogo zadzwonić. Nie pozwoliła mu pójść do domu tego drania, aby mógł skopać łajzę po jajach i zrobić mu z nabią jajecznicę do końca życia.

Spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, czy policja zgarnie Franklina w pracy, czy już później, w jego domu.

Musiał zadzwonić do biura, aby powiedzieć, że dziś nie przyjdzie do pracy. Musiał zadzwonić do szkoły, aby upewnić się, że wszystko w porządku i że wyjaśnienia dotyczące powodów silnego zdenerwowania mamusi, podane ubiegłej nocy, okazały się przekonywujące...

- O co chodziło tej kobiecie? - rzuciła nagle. - Tej policjantce - kiedy zapytała, czy zawsze wkładam do pracy takie ładne sukienki? - Wsunęła obie dłonie między uda i zaczęła się delikatnie kołysać na fotelu.

Zaczął sypać śnieg, biały puch bardzo szybko jął gromadzić się na masce przedniej szyby auta. Ale mężczyzna mimo to nie włączył wycieraczek.

### 3

Kiedy później o tym rozmawiali, zarówno Thome, jak i Holland przyznali, że zastępczyni naczelnika zakładu karnego Derby jest całkiem atrakcyjna. Żaden z nich nie przyznał się natomiast, że jej atrakcyjność w dużej mierze wynika z pełnionej funkcji.

Nie zyskali wiele na tym spotkaniu.

- Nieźle to sobie wykombinował. - Trący Lenaharf odłożyła list, a konkretnie kserokopię jednego z ponad dwudziestu listów napisanych do Douglasa Remfryego w ciągu jego ostatnich trzech miesięcy odsiadki i paru, które przysły na jego adres domowy, już po opuszczeniu zakładu karnego. Listów, które Holland znalazł pod łóżkiem Remfryego.

Listów napisanych przez zabójcę udającego dwudziestoosmioletnią kobietę nazwiskiem Jane Foley.

Thome i Holland zapoznali się już z procedurą sortowania więziennej poczty. Listy, przeciętnie pięć worków dziennie, przenoszono po dwa-trzy przez wykwalifikowanych funkcjonariuszy do pokoju cenzorskiego, w celu posortowania. Obecny dyrektor zrezygnował z aparatury rentgenowskiej, ale psy do wykrywania narkotyków pozostały, a każdy list mógł zostać otwarty w celu sprawdzenia, czy nie zawiera zakazanych substancji. Pracownicy sortowni nie czytali listów, i jeśli nie zachodziły uzasadnione podejrzenia, nie udostępniali ich innym.

- Nieźle to sobie wykombinował, mam na myśli to, że napisał ten list jako kobieta? - spytał Thome. Uważał, że listy brzmiały całkiem przekonująco, Yvonne Kitson była tego samego zdania, ale nie zaszkodziło zasięgnąć innej opinii.

- O, tak, ale uważam, że on jest znacznie sprytniejszy. Widziałam już wcześniej, raz czy dwa, podobne listy, prawdziwe listy Zdziwiliby się panowie, jak wiele listów dostają ludzie pokroju Remfry ego. Wszystkie są w podobnym, osobliwym tonie. Jest w nich jakaś nutka szaleństwa...

- Jakieś sekretne pragnienia - dodał Holland.

Lenahan skinęła głową.

- Tak. Chyba tak. W swoich listach ona sugeruje, że ma na niego ochotę, jest seksowną kocicą, która pragnie trochę się zabawić...

- Seksowną ZAMEŻŹNĄ kocicą - dodał Thome. Fikcyjna Jane Foley miała być żoną równie fikcyjnego, okropnie zazdrosnego męża, wskutek czego Remfry nie mógł jej odpisywać. Lenahan przeczytała kolejnych kilka linijek listu i skinęła głową.

- Cała ta sugestywna treść listu może robić wrażenie, ale wyczuwa się tu także pewną bezradność. Jakiś ukryty smutek...

- Jakby była zdesperowana - dodał Thome. - Do tego stopnia, że zdecydowała się napisać te wszystkie listy do skazanego prawomocnym wyrokiem gwałciciela.

Holland wydał policzki.

- To mnie przerasta. Facet udający kobietę, udającą całkiem inną kobietę...

Lenahan przesunęła list po blacie biurka.

- Ale zrobiono to nader subtelnie. Jak już mówiłam, facet jest piekielnie sprytny. - Nie musiała Thomea o tym przekonywać. Przejrzał wszystkie listy „Jane Foley”. Wiedział, że ten, kto je napisał, musiał być cholernie cwany. Wyrachowany, cwany, inteligentny i wyjątkowo cierpliwy.

Lenahan wzięła do ręki zdjęcia.

- A to prawdziwy lukier na torcie...

Thome a zdumiało to stwierdzenie, ale powstrzymał się od komentarza. Na ścianie za biurkiem, zgodnie z przepisami, wisiał portret Królowej, która wyglądała, jakby poczuła jakąś nieprzyjemną woń napływającą z więziennej stołówki. Po lewej stronie JKM wisiały oprawione w ramki zdjęcia przedstawiające więzienie z lotu ptaka, obok nich zaś dwa duże olejne pejzaże. Thome nie znał się na malarstwie, ale jego zdaniem płótna wyglądały na dość stare. Lenahan uniosła wzrok i podążyła za spojrzeniem Thome a.

- Te płótna są tu, odkąd otwarto ten zakład, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku - oznajmiła. - Wcześniej pokrywały się kurzem w sali odwiedzin. Pół roku temu mieliśmy tu osadzonego, odsiadującego wyrok za kradzieże antyków. Tylko raz rzucił na nie okiem i zbladł. Są warte jakieś dwanaście tysięcy sztuka...

Uśmiechnęła się i spojrzała na trzymane w dłoni czarnobiałe zdjęcie. Thome zerknął na stojącą na biurku fotografię oprawioną w srebrną ramkę. Z miejsca, gdzie siedział, nie widział, co jest na zdjęciu, ale domyślał się, że przedstawia wysportowanego małżonka - być może wojskowego albo policjanta - i uśmiechnięte dziecko o oliwkowej cerze. Znów patrzyła na zdjęcie. Była bardzo młoda, chyba nie miała jeszcze trzydziestki. Czarne włosy do ramion,

wysoka, biuściasta. Nie ulegało wątpliwości, że zastępczyni dyrektora regularnie pojawia się w erotycznych fantazjach osadzonych.

Thome przeniósł wzrok na Hollanda i z niejakim rozbawieniem stwierdził, że tamten usiłuje zachować pokerową twarz i nie zaczerwienić się, podczas gdy Trący Lenahan oglądała zdjęcie „Jane Foley”. Przedstawiało ono klęczącą kobietę, z pochyloną, zakrytą kapturem głową, sztuczne światło wiele ukrywało, ale pozwalało dostrzec pełne piersi i starannie wypielęgnowane włoski na wzgórku łonowym. A także skórzany pasek spinający nadgarstki.

Holland wcześniej wyraził zdziwienie, że zdjęcia nie zostały skonfiskowane, zwłaszcza że Remfry był skazany za przestępstwa na tle seksualnym. Ten rodzaj zdjęć był dość ryzykowny na „Skale Fragglesów”, jak większość policjantów określała skrzydło, gdzie osadzeni byli pedofile i gwałciciele.

Lenahan wyjaśniła, że tego typu sprawy regulowały wewnętrzne przepisy placówki. O takich rzeczach nie mówiło się głośno. W tym skrzydle więzienia nie zezwalano na posiadanie zdjęć dzieci, ale takie fotki były w zasadzie niegroźne - jak te w bulwarówkach; po przejrzaniu i ocenie przez funkcjonariuszy cenzury, wracały z powrotem do koperty.

- Jezu - mruknął Holland - Te bulwarówki muszą zatrudniać prawdziwych fotografików artystów...

Lenahan odłożyła zdjęcie i podrapała jego brzeg długim, czerwonym paznokciem.

- To też jest bardzo sprytne. Idealny wizerunek, jaki można by wybrać. Doskonała przynęta dla gwałciciela w typie Remfry ego, zawierająca w sobie niewysłowioną obietnicę. To erotyczne marzenie gwałciciela. Nie wiem, skąd zabójca miał to zdjęcie, ale jest idealne. - Przełknęła ślinę i odchrząknęła. - Remfry miał bzika na punkcie władzy i posłuszeństwa...

Thome i Holland wymienili spojrzenia. Nie powiedzieli o tym Trący Lenahan, ale byli prawie pewni, że zdjęcie nie było jedynym, jakie nabył zabójca. Naga kobieta miała na sobie kaptur, taki sam, jaki Phil Hendricks zdjął z głowy Douglasa Remfry'ego.

- Jest jeszcze parę innych, podobnych zdjęć - powiedział Thome.

- Wysłano je w ostatnich listach. W miarę zbliżania się daty opuszczenia przez niego więzienia, ukazują coraz więcej i są coraz śmielsze.

Lenahan skinęła głową.

- Podosycanie napięcia i podniecenia...

- Zanim stąd wyszedł, musiał być nieźle napalony - rzekł Holland.

Znów wzięła zdjęcie do lewej ręki, prawą sięgnęła po list. Wymachiwała nim przez chwilę.

- Wasz zabójca jest wrażliwy na sposób myślenia tego typu kobiet i wie, co najlepiej pobudza ludzi, do których taka kobieta jak ta mogłaby pisać listy.

Thome milczał. Wydawało mu się, że ta funkcjonariuszka jest pod wrażeniem tajemniczego zabójcy.

- Wrażliwy, może jak gej - podsunął Holland.

Thome wzruszył mimowolnie ramionami. Znow do tego wracali. Musiał przyznać, że było to możliwe, ale coraz bardziej drażniło go, że śledztwo zbytnio koncentrowało się na potencjalnej orientacji seksualnej zabójcy. Owszem, zdawał się za tym przemawiać brutalny, analny gwałt, któremu poddano ofiarę. Gwałcieciel został zgwałcony, a Thome sądził, że właśnie ten fakt okaże się kluczowy dla rozwikłania zagadki tego morderstwa. Thome nie był aż tak pewny, czy to, z kim sypiał zabójca, jest naprawdę istotne dla sprawy.

Holland przesunął się na krześle do przodu i spojrzał na Trący Lenahan.

- To coś, co powinniśmy wziąć pod uwagę - że Remfry został zabity przez kogoś, kogo poznał w więzieniu. Kogoś, z kim łączył go być może bliższy związek o charakterze seksualnym... - Lenahan spojrzała na niego, czekając na pytania i najwyraźniej nie zamierzała ułatwić Hollandowi sprawy - Jak pani sądzi, czy to możliwe? Czy Remfry mógł napastować seksualnie innego więźnia? Czy sam mógł paść ofiarą gwałtu?

Lenahan odchyliła się lekko do tyłu, przez jej twarz przemknął mroczny cień. Zniknął jednak, kiedy spłotła dłonie na podołku i pokręciła głową. Thome uznał, że jej śmiech jest odrobinę wymuszony.

- Chyba ogląda pan zbyt wiele amerykańskich filmów, których akcja rozgrywa się w więzieniu, konstablu. Nie zrozumcie mnie źle, mamy tu sporo typów spod ciemnej gwiazdy, ale niewielu z nich mówi na siebie Bubba, a jeżeli szuka pan suk albo szczeniąt, znajdzie je pan w schronisku. Więźniowie mają swoje układy, nie ulega wątpliwości, ale - o ile mi wiadomo, jeżeli nawet któryś upuści mydło pod prysznicem, nie musi od razu obawiać się, że padnie ofiarą gwałtu zbiorowego.

Thome tylko się uśmiechnął. Holland również, choć Thome zauważył lekkie napięcie skóry wokół jego ust i zaczerwienienie szyi powyżej kołnierzyka.

- O ile pani wiadomo? - rzekł Holland. - Czyli jednak jest to możliwe.

- W ubiegłym tygodniu w kuchni jednemu z więźniów ucięto ucho wieszakiem z puszek brzoskwiń. Chodziło o sprzeczkę co do wyniku gry w pingponga, jak mi się zdaje. - Uśmiechnęła się, to był zimny, seksowny uśmiech. - Wszystko jest możliwe.

Thome wstał od biurka i ruszył w stronę drzwi.

- Przyjmijmy, że ten, którego szukamy, nie jest byłym więźniem. Nasuwa się pytanie, skąd czerpał informacje. Jak znalazł Remfiyego?

Skąd wiedział, gdzie skazany gwałcień odbywa zasądzoną karę, kiedy zostanie zwolniony i ile czasu pozostało na przygotowanie tego wszystkiego?

Lenahan obróciła się na fotelu w stronę ekranu komputera stojącego na rogu biurka. Wcisnęła jeden z klawiszy na klawiaturze.

- Musiałby zdobyć te informacje z jakiejś bazy danych. - Wciąż stuknęła w klawisze, wpatrując się w ekran. - To komputer połączony z LRDO, lokalnym rejestrem danych o osadzonych, w którym są wszystkie informacje o tutejszych więźniach. Jeżeli muszę, mogę przesyłać te dane do innych więzień, ale to chyba nie wystarczy...

Thome spojrzęł na bliższy z dwóch obrazów olejnych. Na płótnie widniały ciemne, gęste smugi farby. Uznał, że pejzaż musiał przedstawiać któreś z miejsc w Krainie Jezior.

- A co z krajową bazą danych?

- RIO. Rejestr informacji o osadzonych. Jest tam wszystko: gdzie odbywają kary, za jakie przestępstwa odsiadują wyrok, adresy domowe i daty zwolnienia z więzienia. - Spojrzęła na Thomea. - Ale nadal trzeba wpisać nazwisko osadzonego.

- Kto ma do tego dostęp? - spytał Holland. - Pani?

- Nie...

- Oficer, łącznikowy policji?

Uśmiechnęła się i stanowczo pokręciła głowę.

- Dostęp do systemu jest ograniczony wyłącznie do małej grupki osób z samej góry. Z oczywistych powodów przepisy dotyczące korzystania z niego są wyjątkowo restrykcyjne...

Podziękowania i pożegnania były krótkie i zdawkowe, co w pełni Thorne owi odpowiadało. Choć przez cały czas swego pobytu tutaj nie widział ani jednego granatowego kombinezonu więziennego, zdawał sobie sprawę, że wokoło aż roi się od osadzonych. Za ścianami gabinetu zastępczyni naczelnika tej placówki. Powyżej, poniżej i ze wszystkich boków. Wychwytywał odległe echa, wagę i żar ponad sześciuset mężczyzn, którzy trafili tu dzięki wysiłkom ludzi takich jak on.

Za każdym razem, gdy przekraczał bramę więzienia i wędrował tamtejszymi korytarzami w brudnozielonym, musztardowym lub kremowym kolorze, Thome w myślach zostawiał za sobą ślad usypany z okruszków. Zawsze musiał mieć pewność, że trafi najkrótszą drogą do wyjścia.

Przez większość drogi autostradą M1 Holland ślęczał z nosem w ulotce, którą zabrał przy wyjściu z więzienia. Thome wolał zgłębiać ten temat po swojemu. Włożył do odtwarzacza w aucie kasetę „Johnny Cash w San Quentin”.

Holland uniósł wzrok, gdy rozległy się pierwsze takty Wanted Mam. Słuchał przez kilka sekund, pokręcił głową i wrócił do faktów oraz cyfr.

Thome próbował mu kiedyś wyjaśnić, że prawdziwa muzyka country nie ma nic wspólnego z zaginionymi psami i kryształami górskimi. To był długi wieczór w knajpie z bilardem i guinnessem, a Phil Hendricks - niezależnie z kim się wtedy zadawał - miał wyjątkowo paskudny nastrój. Thome starał się otworzyć Hollanda na piękno głosu George'a a Jonesa, zjadliwość Merle'a Haggarda i specyficzną chrypkę Casha, mrocznego ojca ich wszystkich. Po kilku kufelkach był gotów przekonywać każdego, kto zechciałby go słuchać, że Hank Williams był udręczonym Geniusem, odpowiednikiem Kurta Cobaina swoich czasów, a przed zamknięciem omal nie zaczął śpiewać Your Cheating Heart. Nie pamiętał szczegółów, ale przypomniał sobie, że oczy Hollanda na długo przed tym stały się szkliste..

- Kurwa - mruknął Holland. - Pilnowanie jednego więźnia kosztuje dwadzieścia pięć tysięcy rocznie. Czy pańskim zdaniem to dużo?

Thome nie potrafił tego stwierdzić. To dwa razy tyle, ile wynosiły przeciętne pobory, ale gdyby zajrzeć na konta z zarobkami personelu więziennego i obsługi bloków...

- Jakoś nie sądzę, aby wydawali te pieniądze na dywany i kawior - rzekł Thome.

- Nie, ale mimo wszystko...

W samochodzie było gorąco jak w piekarniku. Mondeo był za stary, aby mieć klimatyzację, ale Thome wściekał się, że z systemu ogrzewania, który naprawiał już dwukrotnie, płynęło tylko ciepłe powietrze.

Otworzył okno, ale zaraz je zamknął, odrobina powietrza nie była warta hałasu, jaki napływał wraz z nim.

Holland znów uniósł wzrok znad ulotki.

- Myśli pan, że powinni tam mieć luksusy? No wie pan, telewizory w celach i w ogóle? Niektórzy z nich mają konsole playstation...

Thome nieznacznie ściszył muzykę i spojrzał na mijany właśnie znak drogowy. Zbliżali się do zajazdu Milton Keynes. Do Londynu mieli jeszcze osiemdziesiąt kilometrów.

Thome, jak wielokrotnie wcześniej, uświadomił sobie, że choć tak wiele czasu poświęcał na wsadzanie ludzi za kratki, rzadko zastanawiał się, co się z nimi działo, kiedy już tam trafiali, kiedy już o tym myślał, rozważał wszelkie za i przeciw i dochodził do wniosku, że koniec końców utrata wolności nie była taka zła, jak można by przypuszczać. To wszystko,

czego był pewien. Przyhamował nieznacznie, redukując prędkość do stu dziesięciu kilometrów na godzinę i zjechał na wewnętrzny pas. Nie spieszyło im się...

Thome był przekonany, że morderców i przestępców seksualnych oraz pedofilów należy eliminować. A zwrot „odseparowanie od społeczeństwa” powinien być więcej niż tylko pustosłowiem. To właśnie robili. On to robił, a kiedy już przestępcy zostali skutecznie wyeliminowani... inni rozpoczynali debatę na temat, gdzie kończy się kara, a zaczyna resocjalizacja. Instynkt podpowiadał mu, że więzienia nigdy nie powinny stać się... obozami wypoczynkowymi, z braku innego bardziej adekwatnego określenia. Złapał się w myślach na tym, że nabierał manier prawicowego oszołoma. Chrzanić to, niech sobie mają telewizory. Niech oglądają mecze piłki nożnej albo inne transmisje sportowe, jeżeli tego chcą... Niestety, zanim Thome zdążył sformułować odpowiedź, Holland już zmienił temat.

- Niech to szlag. - Holland uniósł wzrok znad ulotki. - Sześćdziesiąt procent siatek do bramek w całej lidze angielskiej jest wytwarzane przez więźniów. Mam nadzieję, że te na stadionie przy White Hart Lane są dostatecznie mocne, biorąc pod uwagę, jak Spursi obrywają od innych drużyn...

- Fakt...

- A, jeszcze jedno. Fermy penitencjarne produkują rocznie dziesięć milionów litrów mleka. To, kurwa, niesamowite...

Thome już go nie słuchał. Nie słyszał niczego prócz odgłosu kół przetaczających się po asfalcie i myślał o fotografii. Wyobraził sobie zakapturzoną kobietę, rzekomą Jane Foley, czując przy tym miłe świerzbiecie w kroczu na wspomnienie jej zmysłowego, nagiego ciała.

Skądkolwiek wziął to zdjęcie...

I nagle Thome zdał sobie sprawę, gdzie może znaleźć odpowiedź na to pytanie. Kobieta na zdjęciu mogła nie nazywać się Jane Foley, ale była istniejącą fizycznie osobą, a Thome wiedział, że takiej osobie prędzej czy później da się przypisać personalia. Kiedy znów zaczął nasłuchiwać, Holland właśnie zadawał kolejne pytanie.

-...jest aż tak źle? Sądzi pan, że w więzieniach jest teraz lepiej niż w...? - Wskazał na odtwarzacz kasetowy.

-...tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym - dokończył Thome. Johnny Cash śpiewał piosenkę, którą sam napisał o San Quentin. Śpiewał, że nienawidził każdego cala tego miejsca, gdzie się wszyscy znajdowali. Więźniowie każde jego słowo skargi przyjmowali gromkimi okrzykami radości, skandowali wraz z nim wszystkie niewybredne obelgi i pohukiwali, gdy sugerował, że całą tę palcówkę powinno się zrównać z ziemią.

- To jak? - spytał Holland, machając ulotką. - Jak pan sądzi, czy dzisiejsze więzienia są lepsze niż kiedyś? Niż... trzydzieści parę lat temu?

Thome przywołał w pamięci oblicze mężczyzny z zakładu karnego w Belmarsh i coś w jego wnętrzu błyskawicznie stężało.

- Kurwa, mam nadzieję, że nie.

Parę minut po szóstej Eve Bloom zamknęła kwaciarnię na oba zamki, przeszła kilkanaście kroków do jasnoczerwonych drzwi frontowych i już była w domu. Wynajęcie mieszkania nad kwaciarnią okazało się bardzo wygodne. Nie było drogie, ale zapłaciłaby więcej za samą przyjemność poleżenia w łóżku jak najdłużej i możliwość otwarcia kwaciarni z kubkiem gorącej kawy stojącym na parapecie. Każda chwila relaksu jest na wagę złota, kiedy spędza się wiele poranków tak, jak ona i wstaje o bezbożnej porze. Wizyty na targu kwiatowym w New Covent Garden, przygotowywanie zamówień i rozmowy z hurtownikami, podczas gdy wszystkie inne znane jej osoby są jeszcze pogrążone w kojącym śnie.

Lubiła tę porę roku. Kilka cennych letnich tygodni, kiedy nie musiała wybierać pomiędzy pracą w szaliku i rękawiczkach albo dręczeniem kwiatów centralnym ogrzewaniem. Lubiła zamykać kwaciarnię, kiedy jeszcze było jasno. To sprawiało, że poranne wstawanie nie było aż tak bolesne i przydawało tym kilku godzinom pod koniec dnia, przed wieczorem specyficznej ekscytacji, posmaku nowych, realnych możliwości.

Zamknęła za sobą drzwi i weszła po prążkowanych drewnianych schodach do mieszkania. Denise dzierżyła tu prym w weekendy, sprzątając i odkurzając, podczas gdy Eve była odpowiedzialna za dekoracyjny wystrój tego miejsca. Większość prac domowych dzieliły między sobą po równo i choć zdarzały się niesnaski, dłuższe lub krótsze chwile ciszy, emocjonalnego chłodu, po których dochodziło do podbierania jogurtu albo pożyczania tej lub innej sukienki bez pozwolenia, ogólnie całkiem nieźle się ze sobą dogadywały Eve wiedziała, że Denise ma bzika na punkcie kontroli nad innymi, ale Eve czasem potrzebowała tej kontroli. Była bardziej niż tylko trochę niezorganizowana i choć Denise zachowywała się niekiedy władczo, jak Matka Kwoka, miło było czuć, że ktoś nad tobą czuwa. Wieczne sporządzanie list mogło być trochę nużące, ale w lodówce nigdy nie brakowało jedzenia, a w łazience papieru toaletowego.

Położyła torbę na stole w kuchni i nastawiła wodę.

- Ee, Hollins, ty stara prukwo, chcesz herbatę? - Zanim jeszcze dokończyła, przypomniała sobie, że Denise prosto z pracy poszła na spotkanie z Benem, w pubie niedaleko swego biura. Denise w porze lunchu zadzwoniła do kwaciarni, by powiadomić, że nie będzie jej na kolacji i zapytać, czy Eve nie zechciałaby się przyłączyć.

Eve, czekając, aż zagotuje się woda, poszła do sypialni po czysty podkoszulek. Nie, zostanie w domu, będzie gnić przed telewizorem z butelką dobrze schłodzonego, białego wina. Nie chciało jej się przebierać i ruszać w miasto. Na dworze było wilgotno i nieprzyjemnie. Poczulaby się brudna, gdyby dotarła na miejsce. W zadymionym pubie zawsze jest głośno, a ona poczulaby się jak piąte koło u wozu. Denise i Ben są bardzo spontaniczni...

Przejrzała się w lustrze na drzwiach sypialni, pozując przed nim w samym tylko staniku i majtkach. Znów uśmiechnęła się na wspomnienie policjanta, który odebrał telefon przed tygodniem. Oczywiście, nie było mowy, aby wyobrazić go sobie tylko na podstawie głosu, ale mimo to spróbowała i wiedziała doskonale, z kim ma do czynienia. Była przekonana, że chociaż znajdował się na miejscu zbrodni, próbował z nią flirtować, a ona ze swej strony odpowiedziała tym samym. A może ona to rozpoczęła?

Włożyła biały podkoszulek z napisem FCUK i weszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Następnego dnia po jej telefonie przysłali dwóch ludzi po kasetę z automatycznej sekretarki. Powiedziała im, że sama chętnie zaniósłaby ją na komendę, ale postanowili, z oczywistych względów, ją w tym wyręczyć. Otwierając wszystkie okna w mieszkaniu, zastanawiała się, czy tydzień wystarczy. Nie mogła się zdecydować, czy powinna tam pójść, czy może raczej zadzwonić. Ostatnie, czego pragnęła, to by uznano ją za natręta. Nie chciała się narzucać. Oczywiście, miała pełne prawo się w to włączyć, dowiedzieć się, co się działo. To nic niezwykłego, że zaciekawiała ją ta sprawa z nocnym telefonem, czyż nie? Każdy zatroskany obywatel na jej miejscu też próbowałby dowiedzieć się, czy w sprawie doszło do jakiegoś przełomu.

Nagle uświadomiła sobie, że obchodząc całe mieszkanie, odstawiła gdzieś herbatę i nie pamięta gdzie. Chrzanić to, kuchnia była tuż obok, a przecież wiedziała doskonale, gdzie stoi lodówka.

Otwierając wino, zastanawiała się, czy detektyw inspektor Thome jest jednym z tych zabawnych facetów, którzy peszą się w obecności inteligentnych, błyskotliwych kobiet.

Może jednak zaczeka jeszcze dzień - dwa...

\*\*\*

Wieczór był wyjątkowo ciepły.

Elvis, cierpiąca na zaburzenia emocjonalne kotka Thome a, wyglądała na niezadowoloną, gdy wędrowała za nim od pokoju do pokoju, mruczając, jakby domagała się strzyżenia. Thome, cały spocony, podjadał tosta z serem, ubrany w rozpiętą hawajską koszulę i szorty nabyte podczas swego krótkotrwałego flirtu z pobliską siłownią.

Thome położył się na kanapie i zaczął oglądać film. Ściszył głos i tylko patrzył na obraz, przy włączonym radiu. Przeglądał Time Out z ubiegłego tygodnia, próbował znaleźć zespół o najbardziej absurdalnej nazwie. Wreszcie, tuż przed północą, znudzony tym wszystkim, z braku innych możliwości sięgnął po telefon.

Nieważne, że było późno. Zegar biologiczny jego ojca był jednym z wielu funkcji w jego ciele, które zaczęły szwankować. W pewnym sensie zdiagnozowanie Alzheimera u Jima stanowiło dla Toma swego rodzaju ulgę. Wszelkie przejawy charakterystycznych zachowań określano teraz mianem symptomów, a dla Thomea starcze dziwactwa stały się czymś oczywistym, z czym należało się pogodzić. Tak po prostu było i już. Thome a wciąż irytowały fatalne żarty i bezsensowne łamigłówki, ale nie dręczyło go już tak silne poczucie winy jak kiedyś. Trawiące go wyrzuty sumienia osłabły w miarę, jak nauczył się z tym wszystkim żyć. Zmienił je w gniew, wściekłość skierowaną przeciwko chorobie, która zmusiła syna i ojca do niespodziewanej zamiany miejsc. Wiązały się z tym obciążenia finansowe, którym nie zawsze łatwo będzie sprostać, ale postara się do tego przywyknąć. Jim Thome, jak na siedemdziesięcioletnia, był nadal w niezłej kondycji, ale mimo to wymagał codziennej opieki, a z emerytury nie mógł jej opłacić. Jego młodsza siostra, Eileen, z którą nigdy nie był blisko, przyjeżdżała z Brighton raz w tygodniu, regularnie informując Thome'a o stanie zdrowia jego ojca.

Thome był jej za to wdzięczny, choć to wszystko wydawało mu się aż nazbyt brytyjskie. Rodziny zbliżały się do siebie, gdy zazwyczaj było już za późno.

- Tato...

- Och, dzięki Bogu, to doprowadza mnie do obłędu. Kto był pierwszym doktorem Who? No, dalej, to nie daje mi spokoju...

- Patrick, jak mu tam...? Ciemne włosy..

- Troughton był drugi, przed Pertweem. Niech to szlag, myślałem, że wiesz.

- Zajrzyj do książki, kupiłem ci encyklopedię seriali telewizyjnych.

- Ta cholerna Eileen gdzieś ją schowała. Kto jeszcze mógłby to wiedzieć?

Thome zaczął się rozluźniać. Jego ojciec był w niezłej formie.

- Tato, musimy zacząć myśleć o ślubie...

- Czyim?

- Trevora. Syna Eileen. Twego siostrzeńca...

Jego ojciec wziął głęboki oddech. Kiedy wypuścił powietrze, zabrzmiało to jak ochryply warkot.

- To dupek. Był nim, kiedy ożenił się po raz pierwszy. Nie rozumiem, po co miałbym iść i oglądać, jak żeni się powtórnie.

Język był dość szorstki, ale Thome musiał przyznać, że jego ojciec miał rację.

- Powiedziałeś Eileen, że przyjdiesz na ślub.

Rozległo się ciężkie westchnienie, wilgotne kasznięcie, a potem zapadła cisza. Po kilku sekundach Thome odniósł wrażenie, że jego ojciec odłożył słuchawkę i odszedł od telefonu.

- Tato...

- Jest jeszcze sporo czasu. Mnóstwo czasu, prawda? Całe wieki.

- W sobotę za tydzień. Daj spokój, Eileen musiała z tobą o tym rozmawiać. Ze mną nie rozmawia o niczym innym.

- Będę musiał włożyć garnitur?

- Ten granatowy. Jest lekki, a będzie raczej ciepło.

- Ten wełniany, granatowy. Ugotuję się w nim, jak nic.

Thome wziął głęboko oddech, myśląc JAK SOBIE CHCESZ.

- Posłuchaj, przyjadę po ciebie tego dnia z rana i zostaniemy tam później na noc...

- Nie wsiądę do tej twojej blaszanej puszki na kołach. To śmiertelna pułapka.

- No to wynajmę samochód, dobra? Będziemy się świetnie bawić, zobaczysz.

Uśmiejemy się po pachy. W porządku?

Thome usłyszał metaliczny brzęk w słuchawce. Jego ojciec ostatnio kupował tanie radia z drugiej ręki, rozbierał je i wyrzucał niektóre części.

- Tato? Wszystko gra? Jeżeli chcesz, omówimy szczegóły później, za kilka dni.

- Tom?

- Tak?

Thomeowi cisza, jaka wtedy zapadła, przywiodła na myśl brzmienie zagubionych myśli. Osuwających się w głąb przez szczeliny i znikających hen, w mroku, z bezradnym machaniem rąk. W końcu wszystko zaczęło wracać do normy jak film odzyskujący właściwą prędkość. Zapadki jedna po drugiej trafiały do odpowiednich otworów.

- Sprawdź dla mnie tego aktora, pierwszego doktora Who, dobrze, synu?

Thome przełknął ślinę.

- Popytam i zadzwonię do ciebie jutro. Dobra?

- Dzięki...

- Jeszcze jedno, tato, daj się przekonać do tego granatowego garnituru. Na pewno nie jest wełniany.

- Przecież nic nie mówiłeś o żadnym garniturze...

22 grudnia, 1975

Oboje byli w kuchni. Dzielili ich odległość zaledwie dwóch metrów, a jednak wydawało się, jakby to była przepaść.

Do Bożego Narodzenia zostało zaledwie parę dni, z radia na parapecie płynęły dźwięki kolęd. Świąteczne piosenki Sinatry czy Elvise mieszały się z nowymi sezonowymi przebojami Slade i Wizzard. Wyglądało na to, że ta okropna piosenka Queen stanie się świątecznym przebojem nr 1. Nie lubił jej, ale wiedział, że za każdym razem, kiedy ją usłyszy, będzie kojarzyła mu się z nią. Z jej ciałem przed i po. Z jej twarzą i tym, jak musiała wyglądać, kiedy Franklin przewrócił ją na podłogę pomiędzy kartonowymi pudłami.

Stała odwrócona do niego plecami, zmywając naczynia w zlewie. On siedział przy stole i wpatrywał się w „Daily Mirror”. Gazeta, mydliny, absurdalnie wesoły didżej, rzeczy, na które patrzyli i których słuchali razem, a jednak osobno, myśląc o tym, co się stało. Przypominając sobie to, co wydarzyło się dziś rano na komendzie.

Myślał o policjancie, który krążył w pokoju przesłuchań, mrugającym do swojej koleżanki po fachu, opierającym się o biurko i krzyczącym na całe gardło.

Myślał o twarzy tego gliniarza. O uśmiechu, który był niczym wymierzony zniecka siarczasty policzek.

Myślała o tym, jak pachniał.

- Dobrze - powiedział policjant - powtórzmy wszystko jeszcze raz, od początku. - A później powiedział to jeszcze raz. I znowu. Pokręcił głową z pobłażaniem, kiedy się w końcu załamała, przywołał kobietę policjantkę, która wyjęła chustkę zza mankietu munduru. Minutadwie przerwy, szklanka wody i znów od początku. Detektyw sieńtant spacerował w tę i z powrotem, jakby przez lata szkolenia nigdy nie poznał różnicy pomiędzy przestępcą a ofiarą.

On sam nie zrobił nic, nie powiedział ani słowa. Chciał, ale nie zrobił tego. Siedział tylko, patrzył i słuchał, jak jego żona szlocha; snuł też dziwaczne, głupie myśli, zastanawiał się między innymi, dlaczego - skoro było tak zimno i on miał na sobie zapięty pod samą szyję, gruby płaszcz - ten cholerny sieńtant nosił tylko białą koszulę bez marynarki. A pod pachami miał wielkie plamy potu...

Teraz w radiu zaczął śpiewać chór...

Wstał, podszedł szybkim krokiem do zlewu, zatrzymując się na wyciągnięcie ręki od niej. Poczował, że zesztyniała, gdy się do niej zbliżył.

- Musisz zapomnieć wszystko, co powiedział, rozumiesz? Ten sierżant. Musiał cię tak przemaglować, aby uzyskać pełną wersję tego, co się stało. Musiał mieć pewność. Wykonywał swoje obowiązki. Wie, że tego dnia będzie znacznie gorzej. Wie, jak podstępny będzie adwokat podsądnego. Chyba chciał nas do tego przygotować. No, wiesz... Jeżeli teraz damy radę, to później w sądzie będzie nam już łatwiej.

Postąpił jeszcze jeden krok i stanął tuż za nią. Jej głowa znieruchomiała. Nie wiedział, na co patrzyła, ale dłonie przez cały czas zmywały naczynia w białej, plastikowej misce...

- Powiem ci coś - rzekł. - Spędzimy jakoś nadchodzące święta, dobrze, kochanie? Nie chodzi tylko o nas, prawda? Sama rozumiesz. Niedługo Nowy Rok, sprężymy się jakoś i damy radę, grunt, abyśmy doczekali do procesu. Może wyjedziemy na parę dni. Spróbujemy jakoś przywrócić to wszystko do pionu...

Jej głos brzmiał jak szept. Nie usłyszał, co powiedziała.

- Powtórz, kochanie.

- Zapach wody po goleniu tego policjanta - powiedziała. - W pierwszej chwili myślałam, że używał tej samej wody co Franklin. Zrobiło mi się niedobrze. Bałam się, że zwymiotuję. Ten zapach był taki silny...

Zaczęła krzyczeć, gdy dotknął jej karku, ten wrzask przybierał na sile, kiedy odwróciła się, rozbryzgując wodę dokoła, jej ręka zatoczyła szeroki łuk, odruchowo zadając błyskawiczny cios i trzymanym w dłoni kubkiem uderzając go w nos.

A potem krzyknęła przerażona tym, co zrobiła, wyciągnęła do niego rękę i oboje osunęli się na śliskie linoleum pokryte rozlewającą się coraz szybciej wodą z mydlinami, zmieszaną z krwią z rozbitego nosa.

A tymczasem wewnątrz kuchni wypełniło się głosikami małych chłopców śpiewających o choince i prezentach.

#### 4

Kiedy Peel Centre było koszarami kadetów, Becke House pełnił funkcję dormitorium. Thomeowi nadal wydawał się on budynkiem użytkowym, w dodatku kompletnie martwym. Od czasu do czasu klął, gdy pokonując załom korytarza albo wchodząc do gabinetu, czuł wyraźną woń potu i tęsknoty za domem...

Nic zatem dziwnego, że mniej więcej przed miesiącem wszyscy bardzo się ucieszyli na wieść o nowej siedzibie i dodatkowej przestrzeni do pracy. W rzeczywistości wzrósł tylko nieznacznie ich budżet, dostali używany automat do kawy i dodatkowy duszny pokój, który natychmiast zajął dla siebie Brigstocke. W wąskim korytarzu odchodzącym od sali odpraw

znajdowały się teraz trzy gabinety Brigstocke zajął ten nowy, podczas gdy Thome dzielił swój z Yvonne Kitson. Holland i Stone przenieśli się do najmniejszego, negocjując prawa do kosza na śmieci i kłócąc się, komu przypadnie fotel z miękką poduszką.

Thome nienawidził Becke House. Ten budynek go przygnębiał. Wysysał zeń energię do tego stopnia, że niekiedy nawet nie miał sił, by go nienawidzić. Słyszał, jak ktoś kiedyś żartował sobie na temat Syndromu Chorego Domu, ale dla niego to miejsce było nie tyle chore, ile raczej konające.

Przez cały ranek nadrabiał zaległości. Siedząc za szarym jak ołów biurkiem, pocąc się jak wieprz, czytał kolejno wszystko, czym dysponował na temat tej sprawy. Zapoznał się z raportem z autopsji, raportem techników i swoim własnym z wizyty w więzieniu Derby. Przeczytał zapiski Hollanda z przeszukania w domu Remfryego, wywiady z krewnymi dziewcząt zgwałconych przez Remfry ego i zeznania kilku mężczyzn, z którymi dzielił cele w trzech zakładach karnych. Sterta papieru gruba na wiele centymetrów, a trop jak dotąd tylko jeden. Były kolega Remfry ego z celi wspomniał o więźniu nazwiskiem Gribbin, z którym Remfry zadarł, kiedy obaj siedzieli w Brixton. Gribbin został zwolniony z więzienia na kilka miesięcy przed Remfrym i złamał zasady zwolnienia warunkowego. Był ścigany listem gończym...

Kiedy Thome skończył czytać, przez pewien czas wlepił wzrok w pustą teczkę. Spojrzał na tajemnicze wypalone ślady na polistyrenowych płytach pod sufitem. I przeczytał wszystko raz jeszcze.

Gdy przyszła Yvonne Kitson, uniósł wzrok, odłożył papiery na biurko i przeniósł wzrok w stronę otwartego okna.

- Myślałem o tym, by skoczyć - powiedział. - Samobójstwo wydaje się całkiem atrakcyjnym rozwiązaniem, a przynajmniej spadając, poczułbym pęd powietrza. Co ty o tym sądzisz?

- To zaledwie trzecie piętro - rzekła, śmiejąc się. Thome wzruszył ramionami. - Gdzie wiatraczek elektryczny?

- Brigstocke go zabrał.

- Tak myślałam...

Usiadła w fotelu pod ścianą i sięgnęła do dużej torebki. Thome zaśmiał się, gdy wyciągnęła z niej znajomy pojemnik do przenoszenia wyrobów spożywczych.

- Dziś środa, więc musi być tuńczyk.

Zdjęła pokrywkę i wyjęła kanapkę.

- Sałatka z tuńczyka, cwaniaczku. Mój chłop trochę się dziś rano zbiesił i dołożył mi do tego listek sałaty...

Thome rozsiadł się wygodnie w fotelu, stukając w przedramię plastikową linijką.

- Jak sobie z tym radzisz, Yvonne?

Uniosła wzrok. Miała pełne usta.

- Z czym?

Wciąż trzymając linijkę w dłoni, Thome rozłożył szeroko ręce i machnął nimi.

- Z tym wszystkim. W dodatku masz trójkę dzieci...

- Nadinspektor też ma dzieci...

- Owszem, i jest porąbany jak my wszyscy. A ty radzisz sobie ze wszystkim z dziecinną łatwością. Praca, dom, dzieci, psy i cholerne pudełko z lunchem. - Podsunął linijkę w jej stronę jak mikrofon.

Odchrząknęła, przyjmując wyzwanie. Oboje lubili czasem pożartować.

- To kwestia wrodzonego talentu, a poza tym mój chłop ma słaby charakter, a ja jestem bezwzględna, jeżeli chodzi o sprawy organizacyjne. Poza tym nigdy nie zabieram roboty do domu.

Thome zamrugał.

- Otóż to, jeszcze jakieś pytania?

Thome pokręcił głową i odłożył linijkę na biurko.

- Świetnie. Idę po herbatę. Ty też chcesz?

Przeszli korytarz, mijając inne gabinety i zbliżając się do sali odpraw.

- Ale tak poważnie - rzekł Thome - czasami naprawdę mnie zdumiewasz. - Nie żartowałam. Nikt w zespole nie znał Yvonne Kitson zbyt długo, ale pomijając przypadkowe komentarze od starszych, mniej skutecznych funkcjonariuszy, nikt nie mógł powiedzieć o niej złego słowa. W wieku lat trzydziestu trzech byłaby wściekła, gdyby wiedziała, że większość z jej kolegów, z Thomeem włącznie, postrzegają ją raczej jako kumpelkę. Miało to raczej związek z jej osobowością i stylem niż twarzą czy figurą, bo była całkiem atrakcyjna. Nigdy nie ubierała się wyzywająco i miała dość prostą fryzurę. Nie darła z nikim kotów, wypełniała swoje obowiązki i nigdy się nie irtowała. Thome nie wątpił, że Kitson zajdzie wysoko.

Przy automacie Kitson nachyliła się, by podać Thome owi kubek z herbatą.

- Nie żartowałam, mówiąc, że nie biorę pracy do domu. - Zaczęła wrzucać kolejne monety do automatu. - Nie mogłabym, nawet gdybym chciała, za mało miejsca...

Wszystkie okna w sali odpraw były otwarte. Lekkie podmuchy wiatru zwiewały kawałki papierów z biurka i szafek. Thome sączył herbatę, wsłuchując się w szelest papieru i

stękanie tych, co musieli schylać się po kartki, i pomyślał, jak bardzo różni się od tej kobiety. Zabierał robotę wszędzie, do domu również, choć zazwyczaj nikomu to nie przeszkadzało, bo nie miało komu przeszkadzać. Jan rozwiodła się z nim pięć lat temu, kiedy zaczął trochę zbyt bezpośrednio zadawać się z wykładowniczą sztuk pięknych. Od tamtej pory miał parę „przygód”, ale nie było to w sumie nic wielkiego.

Kitson włożyła gorący plastikowy kubek do drugiego, pustego i podmuchała, by choć trochę ostudzić gorący napar.

- A nawiasem mówiąc, jak sprawa Remfiryego? - spytała. - Czy tylko mi się zdaje, czy brniemy w ślepą uliczkę?

Thome ujrzał w drugim końcu sali Russella Brigstockea. Skinął, odwrócił się i ruszył w stronę swego gabinetu. Thome postąpił krok w tym kierunku i nie patrząc na Kitson, odpowiedział:

- Nie zdaje ci się...

Kiedy Russell Brigstocke był naprawdę wkurzony, od jego wyrazu twarzy mogło się skwaśnić mleko. Gdy starał się wyglądać poważnie, kryła się w tym melodramatyczna nuta, przekrzywiał wówczas głowę i lekko wydymał wargi, na co Thome zwykle się uśmiechał, choć próbował z tym walczyć.

- Dobra, Tom. Na czym stoimy?

Thome próbował stłumić uśmiech, lecz bez powodzenia. Już nawet go nie ukrywał, uznawszy, że bardziej bezpośrednia odpowiedź niż ta, której udzielił Kitson, może być w tym wypadku nie na miejscu.

- Bez wielkiego przełomu, ale jakoś posuwamy się naprzód, sir. - Po takim spojrzeniu Brigstocke a zawsze zwracał się do niego per sir.

- Wytropiliśmy większość męskich krewnych ofiar Remfry ego. Nie robimy sobie wielkich nadziei, ale może się nam poszczęści. Rozmawialiśmy z większością kumpli Remfiry ego z kicia i chyba warto byłoby sprawdzić tego Gribbina...

Brigstocke skinął głową.

- To brzmi obiecująco. Gdyby ktoś mnie odgryzł pół nosa, żywiłbym do tego kogoś głęboką urazę.

- Remfry tylko mówił, że to zrobił. Nie wiemy tego na pewno. Może się chciał popisać. A Gribbina nie możemy nigdzie znaleźć...

- Co jeszcze?

Thome uniósł obie ręce w górę.

- To wszystko. Pozostaje jeszcze komputer. Zaczniemy przeszukiwać Rejestr Informacji o Osadzonych, kiedy tylko komendant Jeffries prześle nam raport.

- Już to zrobił - rzekł Brigstocke. - Nie ekscytujcie się zbytnio.

Stephen Jeffries był wysokim rangą funkcjonariuszem policji pracującym w wydziale więziennictwa JKM. Jako oficjalny doradca policji stacjonował w Kwaterze Głównej Służb Więziennych, wytwornym gmachu przy Millbank, skąd miał widok na biura MI-6 po drugiej stronie rzeki.

Jeffries po cichu miał sprawdzić, czy doszło do przecieku z Rejestru. Jeśli zabójca zaczerpnął swoje informacje stamtąd, sporo ludzi chciałoby wiedzieć, jak tego dokonał.

- Komendant Jeffries w krótkich, zwięzłych słowach oświadczył, że ten tok dochodzenia raczej nie okaże się nazbyt owocny.

- Musi mi pan pomóc - powiedział Thome. - Mam ostatnio kłopoty z rozumieniem tej nowomowy.

- Nie zgrywaj cwaniaka, Tom. Dobra? Nie pomagasz mi.

Thome wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że komendant Jeffries wypełził z tego samego miejsca, co nadkomisarz Trevor Jesmond.

- Słucham.

Brigstocke spojrział na kartkę leżącą na biurku i szybko przeczytał na głos jeden akapit: „Osoby z komputerowym dostępem do Rejestru pracują w gmachu Centrali oraz w dwunastu biurach regionalnych na terenie całego kraju - w Londynie, Yorkshire, Midlands i tak dalej...”.

Thome jęknął.

- Mówimy o setkach ludzi.

- O tysiącach. Sprawdzenie ich znacznie uszczupliłoby liczbę moich ludzi, nawet gdybym nimi dysponował.

Thome pokiwał głową.

- Fakt. Tak więc gdyby nawet miałyby to okazać się owocne, nie okazałoby się owocne zbyt szybko. - Sięgnął po pusty kubek po herbacie, który postawił na biurku Brigstocke a, obrócił się na fotelu i wycelował w stronę kosza na śmieci, w rogu pokoju.

- Nie - rzekł Brigstocke.

Kubek chybił celu o kilkadziesiąt centymetrów. Thome znowu obrócił się na fotelu.

- A co z możliwością, że ktoś włamał się do systemu?

- Szlag... tysiące podejrzanych to już niedobrze, a ty chcesz, żeby ich były miliony.

- Wcale nie chcę, ale jeżeli system nie jest bezpieczny...

- Jeżeli system nie jest bezpieczny, wiele osób dostanie po dupie. W Rejestrze znajdują się informacje o wszystkich więźniach w całym kraju, włącznie z terrorystami. Mamy tam sporo danych zastrzeżonych. Jeśli okaże się, że ktoś się do tego włamał, nieważne z jakiego powodu... Jezu, będą mówić o Dougłasie Remfrym w Parlamencie...

- Już to sprawdzają, prawda? - spytał Thome.

- O ile mi wiadomo...

- Mają swoje sposoby, aby to sprawdzić, zgadza się? Czy ktoś się do nich włamał. Coś jakby alarmy. Gdyby ktoś usiłował wdrzeć się do systemu.

- Mnie nie pytaj - mruknął Brigstocke. - Ja ledwie umiem wysłać cholernego mejla...

Jeszcze do niedawna nawet to przekraczało umiejętności Thome a, wziął się jednak do siebie i zaczął zapoznawać się z nowoczesną technologią. Kupił sobie nawet komputer, aby móc z niego korzystać w domu. Jednak rzadko to robił.

- Wobec tego mamy dwie możliwości - jedną czasochłonną, a drugą politycznie niepoprawną. Czy komendant Jeffries sugerował, co jego zdaniem powinniśmy zrobić?

Brigstocke zdjął okulary, chustką stał pot z oprawek i znów je nałożył.

- On nie, ale ja mam pewne sugestie. Myślę, że są jeszcze inne sposoby, dzięki którym zabójca mógł uzyskać informacje o Remfrym.

- Słucham...

- A jeśli dowiedział się tego od rodziny ofiary? Znalazł nazwisko jego matki w książce telefonicznej, zadzwonił i przedstawił się jako stary przyjaciel, który chciałby wpaść z wizytą... - Thome pokiwał głową. To całkiem możliwe. - Gdy tylko dowiedział się, gdzie jest Remfry i kiedy wychodzi, zaczął pisać listy...

- Dowiedział się tego wszystkiego od matki Remfry ego?

- Od niej... albo od kogoś ze służby więziennej. Myślę sobie, że możliwości jest wiele.

- A motyw, Russellu? - Pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi. - Dlaczego zginął Remfry?

Brigstocke wyjął policzki i rozsiadł się wygodniej w fotelu.

- Cholera wie. Chyba jednak warto by znów pomówić z panią Remfry.

Thome z bliżej nieokreślonych przyczyn czuł, że w tym, co powiedział Brigstocke, kryło się coś więcej. Coś, co sprawiało, że jego serce przez moment zabiło żywiej, ale jak oblicze ujrzone we śnie, które wydawało mu się znajome, a które ujrzał pod niewłaściwym kątem, przysło, zanim zdołał je zidentyfikować. Wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy oznajmił:

- Zajmuję się czymś jeszcze. Wziąłem się do tych zdjęć...

Brigstocke wychylił się do przodu, unosząc brew.

- Powiem, gdy tylko będę coś wiedział - rzekł Thome. Spojrzał na zegarek. - Cholera, spóźnię się...

Kiedy wstawał, w jego gabinecie za ścianą właśnie zadzwonił telefon.

Komórka Hollanda zadzwoniła w chwili, gdy akurat szedł do pokoju, gdzie w porze lunchu już prawie regularnie wypijał kufel piwa. To przez Andy ego Stonea. Spojrzał na niego z takim wyrazem twarzy jak niektórzy koledzy z pracy, gdy na wyświetlaczu komórki pojawiał się napis DOM.

- Cholera - mruknął Holland.

Stone postąpił kilka kroków w stronę drzwi pubu i nagle przystanął.

- Zamówić ci piwko, Dave?

Holland wduśił przycisk i przyłożył komórkę do ucha. Po chwili odnalazł spojrzenie Stone a i pokręcił głową.

Sophie wciąż płakała, kiedy w dwadzieścia minut później wrócił do domu.

- Co się stało? - Objął ją, ale wiedział, co zaraz usłyszy.

- Nic - odparła. - Tak mi przykro... wiem, że nie powinnam dzwonić - wydusiła, wtulając twarz w jego kołnierz.

- Nie szkodzi. Mam tylko kwadrans, ale możemy zjeść razem szybki lunch. Wrócę, jak się trochę uspokoisz.

Do rozwiązania zostały jeszcze trzy miesiące. Łatwo było zwalić jej zachowanie na hormony, ale on wiedział, że nie chodziło tylko o dziecko. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo była przerażona. Bała się, że będzie musiał wybierać pomiędzy nią a pracą. I że mogłaby pomyśleć, iż zmuszała go do dokonania wyboru. Ze dziecko nie wystarczy, aby wybrał ją. Rozumiał to, bo sam bał się jeszcze bardziej.

Siedzieli na sofie, tuląc się do siebie, aż w końcu się uspokoiła. On szeptał i tulił ją, czując dotykającą jego nogi wypukłość, którą było dziecko w jej łonie, a przez cały czas patrzył na drugi koniec pokoju, na magnetowid, gdzie na cyfrowym zegarze śledził upływ czasu...

- Thome.

- Mówi Eve Bloom...

Zajął mu sekundę skojarzenie miejsca, nazwiska i głosu. I połączenie tego razem.

- Ach tak... halo. Przepraszam, zamyśliłem się. Myślałem o lunchu.

- Dzwonię nie w porę? Bo jeśli tak...

- Nic nie szkodzi. Czym mogę służyć?

- Tak tylko dzwonię, z ciekawości. Zastanawiałam się, jak tam śledztwo. To głupie z mojej strony, bo przecież nie wiem nawet, o co konkretnie chodzi. Ale ciekawi mnie, czy ta taśma, którą wzięliście, coś wam dała... czy dzięki niej... rozwiązaście tę sprawę!

Przypomniał sobie wcześniej nutę rozbawienia w jej głosie. Telefon w tamtym hotelowym pokoju, słuchawka przyciśnięta do ucha. Tym razem cieszył się, że ją słyszał.

- Doskonale, ale powinienem być gdzieś już dziesięć minut temu...

- Dobrze, wcale nie chciałam proponować niczego teraz, więc...

- Słucham?

- Co pan powie na lunch w sobotę? Będzie pan mógł zadać mi parę bezsensownych pytań na temat automatycznych sekretarek, oznajmić, że wciąż pomagam panu w śledztwie i wpisać to sobie w koszty Czy wpał do dziewiątej panu odpowiada?

Zakończył rozmowę w kilka minut później, gdy do gabinetu wróciła Yvonne Kitson.

- Z czego tak się cieszysz? - spytała.

- O, mowy nie ma, panie Thome. Za żadne skarby świata nie zjem kaczych łapek.

Fakt, że Denis Bethell był postawny jak szafa trzydrzwiowa, a głos miał piskliwy jak dziewczynka, co nałykała się helu, mógł wydawać się w sumie absurdalny, ale obaj jakoś już do tego przywykli... To był pomysł Thomea. Ostatnim razem spotkali się w pubie i jak zwykle przez głos Bethella doszło tam do nieliczej rozróby Spokojny lunch wydawał się lepszą perspektywą, a Thome lubił to miejsce. W New Moon w Chinatown serwowano najlepsze dim sum w całym mieście. Thome uwielbiał cały ten rytuał, podobnie jak jedzenie. Lubiał patrzeć na zgrzybliwe z wyglądu stare kobiety toczące swe wózki po całym lokalu. Lubiał je zatrzymywać, prosząc, by unosiły pokrywki, po czym dokonywał wyboru dań.

Musiał wyjaśnić ten cały system Bethellowi, który - odkąd tam przyszedł - siedział w kącie zdenerwowany. Thome spóźnił się dwadzieścia minut, ale Bethella nietrudno było znaleźć. Mierzył metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, był zbudowany jak zawodowy zapaśnik i miał tlenione włosy ułożone w ostre kolce, a do tego sporo złotej biżuterii. Wypatrzenie go w restauracji, gdzie stołowali się głównie Chińczycy, było dziecinnie proste.

Dziś Bethell miał na sobie spodnie bojówki w panterkę i niebieski podkoszulek, niemiłosiernie rozciągnięty na torsie i ozdobiony napisem SUKA.

- Zupa z płetwy rekina może być. Ale kacze łapki? To odrażające...

- Wyluzuj, Kodak - rzucił Thome. Uśmiechnął się do staruszki, która uniosła kolejne bambusowe wieko. - Ja zamówię coś dla ciebie...

Gawędzili przez chwilę, Thome próbował trochę tamtego uspokoić, ale w sumie lubił z nim rozmawiać. W takich miejscach i w obecności ludzi pokroju Dennisa Bethella czuł się naprawdę swobodnie.

Thome włożył do ust chipsa krewetkowego i przesunął po stoliku zdjęcie Jane Foley. Bethell serwetką otarł usta z sosu sojowego i wziął fotografię do ręki.

- Niezłe - mruknął. - Naprawdę niezłe...

Thome wiedział, że Bethell mówił o samym zdjęciu. O jego układzie, oświetleniu. Jako człowiek od lat tkwiący w branży pomo od dawna już przestał zachwycać się samymi modelkami.

- Wiedziałem, że ci się spodoba - rzekł Thome.

- Owszem. Jest bardzo gustowna. Kto ją zrobił?

- Wiesz co, Kodak? Powiedziałem sobie, że jeśli ktokolwiek może to dla mnie ustalić, to właśnie ty.

Znów krótka pogawędka. Bethell stwierdził, że interes rozwija się jak nigdy dotąd. Choć czuł zagrożenie ze strony internetowych handlarzy pornografią, popyt na jego „prace” był większy niż kiedykolwiek. Zdjęcia z „wiejskiej” sesji z 1983 roku osiągnęły status legendarnych i były ściągane przez wielu coraz młodszych zwolenników tej „sztuki”...

Dennis Bethell i jego dzieła pozwalały mężczyznom odprężyć się niemal od tyłu lat, ile Thome służył w policji. Od soft pomo do ostrych rozkładówek, Bethell był mistrzem w swoim fachu i miał zręczne ręce, gdy w grę wchodził obiektyw aparatu i ponętne piersi. W sumie był niegroźny i od wielu lat dorabiał na boku jako godny zaufania informator. Thome uważał go za jednego z wielkich ekscentryków tego miasta. Napakowanego mięśniaka z East Endu, komika o gwałtownym charakterze, który miał talent do rozbierania dziewcząt i zgodnie z kodeksem, któremu hołdował, nie robił niczego z dziećmi!

- To jak - zagaił Thome. - Profesjonalna robota czy nie?

Bethell spojrział na zdjęcie, uniósł je do światła, cmoknął przez zęby.

- Tja... może...

- To za mało, Kodak. - Thome uniósł palec, by zwrócić uwagę drobnej kobiety za niewielkim barem. Pokazał jej pustą butelkę tsing tao, by zamówić następną.

- To skomplikowane - odrzekł Bethell. - Dziś jest wielki popyt na profesjonalnie wykonane sesje mające wyglądać, jakby je zrobił jakiś amator. Jakby to było zdjęcie czyjejś dziewczyny. Rozumie pan, o co mi chodzi? Zwłaszcza przy tego typu towarze...

- Czyli...?

- Sadomaso. Kajdanki, bicze i łańcuchy Fetyszyzm. - Bethell uniósł zdjęcie, które Thome oglądał już setki razy. Znow na nie spojrzął. Zostało zrobione z góry. Kobieta leżała płasko, twarzą do ziemi, ręce miała skrępowane za plecami. Kaptur zawiązany tym razem od dołu jak pętla.

- Robiłeś kiedyś coś takiego? - spytał Thome.

Bethell wpakował sobie do ust kolejnego pierożka z nadzieniem z krabów. Odpowiedział z namysłem, jak gdyby to pytanie było podchwytliwe.

- Owszem, robiłem. Sporo jest czasopism, które to drukują. Choć moje fotki były lepsze niż te...

- Naturalnie. Słuchaj, skoro to profesjonalna robota, czy mógłbyś się dowiedzieć, kto jest autorem?

- Pewnie mógłbym popytać tu i tam, ale...

- A może zacząć od tego, gdzie wywołano ten film?

- Strata czasu. O ile facet nie jest kretyńcem, na pewno sam się tym zajął. Cyfrowa kamera podłączona do peceta. Drobnostka...

- Wobec tego dowiedz się, ile zdołasz. Chcę wiedzieć, kim jest modelka i kto zapłacił za zdjęcia.

Bethell wyglądał na zbolalego.

- Czy to w porządku, panie Thome? Parę informacji, od czasu do czasu, to się rozumie samo przez się, ale to tutaj wygląda trochę, jakbym odwalał za pana robotę. Jakbym był pieprzonym śledczym.

Kelnerka, która przyniosła Thomeowi piwo, zachichotała, słysząc rozpaczliwe piski Bethella i oddaliła się. Całe szczęście, że Bethell nie zwrócił na to uwagi.

- Pomyśl o tym jak o kolejnej cięciwie do swego łuku, Kodak. Może zechcesz kiedyś spróbować kariery w czymś innym. My w policji zawsze szukamy takich bystrych, młodych chłopaków jak ty.

- Czasami, panie Thome, jest z pana kawał niezłego bydlaka...

Thome nachylił się nad stołem i zatrzymując pałeczki o kilka centymetrów od twarzy Bethella, wycodził:

- Owszem, jestem bydlakiem i mogę to udowodnić, jeżeli nie zrobisz tego, o co cię uprzejmie proszę. Wpadnę do twojej pracowni, wezmę największy teleobiektyw i wetknę ci go w tyłek tak głęboko, że będziesz miał sfotografowane swoje jelito grube. Podaj mi, z łaski swojej, czipsy krewetkowe, dobrze?

Bethell przez dobrych kilka minut miał posępną minę. A potem wziął zdjęcie i włożył do bocznej kieszeni bojówek.

- Naprawdę powinieneś spróbować kaczyczych łapek, Kodak - rzekł Thome. - Wiesz, że dzięki nim mógłbyś szybciej pływać?

Bethell wytrzeszczył oczy.

- Czy pan robi mnie w konia, panie Thome...?

Welch stał w drzwiach, podczas gdy Caldicott pojawił się na podjeździe z wózkiem pocztowym. W miarę jak się zbliżał z porażającą powolnością, przystając niemal przy każdych drzwiach, było widać, że twarz Caldicotta wciąż jeszcze się nie zagoiła.

Po jednej stronie, od czoła do ust, skóra była błyszcząca i śliska jak od potu i czerwona niczym surowe mięso. Na tle tej paskudnej, wilgotnej czerwieni malowały się wyraźnie rzędy małych, białych kręgów, to co zostało z jego ust, wyglądało jak świeżo zaschnięta rana.

Wózek pocztowy ze skrzypieniem podjechał bliżej. Caldicott uśmiechnął się najlepiej jak umiał, rozwożenie poczty było przyjemną odmianą po tygodniach spędzonych w szpitalu i po tym, jak był traktowany w skrzydle dla przestępców seksualnych.

Paru pojebów ze skrzydła B dopadło go w pralni. Zgodnie z prawem nie powinni byli się tam znaleźć, powinni przebywać w zamknięciu, ale ktoś przymknął na to oko. I zostawił otwarte drzwi.

Jedna z dziewcząt Caldicotta była nieletnia. Miała zaledwie czternaście lat. Caldicott powiedział Welchowi, zarzekał się, że myślał, iż była starsza, twierdził, że nie gustuje w takich siksach.

To oczywiście, zapewniał Caldicott, Welch zapewne to rozumie. Przecież był w podobnej sytuacji. Wiadomo, jakie są dzisiaj dziewczyny! Welch przyznał, że owszem, wie, o co chodzi Caldicottowi, sam też to przerabiał, nawet kilka razy i dziękował swoim szczęśliwym gwiazdom, że dziewczyna, z którą go przyłapali, miała ponad szesnaście lat, choć to i tak niewiele zmieniło. Caldicott tamtym bydlakom w pralni też próbował to wszystko tłumaczyć. Błagał. Zapewniał, że sądził, iż dziewczyna jest starsza, ale oni nie zamierzali słuchać bredni zbrojnego i pedofila. Dla nich liczyły się fakty. Podczas gdy jeden spokojnie trzymał Caldicotta za ptaka i jaja, drugi opróżnił suszarkę, wrzucając pranie do czerwonego, plastikowego kubła. Następnie, nie zważając na krzyki Caldicotta, brutalnie zgięli go w pół i zmusili, by przyłożył głowę i ramiona do wielkiego stalowego bębna i dotknął twarzą rozgrzanego do czerwoności metalu...

Caldicott wyciągnął list, uśmiech rozciągnął jego poparzoną skórę, odsłaniając poźółkłe siekacze. Welch, myśląc, że tamten wygląda jak pieprzony upiór z Opery, odebrał od niego kopertę i cofnął się gwałtownie o dwa kroki...

Koperta była rzecz jasna otwarta, ale on już dawno przestał przejmować się własną prywatnością czy czymś takim. Ma parę minut w samotności, aby zajrzeć do listu, ostatniego, który będzie zmuszony przeczytać w ciasnej klitce cuchnącej gównem jego kumpla spod celi. Kolejne zdjęcie. To pierwsza rzecz, jakiej szuka, i niemal zakrzyknie w głos, gdy je poczuje wciśnięte między kartki listu. Wyciąga je i nie patrząc, kładzie je sobie na piersi. Wreszcie powoli je unosi, centymetr po centymetrze i pojękuje głośno, gdy widzi ją po raz pierwszy. Kaptura już nie ma, ale tym razem jest odwrócona do obiektywu plecami, ma opuszczoną głowę. Widać tylko fragment jej krótkich włosów, twarz pozostaje w ukryciu. Siedzi na piętach z rękoma skrępowanymi za plecami, na jej łopatkach i pięknie zaokrąglonych pośladkach płożą się zmysłowe cienie...

Drzwi otwierają się i nie jest już sam. Szybko podkula kolana, by ukryć erekcję, i znów kładzie sobie zdjęcie na piersi. Gdy jego kompan z głuchym stęknieniem osuwa się na sąsiednią prycę, Welch już opuszcza powieki, wspominając każdy, nawet najdrobniejszy szczegół nagiego ciała Jane, które wryło mu się głęboko w pamięć i które ogląda teraz oczyma duszy.

7 maja, 1976

- Szanowni państwo, może to wyda się wam dziwne, ale chciałbym przez następnych kilka minut skupić się na dowodzie przedstawionym przez świadka obrony. Rozważcie proszę ów dowód przedstawiony przez detektywa sierżanta Dereka Tumbulla. Sierżant Tumbull może pochwalić się licznymi osiągnięciami jako policjant i śmiem twierdzić, że jego zeznanie należy przyjąć ze szczególnym uznaniem. Powinniśmy potraktować serio słowa, które padły z jego ust podczas tej nader bulwersującej sprawy.

Chcę, abyście zapamiętali te słowa...

Powinniśmy pamiętać słowa sierżanta Tumbulla dotyczące rozmów, jakie przeprowadził z kobietą, która oskarża mego klienta o tak poważne przestępstwo. Mówił o „dezorientacji”, „rozkojarzeniu” i że jego zdaniem podczas wstępnego przesłuchania ta kobieta „błądziła gdzieś myślami”. Pytam was; czy zdarzenie o rzekomo tak wstrząsających skutkach nie powinno zapaść w pamięć na tyle dobrze, by zapamiętać każdy jego szczegół? Czy nie powinno na zawsze wryć się w pamięć? Oczywiście, że tak. A jednak ta kobieta miała spore problemy z przypomnieniem sobie pewnych szczegółów. Nie opisała dokładnie,

co miał na sobie mój klient podczas domniemanego ataku. Zamiast tego usłyszeliśmy dużo wzmianek o tym, że było gorąco i jakieś bzdurne komentarze na temat wody po goleniu...

Powinniśmy pamiętać słowa detektywa Tumbulla, kiedy opisywał wyniki badań. Pod paznokciami tej kobiety nie znaleziono niczego. Nic, co mogłoby sugerować, że stawiała opór. Sierżant Tumbull powtórzył przed sądem, co powiedziała, gdy ją o to zapytano. „Nie mogłam się bronić”, rzekła.

Nie mogła? Czy może raczej nie chciała?

Powinniśmy także pamiętać słowa sierżanta, kiedy opisywał pierwszą rozmowę i pierwsze, wstępne badanie tej kobiety. Badanie, jak sam twierdził, było „nic niewarte”, bo przeprowadzono je dopiero następnego ranka po domniemanej napaści, a do tego czasu rzekoma ofiara zdążyła wziąć prysznic. Przypomnijcie sobie słowa jego koleżanki, kiedy opisywała sukienkę przedstawioną jako dowód rzeczowy A. Za ładna, by ją wkładać do pracy. Spróbowałem połączyć to wszystko ze sobą, szanowni państwo, i dochodzę do zdumiewających wniosków, z tego bowiem, co tu przedstawiono, wyłania się całkiem odmienna wersja wydarzeń, jakie nastąpiły w grudniu ubiegłego roku w tamtym magazynie...

Czy ta sukienka nie mogła zostać rozdarta podczas namiętnego, odbywającego się za obopólną zgodą, stosunku seksualnego, jak o nim mówi mój klient? Czy sińce nie mogły być co najwyżej dowodem zbyt gwałtownej namiętności? Czy ta kobieta mogła wejść pod prysznic nie po to, by zmyć z siebie zapach mego klienta, lecz by ukryć prawdę, że utrzymywała z nim regularne, intymne stosunki, ukrywając to przed mężem? Prosiłem, byście przypomnieli sobie słowa funkcjonariusza policji, którego zeznania miały pograżyć mężczyznę, którego tu dziś reprezentuję. Zamiast tego jestem pewien, że wywarły one zgoła odmienny efekt. Prosiłem was, byście zastanowili się nad tymi słowami, i widzę, że właśnie to robicie. Po wyrazie waszych twarzy, szanowne panie i panowie przysięgli, widzę, że te słowa wzbudziły w was uzasadnione wątpliwości. Jeżeli macie wątpliwości, co zrozumiałe, wobec wersji wydarzeń przedstawionej przez tę kobietę, jestem przekonany, iż w sali obrad ławy przysięgłych nie będziecie długo debatować nad podjęciem decyzji.

Prawo nie pozostawia żadnych złudzeń, w wypadku gdy zachodzi uzasadniona wątpliwość. Jestem przekonany, że z uwagi na zachodzące w związku z tą sprawą wątpliwości podejmiecie słuszną decyzję. Zrobicie to, co należy. Sprawiedliwość zatryumfuje. Bo uczynicie tak, jak z pewnością pouczył was wysoki sąd, i uznacie mego klienta za niewinnego zarzucanych mu czynów...

Kolejny gorący, parny wieczór. Powietrze ciężkie, zwiastujące rychłą burzę. Urywki rozmów przechodniów wpadające przez otwarte okna do salonu.

Thome siedział, zajadając, ubrany tylko w podkoszulek i szorty, i nasłuchiwał odgłosów imprezy z naprzeciwka. Nie wiedział, co go drażniło bardziej - podniesione głosy i rżące mikrofony czy dobra zabawa, jakiej nie żalowali sobie nieznani mu ludzie.

Kiedy jego kotka, Elvis, wylizała już talerz do czysta, Thome otworzył puszkę taniego piwa, wyłączył się z odbioru dźwięków muzyki i śmiechu i poświęcił kilka godzin lekturze. Letni wieczór poświęcony brutalnej śmierci.

To były raporty z analiz zawartości bazy danych służb policyjnych w poszukiwaniu spraw, które mogły wykazywać zbieżność ze sprawą zabójstwa Remfry ego.

Holland i Stone byli skrupulatni i drobiazgowi. Chodziło przede wszystkim o zawężenie kręgu poszukiwań, działanie na oślep w nadziei, że choćby przypadkiem natrafiają na coś istotnego. Wprowadzono kluczowe słowa. Przeprowadzono analizę porównawczą najistotniejszych szczegółów w relacji z innymi dochodzeniami. Hasła: Gwałt morderstwo przywołały kilka spraw, w których ofiarami byli mężczyźni, ale wyniki wciąż jeszcze porównywano z tym, co pojawiło się, kiedy do systemu wprowadzono inne kluczowe słowa.

Stosunek analny. Uduszenie. Pętla. Sznur do bielizny.

Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania.

Seria nierozwiązanych zabójstw ciągnęła się przez ostatnie pięć lat.

Ośmiu młodych chłopców brutalnie zgwałcono i uduszono, ich ciała porzucono w lasach, żwirowych dołach i na placach zabaw. Siatka pedofilów była zbyt dobrze zorganizowana albo miała zbyt dobre układy. Była nie do wyłapania.

Mężczyznę zaatakowano w jego domu. Związano go sznurem do bielizny, jego dom został gruntownie przeszukany, a później zaś mężczyznę bez żadnego wyraźnego powodu brutalnie skopano na śmierć. Thome pomyślał o Darrenie Ellisie i parze starszaków, którą związał i obrabował...

Długa lista brutalnych napaści seksualnych i zabójstw, w większości sprawców wciąż nie znaleziono. Posępne szczegóły przywodziły teraz na myśl wpisy w osobliwym, mrocznym katalogu bibliotecznym. Źródło, z którego należało czerpać w nadziei, że dawny koszmar może rzucić nowe światło na obecną zgrozę.

Ale nie tym razem.

Holland dokopał się do dwóch nierozwiązanych spraw: młodego, mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę, znaleziono w 2002 roku w bagażniku samochodu. Został zgwałcony i uduszony niezidentyfikowaną dotąd pętlą. W 1996 roku mężczyzna po sześćdziesiątce został zaatakowany na wielopoziomowym parkingu i uduszony sznurem do bielizny.

Thome zgadzał się w obu wypadkach z wstępną oceną Hollanda i z jego końcowym wnioskiem. Obu tym sprawom warto by się baczniej przyjrzeć. Obie odłożono ad acta. Gdy tylko Thorne schował raport do aktówki, podszedł do otwartego okna. Przez blisko dziesięć minut spoglądał na dom naprzeciwko, gdzie trwała impreza, próbując, bez powodzenia, rozpoznać piosenkę na podstawie drażniąco znajomej linii melodycznej. Starał się, lecz bez powodzenia, przestać myśleć o ciałach nieżyjących od lat, o ciele, które wciąż pozostawało nieopogrzebane, i o zdjęciu, które przekazał Dennisowi Bethellowi...

A potem zadzwonił do ojca.

Kiedy w dwadzieścia frustrujących minut później rozłączył się i stał z telefonem w dłoni, próbował wyobrazić sobie wadliwe synapsy w mózgu ojca, myśli eksplodujące kaskadami iskier...

Kaskada barw szerniała. Zmieniła się w ciemny kaptur zasłaniający głowę kobiety i maskujący przerażenie na twarzy sztywniejącego trupa. Wyduszone z ciała życie, obnażone poślądki i cienka strużka brązowej krwi na brudnym materacu.

Thome zdjął to, co miał jeszcze na sobie, wszedł do sypialni i osunął się na materac. Leżał tak, w półmroku, wpatrując się w zarys kupionego za funta abażura z Ikei i uświadomił sobie, że kosztował tak niewiele, ponieważ był naprawdę paskudny.

Materac wydawał się wypełniony żwirem.

Czuł na sobie przeraźliwy, delikatny ciężar dochodzenia. Jak mroczny, drażniący dotyk czegoś niepożądanego, pełzającego po jego spoconym torsie.

Thome zamknął oczy, wspominając chwile spokoju i zadowolenia na porośniętym orlicą zboczu wzgórza. Tylko że nie miał wcale pewności, czy to faktycznie było wspomnienie. Jeżeli nawet to się wydarzyło, szczegóły pochłonął czas. A może to było wspomnienie snu, który go kiedyś nawiedził albo jakaś fantazja. Scena z dawno zapomnianego filmu czy serialu, do którego przeniósł się w marzeniach...

Skądkolwiek pochodziła ta wizja, zawsze towarzyszyły mu w niej dwie inne osoby, leżące na stoku wzgórza, wśród paproci. Mężczyzna i kobieta albo chłopak i dziewczyna. Ich wiek pozostawał niejasny, podobnie jak relacje wobec niego i względem nich samych, ale cała trójka czuła się szczęśliwa. Gdzie się konkretnie znajdowali, nie miało większego

znaczenia. Wygląd tego miejsca permanentnie się zmieniał. Czasami był pewien, że w dole pod nimi płynęła rzeka. Kiedy indziej ciągnęła się tam szosa, a brzęczenie owadów zmieniało się w odgłosy mchu ulicznego. Niezmienna była tylko orlica i obecność tych dwojga leżących blisko niego, grunt pod nimi i niebo powyżej...

Wydawało się, że coś wspólnie jedli, może urządzili sobie piknik. Thome czuł się pełen, rozłożył szeroko ręce, uniósł je nieco nad ziemią i poruszył nimi leniwie, rozgarniając paprocie. Na jego ustach widniał uśmiech, a od śmiechu aż rozbolał go brzuch. Nie był pewien, kto lub co tak go rozbawiło. Pewien był tylko tego niezwykłego, nieznanego odczucia, którego doświadczał za każdym razem, gdy przywoływał w sobie to wspomnienie. Kiedy sobie wyobrażał. Kiedy leżał na tym zboczku wzgórza.

Choć poczucie rzeczywistości w znacznej mierze ulegało wówczas zatarciu - kto, kiedy i dlaczego przestawało mieć znaczenie i w ogóle się nie liczyło - właśnie w chwilach takich jak ta, gdy Thome pogrążał się w chaosie śmierci i szaleństwa, żadne inne miejsce nie wydawało mu się równie odpowiednie jak właśnie to. Właśnie tam chciał się wówczas znaleźć.

Kiedy pierwsze, wielkie krople deszczu zaczęły spadać z nieba, oparł potylicę na poduszce i wyobraził sobie, że jego kark muskają pierzaste liście zielonej paproci. W oknie sypialni odbił się refleks światła reflektorów przejeżdżających aut, ale Thome czuł na twarzy jedynie ciepło złocistych promieni słońca.

12 czerwca, 1976

Szli przez centrum handlowe, niemal się dotykając, z pustymi, beznamiętnymi twarzami, oboje dźwigali torby. Ot, dwoje ludzi na wspólnych zakupach. Gdyby ktoś ich zobaczył, nigdy by się nie zorientował.

Jak wielka dzieliła ich przepaść.

Jak wielki ból ją wypełniał.

Jak niewiele czasu im zostało...

Dotykali różnych rzeczy w sklepie, oglądali to czy tamto, niekiedy nawet wymienili te same banalne komentarze, jakie mogły paść z ich ust pół roku wcześniej. To by się nam przydało do kuchni. Czy uważasz, że to nieźle by wyglądało w sypialni? W tym kolorze jest ci do twarzy.

Weszli do sklepu, gdzie sprzedawano szpetne, tandetne ozdóbki i bezużyteczne bibeloty, jak para lunatyków...

Od dnia zakończenia procesu wykonywali wszystkie czynności bezmyślnie i mechanicznie. Zakupy, jedzenie, sprzątanie zabawek. Wspólne wieczory na kanapie i

oglądanie It's a knockout albo George and Mildred. Jedyną istotną zmianą było to, że już nie wróciła do pracy. W przeciwieństwie do Franklina. Powitano go z przeprosinami i otwartymi ramionami.

Z jednego sklepu do drugiego. Przechodzili przez centrum handlowe, unikając rzecz jasna salonów kosmetycznych. Perfum, a zwłaszcza płynów po goleniu. W tych dniach wystarczyło, by poczuła zapach Bruta, aby zwymiotować dalej, niż widziała. Byli niemal idealni, jak ofiary porywaczy ciał. Albo jak idealna para z gry w „Znajdź różnicę”. Nie do wychwycenia. „Przed” i „po”, biorąc pod uwagę wygląd i zachowanie, wydawały się identyczne, ale to, co kiedyś liczyło się w ich sercach i umysłach, odeszło na zawsze i już nigdy nie powróci. Tego natomiast, co myśleli i czuli obecnie, nikt nie był w stanie się domyślić ani sobie wyobrazić, a oni nikomu nie zamierzali tego zdradzać.

Zamknęła się w sobie, on zaś stał się nieznośnie chimeryczny. W domu ich ciała wykonywały swe normalne funkcje, podczas gdy jej milczenie i jego udawana wesołość prześladowały ich oboje od jednego pokoju do drugiego. Równocześnie mania prześladowcza i podejrzenia dojrzywały i rozrastały się w najlepsze.

To moja wina...

Czemu się nie broniła?

Patrzył na oprawione w ramki zdjęcie, przypominając sobie oblicze przewodniczącego ławy przysięgłych. Ona stała o kilka metrów dalej, obracając stojak z pocztówkami, ale widziała tylko grube, krótkie palce sięgające do spodni i manipulujące przy jej kroczu. Wychwycił jej spojrzenie, ale odwróciła wzrok, zanim zdążył się uśmiechnąć. W następnej chwili zza stojaka z pocztówkami wyłoniła się żona Franklina i stanęła przed nią.

Postąpił krok w ich stronę i nagle znieruchomiał, gdy jego żona uniosła rękę, sięgając w stronę kobiety, która patrzyła na nią, właśnie na nią każdego dnia z głębi sali rozpraw. Widział, jak żona Franklina zignorowała wyciągniętą do niej dłoń, odchyliła głowę i splunęła gęstą flegmą prosto w twarz jego żony.

Jakaś kobieta tuż obok aż jęknęła ze zdumienia. Inna cofnęła się z otwartymi ustami i przewróciła karafkę, która roztrzaskała się na podłodze.

I wtedy stanął przed żoną, a potem delikatnie acz zdecydowanie odprowadził ją do wyjścia. Gdy wychodzili, ani na chwilę nie odrywała wzroku od kobiety, która na nią splunęła. Nie próbowała wytrzeć twarzy. Nie odezwała się ani słowem, kiedy zabrał ją z powrotem do domu, którego miała już nigdy więcej nie opuścić.

Z Kentish Town Thome wszystkimi znanymi sobie skrótami, korzystając z bocznych ulic, dotarł do Highbury Comer, a następnie pojechał na wschód wzdłuż Balls Pond Road, w kierunku Hackney.

Thome zajrzał do swego notesu. Kwaciarnia znajdowała się na tyłach Mare Street, o rzut kamieniem od London Fields. Ten parkowy obszar był umiejscowiony w jednej z najbardziej przygnębiających części miasta. Niegdyś pasły się tu owce i grasowali rozbójnicy. Teraz przyjezdni nuworysze, którzy kręcili teledyski albo pracowali w reklamie, przesiadywali na ławeczkach, sącząc bezkofeinową latte albo zgrywając twardzieli, wyprowadzali pitbulle na zieleńce i trawniki.

Thome jechał ulicami, na których roiło się od rannych ptaszków na sobotnich zakupach. Słysząc było gromkie powitania i okrzyki handlarzy z targowiska. Co kilkaset metrów charakterystyczny wyraz twarzy albo ręka włożona do kieszeni zdradzały Thomeowi, że prowadzono tu także innego rodzaju interesy.

Tu, tak jak w wielu innych dzielnicach, przestępczość na ulicach kwitła w najlepsze. Słuchawki stanowiły swoisty znak rozpoznawczy, a jeżeli miałeś przy sobie walkmana, to znaczyło, że jesteś turystą, który nie umie posługiwać się mapą.

Czynniki miarodajne w swej nieskończonej mądrości i spragnione dobrej pracy wzięły tereny takie jak Hackney pod lupę i opracowały plany skierowane pod adresem tutejszej młodzieży. Thome czytał raport dotyczący jednego z takich planów, polegający na wprowadzeniu na ten teren funkcjonariuszy po cywilnemu i próbach nawiązania kontaktu z młodzieżą w miejscowym domu kultury. Ktoś zapytał trzynastoletniego członka gangu młodzieżowego, czy zna sposób, w jaki mógłby uniknąć kłopotów z policją.

Rezolutny dzieciak odparł bez cienia ironii:

- Nosić kominiarkę.

Kwaciarnia była mała, wciśnięta pomiędzy warsztat ślusarski a prywatną firmę taksówkową. Witrynę udekorowano dość staroświecko, w minimalistycznym tonie, zielony napis na kremowym tle, ozdobiono roślinnym motywem.

KWIATY.

Wewnątrz paliły się świece. W tle słysząc było dźwięki muzyki klasycznej. Thome nie rozpoznawał żadnego z widocznych tu kwiatów...

- Szuka pan czegoś konkretnego? - Za drewnianą wąską ladą stanął mężczyzna około trzydziestki, z książką w broszurowej oprawie w dłoni.

Thome podszedł do niego i uśmiechnął się.

- Czy ludzie nie kupują już żonkili? Róż, chryzantem...?

Kobieta niosąca olbrzymie naręcze kwiatów wyłoniła się nagle z zaplecza. Była po trzydziestce. Kiedy tylko się odezwała, Thome rozpoznał głos, pewny siebie, wygadany, rozbawiony. Nie ulegało wątpliwości, że Eve Bloom także go rozpoznała.

- Cóż, panie Thome, możemy sprowadzić te jakże cenne okazy, jeśli pan sobie życzy, ale to będzie sporo kosztowało...

Zaśmiał się, taksując ją wzrokiem. Choć jej dłonie wciąż manipulowały przy łodygach, zorientował się, że ona robi dokładnie to samo.

Była niska, jakieś metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, jasne włosy miała spięte dużą, drewnianą spinką. Na dzinsy i bluzę narzuciła brązowy fartuch. Na jej twarzy dostrzec można było piegi, a gdy się uśmiechnęła, Thome zobaczył szparę między jej przednimi zębami.

I wyobraził ją sobie nagą.

Mężczyzna za ladą sięgnął po notes.

- Mam przyjąć zamówienie, Eve? Na róże i te inne rzeczy?

Odłożyła aranżację kwiatową, zdjęła fartuch przez głowę i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Nie, raczej nie, Keith. - Odwróciła się do Thomea. - Może wybierzemy się do tej herbaciarni za rogiem. Serwują tam najlepszą herbatę ze śmietanką. Co pan na to? Pogoda sprzyja temu, by posiedzieć gdzieś pod dachem. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy w Devon czy jakoś tak...

Po drodze przez cały czas trajkotała.

- Keith pomaga mi w pracy w sobotę rano. Świetnie sobie radzi z kwiatami, a klienci bardzo go lubią. Przez resztę tygodnia sama zarządzam kwaciarnią, ale w soboty rano, kiedy muszę przygotować większość wiązanek ślubnych, uporać się z papierkową robotą i całą resztą, najzwyczajniej nie dałabym sobie rady. Ale do diabła z tym! Keith może popilnować interesu przez godzinę czy dwie, podczas gdy my posiedzimy sobie przy herbacie! Nie jest gońcem, ale pracuje uczciwie - i to muszę przyznać, praktycznie za psi grosz.

- Co poza tym robi Keith? Czym się zajmuje na co dzień? - spytał Thome. - Kiedy go pani nie wykorzystuje.

Eve uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba sporo czasu poświęca na opiekę nad matką. Musi być naprawdę zamożna, bo Keith nie narzeka na brak gotówki. W mojej kwaciarni nie

pracuje dla pieniędzy, nie mogę płacić mu tyle, ile bym chciała. Rany, ale mam ochotę na herbatę...

Herbaciarnia była niewiarygodnie wręcz kiczowata, z kraciastymi obrusami, serwisami w stylu art déco i bakelitowymi radioodbiornikami stojącymi na półkach i parapetach okien. Herbatę ze śmietanką przyniesiono na ich stoliku niemal natychmiast. Eve nalała dla siebie earl greya, a dla Thome a zwykłą herbatę. Nałożyła na bułeczkę odrobinę marmolady i śmietankę i uśmiechnęła się do swego towarzysza, siedzącego naprzeciw niej.

- Proszę posłuchać, póki jem, ma pan szansę, aby coś powiedzieć, niech pan wykorzysta tę okazję. Zdaję sobie sprawę, że jestem trochę zbyt gadatliwa...

- Czy mężczyzna, który nagrał się wtedy na sekretarkę, kontaktował się jeszcze z panią? - Spojrzała na niego zakłopotana. - Takie tam, luźne pytanie - wyjaśnił Thome. - Żeby usprawiedliwić wydatki na posiłek zgodnie z pani sugestią. Trochę w ciemno, ale pytanie dobre jak każde inne...

Odetchnęła.

- Nie, panie inspektorze, już się więcej nie odezwał.

- Dziękuję. Gdyby coś jeszcze przyszło pani na myśl, proszę dać mi znać, dobrze? Chyba nie muszę mówić, że lepiej byłoby, gdyby nie opuszczała pani teraz kraju...

Zaśmiała się i włożyła do ust ostatni kawałek bułeczki. Kiedy go przełknęła, spojrzała na niego i uniosła rękę, by osłonić oczy od słońca, którego promienie wpadały przez panoramiczne okno.

- Zakładam, że jeszcze go nie złapaliście? - Thome, wciąż jedząc, spojrzał na nią. - Czy on kogoś zabił?

Thome przełknął powoli.

- Przykro mi, ale nie mogę...

- Dodaję tylko dwa do dwóch... - Usiadła wygodniej na krześle. - Wiem, że to mężczyzna, bo słyszałam jego głos, a pan wspominał, że należy do Grupy ds. Przepięstw Szczególnych, więc raczej nie ściga go pan za kradzież książki z biblioteki.

Thome nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Owszem, zabił kogoś. I rzeczywiście jeszcze go nie złapaliśmy.

- Ale złapiecie?

Thome nalał jej filiżankę.

- Dlaczego ja? - spytała. - Czemu właśnie u mnie zamówił wieniec?

- Myślę, że wybrał pani nazwisko przez przypadek - odparł Thome. W szafce przy nocnym stoliku znaleziono stary, wyświechtany egzemplarz książki telefonicznej. Było na

niej mnóstwo odcisków palców. Thome wątpił, aby któreś z nich należały do zabójcy - Otworzył na odpowiedniej stronie i wybrał pierwsze z brzegu nazwisko.

Skrzywiła się.

- Wiedziałam, że nie powinnam była dawać tego cholernego ogłoszenia, że przyjmujemy oferty przez całą dobę...

Choć mówiła dwa razy więcej i dziesięć razy szybciej od niego, Thome i tak z łatwością ją przegadał. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio gawędziło mu się z kimś tak swobodnie. Na pewno nie z kobietą...

- Kiedy ślub? - spytała Eve, gdy sprzątnięto już talerze.

Thome zdumiał się, jak daleko się posunęli i do tego, w jak szybkim tempie.

- Za tydzień od dziś. Boże, wołałbym raczej wbijanie szpilek pod powieki...

- Nie przepada pan za kuzynem?

Thome uśmiechnął się, gdy kelnerka położyła na stoliku rachunek.

- Prawie go nie znam. Pewnie bym go nie rozpoznał, gdyby tu teraz wszedł.

Obowiązki rodzinne, rozumie pani.

- Tak. Przyjaciół wybieramy sobie sami, na krewnych jesteśmy skazani.

- Pani krewni są równie okropni jak moi?

Zgarnęła kilka porzuconych okruchów na dłoń i strąciła je na podłogę.

- Ten kuzyn jest pana rówieśnikiem?

- Nie. Eileen jest znacznie młodsza od mego ojca i dość późno urodziła Trevora. Ma trzydzieści parę lat, jakoś tak...

- A pan?

- Ile mam lat? - Skinęła głową. Thome wyjął portfel i wyłuskał zeń piętnaście funtów, by położyć je na rachunku. - Czterdzieści dwa. Za... dziesięć dni skończę, kurde, czterdzieści trzy.

Odgarnęła kilka luźnych kosmyków włosów.

- Nie powiem, że pan na tyle nie wygląda, bo to zwykle brzmi fałszywie, ale śmiem twierdzić, że czterdzieści trzy lata to interesujący wiek.

Thome skinął głową.

- Przez grzeczność nie przeczę, ale... niekiedy nie mam nic przeciwko paru fałszywie brzmiącym słowom.

Uśmiechnęła się i założyła okulary przeciwsłoneczne o szklach w kształcie migdałów.

- Wobec tego wygląda pan góra na czterdzieści. A nawet na trzydzieści dziewięć i pół.

Thome wstał i sięgnął po skórzaną kurtkę leżącą na krześle, z tyłu za nim.

- Zabrzmiało całkiem przekonująco...

\*\*\*

W kwiaciarni, już po powrocie, wymienili się wizytówkami, uścisnęli sobie dłonie i stanęli razem w progu, czując się dość niepewnie. Thome rozejrzył się dokoła.

- Może powinienem kupić jakąś roślinę...

Eve schyliła się i podniosła coś, co wyglądało jak niewielkie metalowe wiadro. Spomiędzy gładkich, białych kamyków wyrastało coś, co wyglądało jak kaktus. Podała mu roślinę.

- Podoba się panu?

Thome nie był pewien.

- Ile jestem winien?

- Nic. Proszę to potraktować jak wcześniejszy prezent urodzinowy.

Przyjrzał się roślince ze wszystkich stron.

- Dobra. Dzięki...

- To aloes.

Thome skinął głową. Ponad jej ramieniem widział, jak Keith obserwuje ich uważnie zza lady.

- Nie będę potrzebował szamponu.

- W liściach jest żel, doskonały na skaleczenia i zadrapania.

Thome spojrział na groźnie wyglądające szpikulce wyrastające wzdłuż brzegów szablanych liści rośliny.

- Na pewno się przyda.

Wyszli na ulicę i uczucie skrępowania powróciło. Thome zauważył srebrny skuter stojący obok kwiaciarni - jedną z najnowszych vesp, na bazie klasycznego modelu. Skinął głową w jego stronę.

- Twój?

Pokręciła głową.

- Broń Boże. Nie. Należy do Keitha. - Wskazała na drugą stronę ulicy. - Mój wóz stoi tam...

Spojrział na białą, masywną furgonetkę, za którą zaparkował mondeo. Z boku widniało logo sklepu, z tym samym ornamentem w kształcie winorośli jak na witrynie kwiaciarni.

- Pani fach pasuje do nazwiska - zauważył.

Zaśmiała się.

- Fakt. To tak jakby przedsiębiorca pogrzebowy nazywał się De Ath\*. Co innego mogłabym robić? Moje nazwisko kojarzy się wyłącznie z roślinami.

\* ang. bloom - kwiat, kwiatostan, rumieniec; ang. death - śmierć (przyp. red.)

Thomeowi kojarzyło się to z paroma innymi rzeczami, ale pokręcił głową, nie chcąc powiedzieć czegoś, co mogłoby zepsuć to skądinąd miłe popołudnie.

- W rzeczy samej - przyznał. Ale myślał o czymś innym.

O sińcach. Guzach. I plamach krwi...

Po raz czwarty w ciągu ostatniej godziny Welch odpowiadał na ten sam kretyński zestaw pytań.

- Data urodzenia?

Może funkcjonariusze rozdawali tę listę między sobą. Można by pomyśleć, że choć jeden z nich wymyśli coś ciekawszego...

- Nazwisko panięskie matki?

Jednak nie. Te same haczyki mające wychwycić i zdemaskować potencjalnego intruza. Proces toczył się niezmiennie od wielu lat, ale ostatnio nikt nie chciał ryzykować. Nie po incydencie, jaki wydarzył się kilka miesięcy temu. Dwóch Pakistańczyków w więzieniu na północy zamieniło się miejscami, w dniu zwolnienia z zakładu karnego, i ci cholerni kretyni wypuścili nie tego więźnia co trzeba. Tego dnia kilku klawiszy straciło pracę, a kiedy już tamtamy przestały bić, dając wszystkim osadzonym w całym kraju powód do śmiechu...

- Ma pan jakieś tatuaże?

- Czy mogę zapytać publiczność?

- Nie zgrywaj cwaniaczka, Welch, bo zaczniemy wszystko od nowa.

Welch uśmiechnął się i odpowiedział na pytania. Na tym etapie gry nie zamierzał popełnić żadnych głupich błędów. Każde drzwi, które zostawiał za sobą, każdy kolejny krzyżyk na karcie oddalał go o krok od mrocznego serca tego miejsca. I zbliżał go o krok do wyjścia. Odpowiadał więc na bezsensowne pytania i składał kolejne podpisy we wskazanych miejscach. Odebrał wydany na piśmie zakaz opuszczania kraju, pieniądze, jakie mu się należały za wykonywaną pracę, i rzeczy osobiste. Wyświechtany portfel, zegarek na rękę i obrączkę z żółtego metalu. Zawsze z „żółtego metalu”. Nigdy ze złota, na wypadek gdyby te łajzy ją zgubiły... Zostawił za sobą kolejne drzwi i pomaszerował do kolejnego strażnika, który powiedział mu tylko: do zobaczenia.

Welch ruszył w stronę bramy. Szedł wolno, radując się każdym krokiem, tylko sekundy dzieliły go od chwili, gdy usłyszy za sobą łoskot zamykających się, ciężkich wrót i poczuje na twarzy ciepłe promienie słońca.

A potem spojrzy w górę na słońce w kolorze żółtego metalu.

Dla Thomea i Hendricksa sobotni wieczór spędzany przed telewizorem z piwem i porcją curry na wynos był już swego rodzaju rytuałem. Przez dziewięć miesięcy w roku mogli oglądać mecze i wyklócać się na ich temat. Dziś wieczorem, gdy do rozpoczęcia nowego sezonu zostało jeszcze siedem tygodni, pewnie obejrzą film. Albo po prostu będą siedzieć z puszkami w dłoniach, bo przestali przejmować się tym, co oglądają. Może włączą jakąś muzykę i zwyczajnie pogadają. Dochodziła dziewiąta, zaczęło już zmierzchać. Szli Kentish Road, wracając z restauracji do mieszkania Thome'a. Obaj mieli na sobie dzinsy i podkoszulki, choć ciuchy Thome'a, bardziej wymięte, workowate, nie przyciągały większej uwagi. Hendricks niósł reklamówkę pełną browaru, Thome zaś danie na wynos. Jak zwykle Bengal Lancer spełnił ich oczekiwania, ale wieczór był miły, w sam raz na spacer, a zimny kufelek kingfishera wypity w trakcie oczekiwania na przygotowanie potraw zaostrzył im apetyt.

- Dlaczego gwałt? - spytał nagle Thome.

Hendricks pokiwał głową.

- Racja. Dobra myśl. Zmieńmy temat, miejmy te okropieństwa - mianowicie gwałt i morderstwo, za sobą - a potem będziemy mogli się wyluzować i obejrzeć kolejny odcinek serialu Casualty.

Thome zignorował tę uwagę.

- Cała reszta została tak skrupulatnie zaplanowana i przeprowadzona. Ten gość nie ryzykuje. Zdejmuje pościel z łóżka, mimo iż zabił Remfry'ego na podłodze. Zabiera ze sobą wszystko, aby mieć pewność, że niczego po sobie nie pozostawił...

- Nie ma w tym nic dziwnego, że nie chce dać się złapać.

- Nie, ale był tak niesamowicie ostrożny. Zupełnie jakby odprawiał jakiś rytuał. Czy to się stało przed, czy po zabójstwie, jakoś nie widzę gwałtu jako części tej ceremonii. Może po prostu w którymś momencie przestał nad sobą panować i dał się ponieść szaleństwu...

- Mnie to też nie pasuje. Zabójca nie mógł ześwirować i zrobić tego bezmyślnie. Wiedział, co robi. Założył kondom, więc nawet wtedy był czujny, przez cały czas nad sobą panował...

Przed pubem Grapevine zebrały się dziesiątki osób. Tłum wylewał się na chodnik, roześmiani, popijający ludzie cieszyli się upojnym wieczorem. Hendricks musiał zwolnić i znalazł się o kilka kroków za Thome'em, kiedy tłum wybiegł na ulicę, a on musiał go wyminąć.

- Myślisz, że gwałt nie był częścią planu? - Hendricks znów zrównał się z Thomeem. - Sądziysz, że on zdecydował się na to już na miejscu?

- Nie. Myślę, że wszystko to sobie zaplanował. Ale gwałt wydaje się...

- Był brutalniejszy niż większość, przyznaję, lecz gwałt rzadko kiedy bywa delikatny, prawda?

Staruszek czekający przy pasach, aby przejść przez ulicę, wychwycił fragment ich rozmowy. Odwrócił głowę i nie zwracając uwagi na zmianę świateł, odprowadził ich wzrokiem. Sfrustrowany kierowca, czekający przy skrzyżowaniu, łypnął na staruszka spod łba i nacisnął klakson.

- W zasadzie nie wiem, czemu to nie daje mi spokoju - wyznał Thome. - To śledztwo w sprawie morderstwa, ale element gwałtu wydaje się klarowny...

- Chcesz powiedzieć, że zabójca coś w ten sposób sugeruje?

- Ty tak nie uważasz? - Hendricks wzruszył ramionami, pokiwał głową i unosząc reklamówkę, podtrzymał ją drugą ręką od spodu. - No właśnie - ciągnął Thome - czemu więc w tym wypadku scenariusz ozadawnionych urazach jakoś się nie sprawdza?

Minęli bar kanapkowy i bank. Przez otwarte okna z barów i tarasów napływały dźwięki muzyki. Rap, blues i heavy metal. Thome już od dawna nie pamiętał takiej atmosfery rozluźnienia na ulicach. Upały czyniły dziwne rzeczy z londyńczykami. W godzinach szczytu, gdy żar wyciskał z ludzi siódme poty, w metrze atmosfera się zaogniała. Później, gdy robiło się chłodniej, a w dłoniach pojawiały się zimne drinki, sytuacja zmieniała się diametralnie.

Thome uśmiechnął się ponuro. Wiedział, że taka sytuacja nie potrwa długo. Później, kiedy zrobi się ciasno, alkohol zacznie uderzać do głów, a sobotni wieczór nabierze innego rytmu, innej melodii. Wycia syren, krzyków i brzęku tłuczonego szkła...

Jak na komendę, kiedy Hendricks i Thome minęli otwarty do późna sklep spożywczy, dwaj nastolatki stojący na chodniku zaczęli przepychankę. Może nic się nie wydarzy, a może przerodzi się ona w coś poważniejszego.

Thome przystanął, cofnął się o krok.

- E! - zawołał.

Ten wyższy odwrócił się i otaksował Thome a wzrokiem, wciąż trzymając drugiego za koszulę pod szyją. Miał najwyżej piętnaście lat.

- W czym, kurwa, masz problem?

- Nie mam żadnego problemu - odparł Thome.

Ten niższy wyrwał się i odwrócił do Thome a.

- To zaraz będziesz miał, jak się stąd nie zmyjesz.

- Idźcie do domu - rzekł Thome - wasze mamy na pewno się martwią.

Wyższy parsknął drwiąco, ale jego kolega nie wydawał się rozbawiony. Powiódł wzrokiem po ulicy w jedną i drugą stronę.

- Chcesz stracić zęby, koleś?

- O ile ty chcesz, żebym cię aresztował - odparł Thome.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Jesteś, kurde, gliną.

- A wy jesteście tylko dwoma nicponiami, którzy nikomu nie wadzą. Zgadza się? Wobec tego nawet gdybym był gliną, na pewno nie znalazłbym w waszych kieszeniach nic trefnego. - Zauważył, że ten wyższy zerknął nerwowo na swego kompana. - Może jednak dla porządku powinienem sprawdzić...

Thome z uśmiechem wychylił się w ich stronę. Hendricks postąpił naprzód i zasyczał mu do ucha:

- Do cholery, chodź już, Tom...

Ze sklepu wyszła dwa, może trzy lata starsza dziewczyna. Podała obu chłopakom po puszcze mocnego piwa i sama też otworzyła jedno.

- Co jest grane?

Chłopak w niebieskiej koszuli wskazał na Thome a.

- Ten tam to chyba pies i chce nas zapuszkować.

Dziewczyna głośno upiła łyk piwa.

- Nie... nikogo nie zapuszkuje. - Wskazała puszką na reklamówkę, którą trzymał w ręku Thome. - Nie chce, żeby mu kolacja wystygła.

Znów śmiech. Hendricks położył rękę na ramieniu Thome a. Thome ostrożnie postawił reklamówkę na ziemi.

- Straciłem apetyt. A teraz wywracać kieszenie...

- Uwielbiasz to, prawda? - wycodziła dziewczyna. - Stanął ci?

- Wywracać kieszenie.

Dwaj chłopcy patrzyli na niego lodowatym wzrokiem. Dziewczyna upiła kolejny łyk piwa. Thome postąpił krok w ich stronę i nagle zareagowali. Ten niższy wyminął swoich przyjaciół i rzucił się do ucieczki, pokonując biegiem parę kroków, by w końcu zwolnić do marszu i odzyskać zimną krew. Dziewczyna oddalała się wolniej, ciągnąc wyższego z chłopaków za rękaw. Przez cały czas idąc tyłem w głąb ulicy, nie odrywała wzroku od Thome a. Dziewczyna cisnęła pustą puszką na chodnik i zawołała do Thome a:

- Walcie się! Pieprzone cioty!

Thome już miał puścić się za nimi w pogoń, ale Hendricks, który przez cały czas trzymał go za ramię, skutecznie go przed tym powstrzymał.

96

- A wy jesteście tylko dwoma nicponiami, którzy nikomu nie wadzą. Zgadza się? Wobec tego nawet gdybym był gliną, na pewno nie znalazłbym w waszych kieszeniach nic trefnego. - Zauważył, że ten wyższy zerknął nerwowo na swego kompana. - Może jednak dla porządku powinienem sprawdzić...

Thome z uśmiechem wychylił się w ich stronę. Hendricks postąpił naprzód i zasyczał mu do ucha:

- Do cholery, chodź już, Tom...

Ze sklepu wyszła dwa, może trzy lata starsza dziewczyna. Podała obu chłopakom po puszcze mocnego piwa i sama też otworzyła jedno.

- Co jest grane?

Chłopak w niebieskiej koszuli wskazał na Thome a..

- Ten tam to chyba pies i chce nas zapuszkować.

Dziewczyna głośno upiła łyk piwa.

- Nie... nikogo nie zapuszkuję. - Wskazała puszką na reklamówkę, którą trzymał w ręku Thome. - Nie chce, żeby mu kolacja wystygła.

Znów śmiech. Hendricks położył rękę na ramieniu Thome a. Thome ostrożnie postawił reklamówkę na ziemi.

- Straciłem apetyt. A teraz wywracać kieszenie...

- Uwielbiasz to, prawda? - wycodziła dziewczyna. - Stań ci?

- Wywracać kieszenie.

Dwaj chłopcy patrzyli na niego lodowatym wzrokiem. Dziewczyna upiła kolejny łyk piwa. Thome postąpił krok w ich stronę i nagle zareagowali. Ten niższy wyminął swoich przyjaciół i rzucił się do ucieczki, pokonując biegiem parę kroków, by w końcu zwolnić do marszu i odzyskać zimną krew. Dziewczyna oddalała się wolniej, ciągnąc wyższego z chłopaków za rękaw. Przez cały czas idąc tyłem w głąb ulicy, nie odrywała wzroku od Thome a. Dziewczyna cisnęła pustą puszką na chodnik i zawołała do Thome a:

- Walcie się! Pieprzone cioty!

Thome już miał puścić się za nimi w pogoń, ale Hendricks, który przez cały czas trzymał go za ramię, skutecznie go przed tym powstrzymał.

- Odpuść.

- Nie.

- Zapomnij. Wyluzuj...

Wyrwał się Hendricksowi.

- Gnoje...

Hendricks zastąpił mu drogę, podniósł reklamówkę i podał mu.

- Czemu się wściekasz, Thome? Bo nazwali mnie ciotą? A może dlatego, że ciebie tak nazwali?

Thome, nie potrafiąc odpowiedzieć na to pytanie, wziął od niego reklamówkę i mszyli dalej. W kilka chwil później skręcili w Angler Lane, jednokierunkową ulicę, która prowadziła wprost do domu Thorne'a. Ten wąski skrót do Prince Wales Road był kiedyś niewielką odnogą River Fleet, obecnie jednej z „zagubionych” podziemnych rzek. Za czasów rządów królowej Wiktorii miejscowi chłopcy łowili tu karpie i pstrągi, zanim jeszcze rzeka stała się tak cuchnąca i skażona, że nie miałyby szans w niej przeżyć żadna ryba i ten wąski kawałek trzeba było zamaskować pod ziemią, zamykając go w grubej, żelaznej rurze. Teraz, gdy Thome wracał do domu, podążając z biegiem zagubionej rzeki, odniósł wrażenie, że nawet po blisko dwóch stuleciach smród jest równie odrażający.

Parę minut po dziesiątej Hendricks zasnął na kanapie i wyglądało na to, że pośpi sobie prawie do niedzielnego południa. Thome przykrył go kocem, wyłączył telewizor i poczłapał do sypialni. W mieszkaniu jej nie było. Ale komórkę odebrała od razu.

- Mówi Thome. Mam nadzieję, że pora nie jest za późna. Z wywieszki na drzwiach zapamiętałem, że kwaciarnia jest w niedzielę zamknięta, więc pomyślałem sobie, że...

- Nic nie szkodzi, nie ma sprawy..

Thome położył się na łóżku. Wydawało mu się, że ucieszyła się z jego telefonu.

- Chciałem podziękować - powiedział. - To było naprawdę miłe popołudnie.

- Cieszę się. Mnie też się podobało. Może to powtórzymy?

Podczas krótkiego milczenia, które wtedy nastąpiło, Thome spojrzał na paskudny, tani abażur i słuchał jej cichego śmiechu. Usłyszał też jakiś hałas, którego nie potrafił zidentyfikować.

- A niech mnie - rzekł. - Nie tracisz czasu...

- Niby po co? Widzieliśmy się zaledwie parę godzin temu, a to, że dzwonicz, świadczy, że chyba ci zależy i też tego chcesz.

- Najwyraźniej...

- No dobrze, jutro trzeba odespać, a wieczorem mam trochę roboty A nawiasem mówiąc, jak bardzo ci zależy? W skali jeden do dziesięciu...

- Ee... a jeżeli powiem, siedem?

- Może być. Gdybyś wymienił którąś z niższych cyfr, poczułabym się urażona, a każda wyższa mogłaby mi się wydać podejrzana. Co powiesz na śniadanie w poniedziałek? Znam świetną kaf...

- Śniadanie?

- Czemu nie? Spotkamy się przed pracą.

- Dobra. W pracy powinienem być około dziewiątej, więc...

Eve zaśmiała się.

- Sądziłam, że naprawdę ci zależy, Thome! Mówimy o tym, kiedy JA zacznę pracę.

O wpół do szóstej, przy targu kwiatowym w New Covent Garden...

17 lipca, 1976

Minęło pół godziny, odkąd usłyszał hałas. Stękanie, krzyki i brzęk tłuczonego szkła. Usłyszał jej kroki, gdy krzątała, drepcząc od sypialni po skrzypiących deskach podłogi, których nigdy nie miał czasu naprawić, do łazienki i z powrotem.

Przez te pół godziny zmuszał się, by wstać z kanapy i sprawdzić, co się stało. Ale nie poruszał się. Musiał zebrać w sobie siły, wziąć się w garść, zanim zdoła wspiąć się na górę... Siedział przed telewizorem, zastanawiając się, jak długo to jeszcze potrwa. Lekarz powiedział, że jeśli będzie brała leki, w końcu się uspokoi i sytuacja się ustabilizuje, nic jednak na to nie wskazywało. A tymczasem on musiał o wszystko zadbać. O wszystko. Ona nie była w stanie pójść do sklepu ani do szkoły. Chryste, od tygodnia nawet nie schodziła na dół.

Doczłapywała tylko do szczytu schodów, wolno i sztywno jak zombi...

Przysłuchiwał się i obserwował to, co się działo, z uwagą, czując, że wszystko powoli, lecz nieubłaganie zaczyna się sypać. W pracy dali mu urlop, ale to nie będzie trwało wiecznie, ona nie zarabiała ani grosza, a ich długi rosły z każdym dniem, wraz z jego podejrzeniami. Mroczne myśli kłębiły mu się w głowie, pleniąc się jak pleśń zalegająca w wilgotnych, ciemnych zakamarkach ich życia. Tak było od chwili, kiedy przewodniczący ławy przysięgłych wstał i odchrząknął teatralnie.

Wszedł do sypialni, czując jak dywan chrzęści mu pod stopami. Spuścił wzrok, by ujrzeć dziesiątki zniekształconych odbić samego siebie w odłamkach stłuczonego lustra, i podszedł do miejsca, gdzie leżała przykryta kocem, nieruchoma jak manekin. Odwrócił się i poszedł z powrotem. Stąpając po skrzypiącej podłodze.

W łazience omal nie pośliznął się w kałuży kremu do twarzy. Przesząpił rozlane kałuże stłuczonych flakonów perfum. Kopnięciem posłał zbite butelki w kąt. To, co miało z

założenia służyć pokusie, pożądaniu i zmysłowości, wałało się po podłodze lub było rozbryznięte po ścianach; aż zebrało mu się na mdłości...

Podszedł do umywalki, z trudem powstrzymując torsje. Umywalkę wypełniała zawartość pustej już szafki, która wisiała powyżej. Błyszczak, szminka i cienie do powiek rozsmarowane po porcelanie. Krem nawilżający zatykający otwór odpływowy jak groźne, toksyczne odpady. Puder, szampon i żel do kąpieli rozsypane, rozlane i rozbryznięte dokoła. Fantazyjne mydélka poobijane od rzucania nimi ościany. Wgniecenia w ścianie, różowe jak skóra niemowlaka i granatowe jak siń - ce. Lustro popękane i upstrzone plamami lakieru do paznokci, czerwonego jak struga tętnicznej krwi...

Puścił wodę, by rozmoczyć to wonne trzęsawisko, i spryskał nią sobie twarz. Rozejrzał się dokoła, by zobaczyć jej ślady palców w talku i smugach żelu do ciała. Pozostawiała ślady po sobie we wszystkim, czego tak rozpaczliwie usiłowała się pozbyć.

Trzymała się nieźle, dopóki jej nie zdemaskowali, prawda. Dawała sobie radę, dopóki ten sekret pozostawał wyłącznie pomiędzy nią a Franklinem. Teraz zżerały ją wyrzuty sumienia, nieprawdaż? Odchodziła przez to od zmysłów albo przynajmniej udawała, że popada w obłąd. To w sumie zresztą nie miało większego znaczenia. Wpół minuty później, schodząc po schodach, myślał z przejściem: Ona skłamała, skłamała, skłamała, skłamała...

Ona. Skłamała.

## 7

Thome z miejsca by sobie odpuścił, gdyby zorientował się, że Eve Bloom jest rannym ptaszkiem - jedną z tych drażniących do żywego osób, które mimo bezbożnej pory są zawsze kwitnące i w radosnym nastroju. Dlatego też poczuł ulgę, gdy ujrzał ją siedzącą w kąciku z kubkiem mocnej herbaty w dłoniach i krzywiącą się bez żadnego widocznego powodu. Chyba czuła się równie paskudnie jak on...

Thome wysilił się na uśmiech.

- A już myślałem, że będziesz cała w skowronkach. - Spojrzała na niego bez słowa. - Podekscytowana hałasem i kolorami, upojona słodkim aromatem miliona kwiatów...

Skrzywiła się.

- Nic z tego.

Thome zadrżał i zatarł ramiona przez rękawy skórzanej kurtki. Od jakiegoś czasu lata bywały ciepłe, ale poranki wciąż pozostawały chłodne.

- Ale nadal to lubisz? - spytał. - Choć florystyka powoli zaczyna tracić swój urok?

Głośno upiła łyk herbaty.

- Pewne rzeczy z tym związane zawsze działały mi na nerwy..

Cofnęli się, gdy obok nich przejechał wózek pełen długich, różnorodnych pudeł. Pchający go mężczyzna mrugnął do Eve i zaśmiał się, kiedy pokazała mu palec.

- Wiem, że mnie pragniesz, Evie - zawołał, oddalając się ze swoim wózkiem.

Odwróciła się do Thome'a.

- A ty uwielbiasz w swojej pracy wszystko?

- Nie, oczywiście, że nie wszystko. Nie przepadam za autopsjami i rozwiązaniami siłowymi, gdy w grę wchodzi życie zakładników. Ani za seminariami na temat budowania zespołu...

- No to sam widzisz...

- Ale przeważnie chyba Kocham swój fach...

Po raz pierwszy dostrzegł cień uśmiechu. Zaczęła cieszyć się ich podwójną grą.

- Wydaje mi się, że Kochasz swoją pracę, ale nie jesteś w niej zakochany.

- Właśnie - Thome skinął głową. - Mam problemy z zaangażowaniem.

Podmuchała na herbatę, jej blade oblicze wyglądało jak maska.

- Typowy facet - mruknęła. A potem zaśmiała się, i Thome po raz pierwszy ujrzał szczelinę między zębami, która tak mu się spodobała...

Krażyli metodycznie po olbrzymim targowisku. W tę i z powrotem wzdłuż szerokich, betonowych chodników. Thome szedł kilka kroków za Eve, trzymając w dłoni kubek z herbatą i z wolna wracając do życia. Niespiesznie ogarniał to wszystko...

Okrzyki i gwizdy handlarzy oraz klientów rozbrzmiewały echem wewnątrz olbrzymiego magazynu. Banknoty dwudziestoi pięćdziesięciofuntowe przechodziły z rąk do rąk. Tragarze dźwigali skrzynie, a operatorzy wózków widłowych wprawnie manewrowali swoimi pojazdami. Zielone, odblaskowe kamizelki operatorów wózków mieszały się z innymi barwami, kwiatów, reklam, kurtek klientów i ich czapek, rozjaśnionymi blaskiem tysięcy świetlówek zwieszających się pod sufitem, dwanaście metrów wyżej.

Eve Bloom zdawała się znać każdy centymetr tego miejsca, wielkości dwóch boisk piłkarskich, wiedziała, gdzie można znaleźć każdego hurtownika i specjalistę, potrafiła zlokalizować każdy poszukiwany kwiat, roślinę lub drzewko pośród dziesiątków tysięcy innych. Thome patrzył, jak składa zamówienia, targuje się i przekomarza ze znajomymi sprzedawcami.

- W porządku, Evie, Kochanie...

- Jak się masz, złotko...

- Patrzenie, kto się tu zjawił? Gdzieś ty się podziewała, złotko?

Pomimo jej wcześniejszej ponurej miny, Thome zorientował się, że Eve lubi tę część swojej pracy. Uśmiech pojawił się natychmiast, szczery, naturalny i urzekający. Jeżeli klienci lubili ją choć w połowie tak jak hurtownicy, kwaciarnia musiała całkiem nieźle prosperować. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że twardo się targowała i nie kupowała niczego po paskarskich cenach. Hurtownicy z nosem na kwintę wypełniali arkusze zamówień albo stukali w klawiaturę komputera. „To czysty rozbój - mówili. - Wypruwasz mi żyły, kochana”. Po pół godzinie uporała się ze wszystkim, a tragarzy chętnych, by przenieść pudła pełne zakupionych przez nią rzeczy do małego, białego furgonu nie brakowało. Kiedy już towar został załadowany, po raz ostatni zabrała Thome a na przechadzkę po targowisku. Pokazała mu całe mnóstwo różnych kwiatów - tych, które lubiła i których nie cierpiała, które miały najcudowniejszy zapach i które wyjątkowo dziwnie wyglądały. Pokazała mu czerwone i żółte gerbery, ułożone w rzędach i popakowane w małe prostokątne pudełka jak owoce. Różowe peonie, pomarańczowe protee wyglądające jak poduszki do igieł, falliczne anturium z główkami jak coś, co mógł sfotografować Dennis Bethell. Thome ujrzał tyle goździków, że mogłoby ich starczyć na sto lat ślubów, i tyle lilii, że wystarczyłoby na tysiąc hucznych pogrzebów. Patrzył na stokrotki i ostróżki, tanie, wesołe bukiety, które zdesperowani mężczyźni mogli kupić wczesnym rankiem w supermarkecie przy najbliższej stacji benzynowej. Były tu też niebieskopomarańczowe rajskie ptaki, po pięć funtów za sztukę i owocujące drzewka cytrynowe w dużych donicach, jedno i drugie trafią z pewnością do salonów i wyłożonych marmurami sal konserwatoriów Hampstead i Highgate.

Thome kiwał głową, od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie i trzymał fason. Kiedy go zapytała, odparł, że świetnie się bawi. Prawdę mówiąc, choć imponowała mu jej wiedza i udzielił mu się jej entuzjazm, marzył o kanapce z bekonem...

Pół godziny później fantazje Thoma stały się ociekającą tłuszczem rzeczywistością. Eve dotrzymała mu towarzystwa, pochłaniając kiełbasę, jajecznicę i frytki z zapalem kierowcy ciężarówki. Może nie było to jej wymarzone śniadanie, ale w kafejce nie proponowano żadnych zdrowych potraw.

- Jak często to robisz? - spytał Thome.

- Zapycham sobie tętnice czy wstaję o bezbożnej porze?

- Targowisko...

- Dzięki Bogu, tylko raz w tygodniu. Niektórzy robią to dwa albo nawet trzy razy w tygodniu, ale ja za bardzo lubię powylegiwać się w łóżku.

Thome upił kolejny łyk herbaty. W ciągu dwóch i pół godziny wypił więcej herbaty niż przez cały ubiegły tydzień. Czuł, jak przelewa mu się w żołądku niczym brudna woda na dnie zbiornika.

- Zatem to, co dziś kupiłaś, musi ci wystarczyć na cały tydzień?

- Gdyby tak było, mój interes byłby mocno zagrożony. Reszta zamówień ma przyjechać z Holandii. Ten szurnięty Holender przyjeżdża wielkim furgonem w piątek, objeżdżając wszystkie mniejsze kwaciarnie w całym Wschodnim Londynie. To kosztuje drożej niż przyjazd tutaj, ale ja jednak wolę poleżeć w łóżku... - Sięgnęła do małego skórzanego plecaka i wyjęła paczkę silkcutów. Poczęstowała Thome'a. - Zapalisz?

- Nie, dziękuję - Nie mówił szczerze. Rzucił fajki piętnaście lat temu, ale wciąż miał ochotę zapalić.

Eve zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Następnie z pomrukiem zadowolenia wydmuchnęła dym ustami.

- Za tydzień masz urodziny, zgadza się?

- Masz dobrą pamięć - powiedział. Wydał policzki. - Moja już zaczyna szwankować. Starość nie radość. - Skrzywił się drwiąco. - Nawiasem mówiąc, dzięki za przypomnienie...

Pod jego czaszką rozbłysła iskierka, zaskwierczała i zgasła. Próbował coś sobie przypomnieć, coś, co było istotne dla sprawy. Coś, czym czytał. A może czego nie przeczytał...

Powrócił wzrokiem do Eve i stwierdził, że ona coś mówi. Ale on jej nie słyszał.

- Przepraszam, co mówiłaś...?

- To byłby dla ciebie miły prezent, gdybyś rozwiązał tę sprawę, prawda?

Thome pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Choć... obiecałem sobie parę kompaktów...

Strząsnęła popiół do popielniczki.

- Nie lubisz mówić o pracy, zgadza się?

Patrzył na nią przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Są rzeczy, o których nie mogę mówić, zwłaszcza że jesteś związana ze sprawą. A to, o czym wolno mi mówić, nie jest zbyt ciekawe.

- Myślisz, że nudziłabym się tak, jak ty na targowisku...?

- Wcale się nie nudziłem.

- Czy przestępcy, których przesłuchujesz, kłamią tak samo marnie jak ty?

Thome zaśmiał się.

- Dobrze by było.

Zgasiła papierosa i odchyliła się do tyłu, by na niego spojrzeć.

- Ciekawi mnie, co robisz.

Przypomniała mu się ich rozmowa w herbaciarni. Wrażenie, że już dawno nie rozmawiał z kobietą w taki sposób. I już od dawna nie rozmawiał z nikim o swojej pracy.

- Śledztwa w sprawie zabójstw bardzo szybko się urywają...

- A więc musisz dopaść zabójcę jak najprędzej?

Thome skinął głową.

- Jeżeli ma się nam udać, musi się to stać w ciągu pierwszych kilku dni. A minęły już dwa tygodnie...

- Nigdy nie wiadomo...

- Ja niestety, swoje wiem.

Odsunęła krzesło i wstała od stolika.

- Przepraszam na chwilę. Muszę pozbyć się nadmiaru herbaty.

Kiedy wyszła do toalety, Thome wlepił wzrok w zaparowaną szybę. Kafelka znajdowała się w bocznej uliczce pomiędzy Wandsworth Road i Nine Elms Lane. Z miejsca, gdzie siedział, Thome widział sznury aut sunących w tej godzinie szczytu przez Vauxhall Bridge. Samochody wiozły swych pasażerów na południe w stronę Victoria i Piccadilly oraz na południe do Camberwell i Clapham. Do sklepów, biur i magazynów, gdzie ludzie ci będą narzekać i utyskiwać na kolejny parszywy poniedziałek, a zabójca nadal pozostanie na wolności, bo żadna z tych osób nie będzie zaangażowana w schwytanie go. Chociaż perspektywa takiej beztroski wydawała się kusząca, Thome za nic by się z nimi nie zamienił.

Wróciła Eve. Powyżej z głośnym łoskotem przemknął pociąg sunący w kierunku dworca Waterloo. Musiała podnieść głos.

- Zapomniałam zapytać - rzekła. - Jak tam roślinka?

- Słucham?

- No, aloes...

Thome zamrugał, przypominając sobie widok, jaki ujrzał zamglonymi oczyma tego dnia bladym świtem, o piątej rano. Zobaczył Elvis kucającą niepewnie nad małym metalowym kubelkiem. Kotka starała się nie zahaczyć brzuszkiem o ostre kolce. Spoglądając Thomeowi prosto w oczy, bezwstydnie nasikała na biały żwirek.

- Ee... Świetnie - odparł Thome.

Zadzwoiła komórka Thome a.

- Gdzie jesteś? - spytał Brigstocke. - Mamy Gribbina...

- Już jadę.

- Mówiąc, że go mamy, chcę powiedzieć, że wiemy, gdzie przebywa, jasne? Musimy go teraz tylko dopaść. Holland czeka przed twoim domem.

- Powiedz mu, że będę w domu za pół godziny.

- To gdzie teraz jesteś, do cholery?

Thorne spojrział na Eve, która wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Wybrałem się na małą przebieżkę...

Jak wygląda zboczeniec seksualny?

Thome wiedział, że to bezsensowne pytanie. Bezsensowne, bo nie było na nie odpowiedzi. A poza tym było również wyjątkowo niebezpieczne. Mimo to ludziom kazano wierzyć, że takowa odpowiedź istnieje. Ze powinni unieść ręce w górę i wykrzyknąć ją głośno. Tyle tylko, że odpowiedź zawsze przychodziła za późno, zgadza się? Po tym, kiedy krzywda została już wyrządzona i ucierpiali dzieci. Kiedy mężczyzna trafiał w ręce policji, a na pierwszych stronach gazet pojawiały się jego zdjęcia. Zupełnie jakby potwierdzone zostało to, co wszyscy już od dawna wiedzieli. Oczywiście! Przecież to było jasne jak słońce! Tak właśnie wyglądają tacy ludzie. To było wiadomo od samego początku...

Skoro to było takie oczywiste, jeśli zło tkwiące w tych ludziach odzwierciedlało się na ich twarzach i wszyscy mogli je dostrzec, to czemu sąsiedzi tych ludzi nie zorientowali się na czas, kto mieszka tuż obok nich? Skoro wystarczy spojrzeć takiemu łajdakowi w oczy i wszystko jest jasne, dlaczego mijamy ich bezwiednie na ulicy? Czemu pozwalamy, by uczyli nasze dzieci? Czemu kobiety wychodzą za nich za mąż?

Ponieważ, o czym Thome wiedział doskonale, takich rzeczy nie sposób dostrzec, choćbyś był nie wiadomo jak bystry i nie wiadomo jak bardzo się starał. Nikt nie wyglądał na zboczeńca seksualnego. Bo zboczeniec seksualny wyglądał przeciętnie, jak każdy z nas. Jak Thome. I Rusell Brigstocke. I Yvonne Kitson...

Jednak Ray Gribbin nie spełniał popularnego wyobrażenia ludzi o zboczeńcach seksualnych. Nie był typowym pedofilem, jednym z tych, których zdjęcia można ujrzeć na pierwszych stronach brukowców. Nie miał długich, pozlepianych w strąki włosów ani długiego, brudnego prochowca, ani nie dźwigał podejrzanych, wypchanych słodyczami reklamówek. Poza zniekształconym nosem, będącym rzekomo dziełem Remfii ego, Gribbin miał ogoloną na łyso głowę, lodowate oczy i uśmiech mówiący otwarcie: odwalcie się. Ten zboczeniec ipedofil wyglądał jak zatwardziały bandzior.

Jakkolwiek wygląda przeciętny zatwardziały bandzior... Thome dołożył zdjęcie do papierów, które przeglądał, i podał je Stone owi i Hollandowi siedzącym na tylnym siedzeniu. Stone spojrział na zdjęcie.

- Chryste, nie tego się spodziewałem - rzucił.

Thome w milczeniu patrzył przez okno po stronie pasażera. Brigstocke błysnął światłami i przydeptał pedał gazu do deski. Wóz przed nimi zjechał na bok, by przepuścić nieoznakowane volvo.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział. - Wygląda jak typ, który nie zapomina wyrządzonej mu krzywdy, mam rację?

Thome nie próbował zaprzeczać. Mętnowym wzrokiem patrzył na łąny pszenicy, których pola ciągnęły się po obu stronach M4, po której mknęli z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Czknął głośno, po tej lekturze zrobiło mu się trochę niedobrze. Brigstocke odezwał się, zwracając na siebie uwagę wszystkich.

- Racja, nim dotrzemy na miejsce, wszyscy powinniśmy zapoznać się z notatkami. - Thome nieznacznie opuścił szybę. Brigstocke spojrział na niego z ukosa i mówił dalej. - To ostatnia okazja, lecz nie mieliśmy wielkiego wyboru. Czas nas goni, ale musimy zrobić to, co trzeba, jak należy, zgadza się? - Dwaj policjanci z tyłu odpowiedzieli zduszonym pomrukiem. Thome odwrócił się, by na nich spojrzeć. - Gribbin ma barwną przeszłość kryminalną i jeżeli wierzyć opowieści Remfry ego, to jedyny raz, kiedy Gribbin znalazł się w sytuacji pokrzywdzonego. Wcześniej, gdy go zgarniano, zawsze miał przy sobie nóż, więc lepiej nie ryzykujemy...

Stone wychylił się do przodu, opierając się ramieniem o zagłówek i wsuwając głowę między fotel.

- Ilu z nas konkretnie tam wchodzi?

- Przypuszczam, że nasza czwórka i pam miejscowych chłopaków... - Stone pokiwał głową, kontynuując pospiesznie lekturę notatek.

- Uważajcie też na kobietę - ciągnął Brigstocke. - Sandra Cook nie jest aniołkiem. Miała już wcześniej zatargi z prawem. Narkotyki, kradzieże, prostytutka. Odsiedziała trzy miesiące w Holloway za pokancerowanie paznokciami twarzy jednemu z konstablów...

Holland wychylił się do przodu, Gdyby Brigstocke ostro zahamował, Holland wyrznąłby go twarzą w potylicę.

- To Patricia Cook dała nam cynk na Gribbina, zgadza się?

Stone spojrział na niego.

- Siostra Sandry...

Thome zaczerpnął łyk chłodnego powietrza i zamknął okno.

- Czemu miałyby donosić na chłopaka swojej siostry? - spytał Holland.

Brigstocke próbował wychwycić w lusterku spojrzenie Hollanda.

- To drugi z powodów, dlaczego nie możemy dziś skrewić - powiedział. - Niestawianie się na komendzie nie jest jedynym przewinieniem Gribbina, jeżeli chodzi o łamanie przez niego przepisów zwolnienia warunkowego.

- Cholera - Stone dopiero teraz to zobaczył. Pokazał notatkę Hollandowi.

Thome odwrócił się i spojrzał na Hollanda.

- W domu są trzy osoby, Dave. Gribbin, Cook i jej jedenastoletnia córka... - Thome znów się odwrócił i poprawił pas bezpieczeństwa. Czuł, że serce w jego piersi zaczęło bić szybszym, bardziej nerwowym rytmem. W dodatku zaczęła go świerzbic skóra na karku. Wstrzymał oddech, kiedy jakiś owad rozbił się o przednią szybę auta, pozostawiając na niej rozbryźnięty krwawy ślad.

To była ślepa uliczka w kształcie podkowy w dzielnicy nowoczesnych osiedli rozciągających się na jej drugim krańcu.

Thome patrzył na domy, gdy furgonetka powoli mijała kolejne podjazdy. Chłonał wszystkie szczegóły, usiłując zorientować się, kto mieszka w tych domach. Jaskrawe, różnorodne drzwi frontowe. Wiszące kosze geranium, drewniane szyldy z napisami Pod Wiązami albo Wśród Ostów. Większość domów i garaży była pusta, mieszkańcy wiele godzin temu wyjechali do pracy, ale od czasu do czasu zauważył lekki ruch zasłony w oknie. Na sennym zwykle osiedlu coś się działo i tutejsi ciekawscy nie zamierzali tego przegapić.

To było jedno z tych zabawnych przedmieść, które nie bardzo potrafią się zdecydować, czy są miejskie, czy może raczej wiejskie. Położone prawie trzydzieści kilometrów od centrum Londynu było umiejscowione niezbyt fortunnie pomiędzy M25 a Chilterns. Bliskość wzgórz i wiosek o urzekająco brzmiących nazwach rekompensowała dorosłym mieszkańcom codzienną uciążliwą jazdę samochodem do i z pracy, ale ich nastoletnie dzieci miały raczej w tej kwestii odmienne zdanie. Świeże powietrze nie mogło zabić wszechobecnego poczucia nudy. Sklepiki z antykami nie powstrzymywały ich przed odlewaniem się pod murem w piątkowy wieczór ani przed kozakowaniem czy wszczynaniem awantur w środku miasta.

Thome zauważył kobietę przyglądającą mu się z okna na piętrze. Dostrzegł wyraz zaniepokojenia na jej twarzy i w chwilę potem już jej nie było, zapewne pośpieszyła do telefonu. To skądinąd całkiem zrozumiałe. Ci, co wyglądali ukradkiem spoza zasłon w okolicznych domach, widzieli niebieskiego transita. Inni, tacy jak ona, w domach po drugiej stronie, mogli zobaczyć czterech mężczyzn w kurtkach, dzinsach i adidasach, którzy po cichu chyłkiem przemykali ZA furgonetką, poruszając się w tym samym tempie co pojazd, zasłonięci jego masywną konstrukcją.

Kiedy furgon zaczął skręcać, ukryci za samochodem policjanci uczynili dokładnie to samo, pokonując szeroki łuk długiej uliczki. Gdy pojazd zwolnił, oni również, a kiedy się zatrzymał i silnik został zgaszony, stanęli i czekali w milczeniu ukryci za boczną ścianą transita.

Pięćset metrów dalej, przy drugim końcu podjazdu drogę blokowały dwie policyjne furgonetki. Gliniarze z drogówki dbali o to, by ruch uliczny przebiegał w miarę gładko, a kierowcy nie zwalniali, by popatrzeć, co się dzieje. Pół tuzina mundurowych nie dopuszczało bliżej coraz większego tłumu gapiów.

Za transitem Thome nasłuchiwał z uwagą. Wychwycił płynące gdzieś z oddali skrzeczenie krótkofalówki. I odgłosy ruchu ulicznego spoza placu za domami. Niedaleko grało radio. Wyłumił dźwięki i spróbował skupić się na tym, co mówił Brigstocke.

- Czy wszystko jasne? - pytał Brigstocke. Spojrzał hardo na Thorne'a, Hollanda i Stone'a. Thome wiedział, że tamten chciał zorientować się, czy go słuchano. Pozostali skinęli głową bez słowa. Sprawa była w sumie prosta, ale wystarczyłaby tylko chwila, aby coś poszło nie tak.

- Jasne...

Chwila ciszy i nagle Brigstocke rąbnął pięścią w ścianę furgonetki i z przodu w mgnieniu oka pojawiło się jeszcze dwóch funkcjonariuszy Drzwiczki furgonetki wciąż jeszcze się kołysały, gdy ruszyli biegiem w stronę domu, wyższy z tej dwójki dźwigał ciężki, metalowy taran.

Thome i pozostali wybiegli z samochodu po dmgiej stronie i zaczęli biec. Brigstocke i Stone natychmiast skierowali się w stronę furty opodal i udali się na tyły domu. Thome i Holland odłączyli się od nich i pogнали za dwójką funkcjonariuszy z furgonetki.

Stęknienia, zdyszany oddech i tupot gumowych podeszew na asfalcie, chodniku i trawie, a gdzieś tam nadal grało radio...

Thome podbiegł do policjantów, którzy zajęli pozycje przy frontowych drzwiach. Przykucnął gotowy, by rzucić się naprzód, i pokiwał głową. Kilka głębokich oddechów. Masywny gliniarz zgrzytnął zębami i zamachnął się taranem.

- Policja...!

Thome usłyszał krzyki wewnątrz i na tyłach domu. Drzwi nie ustąpiły. Zaczął kopać w zamek i zaraz się cofnął, kiedy taran znów jął opadać w stronę drzwi. Tym razem ustąpiły z głuchym trzaskiem, otwierając się na oścież, a Thome, z wyciągniętą przed siebie ręką, skoczył naprzód.

- Policja! Wszyscy wychodzić!

Z tyłu Thome usłyszał brzęk upuszczanego na próg tarana. Gdzieś przed nim rozległo się głośne łupnięcie, a z piętra dobiegł krzyk kobiety.

Kobiety, pomyślał Thome. Nie dziecka...

- Wszyscy wyłazić, ale już!

Ujrzał przed sobą korytarz. Po prawej widniało dwoje, nie, troje drzwi...

- Tam!

Spojrzał w lewo, gdy postawny policjant minął go i wbiegł na piętro, zwinnie jak na swoją masywną sylwetkę, pokonując po dwa stopnie naraz.

Na drugim końcu korytarza była kuchnia, przez tamtejsze okno zobaczył czekających za tylnym wejściem Brigstockea i Stonea. Holland minął go biegiem, aby im otworzyć.

Drzwi z trzaskiem rozwarły się na oścież, tuż przed nim. W pierwszym pokoju, nic... wrócił do holu i odwrócił się, by ujrzeć biegnących ku niemu Brigstocke a i Stone a.

Z wnętrza drugiego pokoju dobiegł krzyk.

- Tutaj...

Thome przecisnął się obok funkcjonariusza i wpadł do środka. Pokój był mały - kanapa, fotel i wciąż włączony szerokoekranowy telewizor. Na drugim końcu widniało łukowato sklepione przejście prowadzące do sąsiedniego pokoju, jadalni, jak uznał Thome.

Gribbin stał przy fotelu z rękoma uniesionymi nad głową, jego twarz nie okazywała żadnych emocji. Przeniósł wzrok od Thome a na przejście, skąd jeden z policjantów wyprowadzał Sandrę Cook. Minęła Brigstocke a i Stone a i zepchnęła z drogi Hollanda.

- Czego wy, kurwa, chcecie? - zawołała.

Thome zignorował ją i odwrócił się, by spojrzeć na Gribbina.

- Raymondzie Gribbin, jesteś aresztowany w związku ze złamaniem postanowień o zwolnieniu warunkowym, które...

Zatrzymał się i zerknął w stronę łukowatego przejścia po prawej, skąd powoli wyłoniła się jakaś postać. Siedem osób jedna po drugiej spojrzało w tę stronę, by zatrzymać wzrok na postaci małej dziewczynki.

- Czy wszystko będzie dobrze, Ray? Tak się boję...

Gribbin opuścił ręce i podszedł do niej.

- Nic się nie martw, kochanie...

Wszystko wydarzyło się w przeciągu kilku sekund... Andy Stone musiał być naprawdę szybki i silny, czemu dał dowód, zanim zdolali go odciągnąć Thome, Holland i wrzeszcząca Sandra Cook.

- Nie waż się jej tknąć!

Kiedy Gribbin opuścił ręce, by objąć dziewczynkę, Stone był już w połowie długości pokoju i dopadł Gribbina, gdy ten próbował przytulić blond główkę do swej masywnej piersi. Dziewczynka krzyknęła, kiedy ją odepchnął i odwrócił się, by stawić czoło atakującemu. Gribbin sięgnął ręką, chwytając Stone'a za kołnierz i zatoczył się do tyłu, spychając telewizor do samej ściany. Stone rozbił uderzeniem w przedramiona chwyt muskularnych, tatuowanych ramion Gribbina isplatając palce, zaciśniętymi, złączonymi pięściami rąbnął tamtego w twarz. W tej samej chwili trzy pary rąk pochwyciły Stone'a za kołnierz, pas i rękaw, odciągając go do tyłu, za fotel, podczas gdy Gribbin osunął się na kolana, a dziewczynka, szlochając, podbiegła do matki.

Stone spróbował wstać, aby wyjaśnić pozostałym, że nad sobą panuje i mogą go już puścić...

Thome podszedł i ukląkł obok Gribbina.

Mężczyzna opierał się potylicą o telewizor, jedną rękę gorączkowo zacisnął w pięść. Pomiędzy palcami drugiej sączyła się krew. Na ekranie telewizora, za Gribbinem pojawiła się właśnie, wśród burzy oklasków gospodyni popularnego talk show i zachęciła zebranych gości, by podzielili się z nią opowieściami o swych najgorszych świątecznych koszmarach.

Dwadzieścia minut później mieszkańcy wąskiej ślepej uliczki z zapartym tchem, stojąc przy oknach, patrzyli, jak policja wyprowadza Gribbina z domu. Mężczyzna przyciskał chustkę do tego, co pozostało z jego nosa.

Zanim nadeszła pora picia herbaty, wstępne przesłuchanie zostało zakończone. Nie wyglądało to najlepiej. Choć to i owo trzeba jeszcze było wyjaśnić, nie ulegało wątpliwości - a przynajmniej dla Thorne'a było to całkiem jasne - że Gribbin nie miał nic wspólnego z zamordowaniem Douglasa Remfry'ego.

Telefon zadzwonił tuż przed jedenastą. Głos mógł należeć tylko do jednej osoby.

- Chyba uśmiechnęło się do pana szczęście, panie Thome.

- Słucham cię, Kodak.

- Tylko niech pan się zbytnio nie ekscytuje, bo niezależnie od wszystkiego będziemy musieli poczekać jeszcze kilka dni, ale sprawy przybrały dość pomyślny obrót. Pamiętaj pan, jak żartowałem, że odwalam za pana robotę...

Thome słuchał w milczeniu. Sprawy chyba faktycznie zaczęły przybierać pomyślny obrót, ale po katastrofie z Gribbinem wolał dmuchać na zimne. Niemniej jednak był gotów jak tonący chwycić się nawet brzytwy.

Wszedł do sypialni i położył się.

Zaczął się robić chłodniej.

Paprocie i trawa pod nim wydawały się zbite i wilgotne, a wysoko w górze niebo zaczęło ciemnieć.

3 sierpnia, 1976

- Cuchniesz. Cuchniesz śmiercią. Kurewsko śmierdzisz...

Jej oczy nie zdradzały niczego. Nie było w nich smutku z powodu oskarżeń ani zaprzeczeń czy bólu, gdy całym ciężarem napierał na jej ramiona, z twarzą oddaloną o kilka centymetrów od jej oblicza.

Puścił ją i cofnął się, stając w nogach łóżka, gdzie leżała taca z nietkniętym posiłkiem.

- Mam tego, kurwa, serdecznie dość - wycedził. - Chcesz się zagłodzić, twoja sprawa, ale nie zmuszaj mnie, żebym szykował dla ciebie cały ten szajs, jasne?

Uniosła się na poduszce, spojrzała w przestrzeń poza nim.

- No co? - zawołał. - Co znowu?

Patrzył na nią przez minutę lub dwie. Jej twarz była dla niego zawsze dostatecznie pusta, aby potrafił wyobrazić sobie, jak się zmienia, i wywołać grymas, który będzie wymowny jak samo życie. Dostrzec, jak opuszcza wzrok, jak zaciskają się mięśnie jej szczęki i napina się skóra przy ustach. To wyraz wstydu.

Sięgnął po talerz i cisnął nim o ścianę nad jej głową. Nawet nie drgnęła. Nie mrugnęła powieką.

Przystanął w drzwiach, odwrócił się i spojrzał na nią. Oczy miała puste jak szkło. Po ścianie z tyłu za nią spływała zgęstniała fasola.

- W sądzie usiłowano dowieść, że nawet jeśli zostałam zgwałcona, sama się o to prosiłam. Dajmy na to, twoja sukienka. Chodziło im o twoje zachowanie. O to, że sama go prowokowałam, flirtowałam z nim, dawałam mu sygnały, że tego chcesz. Ale oni nie znają nawet połowy prawdy, zgadza się? Bo naprawdę tego chciałam. Wiem, że tak było. Prawie się o to prosiłam. Zaciągnęłam go do tego cholernego magazynu - poprosiłam go o to. Powiedziałaś mu, czego chcesz...

Kiedy zamykał za sobą drzwi sypialni, wciąż słyszał, jak powtarzała pod nosem to samo słowo.

## 8

Thome skręcił z Charing Cross Road w prawo. Jedenasta rano, a z nieba lał się istny żar. Zdjął kurtkę i przerzucił ją sobie przez ramię, idąc wzdłuż Old Compton Street.

Soho było miejscem trudnym do opisanego i przez lata na tym opierał się cały jego urok. Czy była to dzielnica bohemy czy raczej biedoty? Malownicza czy szemrana? Thome

wiedział, że obecnie tego wszystkiego było tu po trochu, ale żadna ze stron nie poddawała się bez walki. Po czterech dekadach podejrzane typy, które najechały na Soho w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, stały się trendy. Dzięki nowej fali brytyjskich filmów gangsterskich, Billy Hill, Jack Spot i ich chłopcy, w szpanerskich garniturach i z nażelowanymi, zaczesanymi do tyłu włosami stali się swoistymi ikonami tego miejsca. Dzięki swej nowo odkrytej seksowności to właśnie ci mężczyźni i ci, co przyszli po nich w latach siedemdziesiątych, przegnali stamtąd dotychczasowych mieszkańców i uciszyli hałaśliwe serce owej dzielnicy.

Głównie za sprawą gejów serce Soho zaczęło bić na nowo. Teraz był to jeden z obszarów w centrum miasta, który nie zatracił swej tożsamości, tej samej, którą krwawy zamach bombowy na pub Admiral Duncan sprzed kilku lat tylko wzmocnił. Chociaż Thome nie czuł się w pełni swobodnie, kiedy Phil Hendricks zaciągnął go tu parę razy na drinka, nie mógł zaprzeczyć, że w tym miejscu panuje przyjemna atmosfera.

Thome minął Greek Street, Frith Street, Prince Edward Theatre i witrynę Ronniego Scotta po prawej. Młodzi ludzie siedzieli w ogródkach kafejek, ciesząc się upalną pogodą i szpanując wysportowanymi ciałami. Soho wciąż było świetnym miejscem, aby coś zjeść i wypić, ale na każdy bar Italia przypadały tu dwa Starbucks Costa Coffe, na jeden rodzinny sklepik spożywczy zaś dwa supermarkety z sieci Pret aManger...

Thome nagle poczuł się głodny i uświadomił sobie, że ma problem. Wiedział, że nie zdąży zjeść wczesnego lunchu, a późniejszy posiłek pokrzyżowały mu plany kolacji, której nie mógł się już doczekać.

- Cóż, czemu nie - rzekła Eve, kiedy zadzwonił. - Jedliśmy już śniadanie i lunch...

Na rogu Dean Street mieścił się sklepik oferujący akcesoria dla fetyszystów. Thome przystanął i spojrzął na witrynę. Stał na niej manekin w lateksowym stroju. Miał na szyi obrożę nabijaną ćwiekami, twarz przesłoniętą maską przeciwgazową. Pomyślał o zdjęciach Jane Foley; właśnie dlatego się tu zjawił.

Spojrzał na zegarek: spóźni się.

- Czy naprawdę oglądał pan to zdjęcie? - zapytał go przez telefon Bethell.

- Słucham?

Bhell wydawał się napuszony, zadowolony z siebie.

- No, czy uważnie je pan obejrzał...

Thome nie był w najlepszym nastroju.

- Jestem zmęczony i miałem kiepski dzień, więc mów, co masz powiedzieć, dobra?

- Chodzi mi o to, czy NAPRAWDĘ pan mu się przyjrzał, panie Thome. W którymś z waszych laboratoriów czy jakoś tak. Tak, by użyć elektronicznego sprzętu powiększającego i rozłożyć je na piksele pierwsze...

- Mówimy o policji, Kodak. Ja w moim gabinecie nie mam nawet zwykłego wiatraczka...

- Tak się składa, że mam odpowiedni sprzęt. Używam go do tworzenia grafiki komputerowej. Przyjrzałem się pańskiemu zdjęciu, używając tego sprzętu i... bingo!

- To znaczy...?

- Zdjęcie wykonano na białym tle, zgadza się? Prześcieradło albo ekran, jak to zwykle bywa. W prawym dolnym rogu widać niewielki ślad, jakby smugę, pamięta pan?

- Nie bardzo...

Thome skręcił w prawo i zaraz potem w lewo w Brewer Street. Tu, bardziej niż gdziekolwiek indziej w Soho, widać było kontrasty pomiędzy tym, co wyrafinowane, a tym, co wulgarne i prostackie. Obok barn sushi peep show. Salon masażu shiatsu obok przybytku, gdzie oferowano inne, bardziej przyziemne rozkosze ciała. Znudzona blondynka w kantorku machnęła na niego ręką, zapraszając, by obejrzał „podwójny numerek na żywo”. Thome zastanawiał się, czy oferowano gdzieś tutaj numerki z udziałem nieboszczyków.

- Zapraszam, kochanie - rzekła kobieta.

Thome uśmiechnął się i pokręcił głową. Kobieta zbytnio się tym nie przejęła. Naturalnie w branży erotycznej zawsze chodziło jedynie o pieniądze, ale Thome znał dziwki, które lepiej umiały to maskować. Miał tylko okazję czytać o swojej ulubionej dziwce wszech czasów, ale z przyjemnością, by się z nią spotkał. Legendarna prostytutka znana jako Miss Corbett pracowała na tych ulicach w osiemnastym wieku i pobierała od każdego klienta dodatkową gwineę za każdy centymetr, jakiego ich „masztowi” brakowało do dwudziestu dwóch, czyli długości, którą sama uznawała za satysfakcjonującą.

Dwieście pięćdziesiąt lat później, na tych ulicach każdej nocy pracowali funkcjonariusze z wydziału do walki z narkotykami, a nie z obyczajówki. Psy tropiące robiły to, do czego je szkolono, ale zdaniem Thorne'a była to strata czasu i wysiłku. Mnóstwo ciężkiej pracy i zasobów ludzkich, aby dopaść zbląkanego amatora zakazanych używek lub, jak szczęście dopisze, drugorzędnego dilerę...

- Wie pan, jak często wspomina pan o szczęściu i o tym, że bardzo go panu potrzeba?

Thome rozciągnął się teraz na kanapie, przykładając telefon do ucha, a drugą głaszcząc Elvisa po brzuszku.

- Kodak, czy zechciałbyś wreszcie przejść do rzeczy?

- Już się robi. Jednak dopisało panu szczęście. Wskanowałem zdjęcie do mego komputera i powiększyłem je na maksa. Jeżeli oryginał jest dobrej jakości, można z tym naprawdę nieźle poeksperymentować, rozumie pan?

Thome powiedziałby, że to niemożliwe, ale głos Bethella stał się jeszcze bardziej piskliwy, w miarę jak fotografik coraz bardziej się ekscytował.

- Tak więc przeskanowałem tę fotkę, zrobiłem zoom i zobaczyłem, czym była ta brązowa smuga. Widzi pan, rozpoznałem to.

- Rozpoznałeś?

- To wypalony ślad na białym materiale prześcieradła. Rozpoznałem ten ślad, bo byłem przy tym, jak powstał. Trzy miesiące temu robiłem sesję zdjęciową ménage à trois i jakaś głupia flądra, która najwyraźniej przesadziła z prochami, przewróciła się na reflektor. Mogłoby być znacznie gorzej, ale skończyło się tylko na niewielkim przypaleniu prześcieradła. Pamiętam ten kształt. Ten kutwa, właściciel atelier nawet nie pokwapił się, by wymienić prześcieradło...

Thome usiadł.

- Przydałoby się nazwisko i adres tego kutwy.

- Charles Dodd. Właściwie Charlie, ale on upiera się, żeby mówić mu Charles. Zgrywa zamożnego cwaniaka, ale faktycznie ten kutas pochodzi z Convey Island...

- Kodak...

- Ma atelier nad sklepem rybnym przy Brewer Street.

Thome znał ten skepik.

- A teraz posłuchaj... - zaczął.

- Niestety, chyba będzie pan musiał poczekać kilka dni. Jest teraz w Europie, sprawdziłem to.

Thome myślał intensywnie. Czy należało zaczekać? A może raczej powinien zdobyć nakaz i przetrząsnąć całe atelier, dopóki Dodd przebywał za granicą...?

- Myślę, że odwaliłem kawał dobrej roboty, panie Thome - rzekł Bethell. - Jak pan uważa?

- Chcę wiedzieć, że wrócił, kiedy tylko znajdzie się w Londynie.

Teraz, w trzy dni po tej rozmowie, Thome obserwował Dennisa Bethella w księgarni po drugiej stronie ulicy. Przeglądał jakieś albumy, choć jego własne, nieco bardziej ekstrawaganckie, sprzedawano zapewne w pomieszczeniu w suterenie. Thome już miał przejść przez ulicę, kiedy nagle zderzył się z mężczyzną nadchodzącym szybkim krokiem z lewej strony.

- Przepraszam - wycodził przez zęby Thome. Tamten tylko mruknął, uniósł prawą rękę i pomaszerował dalej.

Bethell przywołał go gestem dłoni z wnętrza księgi. Thome skinieniem głowy wskazał długi koniec ulicy i mszył przed siebie. Bethell odłożył wielki album ze zdjęciami artystycznymi, z niejakim trudem przecisnął się przez drzwi księgi i poczłapał za inspektorem.

Welch zaśmiał się, maszerując Wardour Street. Przez lata spędzone w różnych zakładach nauczył się tego i owego. Po pierwsze nigdy nie przepaszaj. A po drugie, naucz się na pierwszy rzut oka rozpoznawać glinę...

Od czasu swego zwolnienia sporo spacerował. Tak po prostu. Tandety hotelik, gdzie się zatrzymał, działał na niego przygnębiająco, a on lubił chodzić i w ogóle przebywać na świeżym powietrzu. Pogoda była cudowna, parę dni poza murami, a już zaczął odzyskiwać kolory. Wyglądał nieco lepiej i pozbył się więziennej bladości, a kobiety, które mijał, mające na sobie tyle co nic, wyglądały wręcz olśniewająco. Był niełicho napalony. Chrzanić to, jeśli tak miały wyglądać efekty globalnego ocieplenia, to komu jeszcze u diabła zależało na powłoce ozonowej? W witrynach, które mijał po drodze, prezentowano reklamy nowych filmów. Welch przystanął i spojrzął na kilka, które go zaciekały. Może gdy otrzyma przyznany zasiłek, poświęci kilka popołudni, aby nadrobić stracony czas. Zanim trafił do pudła, bardzo lubił kino, starał się oglądać możliwie jak najwięcej, o ile tylko nie było to kino awangardowe.

Na dzień przed swoim aresztowaniem też był w kinie. Na Blair Witch Project. Ona cała się do niego kleiła, zwłaszcza w bardziej strasznych momentach ani na chwilę nie zdejmowała ręki z jego kolana. Był zadowolony. Potrafił odczytywać sygnały. Dopiero później ta zdzira zmieniła front. Chciała go wyrolować.

Wciąż nie mógł się nadziwić, że tak go załatwili. Przecież przez cały czas go nakręcała, prowokowała tak, że aż jaja omal mu się nie zagotowały, aż w końcu ni stąd, ni zowąd stwierdziła, że nie chce, że nie ma na to ochoty. Ze na to jeszcze za wcześnie czy jakoś tak. Uznał, że wciska mu kit, bo nie chce, aby pomyślał, że ma do czynienia z puszczalską. I że potrzebuje jedynie odrobiny perswazji...

Zdziwił się, kiedy następnego dnia do jego mieszkania zapukała policja. Nie mógł w to uwierzyć. Wciąż kręcił głową, kiedy zaczęli robić mu kipisz w mieszkaniu.

Od razu zorientował się, że policjant, który zajmował się pobieraniem „materiału organicznego”, uważał to wszystko za niepotrzebny szajs i marnowanie ich drogiego bądź co bądź czasu. Kiedy powiedział im, jak napalona była ta mała podczas seansu, tamten nawet

pokiwał głową. Od razu zorientował się, co jest grane. Ale policjantka, która mu towarzyszyła, była inna - i zwyczajnie się na niego uwzięła.

- Umie pan odczytywać sygnały, tak? - spytała. Twarz miała pozbawioną wyrazu, szpule taśmy zaskrzypiały, kiedy policjanci włączyli dyktafon. - To proszę mi powiedzieć, o czym teraz myślę.

- Ze byłbym w pani typie, gdyby nie była pani lesbą?

Spoglądając w okno, ujrzał odbicie własnego uśmiechu, wspominając wyraz jej twarzy, kiedy to powiedział. Uśmiech nieznacznie przygasł, kiedy przypomniał sobie wyraz tej samej twarzy osiem miesięcy później, uśmieszek dostrzeżony z drugiego końca sali sądowej, kiedy wyprowadzano go w kajdankach.

Podszedł do kolejnej witryny. Zdobił ją plakat nowej superprodukcji z Bruce'em Willisem. Jakiś nowy pocisk, łobuzerski uśmiech Bruce'a i plastikowa blondyna ze sztucznymi cyckami. Może w przyszłym tygodniu albo za dwa, kiedy już zacznie otrzymywać zasiłek, obejrzy ten nowy film. Na razie nie było go na to stać. Pieniądze, które wypłacono mu, kiedy opuszczał więzienie, nie wystarczą na długo, a poza tym jutro musiał przecież zapłacić za pokój w hotelu...

\*\*\*

- Na pewno tam jest?

- Na sto procent, panie Thome. Wczoraj wrócił z Holandii. Przyjechał, aby zabrać stamtąd parę rzeczy.

Thome pokiwał głową. Z Holandii ciężarówkami przywożono nie tylko kwiaty...

Stali po drugiej stronie ulicy naprzeciwko sklepu rybnego, błyskający neon nad Raymonds Revue Bar odbijał się w szybie wystawowej. Czerwone i niebieskie światła zdawały się tańczyć na lśniących ciałach pstrągów, śledzi i turbotów. Obok szyby wystawowej wąskie, brązowe drzwi.

Bethell wcisnął dłonie do kieszeni obcisłych, skórzanych spodni. Przesząpił z nogi na nogę. Nosił drogie obuwie sportowe.

- Dobra, to ja już będę się zmywał...

Thome sięgnął po portfel, zastanawiając się, czy na ton głosu Bethella mógł mieć wpływ rozmiar jego obcisłych, wręcz ciasnych spodni. Odliczył pięćdziesiąt funtów w banknotach dziesięciofuntowych, Bethell przyjął je i w zamian wręczył mu kopertę.

- Zwracam panu zdjęcie.

Thome postąpił krok naprzód i uniósł kopertę w dłoń.

- Oby nie znalazło się w Internecie, rozumiemy się?

Bethell wybuchnął piskliwym, urywanym śmiechem.

- Nie wiedziałem, że odwiedza pan takie strony... - Thome zaczął przechodzić przez ulicę. - Mam nadzieję, że nie wymieni pan mojego nazwiska...

Thome przystanął, aby przepuścić jadący samochód i nie odwracając się, rzucił:

- Przecież nie powiem mu: Przysłała mnie Dennis Bethell, prawda?

- Mówię poważnie...

- Wyluzuj, Kodak. Twoja reputacja nie zostanie wystawiona na szwank. Nie piszę o tobie ani słówka. Bez podtekstów, ma się rozumieć.

Thome nacisnął przycisk na białym, brudnym domofonie i cofnął się okrok. Spojrzał w górę na nieruchomą, szarą zasłonę i w prawo, na czarne oko wielkiej szpetnej ryby, której nie potrafił nazwać. Okno wystawowe było oryginalne, zdobione klinkierem, ale tutejsze ceny i różnorodność oferty zdawały się dorównywać bieżącym trendom i lokalizacji tego nowoczesnego sklepu. Steki z miecznika po piątku za sztukę i nigdzie nie było widać przegrzebków...

- Słucham?

- Pan Dodd? Czy moglibyśmy porozmawiać o wynajęciu pańskiego atelier? - Thome wychwycił podejrzliwość w każdym trzasku domofonu. Ponownie przeniósł wzrok na paskudną rybę i uniośł brwi. Co o tym sądzisz? - pomyślał.

Rozległo się głośne buczenie i wpuszczono go do środka.

Charlie Dodd stał u szczytu wąskich, pozbawionych wykładziny schodów. Miał ponad pięćdziesiąt lat, wąskie wargi i cesał się „na pożyczkę”. Uśmiechnął się, zastępując mu drogę, i próbował nadać swojej twarzy zachęcający wyraz.

Zanim Thome dotarł do szczytu schodów z nakazem w dłoni, uśmiech zmienił się w wymuszony grymas.

- Ma pan nakaz?

- Może mam, ale go nie potrzebuję. Sam mnie pan wpuścił.

- Najwyraźniej nie jest pan jednym z chłopców nadinspektora Daveya. Wszystko zostało już załatwione...

W Soho nawet po czterdziestu latach pewne rzeczy pozostawały takie same. Thome zapamiętał wymienione nazwisko, minął Dodda i pchnięciem otworzył drzwi z niepolakierowanej sklejki.

Dodd poczłapał za nim.

- O co, kurwa, panu chodzi?

Atelier miało wielkość dwóch przeciętnych sypialni, a dominującym meblem było tu podwójne łóżko. Jednak w przeciwieństwie do zwykłej sypialni ściany pomalowano tutaj na czarno, z belki sufitowej zwieszały się lampy, a Thome uznał, że tutejszy asortyment erotycznych gadżetów i strojów mógł śmiało konkurować z wyposażeniem sypialni kilku wysokich rangą członków Parlamentu...

Mężczyzna stojący w nogach łóżka odwrócił się, zdejmując z ramienia kamerę. Z tyłu za nim Thome spostrzegł białe tło z wypalonym śladem w prawym dolnym rogu.

Na łóżku leżały dwie chude, blade dziewczyny. Jedna wysunęła rękę spod drugiej i sięgnęła, by podnieść z podłogi paczkę papierosów. Druga spojrzała na Thome a, twarz miała pustą i bladą jak ściana.

- Co jest? - rzucił mężczyzna z kamerą.

Thome uśmiechnął się.

- Nie zwracaj na mnie uwagi...

Dodd uniósł dłoń w uspokajającym geście, spoglądając na kamerzystę, i odwrócił się do Thome a.

- Posłuchaj no, nie dzieje się tu nic niezgodnego z prawem, więc łaskawie weź dupę w troki i spływaj stąd, dobra?

- A co z towarem, który przywiozłeś właśnie z Holandii, Charlie?

- Thome postąpił naprzód i poprowadził Dodda w róg pokoju. - Wybacz, wiem, że wolisz, kiedy mówi się do ciebie Charles.

Wodniste zielone oczy zwięzły się, gdy Dodd rozpaczliwie zastanawiał się, kto puścił farbę na jego temat...

- Czego chcesz?

Thome wyjął z koperty zdjęcie.

- Wykonano je tutaj. - Podał je Doddowi. - Chcę wiedzieć, kto je wziął. To niezbyt trudne...

Dodd pokręcił głową.

- Nie tutaj, stary.

Thome wcisnął się za Dodda, stając dostatecznie blisko, by poczuć woń jego potu i żelu do włosów. Palcem wskazał ślad na zdjęciu, a potem, ujmując Dodda pod brodę, odwrócił mu głowę, by pokazać wypalony znak na prześcieradle.

- Spójrz jeszcze raz, Charlie...

Dodd przeniósł wzrok na zdjęcie. Mężczyzna z kamerą znów zaczął kręcić. Mówił do dziewcząt, które leniwie przyjęły odpowiednie pozycje na łóżku.

- Jeżeli zrobiono je tutaj, to mnie przy tym nie było - odparł Dodd, oddając fotografię Thome owi. Wskazał ruchem głowy na łóżko. - Kiedy kręcimy typowe fikołki, tak jak dziś, staram się przy tym być, ale poza tym...

Jedna z dziewcząt zaczęła teatralnie pojękiwać. Thome spojrzał w tę stronę. Kamera była skierowana na głowę dziewczyny, która z zapalem pracowała przy kroczu swej koleżanki. Na drugim końcu łóżka dziewczyna, która jęczała, wciąż paliła papierosa, wlepiając wzrok w sufit.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz, jak zrobiono to zdjęcie?

- Bywa, że niektórzy klienci wołają, żeby mnie tu wtedy nie było. Rozumie pan, o co mi chodzi? Poza tym ja chyba pewnych rzeczy wolałbym nie wiedzieć, a ci klienci sporo płacą za wynajem studia, więc...

- Bzdura. - Thome podsunął mu zdjęcie pod nos. - Widzisz tu jakieś zwierzęta? Albo małych chłopców?

Dodd odtrącił rękę Thome'a i pokręcił głową.

- To towar z najwyższej półki, ale nie ma w tym nic mocniejszego. Takich fotek zrobiono całą serię i są one ogólnie bardzo podobne, więc zacznij sobie przypominać, Charlie...

Dodd zaczął się denerwować. Raz po raz wodził dłońmi po nażełowanych włosach. Gdy przemówił, Thome zobaczył biały płatek zaschniętej śliny przesuwający się z górnej wargi na dolną i z powrotem.

- Nie było mnie tu. Jasne? Pamiętałbym, gdyby było inaczej, pamiętam wszystkie zdjęcia, jakie tu pstrykano, może pan spytać kogo zechce. Jak sam pan mówi, fotka jest w zasadzie niegroźna, więc czemu tak na niej panu zależy?

Na łóżku dziewczyna, która była obrabiana, sięgnęła, by zgasić papierosa na talerzyku. Kamerzysta wychylił się lekko do przodu.

- No dalej - rzekł do drugiej dziewczyny - wsadź jej język w tyłek...

- Dobra - rzucił Thome. - Podaj mi nazwiska osób, które nie życzyły sobie, abyś był obecny przy robieniu przez nie zdjęć. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy... mniej więcej...

- Jezu, wie pan, ilu ludzi korzysta z tego atelier?

- Nie mówię o stałych klientach. Raczej o tych na jeden raz.

- No dobra, ale to nadal...

- Tylko jeden facet z dziewczyną. Myśl...

Kamerzysta z rozdrażnieniem kopnął w kant łóżka i odwrócił się.

- Na miłość boską, moglibyście się przymknąć? Tu się pracuje...

Dziewczyna, która obrabiała koleżankę, uniosła głowę i spojrzała na Thome a. Jaskrawe oświetlenie czyniło jej twarz przeraźliwie białą, bardziej niż bladość będąca efektem działania heroiny. Dodd otworzył usta, by coś powiedzieć, a Thome z niejaką ulgą odwrócił wzrok.

- Był taki jeden, jakoś cztery, pięć miesięcy temu. Jednorazowy numer, tak jak pan mówi. Chciał wynająć atelier na kilka godzin. Zwykle nawet jeśli ktoś nie życzy sobie mojej obecności podczas zdjęć, zostaję, by ustawić oświetlenie, ale ten gość powiedział, że sam sobie poradzi. Mówił, że się na tym zna.

- A co z dziewczyną?

- Nigdy jej nie widziałem. Rozmawiałem tylko z nim...

- Nazwisko.

Dodd parsknął i spojrzał z niedowierzaniem na Thome a.

- Dobra. Zajrzę do ksiąg... Albo zapytam sekretarkę, ona będzie wiedziała. Na 'miłość boską...

Thome zrobił krok w stronę drzwi.

- Włóż kurtkę, Charlie. Muszę mieć portret pamięciowy tego kutasa i oby twoja pamięć do twarzy była lepsza niż do cycków czy tyłków.

- Wybacz, stary, nic z tego. Właśnie dlatego gość zapadł mi w pamięć. W pierwszej chwili pomyślałem, że to kurier, że przywiózł negatywy czy coś takiego. Miał na sobie skórzany kombinezon i kask motocyklowy z zaciemnioną przesłoną...

Thome w jednej chwili zorientował się, że Dodd mówił prawdę. I znów poczuł nieprzyjemny ucisk na karku i potylicy. Jego fart prysnął jak bańka mydlana.

- Musiałeś widzieć się z nim więcej niż raz. Przecież nie zjawiał się, by wynająć atelier z ulicy, i od razu zrobił swoje.

- Raz, by umówić się na wynajem studia, i drugi raz na zdjęcia. Dodd zaczął z wolna odzyskiwać rezon. - Ale nie miałem okazji mu się przyjrzeć. W obu wypadkach miał na sobie kombinezon i kask motocyklowy. Pamiętam, jak stał tam, na schodach w motocyklowym stroju, jak jakiś płatny morderca, czekając, aż wyjdę...

Z drugiej strony pokoju dobiegło brzęczenie wibratora. Kamera znów została włączona.

Thome odwrócił się i szarpnięciem otworzył drzwi. Zeznanie można będzie spisać później, bo i tak nie wniesie nic istotnego do sprawy. Wyrznął centralnie w kolejny mur, jaki pojawił się na jego drodze, czarny i niewzruszony jak ściana erotycznego studia za nim. Zbiegł po schodach na dół, pokonując po dwa stopnie naraz. Dreszcze, jakie przenikały jego

ciało od stóp do głów na każdym kolejnym stopniu, omal nie zburzyły wizerunku, jaki utrwalił sobie w myślach. Oblicze dziewczyny na łóżku, kiedy uniosła głowę i odwróciła się, by na niego spojrzeć... Jej usta i podbródek błyszczały, ale oczy były równie czarne i martwe jak u ryby, którą niedawno widział leżącą na wystawie w sklepie rybnym.

10 sierpnia, 1976

Po raz pierwszy od dłuższego czasu dostrzegł na jej twarzy jakikolwiek wyraz. Nie spodziewał się reakcji, ale mimo wszystko był tym mile połączony. To jak opadła jej szczęka, a oczy nieomal wyszły z orbit, kiedy ujrzała jego dłoń zaciskającą się na uchwycie lampy...

- Proszę - wyszeptała. - Błagam...

W ciągu tych kilku sekund, kiedy uniósł lampę wysoko nad głowę, pomyślał o różnych interpretacjach tego słowa. O znaczeniu, jakiego mogło ono nabrać. W zależności od drobnych, subtelnych różnic, w intonacji i zmianach akcentu.

Pomyślał o tym, jak bardzo to było zwodnicze.

Proszę, nie...

Proszę, zrób to.

Proszę, nie przestawaj...

Proszę. Daj mi rozkosz. Błagam...

Błagała o to.

Kiedy opuścił lampę, wkładając w to całą swą siłę, pomyślał, że mimo wszystko to było, zważywszy na sytuację, nader adekwatne słowo. W dodatku jej ostatnie.

Teraz nareszcie mówiła szczerze. Była sobą.

Z każdym kolejnym uderzeniem coraz bardziej odzyskiwał nad sobą panowanie, był coraz bardziej skupiony, mniej zdezorientowany, aż w końcu, kiedy jej twarz zmieniła się w niemożliwą do rozpoznania miazgę, przypomniał sobie gdzie, będąc ostatnio w garażu, widział linkę holowniczą.

## 9

Przerażająca pauza pomiędzy przybyciem a kolejnym zdarzeniem... Zapewniono ich, że niedługo nadejdą plastikowe obrusy wraz z piknikową zastawą stołową, a didżeje wkrótce zaczną rozstawiać sprzęt. Do tego czasu w barze był otwarty rachunek na sto pięćdziesiąt funtów, toteż każdy mógł wypić parę głębszych za zdrowie państwa młodych w oczekiwaniu na rozpoczęcie imprezy. Wszyscy mogli lepiej się poznać...

Niestety, w klubie rugby było za mało ludzi i nie dość głośno, aby Thome mógł poczuć się swobodnie. Odebrał kufelek ciemnego piwa dla ojca, szklaneczkę guinnessa dla siebie i zaczął się rozglądać za najbliższym ciemnym kątem. Usiadł tam, sącząc piwo i usiłując wykrzesać z siebie niezbędny entuzjazm dla jajek po szkocku, pasztetu wieprzowego w cieście i sałatki z makaronem. Unosił szklaneczkę w milczącym toaście do każdego, kto wychwycił jego spojrzenie, i starał się nie sprawiać wrażenia znudzonego, zmęczonego czy, uchowaj Boże, wymagającego pocieszenia.

Jego ojciec na pewno tego nie potrzebował. Jim Thome siedział na stołku przy barze i brylował w najlepsze. Opowiadał dowcipy kilku nastolatkom, którzy śmiali się, sącząc cienkie piwo. Każdej kobiecie, która chciała go wysłuchać, mówił, że ma pamięć jak złota rybka, bo cierpi na chorobę, która zabawnie się nazywa. Niestety zapomniał jak. Mrużąc filuternie powiekę, przeproszał też z góry, jeśli nie pamięta, że przespał się z którąś z nich.

Thome cieszył się, widząc ojca w dobrej formie. Bawiącego się jak za dawnych, dobrych czasów. Poczł ogromną ulgę po telefonie sprzed dwudziestu czterech godzin, który zepsuł mu wieczór z Eve Bloom...

\*\*\*

Duży stół z sosnowego drewna w kuchni zastawiono dla czterech osób. Thome czekał na przybycie pozostałych. Eve, stojąca przy kuchence, odwróciła się.

- Jeżeli się nad tym zastanawiasz, są w jej pokoju - powiedziała teatralnym szeptem. - Denise i Ben. Chyba się pokłócili...

Thome nalał wina do dwóch kieliszków. Odpowiedział szeptem:

- Jasne. Bardzo się pokłócili? Mam pozbierać ich nakrycia...?

Eve podeszła do stołu i wzięła swoje wino.

- Nic z tego. Ben nie dopuści, aby kłótnia zepsuła mu kolację. Zdrówko. - Upiła łyk i podeszła z kieliszkiem do kuchenki, gdzie na palnikach stało kilka dużych, nierdzewnych rondli. Skinęła głową w stronę drzwi na dźwięk kroków i podniesionych głosów dochodzących z drugiej części mieszkania. - Oni uwielbiają zdrowo się pokłócić. Są impulsywni, ale zwykle szybko im przechodzi.

Thome starał się nadać głosowi beznamiętny ton.

- Impulsywni?

- No, wiesz. Głośno krzyczą. Ciskają, czym popadnie, ale nie żeby coś naprawdę uszkodzić czy zniszczyć...

Thome spojrział na nią spod oka. Znów stała przy kuchence odwrócona do niego plecami. Spojrzął na jej kark i szyję. Na jej brązowe łopatki rysujące się na tle kremowego topu.

- Ja mam gwałtowniejszą naturę - rzekła.

- Będę się starał niczym cię nie zdenerwować.

- Bez obawy, nie sądzę, by do tego doszło.

Thome rozejrzał się po kuchni. Kilka oprawionych w ramki czarnobiałych filmowych plakatów. Chromowany czajnik, toster i mikser. Duża, sądząc po wyglądzie, droga lodówka. Najwyraźniej kwaciarnia nieźle prosperowała, choć Thome nie wiedział, które rzeczy należały do Eve, a które do jej współlokatorki. Domyślał się, że Eve była właścicielką całej kolekcji rozmaitych ziół w naczyniach z terakoty i to zapewne ona również zapisywała na wielkiej wiszącej na ścianie tablicy łacińskie nazwy - przypuszczalnie jakichś kwiatów. Thome ucieszył się, ujrzawszy w lewym dolnym rogu swoje nazwisko i numer komórki.

- Ale o co się kłóć? Ci twoi znajomi. To chyba nic poważnego...?

Odwróciła się, oblizła palec.

- O Keitha. Pamiętasz go? Tego faceta, który pomagał mi w sobotę. Był tu, kiedy zjawił się Ben. Ben uważa, że tamtemu wpadła w oko Denise, a ona próbuje go zapewnić, że nie ma się czym przejmować...

Thome przypomniał sobie, jak Keith spojrział na niego, gdy rozmawiał z Eve w kwaciarni. Może Denise nie była jedyną, która mu wpadła w oko...

- A jak ty uważasz? - spytał. - Jeżeli chodzi o Keitha i Denise...

Skrzypnęły drzwi i trzasnęły z hukiem, a po chwili do kuchni weszła szczupła, jasnowłosa kobieta. Była boso, miała na sobie workowate bojówki i czarną, męską kamizelkę. Podeszła do Eve i uszczypnęła ją w pośladek.

- Ale, kurde, zajebicie pachnie!

Odwróciła się i uśmiechnęła do Thome'a. Włosy miała krótsze i o jeden ton jaśniejsze niż Eve. Choć wydawała się krucha i wiotka, kamizelka, którą nosiła, podkreślała silne ramiona i barki. Jej delikatne rysy wyostrzyły się, gdy na ustach kobiety wykwitł uśmiech - miała mocno zarysowane, wydatne kości policzkowe.

- Ty jesteś Tom, prawda? Ja mam na imię Denise. - Przebiegła przez kuchnię, ucisnęła podaną dłoń i klapnęła na krzesło po drugiej stronie stołu. - To jak, Tom? Thomas? Jak się do ciebie zwracać? - Sięgnęła po butelkę wina i nalała sobie pełny kieliszek.

- Może być Tom...

Nachyliła się nad stołem i odezwała się jak do starego kumpla.

- Wiesz, Eve chyba czuje do ciebie wyjątkową miętę... - Głos miała zdumiewająco głęboki i odrobinę teatralny. Thome nie wiedział, co odpowiedzieć. Zamiast tego napił się wina. - Jeszcze jak. Podejrzewam, że stoi teraz przy kuchence odwrócona do nas plecami tylko dlatego, że właśnie w tej chwili oblała się pąsem...

- Zamknij się - rzuciła Eve ze śmiechem, ale nie odwróciła się do nich.

Denise przełknęła łyk wina i ponownie uśmiechnęła się do Thome a.

- Oto on, we własnej osobie - rzekła. - Człowiek, który chwyta morderców.

Thome musiał się rozluźnić po poranku spędzonym w Soho. Teraz zaczął naprawdę dobrze się bawić. Ta kobieta, choć szalona jak Kapelusznik, była całkiem miła i sympatyczna.

- Obecnie jestem człowiekiem, który ich NIE chwyta...

- Wszyscy od czasu do czasu musimy zrobić sobie wolne, Tom. Jutro na pewno to nadrobisz - złapiesz ich całą bandę...

- Wystarczy mi jeden...

- No jasne - uniosła kieliszek jak do toastu. - Jeden, ale za to jaki.

Thome usiadł wygodniej na krześle i przeniósł wzrok na Eve. Zupełnie jakby wyczuła, że patrzy, odwróciła się, odnalazła jego spojrzenie i uśmiechnęła się.

Thome odwrócił się do Denise.

- A ty? Co właściwie robisz? - Popatrzył na maleńki, błyszczący ćwiek w skrzydełku nosa i pomyślał: To aktorka, poetka albo artystka uprawiająca performance...

Przewróciła oczyma.

- Boże, technologia informacyjna. Wybacz. Obawiam się, że to nudne jak flaki z olejem.

- No cóż...

- Nie wysilaj się, widzę, że zacząłeś przysypiać. A jak, twoim zdaniem, ja się czuję? Przez cały dzień otoczona miłośnikami trylogii Tolkiena, wymieniającymi się żarcikami komputerowymi. Na dysk im padło, jak Boga kocham...

Eve przy kuchence zaśmiała się w głos. Thome od razu zorientował się, że pomyślała o tym samym co on.

- Wiem coś o tym - mruknął. - Ale tam, gdzie pracuję, żeby komuś padło na dysk, trzeba się ustawić w kolejce. No wiesz, cięcia budżetowe...

Kiedy mężczyzna, który, jak przypomniał sobie Thome, musiał być Benem, wmaszerował do kuchni, to Denise pierwsza przestała się śmiać. Podszedł do kuchenki, gdzie stała Eve, i zaczął obgryzać paznokcie. Uniósł lekko głowę w stronę Thome a.

- Sie ma...

Thome także skinął głową.

- Czołem. Ty jesteś Ben?

Denise, obracając w dłoni kieliszek wina, wycodziła:

- O, tak, to Ben.

Ben z niezbyt zadowoloną miną spojrział na nieszczerzy uśmiech, jaki wykwitł na jej ustach, kiedy wymawiała jego imię.

Eve rzuciła jej ścierkę.

- Dobra, dość już tego. Przestańcie, oboje. - Wychyliła się i cmoknęła Bena w policzek. - Za pięć minut będzie gotowe.

Ben podszedł do lodówki, otworzył ją i wyjął puszkę piwa. Odwrócił się i pokazał puszkę Thomeowi.

- Napijesz się?

Thome uniósł w dłoni kieliszek wina.

- Dzięki, ale nie...

Ben ominął swoją dziewczynę i usiadł obok Thome'a. Był wysoki, dobrze zbudowany, o jasnych, falujących włosach, ze starannie przystrzyżonymi baczkami i kocią bródką. Choć dobrze po trzydziestce, i był na to o jakieś piętnaście lat za stary, nosił sportowy ubiór, typowy dla skate'ów. Wyciągnął rękę i przedstawił się.

- Ben Jameson.

Thome zrobił to samo i nagle poczuł się odrobinę skrępowany i przesadnie elegancki w płóciennych spodniach i czarnej koszulce polo od Marksa Spencera...

- Umieram z głodu - rzucił Ben.

Eve postawiła na stole cztery półmiski.

- Świetnie. Jedzenia mamy w bród.

Przez pół minuty słychać było tylko brzęk porcelany i kieliszków. A także zgrzyt noży i widelców o półmiski i skrzypienie nóg krzesel opłytki podłogi, kiedy wszyscy kolejno nakładali sobie porcje na talerze.

- Wygląda wspaniale - pochwalił Thome.

Denise i Ben mruknęli coś pod nosem, Eve uśmiechnęła się, a potem zapadła cisza. Thome odwrócił się w prawo.

- Ty też zajmujesz się technologią informacyjną, Ben?

- Słucham?

- Zastanawiam się, czy poznaliście się w pracy..?

- Na Boga, nie. Jestem filmowcem.

- Ach tak. Czy mogłem widzieć któreś z twoich dzieł?

- Tylko jeśli oglądasz kasety szkoleniowe dla pracowników dużych korporacji - rzekła Denise.

Thome poczuł, że jego stopa dotyka czegoś pod stołem. Otarł się oto, mając nadzieję, że była to stopa Eve. Uniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Tak, właśnie tym się teraz zajmuję - powiedział Ben. Zaczął bębnić widelcem o krawędź talerza. - Choć próbuję też zrobić coś swojego, żeby się wybić...

Denise wyciągnęła rękę i położyła na dłoni Bena, aby przestał uderzać widelcem o talerz. Po czym protekcjonalnym tonem rzekła:

- Zgadza się, kochanie. I na pewno ci się...

Ben przez chwilę gmerał widelcem w talerzu i nie unosząc wzroku, rzucił:

- A co u ciebie, Den? Wydarzyło się ostatnio coś spektakularnego? Jakaś widowiskowa awaria systemu? Albo nowe wirusy, o których mogłabyś nam opowiedzieć...?

Thome wziął do ust kęs jedzenia i wychwycił spojrzenie Eve. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Przeniósł wzrok na Denise i Bena, którzy patrzyli na wszystko, byle nie na siebie nawzajem. Kłótnia mogła zostać oficjalnie zakończona, ale najwyraźniej oboje pragnęli jeszcze zgarnąć po parę punktów.

- Dobra. - Eve zaplotła ręce na piersiach. - Jeżeli oboje teraz się nie pocałujecie i nie pogodzicie, to możecie spieprzać do siebie i zadzwonić po pizzę. Co wy na to?

Denise, a potem Ben spojrzeli na Eve, która starała się robić srogą minę. Niechęć między tą dwójką zaczęła z wolna topnieć w obliczu jej udawanego rozdrażnienia, aż w końcu oboje pokiwali głowami, uściskali się i przeprosili nawzajem za kretyńskie zachowanie. Thome patrzył, jak tamta trójka wymienia uściski dłoni, przepraszając się wzajemnie, bez cienia zażenowania, i zdumiał się dynamiką relacji pomiędzy tymi ludźmi, którzy sądząc po długości i zażyłości uścisków, byli naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Uśmiechnął się, zbywając ich przeprosiny. Był pod wrażeniem i trochę im też zazdrościł...

Kiedy zadzwonił telefon, Denise wychyliła się do przodu wyraźnie podekscytowana.

- To może być pierwszy z tych morderców...

Coś ścisnęło Thome'a w dołku, kiedy spostrzegł imię na wyświetlaczu komórki. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przejść do pokoju obok na czas rozmowy, a może nawet zacząć udawać, że to telefon służbowy. Uznał jednak, że byłaby to gmba przesada, powiedział więc tylko: „Wybaczcie” i wcisnął guzik komórki.

- Jest źle, Tom. Bardzo źle. Szykowałem na jutro moje rzeczy. Przygotowywałem się do drogi. Porozkładałem wszystko na łóżku, zastanawiając się, co wybrać, ale mam problem z granatowym garniturem...

Thome słuchał, obserwując, jak Eve i pozostali starają się udawać, że tego nie robią, jego ojciec zaś w przerażającym tempie poddawał się narastającej histerii. Kiedy jego ojciec zaczął już tylko szlochać, Thome odsunął krzesło, wlepił wzrok w podłogę i wstał od stołu.

- Tato, posłuchaj. Przyjadę tam z samego rana, tak jak obiecałem.

- Podeszedł do kuchennego okna, by wyrzecz na London Fields. Światło u szczytu Canary Wharf mrugało do niego, gdy tak stał, zastanawiając się, czy Eve i pozostali słyszeli ten szloch, i starając się zdecydować, co robić dalej.

Eve wstała i podeszła do niego. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Już dobrze, tato - rzekł Thome. - Posłuchaj, muszę najpierw dotrzeć do domu, dobrze? Zabrać swoje rzeczy i odebrać wynajęty wóz. Uspokój się, dobrze? Przyjadę najszybciej, jak będę mógł...

Zarozumiała zdzira w recepcji spojrzała na Welcha, jakby miał coś zaraz ukraść. Albo jakby był łajmem na bucie któregoś z zaśmiewających się do rozpuku biznesmenów, siedzących w barze. Ale to przecież nie był żaden Ritz...

- Kilka dni temu dzwoniłem, by zarezerwować pokój - rzekł Welch.

Recepcjonistka spojrzała na ekran komputera z przyklejonym do ust sztucznym i lodowatym uśmiechem.

- Owszem - przyznała. - Tylko na jedną noc, zgadza się?

Welch miał ochotę smagnąć ręką i walnąć ją w twarz. Już miał wezwać kierownika, aby poskarżyć się na żenujący poziom tutejszych usług i brak choćby krzty kurtuazji, która mu się należała.

- Taa, na jedną noc. Śniadanie, jak rozumiem, jest wliczone w cenę?

Dziewczyna nie uniosła wzroku.

- Zgadza się.

Welch zaczął się nagle zastanawiać, co by się stało, gdyby rano oboje zeszli na śniadanie. Nie wiedział, czy będzie chciała zostać tak długo. Już miał o to zapytać, ale zmitygował się.

- Nie będę pana zatrzymywać...

Podczas gdy recepcjonistka stukwała w klawisze, Welch rozejrzał się po holu. Rośliny były z plastyku. Szara wykładzina dywanowa wyglądała, jakby mogła zedrzeć z ciebie skórę,

gdybyś na nią upadł. Przy stole w recepcji wisiała tabliczka z napisem: HOTEL GREENWOOD, SLOUGH WITA THOMPSON MOULDINGS Sp. z O.O.

- To wszystko. Zechce pan tylko to wypełnić. - Podała mu formularz. Musiał się przez chwilę zastanowić, by przypomnieć sobie nazwę noclegowni. - Potrzebuję też odbitki pańskiej karty kredytowej. Nie będzie żadnych dodatkowych opłat, ale...

- To nie będzie konieczne. Zapłacę gotówką. - Wypisał formularz i sięgnął do kieszeni po plik dziesiątek.

- Doskonale, sir...

Welch wyjął pieniądze. Miał kartę, której mógł użyć, gdyby zechciał, ale wolał, aby ta dziewczyna zobaczyła gotówkę. Zdjął gumkę recepturkę i zaczął odliczać banknoty. Noclegownia była okropna, ale zwolnienie BSA - Bez Stałego Adresu, miało też swoje plusy. Sumka, jaką otrzymał, była dwukrotnie wyższa niż w normalnym wypadku.

- Nie pobieramy opłat z góry. Uści pan rachunek, kiedy będzie się pan wymeldowywał. - Położyła klucz na pliku banknotów i przesunęła w jego stronę. - Pokój 313. Trzecie piętro.

Zgarnął pieniądze i z trudem pohamowywał się od krzyku.

- Wiem doskonale. I wiem, co pani powinna zrobić, jasne?

Recepcjonistka poczerwieniła i odwróciła się od niego.

Welch zabrał reklamówkę zawierającą szczoteczkę do zębów, kondomy, czyste slipki i skarpetki na zmianę. Zastanawiał się, czy nie dołączyć do pracowników Thompson Mouldings w barze na jednego głębszego. Po namyśle jednak postanowił, że pójdzie prosto do pokoju, może weźmie prysznic i będzie cieszył się każdą chwilą... Uśmiechając się w przestrzeń, ruszył w stronę windy.

Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie na rodzinnych weselach. Thome wiedział, że nie mogłyby zdarzyć się nigdzie indziej: starsza, siedemdziesięcioletnia kobieta tańczyła niezgrabnie w rogu sali z małym chłopcem; dwie kobiety po czterdziestce pokrzykiwały do siebie ponad stołem, na tyle głośno, by ich komentarze na temat jedzenia ubioru obsługi były słyszalne pośród dźwięków muzyki Madonny Oasis George a Michaela; małe dzieci szorowały na kolanach po wyfroterowanym parkiecie tanecznym, podczas gdy te najmłodsze krzyczały albo starały się nie usnąć, pomimo głośnej muzyki.

Niektórych łączyły więzy krwi, inni byli tu tylko na godzinę lub dwie. Taksowali się nawzajem wzrokiem w bardziej lub mniej przychylny sposób. Jeszcze piwko lub dwa i ktoś pójdzie się z kimś bzykać albo ktoś da komuś w pysk...

Minęło dwadzieścia minut, odkąd młodą parę zaproszono na parkiet, by zatańczyła pierwszy taniec do piosenki Lady in Red, a Thome nie ruszył się ani na chwilę ze swego miejsca w kącie. Mógł stąd obserwować wszystko, co działo się w sali, i mieć oko na swego staruszkę.

Spojrzał w jego stronę. Jego ojca nie było już przy barze. Thome wstał, zamówił dla siebie kolejnego guinnessa i czekając, aż się ustoi, wszedł do głównej sali. Mijał ludzi, których znał słabo albo wcale, ich twarze rozjaśnione były słabym blaskiem kolorofonów na przemian czerwonych, zielonych i niebieskich. Na drugim końcu sali Thome spojrzał w prawo i zobaczył wejście do sąsiedniego, mniejszego pomieszczenia, gdzie jego ojciec buszował przy szwedzkim stole i mamrocząc do siebie, nakładał na tekturowy talerzyk więcej jedzenia, niż był w stanie zmieścić.

- Wyluzuj, tato. Ile kurzych udek można zjeść na raz?

- Co cię to obchodzi?

- Za dużo wziąłeś... przytrzymaj ręką od spodu...

- Cholera...

Miękka tektura nie mogła utrzymać tego wszystkiego. Talerzyk wygiął się w połowie. Materac uginający się pod ciężarem martwego mężczyzny...

Thome a ogarnęła złość na ojca, był wściekły, że musi pełnić rolę niańki. Złościł się tym bardziej, że wiedział, iż nawet gdyby był teraz w domu, nie miałby nic do roboty, bo nic nowego się przecież nie wydarzyło, stare tropy ostygły, a nowych nie było. Nic go nie ominęło. Schylił się, by pozbierać jedzenie z podłogi, ale w końcu zmienił zdanie i zamaszystym ruchem stopy zamiótł je pod stół.

Pokój był kurewsko duży. A może taki się tylko wydawał. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli chodzi o wymiary, jego postrzeganie było ciut zaburzone. Chryste, postawienie klocka bez obecności innych osób wydawało mu się luksusem.

Welch z trudem powstrzymywał się, aby nie pójść do łazienki i nie ulżyć sobie. To właśnie zrobił, kiedy Jane skontaktowała się z nim w noclegowni. Wziął jedno z jej zdjęć i zajął się rękodziełem, prawie nie mogąc uwierzyć w to, co mu proponowała. Zdziwił się, że wiedziała, gdzie go znaleźć. Nie sądził, że jeszcze się do niego odezwie. Przypuszczał, że była jedną z tych głupich dziwek, które pisywały do osadzonych, kiedy siedzieli w pace, a po ich wyjściu na wolność nie chciały mieć z nimi nic do czynienia. Był o tym przekonany do tego stopnia, że zanim opuścił zakład kamy, wyrzucił wszystkie jej listy. Zdjęcia natomiast zatrzymał. Nic nie mogłoby go skłonić do pozbycia się ich...

Wyjął jedną z fotografii Jane, którą zabrał ze sobą. Boże, wyglądała przepięknie. Marzył, że może przynieść ze sobą kaptur albo kajdanki. Zabrał zdjęcie w nadziei, że spróbują powtórzyć to, co na nim zobaczył.

Od tak dawna próbował wyobrazić sobie, jak wygląda pod kapturem, kiedy jej oblicze wyłania się z cienia, a teraz, kiedy miał ją zobaczyć, stwierdził, że go to nie obchodzi. Wiedział, jakie miała ciało i że odda mu się, pozwoli mu się wziąć. Poza tym należał do facetów, którzy nie patrzą na gzyms kominka, kiedy gmerają pogrzebaczem w palenisku. Welch odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek. Zaczął dotykać się przez spodnie, niepewny czy zdoła się pohamować, jeżeli Jane nie zechce się łaskawie pospieszyć...

Ktoś zapukał do drzwi. Trzy razy. Delikatnie.

Wracając do baru, kiedy już wspomógł ojca i odprowadził go tam, gdzie staruszek nie mógł narobić więcej szkód, Thome natknął się na ciotkę Eileen. Zapytała, czy dobrze się bawi i czy nie zechciałby zamienić kilku słów z jednym z jej siostrzeńców, który zamierza wstąpić do policji. Thome pomyślał, że wolałby raczej myć nieboszczyków i odparł, ależ tak, oczywiście, po czym skierował się do miejsca, gdzie zostawił swoje piwo. Miał nadzieję, że nikt mu go nie zwędził...

Jednym łykiem wypił jedną trzecią zawartości szklaneczki i lodowatym wzrokiem obserwował wymianę srogich spojrzeń przy drugim końcu baru. Czyjś kuzyn i kumpel panny młodej najwyraźniej szukali zwady. Thome postanowił, że nawet jeśli zaczną się bić, nie kiwnie palcem.

Uświadomił sobie, że pomylił się, sądząc, iż takie incydenty zdarzały się tylko na rodzinnych weselach. Nie licząc dyskotek, do mordobicia dochodziło nieraz także na rodzinnych pogrzebach, a konkretnie stypach. Thome wiedział z doświadczenia, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach.

Thome odwrócił wzrok. Najwyraźniej rozróżba zacznie się trochę później. Może na parkingu. To właśnie podczas takich wydarzeń, chrztów, ślubów i pogrzebów najgorszy szlam wyływał na powierzchnię, a spokojne dotąd wody burzyły się i mętniały. Do ich wzburzenia przyczyniały się wypite beczki piwa i bacardi. Sentymentalizm, agresja, zazdrość, podejrzliwość, skąpstwo.

Wspólna przeszłość. Więź, która łączy, pęta i wypacza...

Takie rzeczy były zarezerwowane dla naszych najbliższych, skrzętnie ukrywane przed obcymi, choć przecież większość rodziny zazwyczaj była nam zupełnie obca.

Thome ujrzał młodego szesnasto, może siedemnastoletniego chłopaka podążającego ku niemu. To przypuszczalnie ten siostrzeniec, któremu miał udzielić porad w kwestii wyboru

drogi kariery. Po namyśle Thome uznał, że da mu parę stosownych rad... Może zacznie od kilku danych statystycznych, jak na przykład niska liczba morderstw popełnianych przez osoby nieznane ofierze w zestawieniu z jakże wysoką liczbą zabójstw popełnianych przez osoby połączone z ofiarą takimi czy innymi więzami. Powie mu, że gdy chodzi o rodziny, napięcia wewnątrz nich i czyny popełniane z ich powodu, nie powinien się absolutnie niczemu dziwić. W kilku prostych, żołnierskich słowach wyjaśni temu młodemu, gorliwemu głupkowi, że rodziny są niebezpieczne.

Bo są zdolne do wszystkiego.

Kiedy do pokoju wszedł mężczyzna, Welch z miejsca zorientował się, że ma poważne kłopoty. Charakterystyczny wyraz twarzy tamtego był mu dobrze znany. Przez lata odsiadki starał się unikać ludzi, na których twarzach widział podobny wyraz. Malował się on zwykle na gębach pospolitych morderców i bandziorów odsiadujących wyroki za napad z bronią w rękę. Tę samą mieszaninę pogardy i groźby musiał ujrzeć w tamtej pralni Caldicott, zanim przysmażono mu twarz...

Welch zastanawiał się, czy nie powinien zacząć bardziej się szamotać, ale nic by to nie dało. Mężczyzna był od niego o wiele silniejszy.

Lata odsiadki wzmocniły Welcha mentalnie, ale jego ciało stało się słabe i zwiotczałe. Poświęcał zbyt wiele czasu lekturze, zamiast regularnie ćwiczyć na siłowni...

Ostatnie chwile życia Welch poświęcił na refleksję, iż ból jest o wiele bardziej dojmujący, gdy nie można się z nim zmierzyć ani w żaden sposób przeciw niemu zaprotestować...

Krzyk rodzący się w jego gardle został zdławiony przez coś, co zadziergnięto mu wokół szyi, skutkiem czego przerodził się w zduszony, bulgocący syk. Jego ciało także nic nie mogło zdziałać. Odruchowo pragnęło uwolnić się od cierpienia, ale każdy gwałtowniejszy ruch, mający uchronić go przed rozdzierającym, gwałtownym bólem pchnięć, wzmacniał tylko nacisk na linkę, która z każdą chwilą coraz bardziej pozbawiała go tchu. Welch pochylił głowę, nieomal opierając ją o dywan, czując, jak sznur wrzyna mu się mocniej w szyję, a zęby wgrzają się w język. Stawiał jeszcze opór rękoma, które odciągały mu głowę do tyłu, wykrzywiając przy tym całe ciało, i na kilka sekund przed śmiercią przyjął pozycję embrionalną.

Umieram jak dziecko, pomyślał Welch. Oczy miał otwarte szeroko, ale nie widział już nic, z głową nakrytą kapturem, a po chwili owładnęła nim w końcu spokojniejsza, nieprzenikniona ciemność...

Thome położył ojca do łóżka. Szedł do swego pokoju, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał dopiero, gdy wszedł do środka.

- Późno już, a ty wciąż nie śpisz...

- Super, co? - rzekła Eve. - Jutro odeśpię. A jak tam na weselu?

- Świetnie. Nudne gadki, zarcie do kitu i na deser mordobicie.

- A sam ślub?

- A, o to pytasz? Nie, no, wyszło całkiem niezłe...

Zaśmiała się. Thome usiadł na łóżku, przytrzymując komórkę pomiędzy barkiem a podbródkiem i zaczął zdejmować buty.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro z powodu ubiegłego wieczoru...

- Daj spokój. Co z twoim tatą?

- No wiesz, jest trudny Ma to już od jakiegoś czasu... - Thome owi wydawało się, że słyszy dochodzące z drugiego końca łącza odgłosy ruchu ulicznego. Domyślał się, że Eve ruszyła w miasto, ale nie zapytał dokąd ani po co. - Naprawdę, przepraszam, że tak ni stąd, ni zowąd wyszedłem. Zjedliście wszystko?

- Bez obawy, poradzimy sobie.

- Przepraszam...

- Nic się nie martw, zawsze zostaje sporo jedzenia. Ja gotuję jak dla pułku wojska, a Denise je jak ptaszek, więc to już chyba stało się dla mnie normą. Na twoim miejscu nie przejmowałabym się takimi drobiazgami.

Thome zaczął rozpinać guziki koszuli.

- Podziękuj Denise i Benowi ode mnie za miły wieczór... Nie ma to jak odrobina rozrywki, ubaw dla wszystkich.

- Naprawdę uważasz, że było miło? Chyba wtrąciłam się trochę za wcześnie. Jeszcze chwila i zobaczylibyśmy, jak ktoś chlusta komuś winem prosto w twarz.

- Następnym razem.

Ziewnęła głośno.

- Och, wybacz...

- Nie będę cię dłużej zatrzymywał. Lepiej się już połóż - powiedział. Oczyma duszy wyobrażał ją sobie na tylnym siedzeniu taksówki zatrzymującej się pod jej domem.

- Miłych snów, Tom.

Thome położył się na łóżku.

- Pamiętasz tę skalę od jednego do dziesięciu? Co ty na to, gdybym stwierdził, że teraz jest już osiem...

Osiem godzin później zadzwoniła komórka Thome'a. Jej świergoczący sygnał wyrwał go z objęć morfeusza. Uwolnił go od koszmaru, w którym rozpaczliwie próbował ratować mężczyznę wykrwawiającego się na śmierć. Za każdym razem, kiedy przykładł palec do jednej rany, zaraz obok pojawiała się następna, zupełnie jak w slapstickowej komedii, kiedy Chaplin usiłował zatkać kolejne otwory w dziurawej beczce.

Igdy już wydawało się, że pozatykał wszystkie rany, krew zaczęła tryskać z licznych otworów w nim samym...

- Lepiej niech się pan tu pofatyguje, panie inspektorze - rzekł Holland.

- Gadaj, co jest...

- Zabójca zamówił kolejny wieniec...

## CZĘŚĆ DRUGA

JAK ŚWIATŁO

27 listopada, 1996

Pochylając się, by podnieść kluczyki, które upuścił, Alan Franklin aż skrzywił się z bólu. Dwa tygodnie do emerytury, a jego ciało jak precyzyjny budzik mówiło mu, że to odpowiednia pora. Bóle pleców i rozmowy o domkach gdzieś za grani - cą zaczęły się dokładnie tego samego dnia...

Wyprostował się, echo jego oddechu poniosło się ponad niemal opustoszałym parkingiem. Pewnie znów będą dziś o tym rozmawiać, tylko we dwoje, przy butelce wina. Sheila skłaniała się ku Francji, podczas gdy on wołał Hiszpanię. Tak czy owak, wyjadą stąd. Nic ich tu nie zatrzymywało. Dzieci, które miał z Celią, dorosły i miały teraz własne. On zresztą nie utrzymywał już kontaktów z synami i ani razu nie widział nawet wnuków. Co prawda będzie mu brakowało przyjaciół, ale przecież on i Sheila nie jadą na koniec świata. Nie łączyły ich z nikim naprawdę silne więzi...

Odnalazł kluczyki od rovera i skierował ten właściwy w stronę zamka.

Sheila zapewne postawi w końcu na swoim, jak zawsze zresztą. Skądinąd zazwyczaj miała rację. Dziś rano również, kiedy mówiła mu, że zmarznie i powinien się cieplej ubrać. Przekręcił kluczyk, zwalniając centralny zamek. Kiedy sięgnął w stronę klamki, coś z cichym szelestem przeleciało mu przed oczami imocno, bardzo mocno wpiło mu się w szyję, zbijając go z nóg...

Uderzył o ziemię, zanim wylądowała na niej jego aktówka, zanim zdążył krzyknąć; jedna noga złamana i zgięta znajdowała się z tyłu, za nim; druga była wyprostowana do przodu; obie dłonie uniósł do szyi, palce gorączkowo próbowały wcisnąć się pomiędzy sznur i gardło.

Czyjeś dłonie pochwyciły jego własne, unieruchamiając jego palce i odciągając od szyi. Zaciśnięta pięść huknęła go w bok głowy, a gdy zakołysał się pod wpływem uderzenia, poczuł, że jego palce odrętwiałe i ociekające krwią wyslizgują się spod sznura. Gorący oddech omiółł jego kark...

Patrzył na swoją nogę, która wierzgnęła gwałtownie, uderzając rozpaczliwie obrudny, szary kołpak rovera. mgle przypomniał sobie twarz kobiety pod sobą. Poczuł swój zapach, aromat wody po goleniu, którą uwielbiał. Odzyskał siłę w rękach.

Ujrzał jej nogi, kopiące w pudła stojące dokoła, wewnątrz magazynu. Usłyszał tępe, głuche uderzenia jej przyobleczonych w pończochy nóg o kartony. Poczuł, jak opór słabnie i ustaje zupełnie, a potem jej oczy zamknęły się.

Wydawało mu się, że zaczyna się ściemniać. Może oświetlenie na parkingu było zaopatrzone w wyłączniki czasowe. Ściemnienie w celu oszczędzenia energii elektrycznej. Widział już tylko swoją stopę, obok trzewika, który wciąż raz po raz uderzał o kołpak. Tani plastik pękł, po którymś z tych spazmatycznych kopnięć. A potem nagle wszystko spowiła czerń, słyszał tylko szum krwi w żyłach i dudnienie swego serca, które docierało jakby do gałek ocznych, w miarę jak sznur zaciskał się coraz mocniej. Ujrzał swoją żonę, uśmiechającą się do niego z ogrodu, ikobietę pod nim, usiłującą odwrócić głowę, żonę i znów tę kobietę, aż w końcu zobaczył tę kobietę w miejscu, gdzie powinna być jego żona - mówiącą mu, że będzie zimno i że powinien o siebie zadbać.

Śmiejąc się, powtarzała mu, żeby pamiętał o szaliku...

## 10

Carol Chamberlain zawsze była rannym ptaszkiem, ale zanim jej mąż wczłapał, zaspany, z podpuchniętymi oczyma do kuchni, parę minut po siódmej, nie spała już od kilku godzin. Postawił czajnik na gazie, kiwając nieznacznie głową. Wiedział doskonale, że po tamtym telefonie będzie miała kłopoty z zaśnięciem.

Odebrał go ubiegłego wieczoru, w czasie przerwy na reklamę między serialem a „Randką w ciemno”. Kiedy tylko dzwoniący się przedstawił i zaczął mówić, o co chodzi, Carol zrozumiała pytający wyraz malujący się na twarzy Jacka, kiedy oddał jej słuchawkę. Wysłuchiwała wszystkiego, co miał jej do przekazania dowódca. Z rozdrażnienia w jego głosie jasno wynikało, że zadawała więcej pytań, niż się spodziewał. Po piętnastu minutach powiedziała, że zastanowi się nad tym, o co ją proszono.

Dowiedziała się od dowódcy, że stworzono nowy zespół, aby - jak on to ujął? - zniwelować marnotrawstwo sił i środków, do którego dochodziło w ubiegłych latach. Głównym założeniem było, że dawni funkcjonariusze z dużym doświadczeniem zajmą się odkurzeniem starych spraw, które odłożono ad acta. Przyjrzą się im na nowo z innej niż dotąd perspektywy...

Po zakończonej rozmowie wrócili do oglądania wieczornego, sobotniego programu. Carol czuła się niepewna i rozdarta. Z całą pewnością miała spore doświadczenie, którego nie wykorzystywano w należyty sposób, ale choć bardzo, wręcz rozpaczliwie pragnęła coś zrobić, w głosie młodego dowódcy wychwyciła nutę powątpiewania. Natychmiast zrozumiała, że on i

wielu innych wyobrażał sobie hordy mocno już posuniętych w latach byłych gliniarzy, powłóczących nogami, idących o laskach, a nawet przy chodzikach, wymachujących wymiętymi formularzami nakazów sądowych i wołających: „Dam sobie radę! Rozwiążę tę sprawę. Mam przecież tylko osiemdziesiąt dwa lata, sami wiecie...”.

Jack postawił przed nią kubek z herbatą. I łagodnym tonem rzucił:

- Pójdiesz na to, prawda, kotku?

Uniosła wzrok i spojrzała na niego. W jej uśmiechu kryło się zdenerwowanie, ale już od dawna nie uśmiechała się tak promiennie.

- Jeszcze dam radę - odrzekła.

Kiedy Thome wracał z Hove, mknąc wynajętą corsą przez trzy kolejne autostrady, Brigstocke zabezpieczył miejsce zbrodni w hotelu Greenwood. Zanim Thome dotarł na miejsce, minęły już prawie trzy godziny, odkąd odkryto zwłoki, zidentyfikowane później jako Ian Welch, i ponad dwanaście, odkąd mężczyzna ten został zamordowany. Thome przez dłuższą chwilę po prostu patrzył na denata.

- Cóż, ten hotel jest przynajmniej ładniejszy - mruknął Hendricks. Holland pokiwał głową. - Nawet podesłali nam tu na górę kawę...

- W holu jest kamera przemysłowa - powiedział Brigstocke - stary model, ale kto wie, może coś nam to da.

To był typowy hotel dla biznesmenów. W łazience specjalna szafa z wieszakami na spodnie, dzbanki elektryczne i mydło w płynie. Prosty, schludny pokój wyglądał tak samo jak ten, w którym stali trzy tygodnie wcześniej. A oba te pomieszczenia łączył jeden, tak samo upiorny, szczegół.

Podobnie jak w hotelu w Paddington, nakrycie łóżka zostało zdjęte i zabrane razem z pościelą. Ubranie wałało się po podłodze, ale ciało starannie upozowano. Głowa była skierowana ku ścianie, nadgarstki skrępowane paskiem, dłonie białe, pozbawione dopływu krwi. Kaptur, linka zadzierzgnięta wokół szyi, brązowoczerwone strużki wijące się jak żmijki w dół ud, wyglądające jak zaschnięty sos. Ten wyglądał na starszego niż Remfry Grubo po czterdziestce.

Brigstocke podzielił się z Thomeem informacjami, jakie zebrał. Nie było tego wiele. Thome chłonął je, stojąc przy oknie i spoglądając jednym okiem na pola po drugiej stronie szosy. Znajdowali się o dwie minuty od autostrady, pięćdziesiąt metrów od drugiego zjazdu, ale w ten niedzielny poranek Thome nie słyszał nic prócz śpiewu ptaków i szelestu worka na zwłoki.

Tym razem zabójca zamówił wieniec osobiście. Zamówienie złożono w całodobowej kwiaciarni, po wpół do dziewiątej ubiegłego wieczoru i opłacono przy użyciu karty debetowej ofiary. Dzięki temu znano już nazwisko denata...

- Tym razem nie zostawił nagranej wiadomości - rzekł Brigstocke. Thome wzruszył ramionami. Albo zabójca uczył się na błędach, albo uznał, że pozostawienie nagrania swego głosu na automatycznej sekretarce Eve Bloom to numer na jeden raz.

- Całodobowa kwiaciarnia? - Thome pokręcił głową. - Kto może potrzebować kwiatów w środku nocy?

- Właściwie to wcale nie są całodobowe - odrzekł Brigstocke. - Ale zawsze ktoś w nich pracuje, przynajmniej do dziesiątej wieczorem. Nie ma gwarancji, że zamówione kwiaty zostaną dostarczone z samego rana, ale chyba w tym wypadku naprawdę się postarali, z uwagi na rodzaj zamówienia...

O dziewiątej rano dostawca wszedł z wieńcem do holu hotelowego i skierował się do recepcji. Recepcjonistka, trochę zdziwiona, zadzwoniła do pokoju 313, a gdy nikt tam nie podniósł słuchawki, poszła na górę. W pięć minut później jej krzyki zerwały cały hotel na nogi.

- Panowie...?

Thome odwrócił się od okna i ujrzał wychodzącego z sypialni Andy'ego Stone a. Trzymał w ręku kartkę papieru, uśmiechnął się i szybko podszedł do Thome a i Brigstocke a.

- Ofiara zameldowała się pod własnym nazwiskiem... - powiedział Stone.

Brigstocke wzruszył ramionami.

- W sumie czemu miałby postąpić inaczej? Zakładał, że przychodzi tu, aby pobzykać.

- Jak dla mnie, wygląda, że to jego ktoś bzyknął, i to ostro - wtrącił Holland.

Kiedy Stone przestał się śmiać, Thome pochwycił jego spojrzenie.

- Mów dalej...

Stone spojrział na kartkę.

- Ian Anthony Welch. - Odwrócił się nieznacznie w stronę zwłok.

- Zwolniony przed ośmioma dniami z Wandsworth. Odsiedział trzy lata z zasądzonych pięciu, za gwałt.

- Nie wiem, dlaczego dotąd nie wzięliśmy tego pod uwagę - rzucił Thome. - Remfey nie zginął z powodu tego, kim był. On i Welch zostali zabici z powodu tego, co zrobili. Chryste, to robota w sam raz dla nas...

Brigstocke przeciągnął się, jego plastikowy kombinezon zaskrzypiał głośno.

- Cóż, tym razem mamy ją tylko dla siebie.

Teraz wszystko miało się zmienić: w ciągu minionych dziesięciu dni priorytety uległy przewartościowaniu. Po zabójstwie Remfry ego starsze sprawy zostały zepchnięte na plan dalszy, a po trzech tygodniach bezowocnych poszukiwań znów wypłynęły. Członkowie zespołu brodzili po kolana w gąszczu papierkowej roboty, przygotowali do wszczęcia procedur sądowych po aresztowaniu nastolatka, który zasztyletował kolegę za grę komputerową albo zbieraniu dokumentów w sprawie strzelaniny z wątkiem narkotykowym. Taka rosza sił i środków była rzeczą normalną i już wkrótce wszystko znów się powtórzy. Teraz zabójstwo Remfry ego przerodziło się w ZABÓJSTWA Remfry'ego i Welcha, a bardziej pospolite i drobniejsze sprawy zostaną zepchnięte na dalszy plan. Obecnie Zespół 3 nie będzie zajmował się niczym innym...

- Raz, dwa, trzy...

Thome patrzył, jak czterej funkcjonariusze zdejmują zwłoki z materaca i wkładają do czarnego worka, rozłożonego na podłodze przy łóżku. Pasek został zdjęty, ale dłonie wciąż pozostawały związane z tyłu, palce były splecione. Stężenie pośmiertne nastąpiło wiele godzin temu i ciało przewróciło się niezdarnie na bok, kolana trupa były podciągnięte niemal do klatki piersiowej. Funkcjonariusze spojrzeli po sobie i w końcu jeden z nich, sierżant, postąpił naprzód. Przyłożył dłoń do piersi denata i przetaczając go na wznak, spróbował wyprostować mu nogi. Wyszło mu to nie najlepiej, ale na tyle, by dało się zasunąć suwak worka.

- Zapomniałem zapytać - rzekł Brigstocke - jak tam ślub?

Thome wciąż obserwował sierżanta, który dotykając dłońmi nagiego ciała denata, przez cały czas miał zamknięte oczy.

- Ubaw nie lepszy niż tutaj - odparł Thome.

Kwadrans później, tuż po południu, trzon grupy zebrał się w holu. Potem mieli się rozejść każdy w swoją stronę. Autopsję przesunięto na drugą. Thome miał udać się za Hendricksem do szpitala Wexham, Brigstocke i reszta wracali do biura.

Kiedy nadinspektor rozmawiał przez telefon z Jesmondem, a następnie z Yvonne Kitson w sali odpraw, pozostali siedzieli w fotelach z imitacji skóry, popijając kawę z jednego dzbanka. Mniej ożywieni niż personel i goście hotelowi, wyglądali przez szyby w recepcji i patrzyli, jak zwłoki są załadowywane do furgonetki z kostnicy. Brigstocke dołączył do nich, wkładając komórkę na powrót do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- No dobrze, teraz wszyscy, łącznie ze mną, musimy się sprężyć.

- Czy nadkomisarz błysnął znów jakąś wiekopomną mądrością ze swej niewyczerpanej skarbnicy? - spytał Thome. Wóz z kostnicy właśnie odjechał. Hendricks

machnął ręką, wsiadając do swego auta, aby pojechać za nimi. Thome także uniósł dłoń, odwzajemniając gest.

- Nic, z czym bym się nie zgadzał - rzekł Brigstocke. - Zanim zdążą wymienić pościel, zlecą się tu reporterzy. Sprawy mają się tak. Oficjalnie nie możemy potwierdzić związku z zabójstwem Remfiyego ani temu zaprzeczyć. - Przerwał, aby mieć pewność, że to, co powiedział, dotarło. - To ma sens. Brukowce będą miały używanie. Zaczną się rozpisywać na temat samozwańczego egzekutora. Przeprowadzać badania opinii publicznej. Czy ten zabójca postępuje słusznie? Czy robi dobrą robotę? Tak lub nie?

- Uważa pan, że to możliwe? - wtrącił Stone. - Czy to może być jakiś samozwańczy egzekutor?

Thome sięgnął po dzbanek, nalał sobie następną filiżankę kawy.

- To coś wyjątkowo osobistego. Sprawca nie robi tego dla ciebie czy dla mnie...

- Być może - mruknął Brigstocke. - Ale tak czy owak ludzie będą pytać, czy powinniśmy być za to wdzięczni temu komuś...

Kierownik hotelu przeszedł przez recepcję i zamienił kilka słów z grupką gości w strojach do golfa. Kierownik uściśnął im dłonie, po czym patrzył, jak rozbawieni golfiarze pochylają się, by przejść pod rozpiętą policyjną taśmą, i odchodzą, kręcąc głowami. Thome nie miał czasu na takie gierki, ale domyślał się, że przy kolejnej rozgrywce będą mieć nowy temat do rozmowy, zamiast tradycyjnych dyskusji o wakacjach i nowych samochodach.

Brigstocke odchrząknął.

- Dobrze. Technicy się sprężą, ale póki czekamy, możemy zająć się czymś innym...

- Nic nie znajdziemy - rzekł Thome. - Jest czystszy niż poprzedni, ale to wciąż pokój hotelowy. Próbki będą zbierać do przyszłego tygodnia.

- Może dopisze nam szczęście - wtrącił Holland.

- Masz większą szansę trafić w totka...

Brigstocke stuknął łyżeczką o filiżankę z kawą.

- Opuśćmy sobie na chwilę podbudowywanie nadwątlonego morale, dobra? Pomyślmy o tym, co możemy zrobić.

Holland uniósł rękę.

- Panie nadinspektorze. Jeżeli faktycznie trafię szóstkę w totka w sobotnim losowaniu, oficjalnie oświadczam, że poproszę o odsunięcie mnie od sprawy i wyjadę do Rio de Janeiro z bliźniaczkami supermodelkami. - Kilka sekund śmiechu dobrze wszystkim zrobiło.

- Chcę wiedzieć, co dokładnie robił Ian Welch, odkąd wyszedł z pudła - rzucił Brigstocke. - Gdzie się zatrzymał, z kim się widywał.

Stone wtrącił:

- Nie miał stałego miejsca zamieszkania. W więzieniu podano mi adres noclegowni.

Brigstocke pokiwał głową.

- Świetnie, zanim skończymy, czeka was rozmowa z innymi naczelnikami. Musimy skontaktować się ze wszystkimi zakładami karnymi w kraju, gdzie przebywają osadzeni skazani za przestępstwa seksualne, i porozmawiać ze wszystkimi, którzy niedługo mają wyjść na wolność. To akurat proste. Musimy również wysledzić wszystkich gwałcicieli, ekshibicjonistów i obmacywaczy zwolnionych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Upewnić się, że żaden z nich nie dostawał wiadomych listów. I ostrzec ich na wypadek, gdyby któryś z nich je otrzymał.

- O ilu konkretnie mowa? - spytał Holland.

Brigstocke sięgnął po paczuszkę herbatników w folii. Ujął ją w dwa palce.

- Zgodnie ze statystykami Home Office w tym kraju codziennie wychodzi na wolność jeden przestępca seksualny - Rozerwał paczuszkę zębami, wypluł kawałek folii i powiódł wzrokiem po twarzach mężczyzn przy stoliku. - Wiem. To przerażające, prawda? Od początku tego roku wypuściliśmy na wolność około stu pięćdziesięciu mężczyzn skazanych za przestępstwa seksualne...

Stone uniósł brwi.

- Cóż, przynajmniej teoretycznie powinniśmy wiedzieć, gdzie przebywa większość z nich. Ale i tak roboty będzie od cholery i trochę.

- Wygląda na to, że tak - przyznał Brigstocke.

- Czy zdołamy jakoś to usprawiedliwić? Bądź co bądź, jak sam pan powiedział, nie są to ludzie niewinni czy przypadkowe ofiary...

Brigstocke zamrugnął i otworzył usta do krzyku. Thome ubiegł go.

- To nie twoje zmartwienie, Andy.

- Wiem. Chodzi mi tylko o to, że...

Thome uniósł dłoń do góry.

- Jedyne, czego nie możemy usprawiedliwić, to kolejne zwłoki...

\*\*\*

Ruszyli do dwóch aut. Brigstocke skierował się ku swemu volvu, zabierając ze sobą Thome a. Spojrzał w stronę Andy ego Stone a.

- Aleś mu przygadał...

Thome skinął głową.

- On tak samo skomentował twoje wcześniejsze słowa. Remfry, Welch zrobili, co zrobili, i byli, kim byli. Niektórzy mogą pomyśleć, dobrze im tak...

Brigstocke pilotem odblokował centralny zamek i wyłączył alarm w samochodzie.

- Nie mówię o tym, co powiedział wcześniej. Chodziło mi o Gribbina.

Thome tylko na to czekał. Wiedział, że zachowanie Stone a podczas akcji było niewybaczalne.

- Jasne...

- Nie obawiaj się, nie dostanie dyscyplinarki. Chodziło o ochronę dziewczynki. Ale chciałbym, abyś dał mu do zrozumienia, że przekroczył pewną granicę.

- Wiem.

Brigstocke wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Ruszył powoli.

- Zadzwoń do mnie z Wexham, gdy tylko Phil skończy...

Holland przebiegł po żwirze, kiedy Thome szedł do swojej corsy.

- Ma pan ochotę wyskoczyć później na drinka?

- Chyba raczej na kilka - mruknął Thome.

Holland przesunął dłonią po karoserii pożyczonego auta.

- Taką bryką powinien pan jeździć na co dzień.

- Niby z jakiej racji?

- Daj pan spokój, inspektorze, pański wóz to rzęch. A ten jest całkiem niezły...

- Jest biały., a mój wóz to nie rzęch...

- Proszę wymienić choć jeden z jego plusów.

Thome otworzył drzwiczki corsy i zawahał się, zanim wsiadł do środka.

- Ze co? Tak z marszu, bez chwili namysłu?

Holland zaśmiał się i nachylił, kiedy Thome usiadł za kierownicą.

- Gdyby chodziło o kobietę, już by ją pan rzucił...

Elektrycznie opuszczana szyba zjechała w dół.

- Masz bardzo pokrętny tok myślenia, Holland.

- A jak tam kwiaciarczyka?

- Nie twoja sprawa, nie bądź ciekawski.

Rozległ się głośny warkot uruchamianego silnika. Thome odwrócił się, by ujrzeć Stonea przyglądającego się im zza kierownicy własnego wozu, srebrnego fordą cougar. Skreślił w stronę drugiego auta.

- Co sądzisz o bryce Stone a? - spytał.

- Jest trochę szpanerska - odparł Holland.

Thome zauważył, jak Stone regularnie uderza otwartą dłońią w kierownicę.

- Lepiej już zmykaj. Chyba chciałby już wracać.

Holland cofnął się o krok i nagle przystanął.

- Czy pański ojciec dobrze się bawił na weselu?

- Czy dobrze się bawił? Tak... chyba tak...

- Chciałem powiedzieć - Stone nacisnął klakson - że pierwszym Doktorem Who był William Hartnell. Sprawdziłem w Internecie.

- Powiem mu... - Thome przekręcił kluczyk w stacyjce, patrząc, jak Holland podbiega i wsiada do auta Stone'a. Usłyszał głośne dźwięki włączanej muzyki, kiedy sportowe auto minęło go z rykiem i wypadło na szosę, a Andy Stone nawet się nie obejrzał, czy coś nadjeżdża z przeciwka.

Thome zerknął na zegarek i ponownie zgasił silnik. Dopiero pierwsza. Autopsję wyznaczono na drugą, a do szpitala było zaledwie dziesięć minut drogi. Siedział przez kilka minut, zastanawiając się, czy się zdrzemnąć, czy przeczytać gazetę i nagle usłyszał dochodzące z oddali radosne okrzyki i oklaski. Znajome, kuszące dźwięki rozchodzące się ciepłym popołudniem.

Odnalezienie miejsca gry zajęło mu dwadzieścia minut, boisko znajdowało się kilkaset metrów dalej, w małym parku, przy szosie. Do rozpoczęcia sezonu zostało jeszcze półtora miesiąca, ale niedzielni piłkarze nie patrzyli na kalendarz, tak jak nie zwracali uwagi na ogólną sprawność i umiejętności. Drużyny - jedna w czerwonych, druga w żółtych koszulkach - i około tuzina świrów obserwujących z dziką rozkoszą ich nadrabiane entuzjazmem zmagania. Thome ucieszył się jak dziecko. Stał przy bocznej linii i zatracił się w oglądaniu gry. Za niespełną godzinę będzie obserwował skrupulatne wydobywanie kolejnych organów z ludzkiego ciała. Tymczasem jednak z nieskrywaną radością patrzył, jak dwie drużyny, żółta i czerwona, uganiają się po boisku, pokrzykując w głos i faulując bez pardonu w zawziętej walce o piłkę.

Thome odebrał swoje piwo i odwrócił się do kontuaru plecami. Oprócz Russella Brigstocke'a, którego jedno z dzieci zachorowało, i Yvonne Kitson w pubie była większość starszych rangą członków zespołu. Wszyscy pragnęli się rozluźnić, spędzić miły wieczór, który w najbliższym czasie może się nie powtórzyć, zwłaszcza gdy śledztwo mszyło już z miejsca. Teraz, gdy pojawiły się drugie zwłoki. Thome nie zamierzał zabawić tu długo. Był skonany. Jedno, dwa piwka i do domu...

Zebrali się przy dwóch niedużych stolikach. Holland i Hendricks siedzieli po jednej stronie z Andym Stone'em i Samem Karimem, sierżantem pełniącym funkcję oficera

dyżurnego. Grali w „Numerek albo śmierć”, grę polegającą na wyborze najbardziej niepożądanych partnerów seksualnych, która od kilku tygodni pochłaniała całą Grupę ds. Przepływów Szczególnych. Wybór pomiędzy księżniczką Anną a Camillą ParkerBowles stanowił główny powód zażartej debaty. Phil Hendricks próbował dojść do głosu, twierdząc, że jako gej nie powinien być zmuszany do seksu z którąkolwiek z nich. Jego racje uznano za słuszne i dano mu wybór między Saddamem Husajnem a nadkomisarzem Trevorem Jesmondem...

Jeżeli w Royal Oak dominowała inna tematyka niż picie do upadłego, nikt nawet nie próbował dociec, co by to mogło być. Pomijając fakt, że był to pub znajdujący się najbliżej Becke House, nic innego nie przemawiało na jego korzyść. Może miała z tym coś wspólnego ciągła obecność funkcjonariuszy policji, ale akurat tutaj rzadko zdarzała się osoba, która nie miałaby przy sobie blachy.

Thome rozejrzał się dokoła. Niedzielny wieczór, a pub świecił pustkami: para przy stoliku obok WC wlepiła wzrok w swoje szklaneczki, jakby właśnie się pokłóciła; w głównej sali było cicho, jeśli nie liczyć barwnych komentarzy jego zespołu i cichutkiej, zapętlonej melodyjki z nieużywanego automatu do gry stojącego w kącie.

Było ich niewielu więcej, niż zebrało się wcześniej w sali sekcyjnej: Phil Hendricks, trzech pomocników koronera, funkcjonariusze od materiałów dowodowych, fotograf i kamerzysta, konstabl, który jako pierwszy zjawił się w hotelu Greenwood, aby potwierdzić, że zwłoki były tymi samymi, które ujrzał na łóżku w pokoju 313. Oraz Thome...

Cała dziewiątka zebrała się w chłodnej sali o łatwych do czyszczenia powierzchniach z rowkami odpływowymi w podłodze. Od popękanych kremowych płytek glazury odbijało się echo nawet najcichszego chrupnięcia miętówki. Grupa ludzi czekających, aż ciało lana Welcha zostanie odsłonięte i rozkawałkowane.

Thome uczestniczył w setkach autopsji i choć traktował je z niejaką rezygnacją, stwierdził, że ostatnio przychodzi mu to z coraz większym trudem, coraz ciężiej mu było o nich zapomnieć. Brutalne traktowanie zimnych ciał niepokoiło go teraz znacznie mniej niż drobne szczegóły, maleńkie fragmenciki, które dręczyły go i nękały jeszcze przez wiele dni, po każdej sekcji...

Budząc się z rana, słyszał wilgotne plaśnięcie mózgu wkładanego delikatnie do szklanego słoja. Dotykające świeżo ogolonego policzka, ociekające jeszcze wodą palce zdawały się wciągane przez skórę w głąb tkanek. Woń w pracy, odór jakby surowego mięsa, czający się wśród mieszanki kwaśnego potu i aromatu stołwkowych dań...

Zebrała się ich dziewiątka. Czekali jak zakłopotani goście na osobliwym przyjęciu, nieznający się nawzajem. Ten upiorny moment między przybyciem a właściwym rozpoczęciem...

Wreszcie Hendricks odgarnął białe prześcieradło i zapytał równie białego konstabla, czy rozpoznaje ciało i czy jest ono tym samym, które widział wcześniej. Konstabl sprawiał wrażenie, jakby mógł potwierdzić jedynie to, że żołądek podszedł mu do gardła. Przełknął gwałtownie ślinę.

- Tak - powiedział. - To samo.

I potem wyszli...

Holland podszedł do baru, by zamówić kolejkę, a Thome zajął miejsce obok Andy ego Stonea. Karim nachylił się, by wciągnąć Thorne'a do gry. Zanim zdążył się odezwać, Thome odwrócił się i usadowił wygodnie, patrząc na Stone a.

- Kretyńska, idiotyczna gra - wycedził Stone. Thome niedawno przyszedł, ale Stone sprawiał wrażenie, jakby wypił już trzy albo nawet cztery kufelki. - Jeżeli gra nosi tytuł „Numerek albo śmierć”, to wiadomo, że przelecisz każdego. Bez względu na to, kim jest, no nie? Więc o co chodzi?

Thome przełknął łyk piwa i nachylił się nieznacznie do Stone a.

- Chcę pogadać przez chwilę o tym, co się stało, kiedy zgarnęliśmy Gribbina.

Jeżeli Stone nawet miał trochę w czubie, to wytrzeźwiał błyskawicznie.

- Chroniłem dziecko. Nie wiedziałem, co on może zrobić...

- Dokładnie to samo powiedziałem nadinspektorowi. Ale mimo wszystko muszę zaznaczyć, że posunąłeś się trochę za daleko. I nie chcemy, aby to się powtórzyło, jasne? - Thome upił kolejny łyk. Kufelek był już do połowy pusty. - Nikt nie przepada za typami takimi jak Gribbin, ale ty zwyczajnie przegiąłeś.

- Jest ich wielu. Tak cholernie wielu. Nie pojmuję, jak to możliwe.

- Posłuchaj...

Stone odwrócił się. Mówił cicho i szybko, jakby przekazywał wyjątkowo niebezpieczną informację.

- Mam kumpla w Grupie ds. Ochrony Dzieci w Bames. Opowiedział mi, jak ścigali kiedyś mordercę dzieci w Szkocji. Ten gnój zabił ich troje, mieli jego rysopis i jakaś kobieta powiedziała, że widziała go na plaży w któryś weekend. To było jakieś święto. Policja zwróciła się do ludzi z prośbą, aby udostępnili im zdjęcia, które robili tego dnia, w nadziei, że może ktoś przypadkiem pstryknął temu skurwielowi fotkę...

Thome pokiwał głową. Pamiętał tę sprawę. Nie miał pojęcia, co chciał mu powiedzieć Stone.

- W rezultacie otrzymali setki filmów. Wywołali je wszystkie i zaczęli analizować. Tysiące zdjęć. - Stone podniósł swoją szklaneczkę i patrzył na nią przez chwilę. - Kobieta nie potrafiła odnaleźć mężczyzny, którego zobaczyła, ale policja zidentyfikowała trzydziestu znanych pedofili. W ciągu jednego pieprzonego weekendu, na jednej i tej samej plaży. Trzydziestu...

Stone opróżnił szklaneczkę.

- Dobra. A teraz muszę chyba do toalety...

Thome odprowadził tamtego wzrokiem i również dopił swoje piwo. Postanowił zostawić corsę na parkingu przy Becke House. Do domu mógł łatwo dotrzeć metrem... Reszta wieczoru minęła szybko i przyjemnie. Thome opowiedział kilka co lepszych dowcipów zasłyszanych od ojca; Holland klócił się przez telefon z Sophie, ale robił dobrą minę do złej gry, udając przed kolegami, że nic się nie stało; nikt nie potrafił wybrać pomiędzy królową a Margaret Thatcher; Thome założył się z Hendricksem o dziesięć funtów, że Spursi wyprzedzą Arsenal w nadchodzącym sezonie; Hendricks wypił o jednego guinnessa za dużo i powiedział Hollandowi, że spodobał się kilku jego kumplom gejom.

Gdy wszyscy wyszli w ciepłą, pogodną noc i zaczęli się żegnać, Stone złapał Thome a za rękę.

- Kumpel powiedział mi coś jeszcze. Wie pan, że aresztowali tego faceta, co ściągał z Internetu zdjęcia dzieciaków? Miał je w komputerze. Setki, tysiące zdjęć. Mówił, że oglądał te wszystkie zdjęcia, patrzył na twarzyczki tych dzieci w nadziei, że któregoś dnia odnajdzie wśród nich fotografie samego siebie...

Thome delikatnie acz zdecydowanie próbował uwolnić się z uścisku. Stone jeszcze mocniej zacisnął palce na jego ramieniu.

- To jakaś bzdura, co? - rzucił Stone - Zwykły kit. Mama wymówka, nie sądzi pan? Przecież to nieprawda, zgadza się, panie inspektorze...?

Thome przeszedł przez frontowe drzwi i minął się w holu z parą z mieszkania na piętrze. Odetchnął, przeciągle i głośno. Odebrał pocztę, posortował rachunki z pizzerii i zaczął szukać klucza do swego mieszkania. Gdy tylko otworzył drzwi, już wiedział. Poczł podmuch powietrza, którego być nie powinno. I dziwny, towarzyszący mu zapach... Szybko wszedł do przedpokoju. Kot jął ocierać się o jego nogi. Odstawił torbę na podłogę, cisnął listy na stolik obok telefonu i wszedł do dużego pokoju.

Spojrzał na puste miejsce, gdzie wcześniej stało wideo. I na zakurzoną półkę, której nigdy nie pomalował, gdzie do niedawna stał zestaw stereo. Przewody też zniknęły, co oznaczało, że złodzieje zabawili w mieszkaniu jakiś czas. Ci, którym się spieszyło, po prostu wrywali kable jak leci.

Sięgnął po kilka książek rozrzuconych na podłodze, które wcześniej opierały się o głośniki marki Bose. Najwyraźniej ten, kto zabrał głośniki, nie był zwolennikiem beletrystyki. Ale zabrał też wszystkie kompaktki... Co do jednego... Skurwiele oddadzą jego kolekcję za marną porcję prochów na jeden dzień.

Thome wszedł do kuchni i spojrzał na małe okienko, przez które weszli do środka. Zostawił je otwarte. W pośpiechu, dwa wieczory wcześniej, kiedy rzucił na jedną stertę rzeczy, jakie miał na sobie podczas wesela i zapomniał je zamknąć, bo spieszył się, by uspokoić swego zidiociałego, cholernego ojca...

Pomijając oczywiste braki, mieszkanie wyglądało mniej więcej tak, jak je zostawił. Domyślał się, że w szafie w sypialni może brakować jednej lub dwóch walizek. Wyszli frontowymi drzwiami jak gdyby nigdy nic, wyglądali zapewne, jakby wybierali się na wakacje.

Woń uderzyła go w nozdrza, kiedy otworzył drzwi sypialni i Thome od razu domyślił się, co jest jej źródłem. Uniósł dłoń, by zasłonić usta, aby to uczynić, musiał najpierw rozewrzeć zaciśnięte w pięść palce. W pierwszej chwili, gdy odgarnął narzutę, pomyślał, że potrzeba nie lada zręczności, aby nafajdać komuś dokładnie na sam środek łóżka.

Thome wyszedł z sypialni, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Elvis zamiauczała u jego stóp; była głodna albo wypierała się cuchnącej niespodzianki na środku łóżka. Jedno z dwojga. Thome zastanowił się, czy nie jest aby za późno, by zadzwonić do ojca i trochę na niego nakrzyczeć.

Spojrzał na zegarek. Było dziesięć minut po północy... Właśnie skończył czterdzieści trzy lata. aby to uczynić, musiał najpierw rozewrzeć zaciśnięte w pięść palce. W pierwszej chwili, gdy odgarnął narzutę, pomyślał, że potrzeba nie lada zręczności, aby nafajdać komuś dokładnie na sam środek łóżka.

Thome wyszedł z sypialni, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Elvis zamiauczała u jego stóp; była głodna albo wypierała się cuchnącej niespodzianki na środku łóżka. Jedno z dwojga. Thome zastanowił się, czy nie jest aby za późno, by zadzwonić do ojca i trochę na niego nakrzyczeć.

Spojrzał na zegarek. Było dziesięć minut po północy.. Właśnie skończył czterdzieści trzy lata.

Przez całą niedzielę, za każdym razem, kiedy zaczynał dobrze się bawić, przypominał sobie tę cholerną nagraną wiadomość i coraz bardziej go to drażniło i intrygowało... Była nagrana na automatycznej sekretarce i czekała na niego, kiedy wrócił ze Slough w sobotni wieczór. Zignorował ją, by paść całkiem wyczerpany na łóżko, i odsłuchał ją z samego rana. Nie tego potrzebował. Nie teraz. To mogło wszystko zniweczyć. Musiał się z tym uporać.

Kiedy się ubierał, kręcąc się po mieszkaniu, wspominał wyraz twarzy Welcha, gdy ujrzał go wchodzącego do hotelowego pokoju. To było najlepsze. Ten wyraz twarzy. Z Remfym było tak samo. Taki wyraz pojawiał się na twarzy kogoś, kto spodziewał się czegoś konkretnego i nagle uświadomił sobie, że spotka go coś Zgoła innego.

Zastanawiał się, czy ten sam wyraz malował się na twarzach kobiet, które zgwałcili. Nie znał szczegółów ich przestępstw ani nie dbał o nie. Gwałt to gwałt i basta. Wiedział, że większość ataków nie nastąpiła w ciemnych zaułkach czy na pustych przystankach autobusowych. Wiedział, że większość ofiar знаła swoich gwałcicieli. Ufała im. To byli ich przyjaciele, koledzy, mężowie...

Musieli widzieć wyraz tej przeraźliwej świadomości na twarzach atakowanych kobiet. Grozę i zdumienie. To ostatnia rzecz, jakiej się mogły spodziewać. A na pewno nie spodziewały się czegoś takiego ze strony tych osób. Z lubością kontemplował ten sam grymas wykrzywający oblicza owych mężczyzn. Bawił się tą reakcją przez kilka sekund, po czym wyciągał nóż i sznur do bielizny. Wywołując całkiem nową reakcję.

Włożył kurtkę i sięgnął po klucze. Przejrzał się w lustrze przy drzwiach frontowych. A potem zerknął na automatyczną sekretarkę. Wiadomości zostawił sobie zdecydowanie na później.

## 11

Od metra było niespełna dziesięć minut drogi pieszo, ale Thome nieźle się spocił, nim dotarł do Becke House. Przy głównym wejściu stała jakaś postać spowita obłokiem tytoniowego dymu. Thome zdziwił się, gdy stwierdził, że osobą tą jest Yvonne Kitson.

- Witaj, Yvonne.

Skinęła głową, unikając jego spojrzenia i czerwieniąc się jak uczeń przyłapany na paleniu za składzikiem.

- Dzień dobry...

Thome wskazał na papierosa wypalonego niemal do filtra.

- Nie wiedziałem, że...

- To teraz już pan wie - wysiliła się na uśmiech i znów się zaciągnęła. - Niestety, daleko mi do doskonałości...

- I Bogu dzięki - dokończył Thome.

Uśmiech Kitson stał się jeszcze cieplejszy.

- Proszę wybaczyć. Czyżby zaczął pan się mnie obawiać?

- Ja nie. Ale paru młodszych funkcjonariuszy nieźle wystraszyłaś, nie ma co. - Kitson zaśmiała się, a Thome zauważył, że wciąż ma torebkę przerzuconą przez ramię. - Nie byłaś jeszcze w środku? - zapytał. Pokręciła głową, wydmuchując kącikiem ust smużkę dymu. - Niech to szlag, musisz mieć chyba nerwy ze stali.

Kitson uniosła brwi i spojrzała na niego, jakby nie rozumiała, oczym mówił. Przez chwilę stali, patrząc w przeciwnych kierunkach inie odzywając się słowem. Thome postanowił wykonać pierwszy ruch, zanim zaczną rozmawiać o pogodzie. Jedną ręką pchnął przeszklone drzwi.

- Do zobaczenia na górze - rzekł.

- A niech to. - Zupełnie jakby coś sobie nagle przypomniała. - Przykro mi z powodu tego włamania. Właśnie się dowiedziałam.

Thome skinął głową, wzruszył ramionami i przestąpił próg. Wchodził po schodach, dziwiąc się, jak niewiarygodnie szybki i skuteczny był tutejszy system przekazywania wiadomości, lepszy od tamtamów...

Oficer dyżurny z Kentish Town, znający konstabla w Islington, który zadzwonił do kogoś z Colindale... Dorzuć do tego garść chińskich zakłęb;, a otrzymasz osobliwą mieszankę plotek, pogłosek i bajd lepszą od wszystkiego, z czego mieli okazję korzystać przy zwalczaniu przestępczości.

Prawie pięć minut zajęło Thomeowi przejście przez salę odpraw. Towarzyszyły temu słowa otuchy i niewybredne żarciki. Czuł się jak pod pręgierzem. Nagrodą był kubek kawy z naprawionego automatu stojącego w rogu sali.

- Tak mi przykro, stary...

- Współczuję.

- Kiepsko pan wygląda. Spał pan na sofie, inspektorze?

- Nie byłeś na seminarium w sprawie zapobiegania przestępstwom, Tom?

- Powodzenia... - To Holland.

Thome pragnął chwili ciszy. Celowo w pubie, ubiegłego wieczoru, nic nie powiedział. Chyba musiał wspomnieć o swoich urodzinach Hollandowi, choć nie pamiętał, kiedy.

- Dzięki.

- Niezbyt miły prezent zastał pan po powrocie do domu. Mam na myśli włamanie, a nie...

- Owszem. Przyznaję.

- Ktoś wspomniał, że zwędzili pańskie auto...

- Czy to ironiczny uśmieszek, Holland?

- Nie, sir...

Ubiegła noc. Thome, wywlekając materac przez frontowe drzwi, przypomniał sobie, że kiedy wrócił do domu, nie zauważył stojącego przed nim mondeo. W mieszkaniu nie widział też kluczyków do auta, które zostawił na stole. Miał wtedy inne zmartwienia... Upuścił materac i wyszedł na ulicę. Może zaparkował wóz gdzie indziej.

Jednak nie. Skurwiele.

- Może urodzinowy kielonek w Royal Oak, później? - podsunął Holland.

Thome minął go i podszedł do automatu. Sięgając do kieszeni po drobne, odwrócił się i rzekł.

- Ale po cichu, bez rozgłosu, dobra?

- Jak pan chce...

- Nie tak jak ubiegłego wieczoru. Tylko ty i Phil, może.

- Dobra.

- Może spytam jeszcze Rusella, czy nie miałby ochoty się przyłączyć.

- Jeżeli nie jest pan w nastroju, możemy to przełożyć na kiedy indziej.

Thome wrzucił monety do automatu.

- Posłuchaj, po atrakcjach związanych z drugim truposem i trwającymi w nieskończoność rozmowami telefonicznymi w sprawie ubezpieczenia domu i samochodu oraz z problematyczną dla niektórych wywózką mojego materaca, bo nikt w służbach miejskich nie wie, kto powinien się tym zająć, chyba mam ochotę na co najmniej jednego głębszego...

Kiedy Holland się oddalił, Thome stał, sącząc kawę i gapiąc się na dużą, białą zmywalną tablicę dominującą na jednej ze ścian sali. Krzywe linie nakreślone czarnym flamastrem tworzyły kolumny i rzędy. Strzałki łączyły się z adresami i numerami telefonów. Zadania na dany dzień i obowiązki dla każdego z zespołów wyznaczone przez oficera dowodzącego. Nazwiska osób przydzielonych do śledztwa. I pośrodku: REMFRY, GRIBBIN, DODD...

W osobnej kolumnie: Jane Foley?

A teraz pod Dougiem Remfirym dodane drugie nazwisko i sporo wolnego miejsca na kolejne nazwiska poniżej. Podpis u góry kolumny nie został jeszcze zmieniony. Nikt nie zmienił a na y w słowie OFIARA, ale ktoś w końcu to zrobi.

Thome usłyszał sapnięcie i odwróciwszy się, ujrzał tuż obok Sama Karima.

- Jak tam głowa?

Thome spojrział na niego.

- Że co?

- Po ubiegłym wieczorze. Ja tam czuję się kompletnie wypompowany.

- A ja całkiem nieźle - odrzekł Thome.

Samir Karim był wielkim, nader towarzyskim Hindusem z gęstą strzechą siwych włosów i charakterystycznym londyńskim akcentem. Miał zwyczaj mówić z prędkością karabinu maszynowego. Przycupnął jednym masywnym poślądkiem na krawędzi biurka.

- Nawiasem mówiąc, do diabła z tymi wszystkimi taśmami...

- Z jakimi taśmami?

- Z kamer przemysłowych w Greenwood.

Thome wzruszył ramionami, bynajmniej nie zdziwiony.

- Możliwości jest kilka - ciągnął Karim. - Ale tylko z tyłu. Kamery tak naprawdę obejmują swym zasięgiem jedynie bar i okolice recepcji oraz wind. Można wejść do środka i wspiąć się niepostrzeżenie po schodach, jak się wie, gdzie są rozmieszczone kamery...

- On to wiedział - mruknął Thome.

Przez kilka chwil patrzyli na tablicę.

- To zasadnicza różnica między naszym i wszystkimi innymi zespołami, prawda? - rzekł Karim.

- To znaczy?

- Oni mają ofiarę. My mamy listę...

W filmach i serialach często pojawia się pewien banał, a konkretnie scena, mająca podkreślić wagę danej chwili, w której ktoś upuszcza monetę. Dla prawdziwych ludzi oznacza to przypomnienie, gdzie zostawili kluczyki od samochodu albo tytuł piosenki, która nie dawała im spokoju od dłuższego czasu. Dla filmowego gliny objawienie tego typu jest o wiele bardziej mroczne. Zazwyczaj zwiastuje ono przełom w śledztwie. A potem, gdy następuje moment absolutnego olśnienia, kamera robi szybki najazd na twarz bohatera lub powoli się do niego zbliża. Tak czy owak zbliżenie jest nieuchronne i w końcu wszyscy dostrzegają w oczach bohatera te charakterystyczne iskierki znamionujące rozwiązanie problemu...

Thome nie był aktorem. Nie było pełnego determinacji zdecydowanego mchu głową ani enigmatycznego spojrzenia. Stał po prostu z kubkiem kawy w dłoni i rozdziawionymi ustami, jak półgłówek.

LISTA...

Iluminacja była dlań jak uderzenie w głowę piłką do krykieta. Poczł kropelki potu wysącżające się ze wszystkich porów jego ciała, które po chwili znów weń wniknęły. Świerzbienie, gorąco i znów chłód.

- Dobrze się czujesz, Tom? - spytał Karim.

Zbliżenie, najazd i zatrzymanie kamery.

Thome nie czuł gorącej kawy spryskującej mu nadgarstek, kiedy przemaszerował przez salę, korytarz i wparował do gabinetu Brigstockea. Brigstocke uniósł wzrok, dostrzegł wyraz twarzy Thomea i odłożył pióro.

- Co jest...?

- Wiem, jak ich znajduje - oznajmił Thome. - Jak wynajduje tych gwałcicieli.

- Jak?

- To może być całkiem proste. Nasz człowiek może pracować w służbie więziennej albo odwiedzać puby w okolicy Pentonville i Scmbs w nadziei, że zaprzyjaźni się tam z którymś z klawiszy, ale szczerze w to wątpię. Ostatecznie nie tak trudno jest dowiedzieć się, gdzie trafiają zwolnieni gwałciciele. Rodziny, rejestry sądowe... mógłby nawet, gdyby chciał poszperać w archiwach którejs z gazet...

- Tom...

Thome postąpił naprzód, postawił kubek z kawą na biurku Brigstockea i zaczął krążyć w tę i z powrotem po niewielkim gabinecie.

- Chodzi o to, co się dzieje POTEM. Chodzi o daty zwolnień z zakładu karnego i adresy. Sądziłem, że może to mieć jakiś związek z rodzinami, ale Welch nie miał stałego adresu. Rodzina wyparła się go i wyjechała wiele lat temu. - Spojrzał na Brigstockea, jakby wszystko było banalne i oczywiste. Brigstocke pokiwał głową, wciąż czekał. - Szczegóły dotyczące zwolnień są płynne, zgadza się? Więźniowie są przenoszeni, daty zwolnień warunkowych zmieniają się, wyroki są wydłużane. Zabójca musi mieć dostęp do bardzo dokładnych, konkretnych i zaktualizowanych danych...

- Czy mam zadzwonić do przyjaciela? - spytał Brigstocke. - A może w końcu to z siebie wydusisz? Jak ich znajduje?

Thome wysilił się na cień uśmiechu.

- Tak samo jak my - Za szklami okularów powieki Brigstocke a mrugnęły raz i drugi, bardzo wolno. Wyraz zakłopotania na jego twarzy był zmieszany ze smutkiem. Albo z pełnym ekscytacji oczekiwaniem.

- Rejestr przestępców seksualnych.

Thome pokiwał głową i sięgnął po swoją kawę.

- Jezu, powinno się nas odstrzelić, bo tak długo nam to zajęło... - Brigstocke wziął głęboki oddech. Zaczął krążyć tam i na powrót pomiędzy ścianą a biurkiem. Próbował umiejscowić tę nową i jakże ważną informację na tablicy Przekształcić ją w coś, co mogliby wykorzystać.

- Nie muszę tego mówić, prawda? - wycedził w końcu.

- Czego?

- Ze to ma pozostać między nami.

Thome uniósł wzrok i spojrzał w dal ponad ramieniem Brigstocke a. Słońce skryło się za chmurą, ale w niedużym gabinecie nadal było gorąco i parno. Czuł strużki potu ściekającego mu po plecach.

- Nie musiałeś tego mówić.

- Nie tylko dlatego, że to... delikatna sprawa. Choć jest taka. - Thome wiedział, że Brigstocke ma rację. Temat Rejestru był od lat łakomym kąskiem dla wszystkich brukowców. Taka afery mogła znów zapoczątkować ogólnokrajową kampanię oskarżeń i oszczerstw. Kiedy ponownie spojrzał na Brigstocke a, nadinspektor uśmiechnął się. - Może dzięki temu go dorwiemy, Tom.

Thome szczerze na to liczył.

Brigstocke wyszedł zza biurka.

- Dobra, zacznijmy od instytucji, które są informowane o powinnościach zwalnianego więźnia. Od tych, które zgodnie z przepisami otrzymują wszystkie szczegóły na jego temat. - Zaczął odliczać na palcach. - Zakład ubezpieczeń społecznych, biuro kuratora...

- I rzecz jasna, my - dodał Thome. - Nie możemy zapomnieć o najbardziej zajmującej instytucji, prawda, Russellu?

Macpherson House mieścił się w bocznej uliczce przy Camden Parkway. W ciągu blisko stu lat budynek pełnił funkcję teatru, kina i sali bingo. Teraz był już tylko skorupą, wewnątrz której urządzono tymczasową noclegownię.

- O ja pierdole - wycedził Stone. Uniósł głowę, by spojrzeć na brudny, popękany sufit powyżej. Holland uniósł wzrok. Na gzymsach wciąż widać było ślady złocień. Ozdobne

gipsowe liście wiły się falującymi ciągami w poprzek całego sufitu i w dół czterech korynckich kolumn stojących w rogach rozległej sali.

- Kiedyś to musiało naprawdę niezłe wyglądać...

Na podłodze leżał egzemplarz „Daily Star” sprzed tygodnia. Stone przesunął go stopą. Pociągnął nosem i skrzywił się, czując woń zatęchłego powietrza.

- Co za wstyd...

Kiedy mszyli dalej, Holland w skrócie przybliżył Stone owi prostą, pełną ironii historię tego miejsca. Pierwotnie teatr, z czasem stał się kinem. W latach siedemdziesiątych podupadające kino zmieniono w jeden z popularniejszych w owym czasie salonów bingo. W trzydzieści lat później salon też przestał być opłacalny, ludzie zamiast grać w bingo woleli zwyczajne zdrapki.

- Od teatru do kolektury totka - rzekł Holland.

Stone parsknął.

- Zakładam, że ta twoja szóstka jednak nie padła?

- Przecież nadal tu jestem, prawda?

Gdy stąpali po kamiennych posadzkach, wkoło rozległo się echo kroków, znacznie przytłumione, kiedy przechodzili po rzadka tu leżących, wyświechtanych dywanach lub starej wykładzinie.

- Nie przychodzi ci do głowy nic, co mogłoby zastąpić loterię?

Holland pokręcił głową.

- Raczej nie, dopóki jest na nią popyt.

Szli jakieś dziesięć metrów za Brianem, kierownikiem noclegowni, postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce, o długich, siwych włosach, z dużym kolczykiem w kształcie kółka w uchu i w kolorowej kamizelce. Nie odwracając się, rozłożył szeroko ramiona. Prezentował wszem wobec swoją domenę.

- Na TO zawsze będzie popyt...

Teraz przestrzeń dwunastu metrów pod wyblakłym rokokowym sklepieniem zajmowały poobijane zlewy i metalowe łóżka. Kuchnia i stołówka. Dwa niewielkie telewizory, przymocowane łańcuchem z kłódką do najbliższego grzejnika. Za łózkami wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy porysowanych, poobijanych szafek, niektóre z nich nie miały zamków, wielu brakowało drzwiczek. Wszystkie były pordezwiązałe i pokryte graffiti.

- Rada miasta dostała je za bezcen - rzekł Brian - kiedy likwidowano pobliski basen. W tym samym tygodniu zyskali to miejsce przy rzece...

Holland idąc, wpatrywał się w posadzkę. Pod wieloma łózkami stały buty, głównie trampki. Tu i ówdzie wyświechtana walizka. Tuziny plastikowych reklamówek.

Stone zdjął marynarkę.

- To przede wszystkim bezdomni, zgadza się?

Brian obejrzał się przez ramię. Hollandowi wydał się potężny i opanowany. Choć zapewne sprowokowany potrafiłby nieźle przyłożyć. Potrzebował jedynie pretekstu.

- Różnie to bywa. Bezdomni, giganciarze, narkomani. I byli więźniowie, jak Welch.

- Dokąd chodzą za dnia? - spytał Holland.

Postawny mężczyzna zwołał, pozwalając, żeby Holland i Stone zrównali się z nim.

- Włóczą się, to tu, to tam. Żebrzą. Próbuja znaleźć miejsce, aby się przespać. - Uśmiechnął się na widok zakłopotania na twarzy Hollanda. - Tu jest ciepło i dają też zjeść, ale mało kto tu sypia. Większość z nich obawia się, że zostanie okradziona. Nawet jeżeli chcą spać, setka mężczyzn kaszle i przewraca się z boku na bok na skrzypiących łózkach, a to bywa głośniejsze niż standardowa perkusja.

- Moja była dziewczyna nie dawała mi zasnąć przez pół nocy - wtrącił Stone. - Mówiła przez sen i zgrzytała zębami.

Brian uśmiechnął się słabo.

- Teraz jest tu ciszej, ale w porze kolacji nie usłyszycie własnego głosu. Zaczynają się schodzić, kiedy robi się ciemno. O dziewiątej mamy tutaj tłok.

Holland spojrzął na stojące opodal potrójne i poczwórne rzędy łózek. Wyobraził to sobie. Pełna chata.

Kierownik przystanął. Postukał w otwarte drzwi szafki i zaraz się cofnął.

- Ta należała do pana Welcha. Gdybyście czegoś potrzebowali, będę w swoim biurze.

Obaj włożyli rękawiczki. Podczas gdy Stone przeszukiwał szafkę, Holland osunął się na kolana i na czworakach, po raz drugi w ciągu dwóch tygodni zaczął zaglądać pod łóżko niedawno zamordowanego gwałciciela.

Zebranie wszystkich doczesnych rzeczy Welcha zajęło w sumie niecałe dwie minuty: wyświechtana zielona torba z rzeczami cuchnącymi starzyzną, plastikowa reklamówka z brudnymi slipkami i skarpetkami, radio poplamione białą farbą, elektryczna maszynka do golenia, parę starych powieści w broszurowym wydaniu...

W głębi szafki, pomiędzy stronicami jednej z książek zdjęcie Jane Foley.

- Jest - rzekł Stone, unosząc fotografię w dwóch palcach. - Piękniejsza niż kiedykolwiek. - Holland podniósł się i podszedł, aby się przyjrzeć. - Ile?

- Pół tuzina. Nie widzę żadnych listów. Pewnie je wyrzucił...

Stone wsunął zdjęcia do foliowej torebki, a te z kolei do wewnętrznej kieszeni. Holland wrzucił całą resztę do ciemnego worka na śmieci. Kiedy skończył, zważył go w ręku. Nie był ciężki.

- Niewiele tego, co? - rzucił.

Stone zamknął szafkę i wzruszył ramionami.

- Tak to z takimi bywa.

Dochodziło południe, zaczęło robić się gorąco. Holland otarł pot z karku. Zastanawiał się, co chodzi Stone owi po głowie.

- Masz to gdzieś, bo Welch był karany? A może dlatego, że był gwałtcielem? Szczerze mówiąc, bardzo mnie to ciekawi... - Stone zamyślił się. Holland uderzał workiem na śmieci o kolana.

- Chyba przejmowałbym się bardziej, gdyby był fałszerzem - odparł Stone. - I w ogóle bym się nim nie przejął, gdyby zamordował kilka uczennic...

Holland w zamyśleniu zlustrował oblicze Stone'a. Mimowolnie wybuchnął śmiechem, gdy zaczęli kierować się w stronę wyjścia.

- Nie do wiary. Opracowałeś sobie nawet pieprzoną skalę wartościowania ofiar...

Szli wzdłuż Parkway, gdzie Stone zaparkował cougara. Na chodniku w regularnych odstępach stały pękate worki na śmieci jak ten, który dźwigał Holland. Po muzeum figur woskowych Madame Tussaud, niedzielne targowisko w Camden było drugą, jeżeli chodzi o popularność, atrakcją turystyczną w mieście i sprzątanie po nim było jak malowanie Forth Bridge.

- No i jak tam? Za ile przyjdzie na świat dziecko? Jeszcze ze dwa miesiące, prawda? - zapytał Stone.

Holland przerzucił worek z jednej ręki do drugiej.

- Za dziesięć tygodni.

- Sophie musi być wielka jak góra...

Holland uśmiechnął się i spojrzał na witrynę japońskiej restauracji. Talerze z plastikowym sushi, w barwach żółci, różu i czerwieni. Obiecał sobie, że któregoś dnia tego spróbuje.

- Ale jak? Napięcie, wyczekiwanie i w ogóle?

- Tak. Ona wyczekuje w wielkim napięciu.

Stone otworzył drzwiczki auta. I spojrzał ponad dachem na Hollanda.

- Pytałem o TWOJE odczucia...

\*\*\*

- Rusz tyłek. No jazda, podnieś go, ale już, pokaż, co potrafisz te paluszki... - Charlie Dodd chciał być użyteczny Wynajął za darmo atelier i nie wziął przy tym ani grosza za swoje usługi. Teraz radośnie instruował znużoną dziewczynę na łóżku, gdy zadzwonił telefon.

- Pojęcz przez chwilkę, kochanie...

Jego dłoń, w której trzymał słuchawkę, była śliska od potu, kiedy wymamrotał kilka słów powitania i czekał.

- Dostałem twoją wiadomość...

Dodd z miejsca rozpoznał ten głos. Nie rozglądając się dokoła, gestem pokazał dziewczynie, by kontynuowała, po czym uniósł dłoń do ust i wyjął spomiędzy warg papierosa.

- Zastanawiałem się, kiedy znów się odezwiesz.

- Miałem pracowity weekend.

Dodd sięgnął po plastikowy kubek i strzepnął popiół do zimnej herbaty na dnie.

- Coś ciekawego? - Przez kilka sekund tylko suche statyczne trzaski. - Mówiłeś coś o jakiejś przysłudze.

- Wyświadczyłem ci przysługę, stary - rzekł Dodd. - I to wielką.

- Mów dalej...

Dodd uznał, że jego rozmówca wydaje się zrelaksowany Zapewne tylko udawał, zgrywał wyluzowanego, bo domyślał się, co się szykuje. Przypuszczalnie wiedział, że przyjdzie mu trochę zabulić i chciał przejąć kontrolę nad sytuacją, gdy zaczną się targować. Brzmiał całkiem przekonująco. Jakby wiedział, co zaraz powie Dodd...

- Były tu gliny z jednym ze zdjęć, które zrobiłeś. Ze zdjęciem dziewczyny w kapturze.

- Dodd czekał na reakcję. Bez skutku. - Zadawali mi mnóstwo pytań...

- Czy usłyszeli od pana wiele kłamstw, panie Dodd?

Dodd ścisnął papierosa między kciukiem a palcem wskazującym, raz jeszcze zaciągnął się dymem.

- Kilka drobnych i jedno wielkie jak jasna cholera. - Wrzucił niedopałek do kubka, zakręcił nim, odwrócił się i spojrzał na dziewczynę na łóżku. - Powiedziałem, że nigdy nie widziałem pańskiej twarzy. Bo nigdy nie zdjął pan przy mnie kasku...

Dziewczyna zaczęła kręcić tyłkiem. Dodd uznał, że trochę przesadziła z tymi jękami, sprawiała wrażenie, jakby się czymś struła. Na udach miała czerwone ślady. W końcu mężczyzna na drugim końcu łącza odezwał się:

- No dalej, panie Dodd, niech pan to wreszcie powie. Po co ta cała nieśmiałość.

Dodd sięgnął do górnej kieszeni koszulki po kolejnego papierosa.

- Nie jestem nieśmiały, stary...
- To dobrze, bo nie ma po temu powodów.
- W każdym razie nie, kiedy chodzi o pieniądze.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Nareszcie. Po co owijać w bawełnę. O ile dobrze pamiętam tuż za rogiem, obok pańskiego studia jest bankomat...?

Thome był gdzieś pomiędzy Brent Cross i Goldens Green, gdy zaczął przysypiać... Zgodnie ze złożoną dziś rano sobie i Hollandowi obietnicą wyszedł z Royal Oak, by zdążyć na ostatnie metro. Był zmęczony, a w mieszkaniu czekało go jeszcze sprzątanie, toteż nie miał wielkich oporów, by opuścić pub przed zamknięciem. Wyszedł w chwili, gdy Hendricks właśnie zaczął się rozkręcać. Wielokrotnie wypowiadał się już wcześniej na temat przestępstw o charakterze seksualnym. W pubie, gdy podjęto temat Rejestrów, nic go nie mogło powstrzymać...

- Nie zapominajmy o gejach - rzekł Hendricks. - Tych parszywych draniach, zepsutych do tego stopnia, że uwielbiają czuły, odwzajemniony seks z nastoletnimi przyjaciółmi tej samej płci. - W tych słowach, cedzonych z manczesterskim akcentem, gniew mieszał się z ironią.

Thome wiedział, że Hendricks ma prawo się oburzać. To absurd, że mężczyźni skazywanych pod zarzutem powszechnie rozumianej „obrazy moralności” zamykano razem z gwałcicielami i pedofilami. Nawet jeśli granicą odpowiedzialności wiekowej dla gejów zostanie kiedyś obniżona do szesnastu lat, Thome wiedział, że w rejestrze pozostaną dane wszystkich skazanych sprzed tej nowelizacji. Thome mógł się jedynie zgodzić z gorzką refleksją przyjaciela, którą usłyszał, zanim wyszedł z pubu.

- Rządzi nami klika antygejowska - mówił Hendricks.

Eve zadzwoniła, by życzyć mu wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, akurat kiedy szedł w stronę stacji metra w Colindale. Ciągłe rozmawiając, Thome minął KFC i kilka niedużych barów z kebabem. Kiszki grały mu marsza, jednak nie zaszedł do żadnego z nich, a zamiast tego opowiedział Eve o włamaniu i drobnej niespodziance, jaką mu zgotowano.

- To doprawdy nader oryginalne - rzekła Eve.

Thome zaśmiał się.

- No jasne, a osobiście wyprodukowany prezent jest szczególnie cenny, czyż nie?

Thome szedł wolno, pochłonięty rozmową, ale jak zawsze w pełni świadomy tego, co robił. Obserwował wszystko, co działo się po drugiej stronie ulicy, na rogu i za parkującymi

opodal autami. To nie było Tottenham ani Hackney, ale lepiej mieć się na baczności, skoro do ludzi strzelano, by zdobyć wartę dziesięć funtów komórki.

- To jak... kiedy wymienisz łóżko? - spytała Eve.

- Kiedyś... na pewno...

- Mam taką nadzieję.

Żartowali sobie, ale nagle Thome wyczuł w jej głosie nowy ton. Nutę zniecierpliwienia. Jakby uciekała i pragnęła, by ją dogonił.

- Cóż, zawsze możemy pójść do ciebie, prawda? - rzucił Thome.

Chwila przerwy. A potem:

- To nie takie proste. Denise bywa zazdrosna...

- O facetów, których ze sobą przyprowadzasz?

- O tych, którzy zostają na noc...

Thome usłyszał westchnienie Eve, jakby miała już za sobą podobną rozmowę. Zapewne właśnie z Denise.

- Chwileczkę, ale ona ma przecież Bena, zgadza się?

- Wiem, to czyste szaleństwo. Ale zaufaj mi, nie ma sensu wdawać się...

Zaraz potem Thome zszedł na stację i luźna rozmowa dobiegła końca. Kiedy wrzucił monety do automatu biletowego, pośpiesznie umówili się na spotkanie w nadchodzącym tygodniu. Pożegnała się z nim, gdy zjeżdżał schodami ruchomymi na peron i stracił zasięg, zanim zdążył odpowiedzieć tym samym.

Pociąg był pusty. W wagonie na samym końcu siedziała para nastolatków, dziewczyna oparła głowę na ramieniu chłopaka. On gładził ją po włosach i szeptał coś, co wywoływało na jej ustach uśmiech.

Thome wziął głęboki oddech. W głowie miał mętlik. Wypił tylko parę piw, ale z każdym kolejnym przejechanym zakrętem tunelu i przez to cholerne kołysanie wagonu czuł się coraz gorzej. Musiał wziąć się w garść. Nie mógł zasnąć. Choć kusilo go, aby zamknąć oczy i oprzeć głowę o ścianę, ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zasnąć i obudzić się w Morden.

Myślał o rozmowie z Eve. Kiedy się umawiali, dlaczego nie nalegał na wcześniejsze spotkanie? Czy to przez panikę, jaka go ogarnęła na wzmiankę o łóżku? Może to śledztwo, sprawa z ojcem i włamanie zanadto go przytłoczyło. Może podświadomie ustalał priorytety. Na pewno czuł się zbyt pijany, aby myśleć trzeźwo o czymkolwiek...

W Hampstead przez drzwi na prawo od Thome'a wszedł jakiś mężczyzna i choć miejsc było mnóstwo, stanął w końcu wagonu, trzymając się poręczy. Thome spojrzął na

niego. Był bardzo wysoki i chudy, owyrazistych, jakby wyciosanych dłutem rysach, siwiejących, zmierzwionych włosach i z całą gamą rozmaitych, osobliwych tików, które nieodmiennie przykuwały wzrok Thome a...

Szybko stało się jasne, że tiki, które, jak uznał Thome, były oznaką zespołu Tourette a, dzieliły się na trzy rodzaje. Najpierw mężczyzna teatralnie unosił brwi i wysuwał do przodu podbródek. Po chwili przekrzywił całą głowę w bok i na koniec głośno kłapał zębami; ten dźwięk brzmiał jak stukot kastanietów. Thome patrzył jak zahipnotyzowany, pełen wyrzutów sumienia na ten występ w trzech aktach, powtarzający się bez końca i każdemu z tych spazmatycznych odruchów po dłuższej chwili zdołał przypisać osobny efekt dźwiękowy. Kolejno, ruchowi brwi, głowy i szczęk. Te trzy ruchy następujące kolejno po sobie zdawały się odzwierciedlać zdumienie, zaciekawienie i wreszcie pełne gorczy rozczarowanie. Dla Thome a efektami dźwiękowymi dla każdego z tych tików było: Ooo! Uchoch! i Kłap! Doprawdy? Brzmi ciekawie! Ech, chrzanić to...

Po minucie lub dwóch mężczyzna zaczął z wolna opanowywać atak, a Thome wreszcie odwrócił od niego wzrok. Nastolatki wysiedli i zastąpiła ich starsza, znacznie bardziej taktowna para. Kobieta zauważyła spojrzenie Thome a i wlepiła wzrok w podłogę, jakby widziała tam coś wyjątkowo zajmującego.

Kiedy Thome odwrócił się i spojrzał w prawo, stwierdził, że trzymający się poręczy mężczyzna stoi w bezruchu i gapi się na niego. Thome usiadł wygodnie, opierając coraz cięższą głowę o chłodną szybę w wagonie. To było takie przyjemne. Zamknął oczy.

Znajdował się zaledwie kilka stacji od miejsca swojej przesiadki w Camden. Mógł pozwolić sobie, aby odpłynąć na minutę lub dwie, odliczając w myślach kolejne stacje i zbliżając się do miejsca przeznaczenia... Niemal w tej samej chwili, kiedy w jego głowie zaświtała ta myśl, Thome zasnął.

Miał sporo do zrobienia, przerzucić z aparatu i wydrukować kilka kolejnych fotek, uznał jednak, że zasłużył na krótką przerwę. Dziesięć czy piętnaście minut surfowania po Internecie nie zawadzi, a potem zaraz wróci do pracy. Wydrukuje wszystkie zdjęcia i pójdzie na pocztę, aby je wysłać...

Lubił pracę z komputerem, zwłaszcza teraz, gdy opanował tę sztukę do mistrzostwa. Musiał się tego nauczyć i nauczył się. W ciągu zaledwie paru lat z dyletanta przerodził się w prawdziwego eksperta w tej dziedzinie. Kliknął na ikonę, nacisnął przycisk myszki i czekał na pojawienie się strony...

Kiedy już nabierzesz w czymś wprawy, może to nawet sprawiać przyjemność. Jak to, co robił tym skurwielom za pomocą noża i sznura do bielizny. Jemu z pewnością sprawiało to przyjemność. To było nawet zabawne, skonstatował po namyśle.

Znalazł tę stronę, kiedy szukał inspiracji i pomocy przy zdjęciach Jane. Teraz często tam wracał, tak po prostu. Aby popatrzeć... To był dziwny tydzień. Właściwie powinien robić teraz co innego, ale został zmuszony, aby zmienić grafikę i przearanżować wszystko z uwagi na aferę z Doddem. W sumie nic wielkiego. Ten problem zostanie już wkrótce rozwiązany.

Odkąd odwiedził tę stronę po raz ostatni, pojawiło się na niej kilka nowych linków. Jeden czy dwa wręcz się prosiły, aby je sprawdzić. Najechał na nie strzałką i kliknął myszką, wstrzymując oddech...

Aż go korciło, aby wrócić do poważnych zajęć. Pomijając wszystko inne, zmiana w rutynowych działaniach stanowiła nie lada wyzwanie. Teraz, kiedy więzienia otrzymały stosowne ostrzeżenia, nie będzie więcej listów...

Jezu...

Kobieta miała ogoloną głowę; była skrupowana i zakneblowana. Z pierścienia przy obroży zwieszał się łańcuch łączący się ze skórzanym pasem opinającym jej kostki. Nabijana ćwiekami uprząż przesłaniała twarz niczym pajęczna sieć, widoczne pośród niej usta wypełniał sadomachistyczny knebel w kształcie czerwonej piłki... Jaka szkoda. Gdyby mógł użyć więcej zdjęć, to byłoby wręcz idealne dla jego celów, ale teraz to już nie wchodziło w rachubę. W przypadku Remfiyego i Welcha to było cudowne, powolne kuszenie. Z następnym będzie trzeba postąpić w prostszy, bardziej bezpośredni sposób. Bez owijania w bawełnę. Prosto z mostu. Miał nadzieję, że to będzie równie zabawne jak długotrwałe zaloty.

## 12

Carol Chamberlain czuła się, jakby była o dwadzieścia lat młodsza niż w rzeczywistości. Każda myśl i doznanie pojawiały się szybciej i zdawały się intensywniejsze. Była mocno spragniona, czujna i wygłodniała. Ubiegłej nocy w łóżku, kiedy nachyliła się i zrobiła mu dobrze, zaskoczyła i zaspokoila swego męża. Może pomięta zielona teczka leżąca na jej podołku okaże się lekarstwem dla nich obojga...

Jack wciąż się uśmiechał w dwanaście godzin później, gdy przyniósł jej tosty. Posłała mu całusa. Zdjął płaszcz z wieszaka i pomaszerował po gazetę.

Carol miała pięćdziesiąt dwa lata i od dziesięciu lat była nadinspektorem, kiedy bezlitosna polityka zasobów ludzkich zmusiła ją, po trzydziestu latach służby, do odejścia z

pracy. To było trzy lata temu. Nie czuła się z tym dobrze, bolała z tego powodu codziennie przez te wszystkie lata, aż do chwili, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon.

Carol zdumiała się i poczuła też pewną ulgę... Wiedziała, jak wiele NADAL ma do zaoferowania i zdawała sobie sprawę, że dano jej szansę, aby się wykazać praktycznie w ostatniej chwili. Musiała przyznać uczciwie, sama przed sobą, że ostatnio zaczęła się poddawać, powoli odpuszczała, była gotowa rzucić ręcznik, tak jak to uczynił jej mąż. Usłyszała skrzypnięcie bramki. Odwróciła się, by popatrzeć na Jacka wychodzącego na ulicę. Pięćdziesięciosiedmioletni starzec...

Carol wzięła do ręki teczkę. Jej pierwsza „zimna” sprawa. W prawym górnym rogu teczki widziała nalepkę z napisem WRPN. Na pierwszej stronie napisano dużymi literami Wydział Rewizyjny Przepięstwu Nierozwiązanych. Oni nazywali siebie Wydziałem Spraw Zamkniętych. W kasynie mówiono o nich Sztywniaki. Mogli ją nazywać, jak tylko zechcą, ale i tak da z siebie wszystko i zrobi dobrą robotę, jak zawsze zresztą...

Dzień wcześniej przy Victoria, kiedy odebrała teczkę z Centralnego Archiwum, od razu zauważyła, że zaledwie przed trzema tygodniami te akta pobrał konstabl z Grupy ds. Przepięstwu Szczególnych. To ciekawe. Zapisała nazwisko funkcjonariusza i postanowiła, że zadzwoni do niego, by zapytać, czego tam szukał...

Trzy lata na bocznicu Trzy lata czytania książek, na które wcześniej nie miała czasu, gotowania, prac w ogródku, nadrabiania spotkań z przyjaciółmi, z którymi wcześniej straciła kontakt. Trzy lata na bocznicu, ale wciąż czuła to niezwykle trzepotanie w brzuchu. Jak motyle, które strzepywały pył ze skrzydeł i zaczęły latać w tę i we w tę, kiedy otworzyła teczkę i zajęła się lekturą.

Sprawa dotyczyła uduszenia mężczyzny na pustym parkingu, przed siedmiu laty...

Tydzień temu skończył czterdzieści trzy lata. Odnalezienie jego spalonego auta, choć nie stanowiło kropli, która przepełniła czarę, upewniło Thoma, że to nie będzie dobry rok. Siedem dni, odkąd wrócił z wesela, by wziąć udział w autopsji. Siedem dni, podczas których zamiast przełomu w śledztwie, nie działo się praktycznie nic.

Ustalenie, co Welch robił od wyjścia z więzienia do śmierci w hotelu, choć drobiazgowo, nie przyniosło nic nowego. Zdjęcia odkryte w szafce w Macpherson House okazały się tropem wiodącym donikąd.

Przeprowadzono setki wywiadów praktycznie z każdym, kto mógł widzieć cokolwiek, ale nie ujawniono żadnych rewelacji, które mogłyby podnieść im ciśnienie krwi.

Słowo „DZIAŁANIA” podkreślone i obrysowane na białej tablicy. Działania określone i skrupulatnie realizowane. Nawiązanie kontaktu z przestępcami seksualnymi,

którzy skrzętnie wpisywali się do Rejestru. Wyśledzenie tych, którzy nie byli aż tak obowiązkowi i czy to przez zapomnienie, czy przez przeoczenie, nie stawiali się określonego dnia na wezwanie i wyjeżdżali w głąb kraju albo zapadali się gdzieś pod ziemię. Sprawdzenie po kilkakroć oświadczeń wszystkich, począwszy od wstrząśniętej recepcjonistki w hotelu Greenwood po bezdomnego pijaczka, który zajmował łóżko obok lana Welcha, przez kilka dni przed jego śmiercią...

Na tym polegało 99% całej policyjnej roboty. To właśnie takie procedury, przy odrobinie szczęścia, mogły dać im cień szansy na osiągnięcie jakichś rezultatów. A Thome, rzecz jasna, nie znosił żadnej zmarnowanej w ten sposób chwili. Kiedy czekał na pojawienie się zwodniczego łutu szczęścia, nawet jego słynna już chwila prawdziwej inspiracji okazała się nieskuteczna...

Siedząc w gabinecie Russella Brigstocke a w ten poniedziałkowy rano - co odczuwał dość boleśnie - Thome słuchał niekończącej się tyrady na temat braku skuteczności. Sądził, że kluczem do schwywania zabójcy jest jego dostęp do Rejestru Przeszłości Seksualnych. Nadkomisarz Trevor Jesmond z entuzjazmem godnym lepszej sprawy robił, co mógł, by pozbawić go wszelkich złudzeń...

- Faktem jest - rzekł Jesmond - że poprzez bmkowce czy inaczej, ale informacje na wiadomy temat przedostały się już do opinii publicznej. Wszystkie służby publiczne mają swoje reguły kontaktowania się ze społeczeństwem. Zwykle przekazuje się tylko wybrane, okrojone i ocenzurowane informacje. Trafiają one do szkół, klubów młodzieżowych i tak dalej, ale w innych wypadkach nie wiemy na pewno, jak wygląda przepływ informacji.

Brigstocke spojrział na Thome a, unosząc brwi. Jesmond dopiero się rozgrzewał...

- Owszem, to możliwe, że szukamy funkcjonariusza służby więziennej! Ale może szukamy kogoś, kto ma kumpla, będącego przyjacielem wyjątkowo gadatliwego nauczyciela. Albo kogoś, kto mieszka obok niedyskretnego pracownika opieki społecznej, który lubi sobie poplotkować przy okazji mycia samochodu w niedzielny poranek...

- Chce pan powiedzieć, że przez tydzień marnowaliśmy tylko czas? - spytał Thome.

Nadkomisarz wzruszył ramionami, jakby zapytano go, czy ostatnio schudł.

- Zapytaj mnie o to raz jeszcze, kiedy go już złapiemy... - Jesmond wyraźnie delektował się takimi chwilami. Thome spojrział na niego i pomyślał: „Naprawdę sprawia ci przyjemność rzucanie mi kłód pod nogi, prawda?”

- Rozumiem, do czego pan zmierza - ciągnął Thome. - Ale nie zaszkodzi, przynajmniej na razie, zakładać, że zabójca ma bezpośredni kontakt z którąś z instytucji, o jakich rozmawialiśmy. Opieka społeczna, kuratorzy...

Jesmond przechylił głowę w bok, czekając na przekonujące tezy inspektora. Brigstocke pospieszył z pomocą.

- To całkiem rozsądny tok prowadzenia śledztwa, sir - powiedział.

Thome pociągnął nosem.

- Jedyne logiczne, jakim dysponujemy.

- Cóż, przydałoby się poszukać jeszcze innych - rzekł Jesmond. - Prawda?

Thome milczał. Patrzył na dłoń odgarniającą kosmyki jasnych włosów. I dziwny obszar po obu stronach nosa, gdzie pajęczynki żył napotykały drobniutkie piegi. Patrzył na popękane wargi rozchylające się w uśmiechu i jak zawsze ze zdumieniem stwierdził, że Jesmond uśmiechając się, zamykał oczy.

Thome również się uśmiechnął, wspominając, jak kiedyś opisywał twarz Jesmońda Hollandowi: „Znasz ten typ gęby - powiedział - kiedy raz w nią przywalisz, to już nie zdołasz się powstrzymać przed kolejnymi ciosami”.

Jesmond nachylił się nad biurkiem.

- A teraz serio, zastanówmy się nad tym, o czym mówisz. Może dla przykładu weźmiemy pod uwagę ewentualność, że zabójca ma bezpośredni kontakt ze służbami policyjnymi...

- Z funkcjonariuszem policji - uściślił Thome.

Jesmond tylko powtórzył swoją kwestię i mówił dalej:

- Bezpośredni kontakt ze służbami policyjnymi. Biorąc pod uwagę liczbę osób wchodzących w grę, metody dostępu do Rejestru Przepływów Seksualnych różnią się w zależności od danej formacji. Jedni mają do niego dostęp poprzez Policyjny Krajowy System Komputerowy. Inni przenoszą dane z Rejestru do istniejących systemów i tworzą w nich odrębne bazy danych...

Brigstocke wyduł policzki. Thome czuł, że sprawy wymykają mu się z rąk i on sam też zaczął odpływać.

- Jedni wciąż używają tradycyjnych, archiwalnych metod rejestracji na papierze - ciągnął Jesmond. - Wielkie nieba! A przecież wszyscy wiemy, jak bardzo są one zawodne, jeśli chodzi o bezpieczeństwo.

Brigstocke pokiwał głową.

- Nie ma systemów stuprocentowo bezpiecznych!

Thome wyłączył się. Myślał o tamtamach...

- Prawda jest taka, że cały ten system to jeden wielki bałagan - rzekł Jesmond. - Nie ma jednej strategii zarządzania i rozdzielania informacji o przestępstwach seksualnych czy to

wewnątrz jednej służby, czy pomiędzy nimi. Niektórzy wierzą, że konieczny jest kontakt z miejscowymi funkcjonariuszami, jeśli chce się uzyskać wszelkie niezbędne dane. W innych regionach, na innych posterunkach mają po prostu wyznaczonego funkcjonariusza, który jest informowany na bieżąco o wszelkich aktualizacjach w Rejestrze...

Thome poczuł, jakby ktoś znów nafałdował mu do łóżka... Z tego co słyszał, wynikało, że zabójca mógł odnaleźć poszukiwanych gwałcicieli praktycznie wszędzie. Przez Internet albo dzięki wydrukowi na zmiętej kartce wyrzuconej do kosza na śmieci. Nie ulegało wątpliwości, że nawet gdyby mieli przy tej sprawie dziesięć albo i sto razy tyle funkcjonariuszy, i tak szanse na schwytanie przez nich człowieka, którego szukali, byłyby bliskie zeru.

- Nie chodzi jedynie o nas - ciągnął Brigstocke. - Sądy powinny informować nas, kiedy dany osobnik ma się meldować na policji i przez jak długi czas; powinno to być potwierdzone przez zakład karny, szpital czy inną placówkę, kiedy tylko zostanie on wypuszczony na wolność. Ale to niestety teoria. Czasem dowiadujesz się o przestępcy seksualnym w swojej dzielnicy dopiero wtedy, kiedy sam ci się przedstawi... Świat się kończy...

Jesmond rozsiadł się wygodnie na krześle i uśmiechnął się, oczy miał zamknięte.

- Dlatego też kiedy mówię o wymyśleniu dla nas nowego, lepszego i skuteczniejszego toku śledztwa, jestem zwyczajnie praktyczny. Szukam najlepszego, najszybszego sposobu, aby dopaść tego człowieka.

Thome pokiwał głową. I pod nosem wymamrotał:

- Oo! Uchoch! Kłap!

W sali odpraw życie toczyło się jak zwykle, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że to wkrótce może się zmienić. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety czy to przy telefonie, czy przy stercie papierkowej roboty zerkali raz po raz w stronę gabinetu Brigstocke a, gdzie za zamkniętymi drzwiami podejmowane były decyzje dotyczące ich wszystkich.

Każda rozmowa pełna była niewypowiedzianych trosk i niepokoików. Niektóre miały mniej wspólnego z nadgodzinami niż inne. Bywały też takie, które w ogóle nie dotyczyły pracy.

- Jesmond, przechodząc tędy niedawno, był wściekły jak osa - zauważyła Kitson.

Holland uniósł wzrok znad ekranu komputera.

- Moim zdaniem wyglądał tak jak zwykle.

- Wiem, o co ci chodzi - odrzekła Kitson. - To żalosny palant. Ale mimo to uważam, że popełniamy gdzieś błąd. Musimy coś zrobić nie tak. Długo już tam siedzą. - Spojrzała w

kierunku korytarza, gdzie mieściły się nieduże gabinety Brigstocke a i ten, który dzieliła z Tomem Thome em, Hollandem i Stone em.

Kitson przycupnęła na skraju biurka. Oparła dłoń o komputer, przy którym pracował Holland.

- Nie możesz robić tego w swoim gabinecie?

Holland wlepił wzrok w ekran.

- Andy tam pracuje.

Komputer był u góry brudny. Kitson wyjęła papierową chusteczkę, splunęła na jej róg i zaczęła wycierać wnętrze dłoni.

- To chyba nie jest żaden problem, prawda?

Holland spojrzał na nią.

- Nie. Absolutnie. Ale tu mogę się lepiej skupić.

Kitson skinęła głową, wciąż wycierając wnętrze dłoni, do czysta.

- Sam Karim mówił, że ostatnio bierzesz sporo nadgodzin. Harujesz jak wół, o różnych porach...

Holland kliknął nerwowo myszką.

- Cholera! - Uniósł wzrok i zamrugał. - Słucham...?

- To dobry pomysł. Odłożyć parę groszy ekstra, zanim dziecko przyjdzie na świat.

Oblicze Holanda na moment spochmumiało. Uśmiech, jaki na nim wyczarował, nie zdołał jednak przegnać mrocznych cieni spod jego oczu.

- Jasne - mruknął. - Przecież dziecko to spory wydatek, prawda?

- Jeżeli sądzisz, że pampersy kosztują fortunę, to zaczekaj, aż dzieciak upomni się o najnowsze kompaktki albo modne adidas. To będzie chłopiec czy dziewczynka? Wiesz, co się ma urodzić...?

Holland pokręcił głową, na moment odnalazł jej spojrzenie, po czym zatrzymał wzrok na podbródku kobiety.

- Sophie nie chce wiedzieć.

- Ja chciałam - Kitson nieznacznie zniżyła głos. Rozłożyła chusteczkę i zaczęła drzeć ją na strzępy. - Moja druga połowa chciała z tym poczekać do samego końca, ale ja nie lubię niespodzianek. Wyprosiłam go z gabinetu, gdzie zrobiono mi USG, aby się tego dowiedzieć. Tak było w wypadku wszystkich moich dzieci. I udało mi się zawsze dochować tajemnicy aż do rozwiązania. - Holland uśmiechnął się. Kitson zgmiotła podartą chusteczkę w dłoni i wstała.

- Później, już po wszystkim, weźmiesz urlop?

- Później?

- Te nadgodziny, które wypracowujesz, sumują się i powinieneś móc pójść na dłuższy urlop, aby spędzić trochę czasu w domu z Sophie i z dzieckiem. Federacja wciąż walczy, aby ojcom przedłużono zwolnienie z pracy z tytułu urodzenia się dziecka na więcej niż dwa dni. Dwa dni! Żalotne...

- Właściwie nie rozmawialiśmy o tym...

- Założę się, że ona chciałaby o tym pomówić. - Kitson dostrzegła coś w oczach Hollanda i ze współczuciem pokiwała głową.

- Musi być wściekła z powodu tych twoich nadgodzin...

Holland wzruszył ramionami. Powrócił wzrokiem do ekranu komputera.

- No, wiesz...

Kitson odeszła od biurka. Rozwarła palce nad koszem na śmieci i wrzuciła do środka kawałki podartej, brudnej chusteczki higienicznej. Holland, odprowadzając ją wzrokiem, pomyślał: „A może jednak nie wiesz...”.

Thome zajął do sali odpraw, próbując nie zakrztusić się zatęchłym z gorąca popołudniowym powietrzem przesyconym wonią płynu po goleniu. Pomachał do Yvonne Kitson. Zauważyła go i natychmiast podeszła.

- Ściągnij wszystkich do sali - rzucił Thome. - Za kwadrans odprawa. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył w stronę swego gabinetu.

Czuł, że Jesmond prawdopodobnie ma rację. Wiedział, że ma rację co do Rejestm, ale jeśli nawet zabójca jest pracownikiem zakładu ubezpieczeń społecznych, kuratorem albo gliną, będą musieli dopaść go w jakiś inny sposób.

Rzucił kurtkę na biurko i osunął się na krzesło. Miał do przejrzania pocztę. Zaczął wertować listy. Nie było tego wiele.

A jeżeli zabójca jest gliną?

Thome nie postawiłby na to. Przez wszystkie te lata poznał wiele zgniłych owoców, pracował z najgroźniejszymi szumowinami, ale nigdy z zabójcą. Pomysł był ciekawy, wręcz kuszący, lecz choć sprawdzał się w serialach, to nie w jego rzeczywistości. Wrzucił plik kopert do kosza, tych, które zawierały ulotki albo nudne wewnętrzne okólniki, nawet nie otworzył. Te, które wyglądały najciekawiej, zawsze zostawiał na koniec.

Pewne aspekty tej sprawy nie dawały mu spokoju i wspomni o nich podczas odprawy. Po pierwsze usunięcie pościeli z łóżek. I to drugie. Myśl, której nie potrafił wyłowić, ukształtować i wyrazić.

Coś, co przeczytał i czego mu zabrakło...

Było tego niewiele. Co kot napłakał. Żadnego porządnego tropu czy szczęśliwego trafu. Mógł mieć jedynie nadzieję, że podczas odprawy pojawi się jakaś iskierka i roznieci płomień. Kiedy z białej koperty wysypały się zdjęcia, Thome potrzebował kilku sekund, aby zrozumieć, na co patrzył. I wtedy to ujrzał. A jego serce zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe. Jak w wypadku serca sportowca, które coraz szybciej odzyskuje rytm, w miarę jak wzrasta jego forma. Thome reagował coraz słabiej, przynajmniej fizycznie, na obrazy jak te, które niebawem zostaną rozrzucone na jego biurku. Dudnienie w jego piersi już cichło, kiedy sięgnął do szuflady, wyjął nożyczki i przeciął gumkę recepturkę łączącą wszystkie zdjęcia. Oddech wyrównał się, gdy Thome rozdzielił je koniuszkiem ołówka. Zanim zdecydował, że chce się im bliżej przyjrzeć i przypomniał sobie, gdzie trzymał potrzebne mu rękawiczki, jego serce odzyskało dawny regularny rytm.

Nie było żadnych widocznych poruszeń ani drżenia ciała w miejscu, gdzie koszula przylepiła mu się do piersi.

Thome wstał, wyszedł na korytarz i odwrócił się w stronę sali odpraw. Czuł się zdumiewająco spokojny i opanowany. Miał przejrzysty umysł. Dochodził do wstrząsających wniosków i podejmował ważne decyzje.

Zabójca miał krew zimniejszą, niż Thome się spodziewał.

Miał spotkać się później z Eve. Będzie musiał zadzwonić i odwołać spotkanie. Może jutro będzie wolna... Wszedł do sali odpraw, a Kitson podeszła do niego z prawej strony, chcąc o czymś porozmawiać. Uniósł rękę i odprawił ją zdawkowym gestem. Pudło stało dość ryzykownie na szafce z aktami w drugim końcu sali, dokładnie tak jak je zapamiętał. Wyjął lateksowe rękawiczki, jak chusteczki higieniczne z kartonowego pudełka, by ujrzyć wyłaniające się spod nich przezroczyste palce kolejnej pary.

Holland był tuż za nim i mówił coś, gdy Thome się odwrócił, ale już go nie słuchał... Odprawa jak zawsze będzie nieco bardziej ożywiona. Cokolwiek sądził Jesmond o obecnym toku dochodzenia, na pewno nie będzie łatwo. Te zdjęcia, to, co na nich widniało, znów wywołają burzę.

Nowe tropy.

Nie nazwałby tego łutem szczęścia, ale cóż, jak się nie ma, co się lubi...

Thome wszedł do swego gabinetu i od razu podszedł do biurka. Już wtedy, naciągając rękawiczki i delikatnie wyjmując fotografię za jeden róg, wiedział, że marnuje czas. Naturalnie działał zgodnie z przepisami, ale rękawiczki były najprawdopodobniej zbędne. Choć wiedział, że powierzchnie zdjęcia były wręcz idealne do zachowania odcisków palców, zdawał sobie sprawę, że człowiek, który je zrobił, na pewno zachował daleko posuniętą

ostrożność. Pomijając odciski pracowników poczty i funkcjonariuszy służby więziennej albo włosów i płatków skóry samych ofiar, jak dotąd analizy zdjęć czy listów nic więcej nie dały. Ale w sumie mieli przecież do czynienia z zabójcą, który zabierał z miejsca zbrodni pościel.

Jednakże od czasu do czasu wszyscy popełniali błędy...

Thome szybko przejrzał zdjęcia. Zbliżenia okrwawionej, poobijanej twarzy, wąskich ust, które nabrzmiały, aby gwałtownie popękać. Ruch uchwycony na serii urzekająco upiornych, nieco rozmazanych zdjęć. To niewiarygodne, ale zdjęcia zrobiono, gdy ofiara wciąż żyła. I miotała się dziko...

Odsunął na bok fotografie zrobione we wnętrzu i pochylił głowę, by sprawdzić, czy zabójca popełnił jeden, konkretny błąd. Spojrzał uważnie na zdjęcie, które celowo położono na samym wierzchu. To była pierwsza fotografia, którą miał zobaczyć. Okno wystawowe sklepiku tuż obok. Mały żarcik zabójcy.

Thome jak przez mgłę widział postaci Hollanda i Kitson obserwujących go od progu, gdy pochylał się nad fotografią. Miał nadzieję ujrzeć zniekształcony obraz, zapewne nienadający się do niczego, ale który jednak upewni go, że miał do czynienia z istotą z krwi i kości. Na próżno poszukiwał odbicia mężczyzny z aparatem, mężczyzny robiącego to zdjęcie w małym, czarnym zwierciadle.

Poszukiwał odbicia oblicza zabójcy w oku martwej ryby.

Był święcie przekonany, że wybrał właściwego.

Lista wymagała starannego przejrzenia. Nie mógł po prostu jej wydrukować i wbić szpilki przy którymś z przypadkowo wybranych nazwisk. Nie żeby miał sporo czasu, aby się jej przyjrzeć, gdy miał po temu okazję, ale umiał coraz szybciej wybierać właściwych kandydatów. W wypadku dwóch poprzednich wybrał takich, którzy wydali mu się najbardziej odpowiedni, ze szczegółami zaś zapoznał się później.

Z tym zrobił to samo, odrzucając kilka nazwisk z różnych przyczyn natury obiektywnej - ze względu na lokalizację, miejsce zamieszkania, kwestie organizacyjne i tak dalej - i w ten sposób wytypował zwycięzcę.

Chryste, miał z czego wybierać. Poważne przypadki, te, którego interesowały, będą widnieć w Rejestrze w nieskończoność, a te, które wreszcie z niej znikną, po pięciu, siedmiu czy dziesięciu latach, zostaną zastąpione przez setki nowych.

To był przemysł rozrastający się w zastraszającym tempie. Ten, którego wybrał, wydawał się wręcz idealny. Mieszkał samotnie przy cichej, spokojnej uliczce. Przyjaciele pozostawali czynnikiem nieznanym, ale nic nie wskazywało, aby facet miał rodzinę. Kto wie, może nawet obejdzie się bez wynajmowania pokoju w hotelu...

Miał ambiwalentne odczucia w tej kwestii. Realizacja zadania w domu lub mieszkaniu byłaby prostsza, ale nieprzewidywalność zabijała w nim entuzjazm. Warto byłoby zajrzeć wcześniej do środka i poznać rozkład mieszkania. Nie mógł liczyć, że to miejsce będzie dla techników sądowych równie zwodnicze i kłopotliwe jak przeciętny hotelowy pokój. Niespodziewanej wizyty sąsiada nie da się uniknąć, wywieszając na klamce tabliczkę z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ.

Z Remfrym czy Welchem nie miał wyboru, ale pokoje hotelowe, jak dotąd, doskonale spełniły swoje zadanie i nie chciał zmieniać skutecznej taktyki. Hotele oznaczały znacznie więcej potencjalnych świadków i system ochronny, który należało obejść, ale nie stanowiło to istotnego problemu. Nauczył się, że ludzie nie zwracali zasadniczo uwagi na to, co działo się wokół nich, a kamery widziały jeszcze mniej, jeśli wiedziałeś, jak je ominąć.

On już od dawna pozostawał niewidoczny, można by powiedzieć, że stał się niewidzialny i jeżeli chodzi o unikanie ludzkich oczu i kamer, osiągnął w tym względzie prawdziwe mistrzostwo.

## 13

- Zastanawiałem się, ile kosztuje wysłanie bukietu kwiatów...
  - Za dostawę liczymy sobie pięć i pół funta, a ceny bukietów zaczynają się od trzydziestu funtów.
  - Chryste, aż tyle nie chciałem wydać. Nawet jeszcze się z nią nie całowałem...
  - Eve się zaśmiała.
  - Sądzisz, że do tego dojdzie?
  - Zdecydowanie - odparł Thome. - Ona tego chce.
  - Cholera, mam klienta. Muszę kończyć...
  - Przepraszam za zeszły wieczór. Musiałem odwołać. Nie mogłem...
  - Nic nie szkodzi. I nadal myśl pozytywnie. Zwłaszcza o tym całowaniu. Do zobaczenia później.
  - Tak... tylko nie wiem jeszcze, o której.
  - Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz wychodził. Skoczmy na późnego drinka, czy coś...
  - Jasne...
  - A poza tym nawet jeśli cię to kusilo, kwiaty wcale nie gwarantują pocałunku. Czekoladki natomiast mogą zagwarantować prawie wszystko.
- Rozłączyła się.

Thome uśmiechnął się, sięgając za pazuchę kombinezonu i wrzucił komórkę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wypił spory łyk wody mineralnej i odwrócił się, by ujrzeć rodzinę z plecakami: mama, tato i dwoje jasnowłosych dzieci, wszyscy z plecakami odpowiednimi do ich gabarytów, patrzyli na niego z wyczekiwaniem spoza kordonu. Thome gapił się na nich tak długo, aż uznali, że najwyraźniej nic się tu nie dzieje i odeszli, wyraźnie zawiedzeni.

Sześć godzin wcześniej, kiedy mogliby zobaczyć coś, o czym opowiedzieliby później sąsiadom, gapiów trudniej było się pozbyć. W miarę jak kluby pustoszały i na ulicach panował tłok, za taśmami policyjnymi zebrał się spory tłum. Ludzie stali na odcinku stu metrów aż do Wardour Street w jedną i do Regent Street w drugą stronę, patrząc z przejściem. Ci, co byli podpici, nękali gliniarzy pytaniami, a turyści robili zdjęcia, gdy wnoszono zwłoki Charlesa Dodda. Kiedy ciało zostało już wyniesione, tłum nieco się przerzedził. Teraz został już tylko wydzielony niebieską taśmą prostokąt biegnący od wąskiego wejścia wiodącego do atelier Dodda i sięgający do sklepu rybnego tuż obok. Taśma trzepotała delikatnie...

- Co się tam dzieje, stary?

Thome spojrzał na niskiego, drobnego facecika tryskającego humorem i noszącego na sobie niesamowitą wręcz ilość biżuterii, kiwającego nań spoza taśmy. Mężczyzna w satynowych spodniach od dresu i w kamizelce w panterkę raz po raz, trzykrotnie zaciągnął się dymem z papierosa i cisnął niedopałek do rynsztoka.

- To nalot - wycedził Thome. - Wydział Obyczajności i Mody. Na twoim miejscu zabrałbym się stąd w te pędy..

Mężczyzna zakołysał się na palcach stóp w przód i w tył, skrzywił się i pobiegł jak strzała. Po drugiej stronie wąskiej uliczki dziewczyna w kusej, skórzanej spódniczce i obcisłym topie opierała się owystawę peep shopu, pojadając kanapkę z bekonem. Uśmiechnęła się do Thoma, widocznie usłyszała wcześniejszą wymianę zdań. Thome uśmiechnął się do niej. Było parę minut po dziewiątej rano, ale najwyraźniej nie nazbyt wcześnie, by spróbować szczęścia z przygodnie poznanym mężczyzną. Było na tyle ciepło, że przy wystawionych na chodnikach stolikach przed kafejkami siedziało mnóstwo klientów, popijających cappuccino i zajadających się ciasteczkami. Udawali, że znajdują się w jakichś znacznie bardziej egzotycznych miejscach.

Thome obserwował ich. Sam chciałby być teraz gdzieś indziej. Myślał o rzeczach, które wszystkim odebrałyby apetyt na śniadanie...

Kiedy ubiegłego wieczoru sforsowali drzwi, Thome od razu wiedział, co za nimi zastaną. Woń, silna nawet pomimo maski ochronnej na twarzy i tak zdradziłyby mu prawdę, ale kiedy wspinał się po wąskich schodach, domyślił się, co ujrzy na ich szczycie. Widział już zdjęcia. Prawda, po kilku upalnych dniach od zdarzenia, okazała się znacznie gorsza. Ciało było wyprężone jak struna. Sznur od bielizny zadziergnięto na kształt pętli na szyi Dodda, linę zaś przerzucono nad jedną ze świetlówek pod sufitem. Koniec linki zawiązano wokół nóg łóżka, ciężar ciała sprawił, że drugi koniec łóżka unosił się o trzydzieści centymetrów nad podłogą. Zdjęcia zrobione, kiedy Dodd jeszcze żył, ukazywały spazmatyczne skurcze, rozpaczliwe próby uwolnienia się od pętli na szyi i desperackie wierzgnięcia nogami. Teraz martwy od paru dni mężczyzna wisiał sztywno i nieruchomo. Jedynie łoskot przetaczającego się przez linę Bakerloo składu metra wprawiał zwłoki w delikatne drzenie i sprawiał, że zaczynały się nieznacznie kołysać...

Thome z trudem pokonał w sobie osobliwe pragnienie, by powstrzymać ten ruch. Chciał podejść i schwycić za nogi, które wystawały z brudnych szortów niczym nabrzmiałe pęta kaszanki. Złapać za pociemniałe od zgromadzonej w nich krwi stopy, zdające się rozsadzać paski plastikowych sandałów.

Thome stanął przy łóżku pośrodku atelier, wspominając dwie blade dziewczyny wijące się w nylonowej pościeli. Patrzył, jak jeden z techników nachyla się nad materacem, zbierając to, co skapnęło ze zwieszającego się powyżej ciała. Spojrzał na język wystający z ust Dodda. Silny i wielki jak męska dłoń. Mówiący mu, żeby spadał.

Kiedy już denata odcięto i zabrano, Thome bez większego żalu szykował się, by zrobić to, co sugerował mu nieboszczyk. Chciał już pojechać do domu, aby się przebrać i dokończyć zaczęty posiłek. Cztery godziny przewracania się w łóżku, bez snu, i powrót na miejsce zbrodni. Naprzeciw niego dziewczyna przełknęła ostatni kawałek kanapki. Otarła usta dłonią i sięgnęła po postawioną przy budce torebkę. Wzruszyła ramionami do Thome a i zaczęła szminkować usta.

Thome odwrócił się, usłyszawszy odgłos otwieranych drzwi. Pojawił się w nich Holland. Podszedł do Thome a, rozpinając suwak kombinezonu i łapczywie chwytając powietrze.

- Kurwa, ależ tam gorąco.

Thome podał Hollandowi butelkę wody.

- Długo jeszcze?

- Chyba już prawie skończyli.

Holland stanął przy Thornie obok wystawy sklepu rybnego. Popatrzyli na drugą stronę ulicy na wystawę peep shopu i kafejkę z wystawionymi na zewnątrz stolikami. Kelner uśmiechnął się do nich. Mogli być po prostu przyjaciółmi cieszącymi się słoneczną pogodą, ich kombinezony nie były tu szczytem awangardowej mody.

- Przypuszczalnie sprząta po sobie - ciągnął Holland. - Zabił Dodda, aby upewnić się, że nic nikomu nie powie.

- Może...

Holland odwrócił się, dotykając dłońmi szyby, którą specje od daktyloskopii zbadali już na obecność odcisków palców. Właściciel rybnego nie miał wiele czasu, żeby powkladać swój towar do chłodni, i w ogóle nie dano mu czasu, aby mógł posprzątać. Holland spojrzał na różowe smugi krwi i rybich flaków, unoszące się na wodzie w metalowych pojemnikach.

- Wiedział, że je pan dostanie. - Skinął w stronę witryny. - Wiedział, że zrozumie pan znaczenie tego zdjęcia.

Thome pokiwał głową.

- O tak, wiedział, że się tu zjawię.

Holland spojrzał na niego z ukosa, unosząc brew.

- Nie ekscytuj się tak. Owszem, mógł mnie śledzić, a Trevor Jesmond mógł słyszeć głosy demonów, ale śmiem twierdzić, że w tej akurat sprawie istnieje prostsze wyjaśnienie. - Holland słuchał z uwagą. - Myślę, że miałeś rację. Myślę, że Dodd zginął przez to, co mógł nam powiedzieć. I dlatego, że stał się pazerny.

- Dodd próbował szantażować zabójcę?

Thome splótł ramiona.

- Tylko idiota nie wiedziałby, że to zabójca, prawda? Naturalnie, nie mogę tego udowodnić...

- Brzmi sensownie - mruknął Holland.

- Dodd skłamał, to jasne. Wcisnął nam kit, że zabójca przez cały czas nosił kask motocyklowy, a on przyjął od niego zamówienie „na gębę”. Powinienem był go przycisnąć...

- Skąd mógł pan wiedzieć.

- Mogłem. Ludzie pokroju Dodda łąą nawet przez sen. Nie wiedział, kogo ścigamy ani dlaczego, ale to nie miało dlań znaczenia. Gdyby wiedział, że próbuję dopaść faceta za to, że nie zapłacił za parking, tak długo kłamałby w żywe oczy, aż wymyśliłby jakiś sposób, by na tym zarobić.

Patrzyli, jak mężczyzna w średnim wieku wpłaca pieniądze w okienku peep shopu i wchodzi do środka. Dziewczyna pochwyciła spojrzenie Thome a, przyłożyła kciuk do

koniuszków złączonych palców i wykonała masturbacyjny gest. Thome nie wiedział, czy chciała w ten sposób pokazać, co zaraz zrobi ten facet, czy może wyrażała swoje zdanie na jego temat. Albo może na temat wszystkich policjantów...

Holland odchrząknął i napił się.

- A więc kiedy pokazał mu pan zdjęcia Jane Foley, on potem nawiązał kontakt z zabójcą...

Thome odsunął się od witryny, odwrócił się i unióśł wzrok w stronę pierwszego piętra, gdzie mieściło się atelier.

- Przetrzaśnałem całe to miejsce, nie było tam żadnego notesu z adresami ani nic takiego...

- Może zabójca go zabrał - podsunął Holland.

- Możliwe. Ale jeszcze raz przeszukajmy atelier. Jeśli gdzieś tam jest świstek papieru z adresem lub numerem telefonu, chcę go znaleźć.

- A co z zapisami rozmów?

Thome skinął głową zadowolony, że Holland potrafił mszyć głową i myślał podobnie jak on.

- Andy Stone już się tym zajął. Chcę rejestr wszystkich rozmów z numeru stacjonarnego i z komórki, jeśli Dodd ją posiadał. Rejestr wszystkich rozmów od dnia, kiedy tu byłem.

- Mógł po prostu pójść do niego do domu, o ile znał adres...

- Wtedy jesteśmy załatwieni. - Thome sięgnął po butelkę z wodą. Wziął spory łyk i przez kilka sekund trzymał ciepłą woda w ustach, zanim przełknął. - Wciąż nie wiemy, jak zabójca trafił do Dodda. Ludzie pokroju Dodda zwykle się nie ogłaszają. Trzeba znać pewnych ludzi, mieć kontakty...

- Rozmawialiśmy już, z kim się dało - odparł Holland. - Ze wszystkimi, którzy korzystali z tego atelier, nawet z tymi, co chcieli zrobić zdjęcia cycków własnej żony. Mamy ich zeznania.

- Pogadaj z nimi jeszcze raz. I znajdź mi kogoś, z kim do tej pory w ogóle nie rozmawiałeś. - Holland jęknął, opierając się potylicą oszybę. - Do roboty, Dave - rzekł Thome. - Niech Yvonne sporządzi nową listę. Spotkam się z wami później.

Podczas gdy Holland uwolnił się z kombinezonu, Thome patrzył, jak dwaj młodzi ludzie, zapewne z branży reklamowej, wstają od stolika po drugiej stronie ulicy i żegnają się, wymieniając uścisk dłoni. Mieli na sobie szorty i adidasy, ale zdradzały ich najprzedejniejsze

komórki i markowe okulary lustrzanki. Zapewne dogadali się właśnie co do nowej kampanii reklamowej albo jakiegoś projektu telefonicznego, dając mu zielone światło.

Zastanawiał się, czy wiedzą, że zaledwie kilkaset metrów dalej, w pokoju na poddaszu, nad kafejką przy Frith Street, John LogieBaird blisko osiemdziesiąt lat wcześniej urządził pierwszy na świecie publiczny pokaz telewizyjny. Thome otworzył drzwi i odczekał parę sekund, zanim wszedł do środka.

Chryste, jak bardzo przydałaby mu się teraz przerwa na reklamy. Albo jakiś serial. Mógłby być nawet kryminalny Z zabójcami i policjantami. Po raz nie wiadomo który tego ranka, Thome zorientował się, że mijający go właśnie przechodzień na widok taśmy policyjnej i kombinezonu... staje jak wryty i sięga po komórkę, aby zrobić zdjęcie.

Po autopsji w kostnicy werstminsterskiej poszli do małej włoskiej knajpki w pobliżu Abbey. Rozmawiali o morderstwie przy pizzy i piwie.

- Mógł po prostu pójść do niego do domu, o ile znał adres...

- Wtedy jesteście załatwieni. - Thome sięgnął po butelkę z wodą. Wziął spory łyk i przez kilka sekund trzymał ciepłą już wodę w ustach, zanim przełknął. - Wciąż nie wiemy, jak zabójca trafił do Dodda. Ludzie pokroju Dodda zwykle się nie ogłaszają. Trzeba znać pewnych ludzi, mieć kontakty...

- Rozmawialiśmy już, z kim się dało - odparł Holland. - Ze wszystkimi, którzy korzystali z tego atelier, nawet z tymi, co chcieli zrobić zdjęcia cycków własnej żony. Mamy ich zeznania.

- Pogadaj z nimi jeszcze raz. I znajdź mi kogoś, z kim do tej pory w ogóle nie rozmawiałeś. - Holland jęknął, opierając się potylicą oszybę. - Do roboty, Dave - rzekł Thome. - Niech Yvonne sporządzi nową listę. Spotkam się z wami później.

Podczas gdy Holland uwolnił się z kombinezonu, Thome patrzył, jak dwaj młodzi ludzie, zapewne z branży reklamowej, wstają od stolika po drugiej stronie ulicy i żegnają się, wymieniając uścisk dłoni. Mieli na sobie szorty i adidasy, ale zdradzały ich najprzedniejsze komórki i markowe okulary lustrzanki. Zapewne dogadali się właśnie co do nowej kampanii reklamowej albo jakiegoś projektu telefonicznego, dając mu zielone światło.

Zastanawiał się, czy wiedzą, że zaledwie kilkaset metrów dalej, w pokoju na poddaszu, nad kafejką przy Frith Street, John LogieBaird blisko osiemdziesiąt lat wcześniej urządził pierwszy na świecie publiczny pokaz telewizyjny. Thome otworzył drzwi i odczekał parę sekund, zanim wszedł do środka.

Chryste, jak bardzo przydałaby mu się teraz przerwa na reklamy. Albo jakiś serial. Mógłby być nawet kryminalny. Z zabójcami i policjantami. Po raz nie wiadomo który tego

ranka, Thome zorientował się, że mijający go właśnie przechodzień na widok taśmy policyjnej i kombinezonu... staje jak wryty i sięga po komórkę, aby zrobić zdjęcie.

Po autopsji w kostnicy werstminsterskiej poszli do małej włoskiej knajpki w pobliżu Abbey Rozmawiali o morderstwie przy pizzy i piwie.

- Myślę, że Dodd był bity niemal do utraty przytomności - rzekł Hendricks. - Potem zabójca zadzierzgnął mu pętlę na szyi, przerzucił sznur nad świetlówką i podciągnął go w górę. - Thome pokiwał głową, upijając łyk piwa. - Potrzeba by do tego nie lada siły...

- Wobec tego wiemy, że nie szukamy drobnego chuderlaka. Co jeszcze?

- To paskudny skurwiel...

- O tym wiedzieliśmy już wcześniej.

Hendricks polał oliwą z chili to, co pozostało z jego dużej serowej pepperoni.

- Dodd szybko dochodzi do siebie, uświadamia sobie, co się dzieje, ale jest już za późno. Zabójca podciąga linę, bierze aparat i zaczyna robić zdjęcia.

- Jak długo?

- Musiał zemdleć po kilku minutach. - Hendricks nadział na widelec kawałek pepperoni i włożył do ust. - Wkrótce potem nastąpił zgon wskutek niedotlenienia mózgu...

Thome zamyślił się nad tym. Dodd był parszywą gnidą, ale nie zasłużył na taki los. Nie powinien zadyndać na sznurze, jak byle opryszek. Rozrywając sobie przy tym szyję. Wpatrując się spod półprzymkniętych powiek w szaleńca, który tak go urządził, spokojnie pstrykającego kolejne zdjęcia i szukającego jak najlepszych ujęć...

- Kiedy mówi się o tego typu zabójcach, używa się zwykle zwrotu zorganizowani i niezorganizowani - rzekł Thome. - To dwie podstawowe kategorie. Ci, co skrupulatnie planują i w niemal ceremonialny sposób celebrują każde zabójstwo, zawsze po sobie sprzątajac. I ci, co działają impulsywnie, nie kontrolując swoich poczynań...

- Do jakiej kategorii należy ten szajbus?

Thome odłożył nóż i widelec. Zostawił pół pizzy, ale miał już dość.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Po części jest zorganizowany. Listy do osadzonych. Kiedy trzeba pozbyć się Dodda, robi to. Sznur do bielizny, brak śladów, zdjęcia, które mi przysłał.

- Z tym faktycznie nieźle sobie poradził...

- Ale czemu nieomal zatłukł tego gościa na śmierć? Twarz Dodda wyglądała jak befsztyk tatarski. Czemu po prostu nie walnął go w tył głowy i nie powiesił? - Kelnerka stanęła z boku, starając się nie podsłuchiwać. Thome podał jej talerz. Przyjęła go skrzętnie i czym prędzej się oddaliła.

- W którymś momencie zawsze eksplodują gniewem, wiedziałeś o tym? Nigdy jeszcze nie spotkałem zabójcy, który w jakimś momencie nie byłby na coś wkurzony. - Thome dopił piwo. Przelknął, oczyma duszy oglądając ciała Welcha i Remfry ego, ich rozszarpane szyje. Ich wnętrzności. - A ten gość? On jest tak stuknięty, że nie mieści się w skali...

- Co robisz dziś wieczorem? - Hendricks otarł usta. - Mógłbym do ciebie wpaść.

- Że co?

Hendricks spojrzał w stronę kelnerek stojących opodal.

- Zmieniam temat. Zanim wezwą policję.

- Gapią się na ciebie, stary, bo zwracasz uwagę swoim wyglądem, a nie z uwagi na temat naszej rozmowy. I nie, nie możesz dziś zajrzeć. Spotykam się z kimś znacznie przystojniejszym od ciebie.

- To niemożliwe.

- Kto nie ma żadnych kolczyków i ćwieków...

Hendricks uśmiechnął się.

- Nigdy nie wiadomo. Może ma je w intymnych miejscach...

Kelnerka znów podeszła do stolika. Zabrała talerz Hendricksa. Zostawił tylko doskonały okrąg okruszków z obrzeża pizzy.

- Jak będziesz zostawiał okruszki, nie będziesz miał kręconych włosów - rzucił Thome.

Hendricks powiódł dłonią po ogolonej głowie.

- W moim wypadku, zważywszy na kreowany wizerunek, nie stanowi to raczej większego problemu...

Popołudnie przerodziło się w wieczór i zanim Thome dotarł do miejsca, gdzie siedziała Eve, przy niewielkim stoliku obok automatu z papierosami, zbliżała się już pora ostatnich zamówień. Sporo czasu, aby we dwoje wysączyć butelkę wina. Aby Thome mógł przeprosić za zawracanie jej głowy i by Eve mogła zbyć jego słowa lekceważeniem. Ale przede wszystkim dostatecznie dużo czasu, aby Thome wymijająco i ogólnikowo opowiedział jej o wydarzeniach mijającego właśnie dnia.

To był mały, miły pub w pobliżu Hackney Empire. Wyszli na Mare Street i rozejrzeli się dokoła. Pozapinali się jak należy, zlustrowali wzrokiem zaparkowane opodal auta, wypełniając w ten sposób niezręczną ciszę.

Eve podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach.

- A co się tyczy tego całowania...

Thoma nie trzeba było dwa razy zachęcać. Zaczęli się całować, on oplótł ją jedną ręką w tali, a drugą za szyję. Skubnęła jego dolną wargę. Delikatnie wcisnęła koniuszek języka pomiędzy jej zęby. Zaraz potem jego usta wykrzywił szeroki uśmiech i oboje odsunęli się od siebie.

- Wiedziałem, że jesteś na to gotowa - rzekł Thome.

Opuściła rękę i ścisnęła go mocno za pośladek.

- Jestem gotowa na wszystko.

Znajdowali się o kilka minut marszu od mieszkania Eve. I od krótkiej przejażdżki taksówką lub autobusem od mieszkania Thome a. Ale nie to było powodem niepewności, jaką Eve dostrzegła na twarzy inspektora.

- Wciąż nie kupiłeś nowego łóżka, zgadza się? - spytała.

Thome zrobił minę jak skruszony uczeń. Uważał, że przez to może wydawać się bardziej ujmujący.

- Nie miałem czasu... - Ujęła go za rękę i mszyli przed siebie.

- Właściwie wolną miałem tylko niedzielę - całe mnóstwo spraw, które trzeba było zrobić. - Thome nie zamierzał wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia. Nie powiedział, że chodziło mu konkretnie o odkupienie zestawu stereo i dwudziestu kilku kompaktów, bez których nie wyobrażał sobie życia. Ktoś, kto spędzałby noce tak jak on, na kanapie, mógłby kwestionować jego priorytety. Ale wobec perspektywy nocy u boku Eve Bloom, co wydawało się całkiem prawdopodobne, nawet on musiał przyznać, że te priorytety były kompletnie od czapy. Przeszli kawałek przez tory i przecinając na ukos London Fields. Noc nie była tak parna jak ostatnio, ale i tak dość ciepła. Na ulicach widziało się sporo ludzi.

- Nie czekasz na ubezpieczenie, prawda? - zapytała nagle Eve.

- Co?

- Żeby zapłacić za nowe łóżko.

Thome zaśmiał się.

- Myślę, że stać mnie na nie. Właściwie chodzi tylko o nowy materac, więc nie będzie to zbyt wielki wydatek. Ale potrzebuję forsę z ubezpieczenia na nowe auto. Wkurza mnie jazda autobusem i rzęchy z parku maszyn...

- Co zamierzasz kupić?

Thome nie poświęcił dostatecznie dużo czasu w ubiegłym tygodniu na rozmowy z agentami od ubezpieczeń ani przeglądanie czasopism motoryzacyjnych.

- To bez znaczenia - odparł.

Eve przysunęła się do Thome a, aby przepuścić miłośnika joggingu.

- Czy gliniarze oszukują przy próbach zyskania ubezpieczenia jak wszyscy inni?

- Słowo „oszukują” jest chyba zbyt mocnym stwierdzeniem. Może trochę minąłem się z prawdą, podając markę i model zestawu stereo. No i jeśli chodzi o cenę. Mogłem też dorzucić parę zestawów płyt kompaktowych, kiedy sporządzałem spis tego, co rąbnęli, ale chrzanić to, pewnie i tak o czymś zapomniałem.

Szli przez chwilę w milczeniu i wreszcie przystanęli na obrzeżach parku. Patrzyli, jak grupka dzieciaków gra w piłkę przy blasku latarni ulicznej i księżyc w pełni. Thome przypomniał sobie mecz, który oglądał zaledwie przed tygodniem. W parku przy hotelu w Slough. Jeszcze PRZED autopsją...

- Dziś odnaleźliśmy kolejne zwłoki - rzekł Thome. - To znaczy ubiegłej nocy. Dlatego musiałem odwołać spotkanie.

Eve ścisnęła go za rękę.

- Czy to ten sam mężczyzna? Ten, który zostawił nagraną wiadomość na mojej sekretarce?

Oddalili się od grających i wyszli na ulicę biegnącą równoległe do tej, przy której mieszkała i pracowała Eve.

- On zabija mężczyzn, którzy napadali na kobiety - rzekł Thome.

- Tych, którzy za gwałt na kobietach trafiali za kratki. Ten, którego znaleźliśmy wczoraj, to nieco inna sprawa, ale zasadniczo jest tak, jak powiedziałem. Za cholerę nie wiem, czemu to robi ani kiedy znów uderzy, a co gorsza nie mam zielonego pojęcia, jak go powstrzymać.

- Więc nie rób tego.

Thome zaśmiał się. Wlepił wzrok w chodnik. Ominął psią kupę.

- Nie ja o tym decyduję...

- To nie to samo co podrzynanie gardeł staruszkom, prawda?

Skręcili w boczną uliczkę i szli wolno jej środkiem. Trzymając się za ręce, ramię przy ramieniu.

- Stale słyszy się o tym, że policja ma za mało sił i środków - rzekła Eve. - Czemu więc nie wykorzysta ich na coś bardziej konstruktywnego?

- Bardziej konstruktywnego niż schwywanie mordercy?

- Owszem, ale weź pod uwagę, kogo on zabija...

Thome wziął głęboki oddech. Nie powinien był nic mówić. Nie chciał w to wchodzić.

- Posłuchaj, cokolwiek sądzisz o tym, co zrobili ci mężczyźni, cokolwiek wszyscy o tym sądzimy, ci ludzie odsiedzieli swoje. Nie darzę naszego systemu sądowego wielką estymą, ale mimo wszystko...

- Dobrze. Po prostu wyobraź sobie, że ten facet wyrywa chwasty.

Thome spojrział na nią. Uśmiechnęła się, ale w jej oczach była jakaś zaciętość. Niewątpliwie wierzyła w to, co mówi, i Thome nie zamierzał się z nią spierać.

- Nie mogę tak myśleć, Eve. Nie mogę pójść tym tokiem rozumowania...

- Jako policjant, tak? Czy... osobiście?

Dotarli do końca bocznej uliczki. Kwaciarnia Eve tonęła wśród głębokich cieni, na rogu, nieopodal.

- Posłuchaj, czy z Denise naprawdę byłby duży problem? No wiesz, gdybym miał zostać.

Eve westchnęła ciężko.

- Mówiłam ci. Ona jest trochę dziwna...

- Czy zdarza jej się nie wrócić na noc? Czy nigdy nie nocuje u Bena? - Eve pokręciła głową. - Dlaczego?

- Nie wiem. On jest szurnięty tak samo jak ona. Daj spokój, widziałeś ich razem. - Minęli kwaciarnię i przystanęli przed wejściem do mieszkania Eve. Sięgnęła do torebki po klucze.

- Nie ma prawa dyktować ci, kto może u ciebie nocować - rzekł Thome.

Eve dotknęła dłońmi jego torsu.

- Niezupelnie mi dyktuje. Daj spokój, nie warto się o to wściekać.

- Ujęła Thome a za kłapy skórzanej kurtki i przyciągnęła ku sobie. - Zwłaszcza gdy wystarczy, że po prostu kupisz materac. Mogłabym zrobić to dla ciebie, gdybyś zechciał...

Przestali się całować, kiedy drzwi do mieszkania Eve gwałtownie otworzyły się od środka. W progu stanęła Denise, wyglądała na zdziwioną. Z tyłu za nią zamajaczyła jakaś postać; Thome rozpoznał mężczyznę, którego widział pracującego w kwaciarni, kiedy zjawił się tam po raz pierwszy.

- Cześć, Eve - powiedział.

Denise wyszła na ulicę. Mężczyzna pospieszył za nią.

- Keith właśnie wpadł, żeby powiedzieć, że znowu nie może przyjść do pracy w sobotę - rzekła Denise.

Eve wychyliła się do przodu i położyła dłoń na ramieniu Keitha.

- Wszystko gra, Keith?

Pokręcił głową, poczerwieniał.

- To trudne...

Eve odwróciła się do Thome'a.

- Mama Keitha ma się nie najlepiej...

Cała czwórka wyraźnie czuła się niezręcznie. Denise zacierała gołe ramiona i dygotała na coraz silniejszym wietrze.

Keith włożył drelichową kurtkę, którą miał przerzuconą przez ramię.

- Idę do domu. - Pokręcił głową parę razy, odwrócił się i pospiesznie odszedł.

Pozostali odprowadzili go wzrokiem.

- Kładę się, kochanie - powiedziała Denise. - Jestem kompletnie wypluta. - Podbiegła i zarzuciła Eve ramiona na szyję. - Do zobaczenia rano...

Thome patrzył, jak całuje Eve w oba policzki. Trochę się zdziwił, kiedy cmoknęła i jego. Po części w policzek, po części w usta...

- Dobranoc, Tom... - Odwróciła się i weszła do mieszkania, przymykając, lecz nie zamykając całkiem za sobą drzwi.

Thome spojrział na zegarek. Zapewne zdążyłby jeszcze na ostatni autobus do Kentish Town albo Camden.

- Chyba lepiej już pójdę - powiedział.

Eve uśmiechnęła się do niego teatralnie.

- Nie uda ci się usidlić żadnej kobiety, dopóki nie kupisz sobie łóżka. W sobotę zabieram cię do Ikei...

- Boże, tylko nie to - wyszeptał Thome.

Thome widział, jak Keith maszeruje ulicą o jakieś sto metrów przed nim. Trzymał się z tyłu za nim, nie próbując się zbliżyć. Czuł się niezręcznie po tym długim pożegnaniu i nie chciał znów przez to przechodzić. Ulżyło mu, gdy zobaczył, jak Keith skręca w boczną uliczkę. Keith obejrzał się i przez chwilę patrzył na niego, po czym znikł w głębi zaułka.

Kiedy Thome dotarł do rogu ulicy, po tamtym nie było już śladu. Idąc szybkim krokiem w stronę przystanku autobusowego przy Dalston Lane, Thome musiał przyznać się przed sobą samemu do czegoś nader osobliwego. Spytał Eve, czy mógłby zostać u niej na noc tylko dlatego, że wcześniej opowiedziała mu o zwyczajach Denise. Wiedział doskonale, że jego pomysł nie ma szans powodzenia. I bardzo się z tego cieszył... Przy przystanku stała obskurna przyczepa, z której sprzedawano hamburgery, a Thome na sam jej widok poczuł się głodny. Do nocnej piekarni, w której sprzedawano bajgle, było tylko pięć minut piechotą. Miał do wyboru - ryzykować zatrucie pokarmowe albo spóźnić się na ostatni autobus.

Dziesięć minut później autobus podjechał, a Thome zaczął żałować, że nie skusił się na hamburgera. Kiedy szukał w kieszeniach drobniaków, żeby zapłacić za przejazd, zaczął zastanawiać się, dlaczego wracając do domu samotnie, czuje ogarniającą go niewysłowioną ulgę.

Mężczyzna przy maszynie tuż obok przestał pedałowac i siedział przez kilka chwil, z zamkniętymi oczami, aby odzyskać oddech. Wreszcie zsiadł z siodelka i podszedł do dystrybutora z wodą. Wciąż pedałowując, patrzył, jak mężczyzna przełyka wodę, zarzuca sobie na szyję ręcznik i wchodzi do sali ze sztangami.

Kiedy piosenka, której słuchał, dobiegła kotica, odłączył słuchawki, zszedł z rowerka i pospieszył za tamtym.

Howard Anthony Southern miał wiele nawyków i z powagą traktował dbałość o swoje ciało. Te dwie rzeczy oznaczały, że obserwacja i zapoznanie się z nim były nie tylko proste, ale wręcz przyjemne. I tak regularnie ćwiczył, a kilka dodatkowych godzin w tygodniu bynajmniej nie mogło mu zaszkodzić. Bez trudu zapisał się do tej samej siłowni i zaczął bywać w niej o tej samej porze co Southern. To nie zawsze było takie proste i oczywiste. Niekiedy nie mógł się wycofać, ale zobaczył dość, by wiedzieć, z czym miał do czynienia.

Wiedział już dość. To, że Southern zrobił to, co zrobił, a jego nazwisko widniało na liście, w zupełności mu wystarczyło. A jednak chciał dowiedzieć się więcej. Upewnić się, o ile był od Southema silniejszy i jak łatwo będzie go sprzątnąć, kiedy nadejdzie czas. Ujrzeć jego twarz, wykrzywioną i ociekającą potem. Wyobrazić sobie, jak szamocze się i próbuje uwolnić się od sznura...

Przeszedł przez salę ze sztangami. Southern pracował nad klatką piersiową. Zajął miejsce obok niego w środkowym rzędzie i zaczął ćwiczyć. Od razu zauważył, że Southern taksuje wzrokiem kobietę w drugim kotku sali. Robiła skłony i rozciągała całe ciało, opięte elastyczną, czarną lycrą. Southern zwierzał przedramiona, stękając z wysiłku i przez cały czas gapił się na kobietę, której odbicie widniało w lustrach ciągnących się wzdłuż jednej ze ścian.

Wiedział, że właśnie dlatego Howard Southern przychodził na siłownię.

Zastanawiał się, czy Southern od swego zwolnienia popełnił kolejne przestępstwo. Czy odkąd trafił za kratki, stał się ostrożniejszy? Gdyby się postarał, mógłby przez całe lata unikać schwywania. Czy obserwował kobietę w lustrze, a w myślach wyobrażał sobie, że ją gwałci? Ociekający potem, nieodrywający od niej wzroku i muskający ją wzrokiem jak uniesionymi dłońmi, przekonywał się w myślach, jak bardzo tego chciała...

Obciążenie opadło z brzękiem, gdy Southern puścił rączki urządzenia. Odwrócił się i wyduł policzki.

- Czemu to robimy?

To był bonus. Dziś i tak zamierzał porozmawiać z Southemem. Planował zagajenie rozmowy w barze przy szklance soku albo może w szatni...

- Czyste szaleństwo, czyż nie? - Southern skinął głową w stronę kobiety w czarnym, obcisłym stroju. - Wypruwam sobie żyły dla takich jak ona.

Uśmiechnął się do Southema, uznając, że pomysł był słuszny, ale nim kierowały całkiem inne pobudki.

## 14

Carol Chamberlain stanowiła dwie trzecie dwuosobowego zespołu. Zgodnie z przydziałem miała pełnić funkcję oficera badawczego, ale były detektyw sierżant Graham McKee był, używając ulubionego zwrotu jej męża, równie użyteczny jak piąte koło u wozu. Kiedy nie przesiadywał w pubie, dawał wyraźnie odczuć, że - jego zdaniem - Carol powinna parzyć kawę i odbierać telefony, a wywiadami i przesłuchaniami powinien zająć się wyłącznie on.

Kilka lat temu dopilnowałaby, aby jego niedowarzone jaja znalazły się na srebrnej tacy. Teraz po prostu robiła swoje, zarówno za siebie, jak i za niego. To mogło potrwać nieco dłużej, ale przynajmniej będzie wykonane jak należy. Wierzyła w to. Nie miała jeszcze pewności, lecz gdyby sprawa, nad którą pracowała obecnie, została poprowadzona we właściwy sposób, nie musiałby w ogóle tego robić.

Droga do Hastings nie zajęła jej tyle czasu, ile się spodziewała, ale dla bezpieczeństwa wyjechała nieco wcześniej. Jack wstał razem z nią i kiedy się szykowała, zrobił śniadanie. Wiedziała, że nie był zadowolony z jej niedzielnego wyjazdu, jednak próbował to obrócić w żart.

- Co za bezbożna pora. Całą niedzielę diabli wzięli. Teraz już wiem na pewno, że wróciłaś do pracy w policji...

Zanim wysiadła z samochodu, przejrzała się w lusterku i sprawdziła makijaż. Może trochę przesadziła z podkładem, ale teraz już za późno na poprawki. Była natomiast zadowolona z fryzury - ubiegłego wieczoru zdążyła zrobić sobie płukanekę, aby pozbyć się większości siwizny.

Jack zapewnił, że wygląda wspaniale.

Podeszła do frontowych drzwi i zapukała, upominając się w duchu, że powinna się uspokoić, że robiła to tysiąc razy i wcale nie musi ścisnąć rączki aktówki, jakby tylko ona powstrzymywała ją przed upadkiem.

- Sheila? Jestem Carol Chamberlain z Rewizyjnego. Rozmawialiśmy przez telefon...

Carol zorientowała się, że kobieta, która otworzyła drzwi, nie spodziewała się kogoś, kto wyglądał jak ona, niezależnie od płukanki. Każdego roku, odkąd odeszła z policji, przybywało jej sześć kilo i przy wzroście nieco ponad metr pięćdziesiąt łatwiej ją było przeskoczyć niż obejść, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Mogła mieć modną fryzurę i ufarbowane na kasztanowo włosy, jak zawsze chciała - ale niezależnie od kłamstw, którymi raczył ją Jack, na całą resztę niewiele mogła poradzić. Choć czuła się świetnie, wiedziała, że trzydzieści lat pracy w policji odcisnęło się na jej obliczu. Zdarzały się dni, kiedy przypatrywała się sobie w lustrze. Jej oczy wyglądały jak rodzynki znikające pod powierzchnią wyrabianego ciasta...

Kobieta uchyliła drzwi nieco szerzej. Mimo rozczarowania lub zakłopotania, Carol miała nadzieję, że stara, dobra brytyjska rezerwa powstrzyma Sheilę Franklin przed wyrażeniem swego zdania na ten temat.

- Wstawię wodę - rzekła w końcu.

W kuchni, gdy czekały, aż zagotuje się woda na herbatę, rozmawiały o pogodzie i korkach. Sheila Franklin przy okazji rozmowy zajmowała się wycieraniem, wyjęła też łyżeczki do herbaty. Gdy w kilka minut później usiadły w małym, prosto urządzonej salonie, na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej konsternacji.

- Proszę wybaczyć, ale wydawało mi się, że wspomniała pani, iż ponownie otwarto dochodzenie...

Carol nic takiego nie powiedziała.

- Przepraszam, jeśli wprowadziłam panią w błąd. Zajmuję się tylko ponownym wglądem w sprawę i jeśli natrafię na coś istotnego, być może zostanie otwarta.

- Rozumiem...

- Jak długo pani i Alan byliście małżeństwem?

Wdowa po Alanie Franklinie była wysoką, bardzo szczupłą kobietą, która, jak sądziła Carol, miała pięćdziesiąt parę lat. Była niewiele starsza od niej. Włosy zaczesane do tyłu podkreślały oblicze, w którym dominowały zielone oczy, nieskupiające się na niczym dłużej niż przez kilka sekund. Strzelała oczyma na boki znad brzegu filiżanki z herbatą, odpowiadając na kolejne pytania Carol.

Poznała Franklina w 1983 roku. Był wtedy po czterdziestce, a zatem dziesięć lat starszy od niej. Kilka lat wcześniej porzucił pierwszą żonę i pracę w Colchester i przeniósł się do Hastings, by zacząć wszystko od nowa. Poznali się w pracy i pobrali w kilka miesięcy później.

- Alan to był prawdziwy narwaniec - rzekła ze śmiechem. - Zawsze w gorącej wodzie kąpany. Ale ja bynajmniej nie próbowałam się mu opierać.

Jak zawsze, Carol starannie odrobiła pracę domową. I skupiła się na kilku kwestiach, o których wiedziała wcześniej.

- A jaka była reakcja dzieci Alana? Ile mogły wtedy mieć lat? Szesnaście? Siedemnaście...?

Sheila odpowiedziała wymuszonym uśmiechem.

- Mniej więcej. Nie wiem nawet, ile mają obecnie. Chyba odkąd się pobraliśmy, widział się z chłopakami jeden, jedyny raz. Tylko jeden z nich zechciał pojawić się na pogrzebie Alana...

Carol skinęła głową, jakby to było całkiem zrozumiałe.

- A co z pierwszą żoną?

- Nigdy nie poznałam Celi. Nigdy z nią nie rozmawiałam, nawet przez telefon. Alan zresztą chyba też nie, odkąd się rozstali.

- No jasne...

Sheila wychyliła się do przodu i odstawiła filiżankę oraz spodeczek.

- Wiem, to może brzmi dziwnie, ale tak właśnie było. To była przeszłość Alana...

Carol starała się, by na jej twarzy nie pojawiła się żadna reakcja świadcząca o tym, jakie miała zdanie na temat życia tych ludzi, lecz nie było to proste. Ona i Jack pobrali się względnie późno i zdarzały się chwile, kiedy relacje z jego eks trochę się psuły, ale nawet mimo tarć były poprawne. Znały się nawzajem. A córka Jacka zawsze stanowiła część ich życia.

- Starałam się, jeżeli chodzi o dzieci - rzekła Sheila. - Przez pewien czas próbowałam przekonywać Alana, że powinien się z nimi spotykać, stworzyć jakąś płaszczyznę porozumienia. Ale on zawsze był pod tym względem jakiś dziwny.

- Może sądził, że jego była zwraca je przeciwko niemu.

- Nigdy tak nie mówił. Jednak dzieci były już w miarę podrośnięte, a my przez krótki czas próbowaliśmy starać się o własne. - Zaczęła odstawiać filiżanki na tacę, na której je przyniosła. Wzięła tacę i wstała. - Miałam wtedy prawie czterdzieści lat i jakoś nam się nie udało...

Carol wróciła za Sheilą do kuchni.

- Alan nigdy nie mówił, dlaczego on i Celia się rozwiedli?

- Nie. To chyba było dla niego przykre.

Z tego, co słyszała Carol, było to zapewne spore niedopowiedzenie.

- A co z alimentami? Musieli chyba jakoś się komunikować w tej sprawie...?

- Przez ostatnich kilka lat nawet nie wiedzieliśmy, gdzie mieszkają. Syn, który pojawił się na pogrzebie Alana, przyjechał tylko dlatego, że usłyszał o jego śmierci w wiadomościach.

- Rozumiem...

Filizanki i spodeczki zostały już pozmywane. Kiedy Sheila odwróciła się od zlewu, Carol spostrzegła na jej twarzy jakiś grymas. Może Sheila zorientowała się, co Carol skrycie o niej myślała, choć tak skrzętnie starała się to ukryć...

- Proszę posłuchać, zawsze byliśmy tylko my, Alan i ja - rzekła Sheila. - Byliśmy samowystarczalni. To, co wydarzyło się wcześniej, nie miało znaczenia. Ze mną było tak samo, naprawdę. Nigdy nie zwracałam sobie głowy byłymi chłopakami i z moją rodziną też nie utrzymywałam trwalszych kontaktów. Alan zaś nie musiał kontaktować się ze swoją poprzednią rodziną, bo miał mnie.

Postąpiła krok w stronę Carol, która stała w drzwiach, krople wody skapywały z umytej filizanki na linoleum. Oblicze Sheili nie złagodniało, gdy powiedziała:

- On zawsze tak mówił. Że byłem całym jego życiem. Że to, co było wcześniej, nie wypaliło i nie chciał nawet o tym myśleć. Alan próbował uwolnić się od swego dawnego życia...

Carol skinęła głową.

- Mogę skorzystać z toalety...?

Oparła się o umywalkę i puściła wodę. Nigdy nie działała pod wpływem instynktu, ale po trzydziestu latach Carol Chamberlain nauczyła się elastyczności. W 1996 roku morderstwo Alana Franklina pozostało nierozwiązane. Głównie dlatego, że pozornie nie miało żadnego motywu.

Poczula zapach mydła i umyła ręce.

Było całkiem możliwe, że to, przed czym próbował uciec Alan Franklin, tu w nowym domu, z nową pracą i miłą nową żoną, dopadło go w końcu na tamtym parkingu.

Sheila Franklin czekała na nią u podnóża schodów.

- Ma pani jakieś rzeczy Alana? - spytała Carol. - Nie myślę o ubraniach, ani...

- Na strychu jest kilka pudeł. Papiery i różne rzeczy Alan je tam zaniósł, kiedy się tu wprowadziliśmy.

- Mogłabym rzucić na nie okiem?

- Ależ oczywiście. Właściwie wyświadczyłaby mi pani przysługę, gdyby zabrała je pani ze sobą. - Sheila powiodła wzrokiem poza Carol, w górę schodów. Zamrugowała powoli, a jej oczy zamglily się. - Miałabym wreszcie porządek...

Podobieństwo nie było uderzające, ale dało się zauważyć.

Thome wyjął z torby podróźnej rysunek; kiedy pociąg mszał ze stacji King s Cross, położył go na stoliku przed sobą i patrzył nań przez dziesięć minut.

Kelner z kafejki naprzeciwko atelier Dodda złożył zeznanie w dzień po odnalezieniu ciała. Opisał motocyklowego kuriera, który kręcił się tu kilka dni wcześniej. Nie widział, aby mężczyzna w skórzanym kombinezonie i ciemnym kasku wchodził do budynku albo na górę. To było upalne popołudnie, a on miał wiele stolików do obsłużenia...

Środa, prawie dwa tygodnie temu. Pięć dni przed tym, jak sforsowali wąskie brązowe drzwi i poczuli trupi odór.

A więc Charlie Dodd nie do końca kłamał. Facet, któremu wynajął atelier, faktycznie nosił kask motocyklowy. Thome domyślał się, że Dodd skłamał, mówiąc, że nie widział twarzy motocyklisty. Zapewne sądził, że dzięki temu kłamstwu zarobi trochę na boku, ale w efekcie przypłacił swą pazerność życiem.

Na dźwięk wózka bufetowego, toczącego się przez wagon, Thome uniósł wzrok. Oferowane dania nie należały do jego ulubionych, jeżeli chodzi o sobotnie śniadanie, ale był głodny. Sięgnął do kieszeni po drobne.

Dodd prawdopodobnie czuł się absolutnie bezpieczny, gdy mężczyzna w motocyklowym stroju wszedł po schodach tamtego popołudnia do jego studia. Przypuszczalnie sądził, że panuje nad sytuacją iwyciśnie z niej dla siebie, ile tylko zdoła. Nie domyślał się, z jakiego pokroju mężczyzną ma do czynienia. Żaden ze świadków zabójstw Remfry ego i Welcha nie wspomniał o mężczyźnie w kasku, ale mimo wszystko należało to sprawdzić. W pogodne popołudnie w Soho roilo się od motocykli, skuterów i motorynek rozwożących scenariusze, nagrania wideo, kanapki i sushi. Potrzeba było niemal dwóch dni, by odnaleźć wszystkich kurierów, którzy służbowo znajdowali się wtedy w okolicy, i wyeliminować ich z kręgu podejrzanych. Dwa dni drażenia, by potwierdzić to, co Thome uznał za prawdę od chwili, kiedy kelner opisał swoje spostrzeżenia. Twarz pod przyłbicą kasku należała do zabójcy, a w czarnym plecaku, który miał przewieszony przez ramię, znajdował się zwój niebieskiego sznura do bielizny.

- Czym mogę służyć, złotko?

Wózek zatrzymał się przy stoliku Thome a. Poprosił o herbatę i kit kata. Zdjął wieczko z tekturowego kubka, jak zwykle trochę przy tym rozlewając, wytarł kałużę serwetką i zaczął moczyć ekspresówkę we wrzątku.

Znów spojrział na rysunek, który zaczął tworzyć kilka dni wcześniej. Mężczyzna w kasku motocyklowym to za mało, by mówić o oficjalnym portrecie pamięciowym, ale Thome

zabrał się do szkicowania przy stole kuchennym i stopniowo, już przy biurku albo w metrze w drodze do i z Hendon, jął dodawać kolejne szczegóły. Z Thome a był taki sam rysownik jak tancerz średniowieczny, a jednak dostrzegł coś w tych mocno cieniowanych bazgrołach. Było coś w tych zamaszystych, wykonywanych ołówkiem liniach zdających się sugerować ciemność panującą w głębi kasku. Coś czarniejszego i twardszego niż półprzezroczysty plastik...

Uniósł wzrok i spojrzał na przesuwający się krajobraz za oknem. Patrzył, jak robi się coraz bardziej zielono, a domy stają się większe, gdy pociąg wjeżdżał do Hertfordshire. Thome wypił herbatę i zjadł batonika. Patrzył na widoczne w szybie odbicie staruszka siedzącego naprzeciw niego i zastanawiającego się nad zamówieniem. Jedna z kobiet obsługująca wózek spojrzała na drugą, przewracając oczami, a nastolatek w dresie westchnął głośno, niecierpliwiąc się, bo chciał przejść dalej.

Eileen zadzwoniła do niego z Brighton parę wieczorów temu. Opiekunka jego ojca nabawiła się półpaśca i pojawił się problem. Eileen zadzwoniła do sąsiadki, która wpadła w piątek z potrawką i zorganizowała doraźną pomoc, ale ta kobieta mogła zacząć przychodzić dopiero od poniedziałku, a jeżeli nikt o to nie zadba... ojciec mógłby do tego czasu nic nie jeść... Thome poczuł wyrzuty sumienia, że Eileen poprosiła go o pomoc, jak o wyświadczenie przysługi. Kilka kilometrów od St. Albans, gdy siedział z paczką ulubionych miętówek ojca w kieszeni, wyrzuty sumienia stały się tak silne, że zapragnął znaleźć się gdzieś indziej. Myślał o niedzieli w pubie nad rzeką w towarzystwie Eve.

Automatyczne drzwi na końcu wagonu się rozsunęły. Dwie kobiety pchające wózek minęły wreszcie nastolatka w dresie, który stał teraz przy WC i rozkoszował się dymkiem z papierosa. Wzmszył ramionami do kobiet z wózkiem, odwrócił się i wydmuchnął dym za okno.

Thome przypomniał sobie Yvonne Kitson palącą papierosa przy wejściu do Becke House. Nie uważał jej za swoją przyjaciółkę, poza pracą nie utrzymywali żadnych stosunków, ale coś w tym spotkaniu trąciło w nim czułą nutę. Nie zastanawiając się długo, Thome sięgnął do torby po kapownik, odnalazł domowy numer Kitson i wybrał go. Pewnie urabiała sobie ręce po łokcie, przygotowując niedzielny lunch.

Telefon odebrał mężczyzna, chyba mąż Kitson.

- Witam, mogę mówić z Yvonne? - rzucił Thome.

- Nie ma jej.

Thome czekał na rozwinięcie tej informacji, na próżno jednak.

- To nic ważnego. Czy mógłby pan powiedzieć jej, że dzwonił Tom Thome? Może zadzwonię później...

- Może pan próbować, ale nie wiem, kiedy wróci. Mówiła, że za kilka godzin.

Thome wciąż zastanawiał się nad tą rozmową, kiedy w pięć minut później wysiadł przy St. Albans i zaczął rozglądać się za taksówką. Może mąż Yvonne Kitson był urodzonym ponurakiem. A może miał kiepski nastrój, bo musiał zajmować się dziećmi, choć wolałby pograć w golfa albo poczytać gazetę. A może chodziło o coś całkiem innego. Tak czy owak, był wkurzony do tego stopnia, że dawał to odczuć całkiem obcej osobie.

Mówiła, że za parę godzin...

Thome ujrzał, jak przed nim para nastolatków wsiada do jedynej wolnej taksówki. Znow pomyślał o Eve, o tym, co mogliby robić. Ale co tam, nie zamierzał marnować niedzieli na włóczenie się po Ikei...

W salonie, kiedy Thome zaproponował, że coś upichci, jego ojciec poczerwieniał i nazwał go „głupim, małym gnojkiem”. Pół godziny później w pubie jego tato wyraźnie poweselał. Kufelek ciemnego, gorzkiego piwa i talerz z kielbasą z frytkami potrafił wywołać w nim diametralną zmianę nastroju, równie radykalną jak ta, którą wywoływały postępujące zmiany w jego mózgu.

- Wiesz, to numer trzy na mojej liście reguł - rzekł ojciec.

Siedzieli przy stoliku w rogu: Thome, jego ojciec i kolega ojca, Victor. W tym pubie, dwa, trzy razy w tygodniu zjawiało się sporo starych bywalców. Odkąd u ojca zdiagnozowano Alzheimera, koledzy jakoś dziwnie zaczęli go unikać. Victor był jedynym z nielicznych, którzy nie uważali tej przypadłości za zaraźliwą.

- Co takiego? - spytał Thome.

Jego ojciec, radosny jak szczypiorek, uniósł kufel w garści.

- To. ZAKAZ PICIA PIWA. Numer trzy, zaraz po: ZAKAZ WCHODZENIA DO KUCHNI I ZAKAZ WYCHODZENIA SAMEMU. To moja lista głupich zasad, no wiesz?

Thome pokiwał głową. Wiedział.

- Zakaz picia alkoholu. - Jim Thome odchrząknął i obniżył głos, naśladując didżeja: - Oto numer trzeci na alzheimerowskiej liście przebojów... - Thome i Victor wybuchnęli śmiechem.

Ojciec Thome a zaczął nucić melodyjkę z Radiowej Listy Przebojów i nagle przerwał, rozglądając się gwałtownie, z wyrazem paniki na twarzy.

- Co jest numerem trzy na liście przebojów wszech czasów? Mam na myśli długość przebywania na liście, w tygodniach, rzecz jasna...

Victor wychylił się do przodu, jego oblicze sposepniało.

- Elvis... Cliff Richard...

- Tak, jasne że tak, do cholery - nucił Jim z ożywieniem.

- Nie mogę sobie tylko przypomnieć, co jest na trzecim miejscu. Chryste, mam na końcu języka...

Thome starał się pomóc.

- Beatlesi?

Z wprawą duetu estradowych komików, jego ojciec i Victor popatrzyli po sobie, a potem na Thome a, nim równocześnie pokręcili głowami.

- Nie...

Thome zauważył, że ojciec zaczął się pocić i ciężko oddychał. To, że miał na sobie dwa swetry, tylko pogarszało sytuację.

- Widzę ten jego cholerny pysk. No wiesz, tego faceta, co to gustował w innych facetach. - Podniósł głos: - Chryste, on gra na instrumentach z czarnobiałymi klawiszami...

- Na fortepianie - wtrącił Thome. Jego ojciec często tak mówił, kiedy nie mógł sobie przypomnieć właściwego słowa. To, co wkłada się do ust, żeby umyć zęby. Bekon i... to, co znosi kura.

Victor triumfalnie rąbnął pięścią o blat stołu.

- Elton John - powiedział.

- Wiem - rzekł Jim. - Wiem to, kurwa... - Zaczął nadziewać frytki, jedną za dmą i wyglądał, jakby miał się lada chwila rozplakać.

- Pójdę po piwo - rzucił nagle Thome. - Skoro złamałeś już raz regułę, to czemu nie miałbyś tego powtórzyć.

Victor dopił swoje piwo i podał Thomeowi pustą szklaneczkę.

- Oczywiście wcale nie jest pewne, że twój ojciec ma Alzheimera.

Thome spojrzał na niego spode łba. Ten rodzaj rozmów mijał się z celem, choć Victor miał poniekąd rację. W wypadku Alzheimera nigdy nie było stuprocentowej pewności. Mieli jednak 90% pewności i to była zarówno dobra, jak i zła wiadomość.

- Jeszcze raz to samo, Victorze?

- Słuchasz, Jim? - spytał Victor. - Nie ma wcale pewności, że to Alzheimer...

Thome położył dłoń na ramieniu Victora.

- Victorze...

I właśnie wtedy to Victor spojrzał na niego spode łba, a Thome zorientował się, że narozrabiał. Zdał sobie sprawę, że właśnie zdeptał jedną z ulubionych kwestii swego ojca. Zrobiło mu się okropnie wstyd...

Jego ojciec odłożył nóż i widelec i podjął przerwany temat.

- Otóż to, Vic. Konsultant powiedział mi, że pewność będą mogli mieć jedynie, gdy przeprowadzą autopsję. Ja mu na to - wielkie dzięki. Aż tak bardzo mi niespieszno, aby poznać prawdę!

Victor i jego ojciec wciąż jeszcze zaśmiewali się do rozpuku, kiedy Thome podszedł do baru, by zamówić następną kolejkę.

„Środkowe stadium” demencji, tak je nazwano, kiedy pytał o szczegóły To wszystko wydawało mu się nadal dość mętne, ale Thome uznał, że skoro istniało kolejne stadium, które miało nadejść, przynajmniej na pewien czas sytuacja została opanowana. I wszystko choćby na razie powinno być w porządku. Przynajmniej dopóki liczba kiepskich żartów przewyższała chwilę grozy i rozpacz, będzie próbował nie przejmować się tym zbytnio.

Tylko przez krótką chwilę, minutę lub dwie, Carol zastanawiając się nad tym, co robi, myślała, aby zamienić się ze swoim mężem na miejsca. Była przecież kobietą w średnim wieku! Na miłość boską, powinna siedzieć w domu jak Jack, zwinięta w kłębek na kanapie, przed telewizorem, a nie ubrana w gruby płaszcz przetrząsać zawartość brudnych kartonowych pudeł, w ich garażu, gdzie było zimno jak w psiarni.

Ale tak myślała, zanim zabrała się do pracy. Kiedy tylko zaczęła grzebać w tym, co pozostało z przeszłości Alana Franklina, z jego PIERWSZEJ przeszłości - przestała odczuwać chłód. Ponownie odkryła w sobie to dziwne i ekscytujące uczucie, które towarzyszyło szukaniu czegoś, czegokolwiek, bez świadomości, czym konkretnie mogło być owo ulotne „coś”.

Inne kobiety w jej wieku, zamieszkałe w tej okolicy, rozwiązywały krzyżówki, zaczytywały się w tanich romansidłach albo nasypywały płatków do misek, przygotowując śniadanie na następny dzień.

Carol wyjęła plik zakurzonych, czystych kartek z jednego z pudeł i kantem dłoni starła z nich kurz. Nie zamieniłaby się z żadną z tych kobiet.

W obu pudłach było sporo papieru, całe rzyzy różnych rozmiarów, zapewne niegdyś białego, ale teraz pożółkłego i nieco zawilgłego papieru. Były tam również koperty, fiszki, naklejki i zardzewiałe zszywki. Franklin poznał Sheilę, gdy pracował w firmie ubezpieczeniowej w Hastings, ale najwyraźniej pragnął zabrać ze sobą kilka dość przypadkowych pamiątek z poprzedniego miejsca zatrudnienia.

Żadna z tych rzeczy nie wzbudziłaby euforii miłośników staroci czy osobliwości, ot kilka nieużywanych notesów kalendarzowych z 1975 i 1976 roku, kluczyki z brelokiem z logo forda escorta, talerze i filizanki owinięte w gazety, parę zdjęć z polaroidu, w malinowej

kopercie, przedstawiających dwóch chłopców, niemowlaka i oseska, i później tę samą dwójkę już jako dość ponurych nastolatków.

Carol odwinęła kolejną suchą gazetę, by ujrzeć duży srebrny kufel z pokrywką. Położyła go z boku i wygładziła rozłożoną pomietą stronę na podłodze garażu. Pochodziła z lokalnej gazety. Spojrzała na datę - przypuszczalnie z dnia, kiedy Franklin odszedł lub został przez żonę wyrzucony z domu. Tego dnia w Colchester nie wydarzyło się nic szczególnego - niewielki protest w sprawie proponowanej obwodnicy, ponowne otwarcie domu kultury po remoncie, zuchwały rabunek u jubilera przy High Street...

Carol uśmiechnęła się na widok znajomego, dość przestarzałego już zwrotu: zuchwały rabunek. Nieco ponad dwadzieścia lat wstecz i nawet przestępstwa wydawały się jakby bardziej niewinne...

Wzięła do ręki kufel, który, jak się okazało, gdy przyjrzała mu się bliżej, był posrebrzany. Mimo iż owinięty w gazetę, poczerniał z jednej strony, ale i tak ujrzała wyraźnie grawerowany napis. Uniosła kufel do światła i w blasku pojedynczej, gołej żarówki przeczytała:

Od chłopaków z Baxters, maj 1976 Witaj z powrotem Wychył jeden, by uczcić, lub więcej niż jeden, by o wszystkim zapomnieć!

Carol miała chęć zadzwonić do Sheili Franklin, ale coś jej mówiło, że to niewiele by dało. Mąż nie wtajemniczył jej w swoją przeszłość. Może od czasu do czasu zaglądał na stryszek i spoglądał na kufel, a może nawet sam starał się o tym zapomnieć. Tak czy owak, Carol była pewna, że jest zdana na siebie. Zacznie od jutra. To nie mogło być szczególnie trudne. Namówi tego łajzę McKee, aby zadzwonił w parę miejsc.

Krzywiąc się, Carol podźwignęła się z podłogi, gdzie klęczała. Położyła na betonie poduszkę, ale i tak zdrętwiały jej kolana. Zgasiła światło w garażu i stała przez kilka sekund po ciemku, zanim wróciła do domu.

Zastanawiała się, co takiego mógł świętować w 1976 roku Alan Franklin. I o czym chciał zapomnieć...

Podczas trwającej dwadzieścia pięć minut drogi powrotnej pociągiem z St. Albans, Thome miał cały przedział dla siebie. Sięgnął do torby po discmana i kilka płyt. Otworzył płytę kapeli Lambchop, urodzinowy prezent od Phila Hendricksa. Dopóki Thome nie wydał trzech stówek w Tower Records, przez dzień lub dwa był to jego jedyny kompakt od dnia włamania. Alternatywne country - tak nazwał ten rodzaj muzyki Hendricks. Najwyraźniej Thome niezupełnie szedł z duchem czasu...

Thome nacisnął klawisz odtwarzania i pomyślał o dość osobliwym pożegnaniu z ojcem. Pół godziny po odejściu Victora, kiedy herbata w dzbanku już dawno wystygła, Thome i jego ojciec stali razem w progu. Obydwaj z różnych przyczyn próbowali odnaleźć właściwe słowa, które pasowałyby do tej sytuacji.

Jim Thome nigdy nie był zbyt wylewny w okazywaniu uczuć. Uścisk dłoni i to wszystko. Ale nie dziś. Z dziwnym błyskiem w oku ojciec nachylił się ku niemu i jakby zdradzał mu wielką tajemnicę, powiedział Thome owi, że na miejscu pierwszym listy przebojów w dniu, kiedy się urodził, było Three Steps to Heaven Eddy ego Cochrane a.

Thome zrzucił buty i oparł stopy o siedzenie naprzeciwko. To, co powiedział jego ojciec, co sobie przypomniał, było na swój sposób ujmujące...

Muzyka w słuchawkach była powolna, leniwa i raczej dziwna. Thome nie potrafił zrozumieć treści piosenek, a co gorsza do ich aranżacji użyto rogów Nie trąbek tijańskich, jak w Ring of Fire, ani instrumentów mariachi, tylko rogi angielskie, jak na co drugiej płycie z muzyką soulową...

Thome wyjął płytę Lambchop z discmana i włożył z powrotem do pudełka. Może kiedy indziej. Włączył Train a'comin Steve'a Earle'a i zamknął oczy.

Muzyka soul była niezła i miała swoje plusy, ale on od czasu do czasu potrzebował czegoś z większym biglem, co poruszało go do głębi i burzyło krew.

To było kretyńsko proste.

Nigdy nie przestawało go zdumiewać, jak żalosne były te zwierzęta. Jak łatwo było wodzić je za nos. A raczej za to, co miały między nogami...

Minął niespełna tydzień od pierwszej, niemal przypadkowej wymiany zdań, a już zaczął planować, kiedy i gdzie konkretnie Southern zostanie zabity. To było tak banalne, że nieomal pożałował wysiłku włożonego w poprzednich. Miesiące planowania, budowania napięcia, listy. A może wystarczyło po prostu zaczekać, aż zostaną zwolnieni, i zgarnąć ich w jakimś barze. Wystarczyło się uśmiechnąć i powiedzieć „cześć”.

Ludzie pokroju Southema nie dbali o subtelności. Skurwiele ich nie rozumieli ani nie rozpoznawali. Używali swoich ptaków jak tępych narzędzi...

Bardzo szybko zdobył zaufanie Southema, a teraz, gdy już je miał, reszta powinna pójść jak z płatka. Czas i miejsce do ustalenia.

Chodziło przede wszystkim o zaufanie, o jego zdobycie i utrzymanie. Był dobry w pozyskiwaniu zaufania. Ludzie obdarzali go nim bez przerwy, przez cały czas, nawet nie musiał się o to zbytnio starać.

Dla odmiany on nie ufał nikomu. Już nie. Wiedział doskonale, co mogłoby się wydarzyć, gdyby odstąpił od tej reguły.

## 15

Carol wzięła do ręki komórkę i wybrała numer, starannie go uprzednio sprawdziwszy i wolno wciskając każdy klawisz. Wyciągnęła rękę, by poprawić obrazek na ścianie, gdy telefon na drugim końcu łącza rozdzwonił się.

Nie mogła już znieść bałaganu czynionego przez McKee i wzięła sprawy w swoje ręce. Dwa i pół dnia siedzenia przy telefonie i grzebania w rejestrach telekomunikacji dały jej w kość. Przypomniała sobie, jak cholerną mordęgą bywała ta niewdzięczna praca.

- Nikt cię do tego nie zmuszał - powiedział Jack. - Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś choć trochę odpuściła.

Nikt oprócz niej...

Odnalezienie Baxters, firmy, w której przed blisko trzydziestu laty pracował w Colchester Alan Franklin, okazało się ciężką harówką. Niebawem odkryła, że firma ta, zajmująca się hurtową sprzedażą materiałów piśmiennych, nie tylko przeniosła się stamtąd w latach osiemdziesiątych, lecz również zmieniła nazwę. Zaczynała praktycznie od zera. Carol skontaktowała się z każdą z firm na południu Anglii, która oferowała choćby same koperty, i zabmęła w ślepą uliczkę. Wreszcie, gdy Jack zaczął już wspominać o rozwodzie, dopisało jej szczęście. Kierownik działu kadr firmy z Northampton znał wszystkich hurtowników materiałów piśmiennych, co więcej, grywał z większością z nich w golfa! Był rad, mogąc powiedzieć jej, gdzie znajdzie osobę, której szukała i z którą chciała pomówić, po czym podał jej nazwisko pracownika z Kings Lynn.

- Witam, BowyerShotton, czym mogę służyć?

- Chciałabym mówić z Paulem Baxterem - rzekła Carol.

- Przełączę panią...

\*\*\*

Andy Stone siedział spocony w białej, lnianej koszuli, a jakaś część jego umysłu koncentrowała się na raporcie, jaki pisał. Myślał o kobiecie, obok której się obudził. Przypomniał sobie wyraz jej twarzy ubiegłego wieczoru i spojrzenie, jakie mu posłała, kiedy dziś rano bez słowa wyslizgnęła się z jego łóżka.

Uczestniczyła w nudnej konferencji w hotelu Greenwood, kilka tygodni temu, kiedy zamordowano lana Welcha. Stone ją przesłuchał i podał swój numer telefonu na wypadek, gdyby przypomniała sobie coś jeszcze. Spodobał się jej, więc zadzwoniła i spytała, czy nie

miałby ochoty pójść z nią na drinka. Domyślał się, że kręciło ją, iż był gliniarzem. Wiele kobiet to podniecało. Siła, kajdanki, opowieści o akcjach. Jednak czymkolwiek to było, szybko się jej znudziło.

Choć seks mieli naprawdę udany...

W łóżku chciał mieć nad wszystkim kontrolę. Lubił być na górze, trzymając kobietę za nadgarstki obu wyciągniętych nad głową rąk i odsuwać się od niej, kiedy to robił. Ćwiczył kulturystykę, miał mocne mięśnie barków i ramion i mógł utrzymywać tę pozycję, jak długo zechciał.

Ubiegłego wieczoru zaczęło się całkiem niezle. Spojrzała w górę na niego rozszerzonymi oczami i zaczęła mówić te słowa, które zawsze chciał usłyszeć, kiedy wyobrażał sobie podobną sytuację. Powiedziała mu, że jest za duży, że może zrobić jej krzywdę. Odchylił głowę do tyłu, zacisnął zęby i pchnął jeszcze mocniej...

I wtedy wszystko zepsuła. Zaczęła jęczeć, chwytając go za ramiona i mówić, że lubi na ostro. Aż w końcu pomiędzy urywanymi, chrapliwymi oddechami powiedziała, że chce, aby ją skrzywdził. W kilka sekund zwiotczał i wyszedł z niej. Osunął się na łóżko i ułożył na boku, wsłuchując się w jej westchnienia i zdając sobie sprawę, że przesunęła się w drugą stronę tak, by ich ciała się nie stykały...

Stone uniósł wzrok, gdy usłyszał „cześć”, rzucone przez kolegę przechodzącego obok jego biurka. Uśmiechnął się i powrócił do pisania raportu. Przypomniał sobie ciepło własnej dłoni wciśniętej między uda i odgłos ciała kobiety prześlizgującego się po pościeli, gdy odsuwała się od niego.

\*\*\*

Carol czekała...

Choć słuchała piosenki Celine Dion zaledwie od paru minut, miała wrażenie, że to trwa całe wieki.

Takie chwile, puste minuty, których nie brakowało przy każdym śledztwie, sprawiały, że cieszyła się, mogąc wykonywać pewne czynności służbowe w domu. Domyślała się, że wydział rewizyjny nie dysponuje własnymi pomieszczeniami biurowymi, a gdyby nawet, to pracując w parach, musiałyby mieć szczęście, aby dostać własne biurko.

Jack przygotował dla niej miejsce w wolnym pokoju. Wstawili tam stary komputer, z którego korzystała ich córka, i wyłożyli' dwadzieścia funtów na dodatkowy telefon bezprzewodowy. Jej archiwum składało się z żółtych przyklepanych karteczek przyklejanych wokół zdjęcia w ramach przedstawiającego jej męża zgiętego wpół jak scyzoryk, a kiedy

Carol spojrzała w lustro nad biurkiem, ujrzała zakurzone pudła na kapelusze, stare lampy bez wtyczek i kolekcję porcelanowych pieszków, którymi zachwycała się jeszcze kilka lat temu.

Było tu ciasno, ale lubiła otaczające ją rzeczy. W dniu, kiedy rozgościła się w swoim nowym gabinecie, Jack stanął za nią i oboje przez chwilę patrzyli w lustro. Carol siedziała za biurkiem i uśmiechała się do sterty gratów nagromadzonych przez całe te lata i zajmujących jedyne łóżko z tyłu za nią. To było odbicie jej samej na emeryturze.

- Dzięki temu nie powinnaś zbytnio się zagalopować - powiedział Jack.

Muzyka nagle ucichła.

- W czym mogę pomóc? - rozległ się męski głos.

- Chciałabym mówić z Paulem Baxterem...

- Nie ten wydział, złotko. Dodzwoniłaś się do księgowości. Spróbuję panią przełączyć.

Dziesięć sekund trzasków na linii, a potem znajomy głos, na którego dźwięk Carol aż westchnęła z przygnębieniem.

- Z Paulem Baxterem poproszę...

- To znowu pani? Wybacz, kochanie, to recepcja. Przełączę...

\*\*\*

Promienie słońca wpadające przez brudne okna do południa zmieniły wnętrze sali odpraw w saunę. Yvonne Kitson nie musiała uszmiłkować ust, ale i tak to zrobiła. Każda wymówka, aby znaleźć się na kilka minut w chłodnej toalecie, była dobra i pożądana.

Zwykle nie przesadzała z makijażem. Tylko tyle, aby poprawić sobie samopoczucie, i to wszystko. W tej pracy bardziej niż gdziekolwiek indziej ludzie dokonywali pochopnych osądów i formułowali zdania na temat innych, które rozchodziły się po całym wydziale i przyjmowały się, zanim jeszcze zdążyłeś przygotować sobie stanowisko pracy i uruchomić komputer.

Wiedziała doskonale, co sądzili na jej temat ludzie. Wiedziała, jakie zdanie o niej mieli ludzie pokroju Thome'a. I wiedziała, jak bardzo się mylili.

Makijaż - kolory, ilość podkładu i szminki, to, w jakiej porze dnia miałaś ją na sobie - był swego rodzaju sygnałem. Mówił, jesteś taka albo taka. Tuszował, przekłamywał, tworzył fałszywy wizerunek... Stała tak przez kilka chwil, przeglądając się w pękniętym lustrze. Przekrzywiła głowę o kilka centymetrów, aż pionowe pęknięcie pojawiło się dokładnie na samym środku jej twarzy. I teraz musiała przyznać, że wyglądało prawie dobrze.

Postanowiła odczekać jeszcze minutę.

W myślach odliczała sekundy. Jeszcze pięćdziesiąt pięć i cisnie słuchawkę, zrobi herbatę, a potem zrugą męża. Po prostu go skrzyczy i już. Albo nie, sięgnie po telefon i zadzwoni do McKee i wyżyje się na nim...

Carol zaczęła kłać pod nosem. Cholera, cholera, cholera. Odpuściła sobie dziś prace w ogródku i stare filmy po południu, a także lekturę „Readers Digest”, a tu coś takiego...

- Gabinet Paula Baxtera...

Niemal się roześmiała.

- Dzięki Bogu, zastałam Paula Baxtera?

Kobieta miała niepewny głos.

- Był tu jeszcze przed chwilą. Może poszedł na wczesny lunch. Poszukam go... może jeszcze jest...

Rozległ się trzask odkładanej na biurko słuchawki, a potem cisza. W pół minuty później Carol usłyszała głosy i stłumiony śmiech, który przybrał na sile, kiedy słuchawkę podniesiono i odłożono na widełki. Potem słyhać już było tylko regularny sygnał.

Carol wzięła głęboki oddech i ponownie wybrała numer, dźgając palcami w klawisze, jakby to były gałki oczne pracownika BowyerShotton.

- Halo, BowyerShotton, zechce pani chwilę zaczekać...?

Carol krzyknęła:

- Nie!

Ale już było za późno...

Dave Holland był w niezłym humorze, dopóki ten mały skurwiol nie zaczął się stawiać.

- Wolałbym raczej nie wdawać się w szczegóły... to chyba nie jest konieczne, prawda?

- To zależy - odrzekł Holland. - Jak bardzo chcesz, abym zalał ci za skórę.

- Pracowałem tam przy modelingu. Może być?

- Tak. Zdjęcia do katalogów, zgadza się? Jesienna kolekcja Marksa Spencera...?

- Pytał pan, co mnie łączyło z Charliem Doddem, więc odpowiadam. Wynajęto mnie do nakręcenia filmu, jasne?

- Wspominał pan o tym komuś? - spytał Holland. - Podał pan komuś nazwisko Dodda? Może mówił pan komuś o atelier?

Na linii rozległ się chrapliwy śmiech.

- Tak. Byłem dumny ze swojej pracy, bo w sumie dlaczego nie? Londyńskie ptaszki i Mokra i wilgotna to dziś klasyka. Może je pan widział...

Holland odłożył słuchawkę i wybrał kolejne nazwisko ze swojej listy.

Charlie Dodd znał wielu ludzi. Sprawdzali kolejno wszystkie numery z listy jego połączeń i wszyscy zdawali się mieć uzasadniony, choć zwykle krótkotrwały powód, aby być jego „przyjacielem” albo „wspólnikiem w interesach”. Fotograficy, osoby zajmujące się materiałami do produkcji i kręcenia filmów, właściciele firm wideo, dystrybutorzy, prostytutki. Każdą z tych osób proszono o podanie nazwisk tych, którym mogli polecić Dodda albo którzy jeszcze go znali, a to w połączeniu z kontaktami uzyskanymi od znanego z piskliwego głosu informatora zaowocowało listą na tyle poważną, że jej sprawdzenie zdawało się przerastać ich możliwości.

Holland ziewnął, zasłaniając usta ręką. Pod koniec dnia zapewne będzie to już tylko lista warta tego, by przekazać ją obyczajówce. Wątpliwe, by dzięki niej znaleźli jakikolwiek trop prowadzący do zabójcy Wbrew temu, co mówił Thome, Dodd odkrył, że reklama się opłaca. Jeden z pierwszych numerów z listy należał, jak się okazało, do specjalistycznego magazynu sadomaso. Z nieskrywanym żalem i smutkiem przyjęli informację, że ich nader cenny klient nie będzie już zamieszczał reklam na łamach ich pisma...

Holland rozsiadł się wygodniej na krześle, uniósł obie ręce w górę i przeciągnął się. To marnowanie czasu - tak jak ubiegłego wieczoru marnował swój czas w domu. Telefonowanie, co mogło spokojnie poczekać, skreślanie kolejnych nazwisk z listy. Wymówka, ucieczka...

Sophie miała na sobie szlafrok. Jedną rękę przykładła do brzucha, w drugiej trzymała kubek z herbatą. Postawiła go przed Hollandem i stanęła, zerkając mu przez ramię na papiery leżące na biurku i dotykając dłonią czubka jego głowy. Zaśmiała się cicho.

- Ten mały łobuziak przez cały dzień nie daje mi spokoju. Kopie jak jakiś piłkarz...

Kiedy Holland uniósł wzrok, pół minuty później stała już w drzwiach. Sięgnął po herbatę i uśmiechnął się do niej w formie podziękowania.

- Wiem, że myślisz, iż chciałabym, abys dokonał wyboru - rzekła.

- Ale to nieprawda. Owszem, czasami nienawidzę tego, co robisz, wkurza mnie twój tępogłowy szef i to, że wielbisz ziemię, po której on stąpa, ale to już wiesz. Owszem, byłabym szczęśliwa, gdybyś wziął sobie parę dni wolnego i nie, nie chcę, abys zrobił coś głupiego. Nie teraz. Nie mogłabym cię prosić, abys wybrał, Dave. - Odwróciła się i przez chwilę wyglądała przez okno. - Za bardzo bym się bała... - Przez kilka sekund słychać było tylko odgłosy ruchu ulicznego od strony Old Kent Road i radia z mieszkania poniżej.

Holland podniósł słuchawkę i sięgnął po pióro.

- Możemy pomówić o tym później? - Spojrzał na papiery leżące na biurku i na bezsensowną listę nazwisk. - To jest naprawdę ważne...

Thome patrzył, jak jego zespół wykonuje rutynowe czynności. Holland, Stone, Kitson... Ujrzał dziesiątki innych funkcjonariuszy i pracowników cywilnych rozmawiających, piszących i rozmyślających - bez większego zaangażowania, jakby wyczerpały się im baterie.

Jakby upał wywoływał zgęstnienie powietrza na tyle, że trudno było się przez nie przebić.

Thome stał w wejściu do sali odpraw i myślał o szamoczących się dziko kończynach ofiary balansującej na granicy śmierci...

Wzorzec był zawsze ten sam. W dniach tuż po odnalezieniu ofiary zabójstwa wszyscy pracowali jak szaleni. Cały zespół był jak w amoku. Gorączkę podsycił fakt, że wszyscy wiedzieli, iż najbliższe godziny są kluczowe dla pomyślnego rozwiązania sprawy. Po odnalezieniu Dodda wszyscy uwijali się jak w ukropie, sprawdzając rejestry, kontaktując się z informatorami, spisując zeznania i ścigając kurierów. Czekali na COKOLWIEK.

Stopniowo jednak, jak zawsze, ich aktywność zaczynała słabnąć jak ruchy ofiary w miarę zbliżania się śmierci. Szaleńcze wysiłki przerodziły się w marazm i rozleniwienie. Telefony odbierano rutynowo i tak samo spisywano zeznania, iskierka nadziei gasła z cichym skwierczeniem, aż całe prowadzące dochodzenie ciało zaczynało sztywnieć i stygnąć, kołyszac się wolno i bez celu...

Czegoś było potrzeba. Sprawie i tym, którzy przy niej pracowali, potrzeba było impulsu, który na nowo tchnąłby w nich życie. Zewnętrznej siły, podobnej do łomotu przejeżdżającego metra, które wprawiało w ruch zwłoki Charliego Dodda. Thome nie miał pojęcia, co by to miało być i skąd mogłoby nadejść.

- Paul Baxter...

- Czy mówię z Paulem Baxterem?

- Tak. Z kim rozmawiam?

Carol poczuła, że napięcie w jej plecach i karku zaczyna nieznacznie słabnąć.

- Nazywam się Carol Chamberlain, pracuję w Wydziale Rewizyjnym Policji Miejskiej. Nie uwierz pan, ile trudu kosztowało mnie skontaktowanie się z panem...

- Skontaktowanie się...?

- Tak, z pańską firmą.

- Nasz numer jest w książce telefonicznej...

- Owszem, ale ja szukałam Baxters.

Zapadła cisza. Carol usłyszała, jak Baxter coś przetyka.

- To było dawno. Firmę mojego ojca wykupiono... chyba w osiemdziesiątym drugim. Zostałem szefem działu sprzedaży, kiedy się tu przenieśliśmy, to było elementem umowy...

- Ale...

- W czym mogę pani pomóc? - Paul Baxter zaśmiał się. Miał niski, zmysłowy głos. Seksowny i kuszący - Czy stróżom prawa potrzeba zapasu środków piśmienniczych?

- Pamięta pan może pracownika nazwiskiem Alan Franklin? Odszedł w...

Baxter wszedł jej w słowo.

- Boże, jasne, że tak. Pomagałem w magazynie, kiedy to wszystko się wydarzyło, pracowałem dla mego ojca. To było tuż przed Bożym Narodzeniem, o ile mnie pamięć nie myli...

- Kiedy CO konkretnie się wydarzyło?

Usłyszała zakłopotanie, niepewność i podejrzliwość w głosie Baxtera, kiedy odpowiedział:

- Cóż, chyba nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno, ale pamiętam doskonale przebieg procesu. Boże, i ten horror, który nastąpił potem...

Carol uświadomiła sobie nagle, że poderwała się z miejsca i oparła obiurko. W lustrze ujrzała twarz kobiety, która po raz pierwszy od trzech długich lat poczuła ogarniające ją podniecenie. Coś ścisnęło ją w piersiach jak zwiastun nadciągającego zawału. Zaparło jej dech, a w głowie pojawiła się pustka. To uczucie przeniknęło ją na wskroś, rozchodząc się z krwią do najmniejszych naczyń włosowatych i wdzierając się w głąb kości jak światło.

Jak nowe życie.

- Halo...?

Jak przez mgłę słyszała w słuchawce głos Baxtera. Osunęła się na fotel i odczekała jeszcze chwilę, zanim znów się odezwała:

- W porządku, panie Baxter, kiedy mogłabym przyjechać i spotkać się z panem?

Załatwione i pozamiatane...

Sugestia wyszła od samego Southema. Jakież to było genialne! Zaproszenie do małego mieszkanka Southema w Leytonstone zostało uprzejmiem odrzucone. Już postanowił, że to się stanie w hotelu. Southern bez trudu dał się przekonać - podobnie jak pozostali. Hotel miał w sobie coś, co przydawało sekretnemu spotkaniu dodatkowego dreszczyku emocji. On czuł się podobnie, ale głównie dlatego, że wiedział, jakie jeszcze niezapowiedziane emocje czekały tam Southema...

Jak dotąd to on wybierał hotele, odpowiadające nastrojowi chwili, adekwatne do wydarzenia i charakteru każdej z ofiar. Zawsze długo się nad tym zastanawiał, podobnie jak nad kwestiami bezpieczeństwa. Remfii, gdyby tylko mógł, zrobiłby to w jakiejś ciemnej uliczce, za parą starych, zardzewiałych beczek. Hotelik w Paddington był dostatecznie

obskurny, aby przystał na tę propozycję i odpowiednio się tym nakręcił. Welch ze swej strony wolał jakieś miłsze miejsce. Z całą pewnością był człowiekiem o dużych aspiracjach, wykraczających poza jego status. Hotel Greenwood okazał się dla niego idealny.

Miejsce, które znalazł dla Howarda Southema, też będzie doskonałe. To był nieduży hotelik w stylu rustykalnym, w gęsto zadrzewionym Roehampton, na obrzeżach Richmond Park. Z sypialni roztaczał się romantyczny widok na zielony zagajnik.

Był pewien, że wszystko pójdzie jak po maśle. Howard Southern uwielbiał wiejskie klimaty. Czyż nie pobił i nie zgwałcił brutalnie swojej pierwszej ofiary na zapomnianej, leśnej drodze w Epping Forest?

Załatwione i pozamiatane...

## 16

Dwa B i C. Dwa B i C...

Takie wyniki chciała zobaczyć, kiedy otworzyła kopertę pod koniec sierpnia. Oferta z uniwersytetu, który ją interesował. Stopnie, jakie musiała uzyskać, jeżeli chciała znaleźć się na wydziale teatralnym w Manchesterze. Dwa B i C. Od ostatniego egzaminu to stało się dla Fiony Meek swoistą mantrą.

Większość jej przyjaciół wciąż świętowała zakończenie egzaminów. Paru, mających zamożniejszych rodziców niż ona, wyjechało za granicę, a reszta po prostu zabijała czas. Zaledwie kilkoro, tak jak ona, postanowiło odłożyć parę groszy i podjąć sezonową pracę. Wiedziała, że czasami była trochę zbyt racjonalna, ale niewiele sobie z tego robiła. Nie dbała o to, że koledzy się z niej nabijali. Nie będzie im do śmiechu, gdy studenckie pożyczki wyczerpią się im w połowie pierwszego semestru.

To była idealna praca i pragnęło jej wiele osób. Kolega jej ojca był kierownikiem działu kadr w dużej firmie zajmującej się obsługą hoteli i wstawił się za nią. Praca na dwie zmiany jak najbardziej jej pasowała. Zaczynała bladym świtem, ale kończyła już przed południem, a potem dopiero pod wieczór i całe dnie miała w sumie dla siebie.

Fiona pomachała, gdy w głębi korytarza ujrzała jedną z dziewcząt wychodzącą z pokoju i wkładającą brudne ręczniki do kosza z rzeczami do prania. Zatrzymała swój wózek i zaczęła wrzucać mydło i szampony do niewielkiego koszyka. Poczła znajomy zapach, ten sam, który roztaczała cała góra mydełek i balsamów, jakie miała w łazience w swoim domu. Sprzątanie na zmianie od siódmej do dziesiątej było najtrudniejsze. Nie mogła się nadziwić, że niektórzy ludzie poza domem zachowywali się jak zwierzęta. Na razie nie zetknęła się z niczym naprawdę nieprzyjemnym, zero używanych gumek czy takich tam, ale pewne osoby

naprawdę zostawiały po sobie prawdziwy chlew. Równie dziwacznie wyglądały pokoje, sprawiające wrażenie, jakby nikt w nich nie mieszkał. Starannie poskładane ręczniki i posłane łóżka. Fiona przypuszczała, że tacy ludzie, choć zatrudniali w swoich domach sprzątaczkę, wszystko zawsze sami pucowali na błysk.

Tak czy owak, krzątając się po sypialniach, wymieniając środki czystości, saszetki z kawą, wyglądając narzuty na łóżkach i sprawdzając zawartość minibarków, próbowała zgłębić mentalność osób, których nigdy nie poznała. Starła się dowiedzieć czegoś o ich życiu, które wyznaczała marka obuwia nieznajomych, zapachy w łazience i książki leżące na nocnych stolikach.

To było niezłe ćwiczenie, jak dla aktorki, skonstatowała. O ile dostanie swoją szansę. Dwa B i C. Dwa B i C...

Włożyła plastikową kartę do elektrycznego zamka i otworzyła drzwi sypialni.

Wiele zabójstw pozostawało nierozwiązanych, ale w porównaniu ze współczynnikiem wykrywalności sprawców włamań Thome uznał, że on i inni, jemu podobni, spisywali się całkiem niezle.

- Na miłość boską, Chris, to już prawie trzy tygodnie. Musisz znać potencjalnych podejrzanych z tej okolicy...

Na drugim końcu łącza Chris Barratt wybuchnął śmiechem. Thorne miał wrażenie, że ta rozmowa ubawiła do łez funkcjonariusza dyżurnego z Kentish Town.

- Wiesz, jak to jest, Tom - rzekł Barratt. - Ciesz się, że o tak wczesnej porze, w sobotni poranek ktoś w ogóle zechciał odebrać telefon.

Thome wiedział, w jakim napięciu pracowano w niektórych dzielnicach. Koncentrowano się na najcięższych przestępstwach, kosztem tak pospolitych jak włamania do mieszkań. Brakowało ludzi, którzy mogliby się tym zająć. Zdawał sobie z tego sprawę, ale jako że sam był policjantem, tamci zapewne dawali z siebie dwa razy więcej niż zwykle, aby dopaść sprawcę włamania. Wiedział jednak, że to i tak najprawdopodobniej za mało, aby dorwać tego drania.

- To już trzy tygodnie, Chris...

- Znaleźliśmy twój wóz.

- I nic to nie dało...

- Bo był kompletnie spalony...

- Tylko od wewnątrz.

Mondeo znaleziono na tyłach Euston Station. W środku był spalony, opony poprzecinane, a na dachu namalowano sprejem napis GLINY TO ZŁAMASY. Kolejny powód do drwin w całym Becke House...

- A co z paserami? - spytał Thome. - Ten gnój musiał gdzieś upłynnić moje stereo.

- Ech! Nie pomyśleliśmy o tym...

Thome westchnął. Wyjął z ust gumę, którą żuł, i wyrzucił przez otwarte okno.

- Wybacz, Chris. Obecnie satysfakcjonowałby mnie jakikolwiek postęp w śledztwie, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Załatwiłeś sprawę z ubezpieczeniem, zgadza się? - rzucił Barratt.

- Tak. Owszem. - Thome wciąż czekał na pieniądze za auto i sprzęt, ale mimo wszystko nie widział powodu, dlaczego nie miałby...

- Więc czym się martwisz?

Pamy, sobotni ranek. Senny i ociekający potem. Koniec tygodnia jak przyduży zadek, który nie mieści się w szczelinę, przez którą chce się precisnąć.

- Tak jakoś się martwię. I już - odrzekł Thome. - Ty też powinieneś. A kiedy w końcu dorwiesz tego dupka, który śmiał skorzystać z mojej sypialni jak z toalety, to on będzie miał uzasadniony powód, aby zacząć się martwić...

Gość w eleganckim garniturze minął ją, kierując się w stronę windy. Fiona powiedziała dzień dobry i przyłożyła dłoń w gumowej rękawiczce do ust, aby stłumić ziewnięcie. Ruszyła korytarzem w stronę następnej sypialni, zastanawiając się nad tym, co będzie robiła później.

Wieczorna zmiana była całkiem przyjemna. Miała wówczas okazję, by poflirtować z ulubionym kelnerem, gdy czyściła stoliki w barze, albo poplotkować z dziewczętami z recepcji, przy okazji odkurzania. Kilka razy zdołała uwinąć się z obowiązkami na tyle szybko, że mogła zaszyć się w cichym kąciку i posiedzieć tam nad dobrą książką.

Oile nie była zbyt zmęczona, mogła też pójść na drinka, spotkać się z kolegami. Może uda się jej wyjść z pracy nieco wcześniej...

Wczorajszego wieczoru nie miała tyle szczęścia. Grypa zaatakowała personel sprzątający i obsada zmiany była mocno uszczuplona. Musiała sama posprzątać całą recepcję i już myślała, że uda się jej pójść wcześniej do domu, kiedy zmuszono ją do pomocy przy porządkowaniu w sali konferencyjnej i przygotowywaniu stołu na sobotnie, poranne śniadanie biznesowe nazajutrz.

Wtoczyła wózek z obrusami i utensyliami do windy, po czym wcisnęła przycisk najwyższego piętra. Drzwi właśnie zaczęły się zamykać, kiedy do kabiny weszły dwie osoby.

Chyba para. Ona była atrakcyjna, w krótkiej spódnicy i jedwabnej bluzce. On był wyjątkowo przystojny i ubrany znacznie skromniej. Kobieta wysiadła na pierwszym piętrze. A więc jednak nie byli parą. Kiedy drzwi się zamknęły, mężczyzna odwrócił się do niej i uśmiechnął. Czując, że się czerwieni, Fiona spuściła wzrok i zaczęła zliczać noże oraz widelce.

Zadzwoił dzwonek, kiedy winda dotarła na najwyższe piętro, a Fiona pchnęła wózek w stronę drzwi. Mężczyzna postąpił krok naprzód, aby przytrzymać je dla niej. Uśmiechnął się do niej raz jeszcze, kiedy wytoczyła wózek z kabiny, sztucce zabrzączały głośno, gdy przejeżdżała obok niego. Kilka metrów dalej, w głębi korytarza, odwróciła się i spojrzała na niego, odrobinę zaskoczona, że on również nie wysiadł z windy. W chwili kiedy drzwi zaczęły się zamykać, mężczyzna w skórzanej, motocyklowej kurtce pochwycił jej spojrzenie. Uniósł obie dłonie w górę i pokręcił głową, jakby dziwił się własnemu roztargnieniu.

- Ale ze mnie gapa. Przeoczyłem piętro, na którym miałem wysiąść.

Bywały takie chwile, gdy śledztwo wydawało się tonąć w mroku. Kiedy światło, niezależnie od pory roku czy dnia, dziwnie gasło w pokojach, gdzie prowadzono dochodzenie i gdzie rozmawiano o możliwościach rozwoju śledztwa w celu schwytania zabójcy Ci, co błądzili po omacku w ciemnościach, mieli zawsze niepokojące, frustrujące odczucie, że gdyby ktoś tylko skierował światło we właściwym kierunku, ich oczom mogłoby objawić się coś istotnego. A wówczas cienie rozpląnęłyby się na dobre.

Dzień był leniwy i spokojny, ale Brigstocke najwyraźniej nie miał ochoty poganiać podwładnych. Thome owi to odpowiadało - czuł, że dodatkowy kwadrans we wspólnym gronie na rozmowie o niczym wyjdzie wszystkim na dobre.

I może unicestwi kilka cieni...

Siedzieli przy trzech różnych biurkach w sali odpraw, popijając herbatę i kawę. Przeglądano pisma i gazety, wpatrywano się w przestrzeń albo w tarcze zegarów.

- Jak wam minął piątkowy wieczór? - spytał Thome. Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Thome wybuchnął śmiechem. - Ja cię kręcę, prawdziwi z was imprezowicze! - Odwrócił się, by spojrzeć na Stone'a. - Ej, a co z tobą, Andy? Jesteś młody i wolny...

Stone na moment uniósł wzrok.

- Byłem skonany...

Holland zaśmiał się.

- Cienias.

- Nie będzie ci do śmiechu, kiedy twoja pani urodzi - wtrącił Brigstocke.

- To fakt - Kitson podeszła do niedawno zainstalowanego dystrybutora z wodą. - Powinieneś korzystać z życia, Dave. Bo jak nic, już wkrótce piątkowe szaleństwa w twoim wypadku będą należeć do przeszłości.

Holland mruknął coś niezrozumiale i wlepił wzrok w egzemplarz „Daily Mirror”, otwarty na stronach ze sportem. Thome wychylił się, by zerknąć na nagłówki. W jednym z artykułów pisano o nowym graczynie drużyny Spurs, charakterem facecie włoskiego pochodzenia.

- A co z resztą weekendu? - rzucił Thome pod adresem ich wszystkich. - Jakież plany? - Reakcja, beznamiętne wzruszenie ramion, była równie zdawkowa jak poprzednio. Thome niemal uwierzył, że jego własne życie towarzyskie jest w porównaniu z ich ekscytujące. Zwłaszcza ostatnio nie mógł narzekać na brak atrakcji...

- Niedziele w domu Brigstocke ów są święte i niezmiennie. - Nadinspektor sięgnął po aktówkę, by ruszyć w stronę swego gabinetu. - Spacer z psem, pranie, rzeźnia, czyli niedzielny lunch z rodzicami, swoimi lub żony. Ach, no i jeszcze wyprawa do centrum ogrodowego lub, jeżeli szczęście dopisze, do supermarketu...

Thome zaśmiał się, rozejrzał dokoła i po chwili inni przyłączyli się do niego. Pomyślał o tym, jak sam spędził ostatnią niedzielę. Coś, co powiedział Brigstocke, ożywiło kolejne wspomnienie i Thome odwrócił się, by spojrzeć na Yvonne Kitson, przechodzącą przez salę i pijącą zimną wodę z tekturowego kubka.

- Dostałaś ode mnie wiadomość w niedzielę? - Przełknęła łyk wody i spojrzała na niego. - Dzwoniłem. Przed południem...

Kitson wrzuciła pusty kubek do kosza na śmieci.

- Po co konkretnie?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam - odparł Thome.

Kitson patrzyła na niego przez sekundę lub dwie, jej oblicze pozostawało beznamiętne.

- Nic mi nie przekazano.

Thome wzruszył ramionami.

- Nieważne. - Skinął głową w stronę miejsca, gdzie stał przed chwilą Brigstocke. - Sądziłem, że to właściwy moment, aby cię zastać. Zwykle ludzie spędzają niedziele w gronie rodzinnym.

Kitson minęła go, sięgnęła po czasopismo, które czytała, i włożyła je do torebki. Zrobiła krok w stronę toalety, po czym odwróciła się do Thome a, kiwając głową, jakby coś sobie nagle przypomniała.

- Byłam na siłowni.

Sala odpraw zaczęła tętnić życiem, wypełniły ją hałas i mch. Przechodzący przez nią Holland usłyszał końcówkę rozmowy Thorne'a i Kitson.

- Powinnaś dogadać się ze Stone'em - wtrącił. - On uwielbia wyciskać ciężary i takie tam. - Holland spojrział na Stone'a, który przycupnął na krawędzi biurka, gawędząc z młodym stażystą. - Może na pierwszy rzut oka wygląda niepozornie, ale gdy ściągnie koszulę, okazuje się, że ma naprawdę pięknie rzeźbioną muskulaturę.

Kitson popatrzyła na Thome'a, unosząc brwi. Jej twarz znów była rozluźniona i szczerza.

- Wyluzuj, tygrysie - rzuciła znacząco do Hollanda.

Holland chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Thome już się od nich oddalił. Wiedział, że pod koniec dnia upał i frustracje towarzyszące śledztwu sprawią, że będzie spięty jak gitarowa struna. Chciał pójść do swego gabinetu, zadzwonić do Eve i zorganizować coś, co pozwoliłoby mu choć odrobinę złagodzić to napięcie.

- Chryste, wydajesz się jeszcze bardziej udręczona ode mnie...

- Mówiłam ci, sobota w pracy to prawdziwy kierat.

- Mamie Keitha pewnie się nie poprawiło?

- Słucham?

- Nie ma Keitha, aby cię wspomógł?

- No... nie...

Thome uniósł wzrok, by ujrzeć Kitson wchodzącą do pokoju i zbliżającą się do swego biurka. Jej spojrzenie powiedziało mu, że doskonale wie, z kim rozmawiał. Thome zniżył głos.

- Chciałabyś pójść dziś wieczorem do kina?

- W sumie czemu nie. W mieszkaniu mam egzemplarz „Time Out”, zobaczę, co grają ciekawego...

Nie wiadomo kiedy i jak do ich rozmowy wdarł się temat śledztwa. Thome widział oczami wyobraźni towarzyszące temu obrazy. Niewyraźne, rozmyte. Jak nie w pełni uformowane myśli, które chciały mu się ujawnić. Coś, o czym czytał, i coś, o czym nie przeczytał...

Na dźwięk głosu Eve widmowa myśl przyszła równie nagle, jak się pojawiła.

- Tom?

- Tak... świetnie. Może jutro wybierzemy się też na zakupy. - Chwila ciszy - Masz na myśli coś konkretnego?

Thome zniżył głos jeszcze bardziej, zasłaniając mikrofon dłonią.

- Sklep meblowy. A konkretnie z łózkami...

Eve zaśmiała się, a gdy znów się odezwała, to ona zniżyła głos do szeptu. Po hałasie w tle Thome domyślił się, że w kwaciarni jest wielu klientów.

- Wielkie pieprzone dzięki - rzuciła.

- Cieszę się, że się cieszysz - odrzekł Thome.

- Najwyższy czas. Uznałam, że więcej o tym nie wspomnę. Nie chciałam sprawiać wrażenia zdesperowanej.

Thome uniósł wzrok. Kitson nachylała się nad jakimiś papierami.

- Dziś rano bardzo długo przypatrywałem się sobie w lustrze. I powiedziałbym, że desperacja to właściwy termin określający, co czuję...

Fionie zostało już tylko kilka pokoi.

Dziewczęta pracowały zwykle według pewnego systemu, sprząając kolejno piętra, korytarze i tak dalej, ale kolejność, w jakiej zajmowały się poszczególnymi pokojami, zmieniała się z dnia na dzień. Pokoje z wywieszką „Nie przeszkadzać” na drzwiach były sprzątane później niż te, przy których pozostawiano puste tace po śniadaniu, do niektórych zaś zapukać miały dopiero pracownicy wieczornej zmiany.

Na końcu korytarza na pierwszym piętrze znajdowały się jeszcze dwa pokoje, którymi miała się zająć. Spojrzała na zegarek. Była za dwadzieścia dziesiąta.

Fiona sięgnęła po kubek z gąbkami i środkami czystości i nogą przesunęła odkurzacz w stronę drzwi sypialni. Zapukała do drzwi i policzyła do pięciu, myśląc o jajecznicy na bekonie i łóżku. Niemal co rano było tak samo. Zanim dotrze do końca korytarza, będzie marzyć o domu, późnym śniadaniu i kilku cudownych godzinach spędzonych w miękkiej pościeli.

Dwadzieścia minut. Jeśli się jej poszczęści, przed końcem zmiany posprząta oba pokoje, choć rzecz jasna wszystko zależało od tego, w jakim są stanie.

Sięgnęła po kartę elektroniczną, którą miała zawieszoną na plastikowym łańcuszku przy talii.

Przypomniała sobie pewną melodyjkę. Piosenkę, którą usłyszała, gdy obudziło ją radio z budzikiem, prezent od babci z okazji zakończonych egzaminów. Piosenka była bardzo staroświecka, na solistę i gitarę, ale nie dawała jej spokoju od rana.

Włożyła kartę do zamka i wyciągnęła. Światelko pod gałką u drzwi zmieniło się na zielone. Przekręciła ją i naparła na drzwi... Kątem oka dostrzegła kogoś nadchodzącego

korytarzem. To chyba jedna z tych zarozumiałych, hardych, starych bab, które też tu sprzątały. Nie miała pewności, bo jej twarz była przesłonięta wielkim bukietem lilii.

Odwracając się bokiem, pchnięciem biodra otworzyła drzwi. Stopą wsunęła do środka odkurzacz i pozostawiła drzwi uchylone, aby zabrać z wózka resztę potrzebnych jej rzeczy...

Dwa miesiące później Fiona dostanie swoją szansę, aby zagrać rolę w sztuce w Manchesterze, lecz z niej nie skorzysta. A w każdym razie nie w tym roku. Otrzyma dwa B i C, ale to nie będzie mieć dla niej większego znaczenia. Dwa miesiące później jej matka wyjmie z koperty arkusz ocen, odczyta wyniki i uda, że jest tym bardzo podekscytowana, ale jej córka prawie nie zwróci na to uwagi. W jej głowie wciąż będzie brzmieć echo krzyku, który rozdarł jej ciało, osiem tygodni wcześniej, pozbawiając ją możliwości odczuwania praktycznie czegokolwiek. Odgłos jej krzyku i obraz jej samej, młodej dziewczyny przestępującej próg i odwracającej się. Stającej oko w oko ze szczególnym rodzajem brudu. Z plamami, których nie wywabi żaden odplamiacz i na widok których wypuściła z dłoni kubek, a środki czystości, gąbki i ścierki wysypały się zeń na podłogę sypialni.

Było zaledwie parę minut po dziesiątej, ale Thome zastanawiał się już, jaki specjał na lunch zamówi dziś dla siebie w Royal Oak, gdy do jego gabinetu weszła kobieta w średnim wieku.

- Szukam konstabla Hollanda - rzekła.

Weszła bez pukania, toteż Thome nie miał o niej już na wstępie dobrego zdania, ale mimo to starał się być wobec niej uprzejmy. Kobieta była niska, pulchna, pod sześćdziesiątkę. Przypominała mu nieco jego ciotkę Eileen i nagle zrozumiał, z kim ma do czynienia.

- Ach, tak, pani zapewne jest...

Kobieta przysunęła dla siebie krzesło, które stało przy biurku Kitson, postawiła je naprzeciw Thome a i usiadła.

- Nie, nie jestem. Nazywam się Carol Chamberlain. Byłam nadinspektorem policji. Teraz pracuję w Rewizyjnym.

Thome sięgnął po pióro i kartkę papieru, aby zrobić notatki, i pomyślał: Cholerny Wydział Sztwywniaków, tylko tego mi trzeba. Nachylił się nad biurkiem, wyciągając rękę. - Inspektor Thome...

Ignorując wysuniętą do niej dłoń, Carol Chamberlain otworzyła aktówkę i zaczęła w niej grzebać.

- Świetnie. Tym lepiej. Pytałam o Hollanda tylko dlatego... - wyjęła wyświechtaną zieloną teczkę oblepioną żółtymi samoprzylepnymi karteczkami -...że jego nazwisko pojawiło się przy TYM. - Podkreślając ostatnie słowo, upuściła teczkę na biurko Thome a.

Thome spojrział na teczkę i uniósł obie ręce w górę. Starał się zachowywać kurtuazyjny ton, kiedy powiedział:

- Proszę posłuchać, czy moglibyśmy odłożyć to na kiedy indziej? Urabiamy sobie ręce po łokcie, pracując nad pewną bardzo dużą sprawą i...

- Wiem doskonale, nad jaką sprawą pracujecie i urabiacie sobie ręce po łokcie - odrzekła. - I właśnie dlatego powinniśmy zająć się tym już teraz.

Thome spojrział na nią. Lodowaty i nienawistny ton jej głosu nie pozostawiał mu najmniejszego wyboru. Z westchnieniem przysunął teczkę do siebie i zajrzał do środka.

- Pięć tygodni temu konstabl Holland pobrał z archiwum akta dotyczące nierozwiązanego zabójstwa z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego. - Pomijając zimny ton, jej głos brzmiał dystyngowanie, co zdawało się świadczyć o jej dawnej randze, a w tle wciąż wyczuwało się pozostałości akcentu z Yorkshire. - Ofiara nazywała się Alan Franklin. Ten mężczyzna został zamordowany na parkingu. Uduszono go sznurem do bielizny.

- Pamiętam - rzekł Thome. Przerzucił kilka stron. To była jedna ze spraw, których akta Holland wydobyl z archiwum. - Przeglądaliśmy kilka takich spraw, lecz bez powodzenia. Nic nie świadczyło o tym, że...

Chamberlain pokiwała głową i utkwiała wzrok w zawartości teczki.

- Otrzymałam te akta jako jedną ze spraw zamkniętych. Tak się składa, że była to moja pierwsza „zamknięta” sprawa.

- Czytałem o tej inicjatywie. Doskonały pomysł.

- Raz jeszcze przejrzałam akta zabójstwa Franklina...

- No i... - Thome przerwał, dostrzegając wyraz lekkiego rozbawienia i maleńką zmarszczkę, która pojawiła się przez moment przy jej ustach, aby zaraz zniknąć. To wystarczyło, aby wywołać reakcję w nim samym, która jak zawsze brała początek w formie świerzbienia u nasady karku...

- My, którzy prowadziliśmy sprawę jego zabójstwa w dziewięćdziesiątym szóstym, powinniśmy byli słyszeć o Alanie Franklinie. Jego nazwisko powinno było pojawić się przy okazji rutynowej kontroli...

Thome wiedział, że nie należy pytać, dlaczego. Za chwilę sama mu to powie. Patrzył tylko i słuchał, czując, jak świerzbienie rozlewa się falą po całym jego ciele.

- W maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego Franklin stanął przed sądem w Colchester. Został oskarżony o gwałt. Oskarżono go, ale ostatecznie uwolniono od stawianych mu zarzutów.

Thome na moment wstrzymał oddech i w końcu powoli wypuścił powietrze.

- Jezu...

Jak promień światła skierowany we właściwą stronę...

Później, kiedy Thome i kobieta, o której sądził, że jest matką Dave'a Hollanda, bardziej się poznali i polubili, Carol Chamberlain wyznała mu, że to właśnie była jedna z tych rzadkich chwil, których brakowało jej bardziej niż czegokolwiek innego. Tych sekund przypatrywania się Thomeowi na chwilę przed ujawnieniem najbardziej istotnych faktów. Kiedy z największym trudem powstrzymywała uśmiech cisnący się jej na usta.

- Alan Franklin został oskarżony o zgwałcenie kobiety, która nazywała się Jane Foley...

## CZĘŚĆ TRZECIA

### NIEZALECZONE RANY

Stękanie zdawało się dochodzić gdzieś z głębi. Odgłos wysiłku i ogromnego zadowolenia. Płynął w górę od trzewi i eksplodował niesiony z gorącym tchnieniem wydobywającym się spomiędzy brudnych, zniekształconych zębów. Pod tymi zwierzęcymi odgłosami - psimi, małpimi i świńskimi - kontrapunkt wyznaczony przez głuche plaśnięcia gorącego ciała o zimne w miarę jak napierał coraz mocniej, raz za razem.

Nie chciał przyspieszyć. Nie chciał dać do zrozumienia, że to już wkrótce może się skończyć.

Chłonął rozkosz.

I ból.

Jak w ogóle do tego doszło? Naiwność i ufność okazały się doskonałym uzupełnieniem dla frustracji i nienawiści. To się stało w jednej chwili. Jak dawno temu to było? Piętnaście minut temu? Trzydzieści?

Wyrwanie się i szamotanie nie miało sensu. Prędzej czy później to się skończy, musi się skończyć. Myślenie o tym, co będzie potem, mijało się z celem. Może nieśmiały uśmiech, zdawkowe przeprosiny, papieros i drętwa gadka o błędnie odczytanych sygnałach.

Kutas. Kutas. Kutas.

A do tego czasu...

Powieki, które nie chciały pozostać uniesione, opadły i zacisnęły się, a pod nimi pojawił się nowy obraz. Zrazu nieduży i odległy. Upozowany, czekający w odległym kręgu światła na końcu tunelu.

Teraz głuche plaśnięcia i stękanie zaczynają cichnąć, rozplywają się w dali, a obraz przybliża się, coraz szybciej i szybciej, w miarę jak przesuwa się w głąb tunelu, wciągany przez ciemność, aż zostaje w pełni ukształtowany i wyraźniejszy niż kiedykolwiek.

Wszystko widzi wyraźniej niż dotychczas. Kolory są żywsze: czerwona wilgoć na białej koszuli; błękit sznura opasującego jego szyję mocnym splotem egzotycznego węża. Odgłosy i woń ciała oraz linki, ogłuszające i odurzające. Skrzypienie liny i smród fekaliów.

Doznanie: jedyna w swoim rodzaju zgroza towarzysząca obserwacji tego wszystkiego. Nieopisany ból malujący się w źrenicach oglądanych oczyma duszy.

I na koniec ostateczna obserwacja. Uczucie, że coś wyrывa się z ciała, pragnie je opuścić, uciec z niego, i w końcu się wydostaje, unosząc się w górę, pławiąc się w powietrzu,

z dała od ciała, które podryguje i obraca się z wolna na końcu postrzępionej, dobrze naoliwionej linki holowniczej.

## 17

To była najbardziej ponura opowieść o zranionych ciałach i zdruzgotanych żywotach, jaką Tom Thome miał okazję słyszeć...

Minął tydzień, odkąd Carol Chamberlain weszła do gabinetu Thorne'a i uwolniła dzina z butelki. Holland siedział za kółkiem wynajętej laguny, którą jechali do Braintree w Essex. Dwaj mężczyźni milczeli, jak to nieraz bywało, ale ta cisza była nieprzyjemna i uciążliwa. Thome mógł jedynie mieć nadzieję, że obrazy, jawiące się w myślach Hollanda, nie były tak mroczne jak w jego własnych.

Najbardziej ponura opowieść...

Jane Foley została zgwałcona przez Alana Franklina. Thome nie miał co do tego wątpliwości, choć jeżeli wtedy tego nie udowodniono, to szansa, że prawda wyjdzie na jaw dwadzieścia pięć lat później była raczej nikła. Nikt nie wątpił natomiast ani wtedy, ani teraz w osobliwe i brutalne poczynania podjęte przez jej męża, Dennisa. W to, co zrobił Jane, a potem sobie, po południu 10 sierpnia 1976.

Thome najprawdopodobniej nigdy nie dowie się na pewno, co zaszło w tamtym domu, co zaszło między tą dwójką i doprowadziło do ostatnich, najbardziej brutalnych chwil grozy. Thome wiedział natomiast, że będzie długo wyobrażał sobie te chwile, strach Jane Foley, kiedy mąż zbliżał się do niej, poczucie winy, udrękę i trwogę człowieka, który właśnie popełnił morderstwo, krew na rękach, posokę rozmazującą się po śliskiej lince holowniczej, kiedy na jednym jej końcu formował solidną pętlę.

I najgorsze ze wszystkiego, zagubienie dwójki dzieci, nierozumiejących, co się stało, gdy znalazły ciała obojga rodziców...

Thome drgnął nieznacznie, gdy Holland uderzył otwartymi dłońmi w kierownicę. Otworzył oczy, by ujrzeć długi sznur pomszających się w ślimaczym tempie pojazdów. Odkąd zjechali z Mil, wlekli się jak żółwie. Sobotni poranek, teoretycznie nie powinno być korków, a jednak rzeczywistość przedstawiała się inaczej.

- Cholera - zaklął Holland. To było pierwsze słowo, jakie padło od dobrej godziny. Jeżeli Thome zamierzał zastanawiać się nad tym, co zaszło pomiędzy Jane i Dennisem, to także nad czymś innym, równie bolesnym. Nad czymś, co mogło być odpowiedzialne także za jego własne koszmary.

Thome pokpił sprawę. I to dokumentnie, a w jego wypadku to mówiło samo za siebie...

Carol Chamberlain podejrzewała, że funkcjonariusze pracujący nad zabójstwem Franklina w 1996 także pokpił sprawę. Wyglądało na to, że nie sprawdzili jego nazwiska w głównym archiwum, dzięki czemu dowiedzieliby się, jaką odegrał rolę w gwałcie na Jane Foley dwadzieścia lat wcześniej.

Sęk w tym, że w aktach był wpis świadczący, że funkcjonariusze kontaktowali się z archiwum. Najwyraźniej jednak tamtejszy pracownik, tępy biurokrata, człowiek od lat przebywający na emeryturze, a może, na co liczył Thome, wachający już kwiatki od spodu, przegapił nazwisko Franklina. Może rozwiązywał wtedy krzyżówkę i zwyczajnie je pomiął. To był błąd, który miał drogie, daleko idące konsekwencje.

Ale Thome a kosztowało to znacznie więcej.

W przeciwieństwie do funkcjonariuszy z 1996, Thome tego nie sprawdził. Nazwisko Jane Foley nie przeszło przez Archiwum ani przez cały skomplikowany system. Co prawda nie było to zadaniem Thome a, lecz to nie miało znaczenia. Nie upewnił się, a gdyby nawet o tym pomyślał, nie uznałby tego za istotne.

Czemu miałby sprawdzać nazwisko kobiety, która naprawdę nie istniała. Przecież Jane Foley było wymyślonym nazwiskiem zmyślonej osoby, prawda? Jane Foley była fantazją... Thome wiedział doskonale, że gdyby oni... on... ktokolwiek to sprawdził, zadzwonił, gdzie trzeba po tym, jak znaleziono listy Remfryego, Ian Welch mógłby wciąż żyć. Podobnie jak Howard Anthony Southern...

Kiedy sznur samochodów znów zaczął się poruszać, Holland gwałtownie szarpnął drążkiem zmiany biegów, wrzucając dwójkę.

- Nie rozumiem, jak zwykła stłuczka może spowodować taki korek.

Ciało trzeciej osoby odkryto w hotelu w Roehampton mniej więcej w tym samym czasie, kiedy kobieta z Wydziału Spraw Zamkniętych weszła do gabinetu Thome a i przekazała mu swoje rewelacje. Była tam nadal, kiedy poinformowano go telefonicznie o odnalezieniu zwłok i Thome zaprosił ją, by pojechała z nim na miejsce zbrodni. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

W hotelu wśród techników i patologów i zwykłych funkcjonariuszy Carol Chamberlain wydawała się szczęśliwa jak mała dziewczynka w sklepie ze słodyczami...

W następnych dniach śledztwo podążyło dalej dwoma równoległymi torami. Z jednej strony sprawdzano ostatnią ofiarę i poszukiwano zmian we wzorcu zabójstw, Thome zaś ze

swoimi ludźmi zajęli się najistotniejszym nowym tropem, podsunętym przez Carol Chamberlain.

Holland zjechał na zwyczajnie wyglądającą drogę, przy której stały szpetne domy z lat sześćdziesiątych i strzeliste drzewa, niepoprawiające jednak ich ogólnego wyglądu. Wynajęli auto z klimatyzacją i kiedy wysiedli, na ulicy poczuli się jak w saunie. Krzywiąc się, włożyli kurtki.

Zmierzając w stronę domu Petera Foleya, Thome zastanawiał się nad tropami. Czemu u licha mówiło się, że jest się „na tropie”? Zastanawiał się nad tym, bo tropy, choć nieożywione, niezależnie od tego, jak szybko starałeś się nimi podążać, miały niemiły zwyczaj urywać się w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Młodszy brat Dennisa Foleya, jedyny żyjący krewny Dennisa i Jane, jakiego udało im się odnaleźć, nie należał do uprzejmych i nie był najbardziej uczynnym gospodarzem.

Thome i Holland siedzieli na obciążonych bmdnym welurem fotelach, pocąc się pod kurtkami, których nie odważyli się zdjąć. Naprzeciw nich, na identycznej kanapie siedział rozwalony Peter Foley, w workowatych szortach i rozchełstanej, hawajskiej koszuli. W dłoni ścisnął puszkę zimnego piwa, którą, jeśli akurat nie pił, przykładał sobie do zapadniętej piersi.

- Był pan o ile lat młodszy od Dennisa... o jedenaście? - spytał Holland.

- Taa. To była wpadka. - Foley upił łyk piwa.

- A więc kiedy to się stało, pan był jeszcze na studiach.

Pokręcił głową.

- Nie. Zapamiętajcie chociaż podstawowe fakty W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym miałem dwadzieścia dwa lata. Rok wcześniej rzuciłem college... - Miał typowy akcent z Essex, głos wysoki i nieco świszczący.

- Co pan wtedy robił? - spytał Thome.

- Miałem wszystko gdzieś. Punkowałem, objąłem się. W którymś momencie jeździłem za kapelą „The Cash”...

Thome też punkował, choć był o sześć lat młodszy od dobiegającego pięćdziesiątki Foleya. Mężczyzna siedzący naprzeciw niego nie wyglądał, jakby ostatnimi czasy często słuchał White Riot. Był chudy, ale ramiona miał mocno umięśnione. Musiał pakować, pomyślał Thome, aby uwydatnić gotyckie tatuaże. Posiwałe włosy związał w koński ogon, a rzadką bródkę przyciął starannie w trójkąt. Sądząc z wyglądu, pod nocnym stolikiem miał plik magazynów „Kerrang”. Thome owi Peter Foley kojarzył się z mocno już podstarzałym fanem heavy metalu.

- Jak pan sądzi, co się stało z Jane? - spytał Thome.

Foley podniósł się, wyjął z kieszeni szortów paczkę marlboro i ponownie klapnął na siedzenie.

- Co? Chodzi o to, jak Den...

- Wcześniej. Z Franklinem.

- Ten skurwiol jak nic ją zgwałcił. - To nie było pytanie. Zapalił papierosa. - Gdyby nie wy, gnąłby do dziś w pudle...

Holland zjeżył się i już miał coś powiedzieć, ale Thome nie dał mu dojść do słowa.

- O co panu konkretnie chodzi, panie Foley?

Thome dokładnie wiedział, o co tamtemu chodziło, i zdawał sobie sprawę, że facet miał rację. W przeszłości policja nie traktowała ofiar gwałtu z należytą delikatnością.

- Macie zapisy z całego procesu, stary. Zerknijcie sobie na to, co mówiono w sądzie na temat Jane. Zrobili z niej kompletną zdzirę. Zwłaszcza ten gliniarz, który koncentrował się głównie na jej ubiorze...

- Sprawę poprowadzono niewłaściwie - przyznał Thome. - W tamtych czasach upiekło się wielu gwałtocielom. Jestem pewien, że jeżeli chodzi o Jane i Franklina, było tak, jak pan mówi.

Foley zaciągnął się dymem, upił łyk piwa i rozsiadł się wygodnie, kiwając głową. Spojrzał na Thome a, jak gdyby poddawał go ponownej ocenie.

Thome zerknął na Hollanda. Pora wziąć się do roboty Jeżeli chodzi o kwestie proceduralne, nie obmyślili żadnego systemu, kto będzie zadawał jakie pytanie, kto podejmie trop - nigdy tego nie robili. Holland prowadził zapis z przesłuchania.

- Wiedział pan, że Alan Franklin nie żyje? - spytał Holland. - Zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym.

Teraz to Thome musiał dokonać pewnych poprawek w ocenie. Wpatrywał się w twarz Foleya, usiłując odczytać malujące się na niej reakcje. Dostrzegł jedynie chwilowy szok, a potem rozluźnienie i radość.

- I świetnie - mruknął Foley - Mam nadzieję, że to była bolesna śmierć.

- Jeszcze jak. Został zamordowany.

- Tym lepiej. Komu mam wysłać list z podziękowaniem?

Thome wstał i zaczął kręcić się w tę i z powrotem. Foley czuł się trochę zbyt swobodnie. Thome nie uważał tego człowieka za podejrzanego, a w każdym razie jeszcze nie teraz, ale wolał, gdy osoby, które przesłuchiwał, nie były aż tak pewne siebie.

- Jak pan sądzi, Peter, czemu on to zrobił? - spytał Thome. - Dlaczego Dennis ją zabił?

Foley spojrział na niego, dopił piwo i zgniótł puszkę w dłoni.

Thome powtórzył pytanie:

- Czemu twój brat zabił swoją żonę?
- Skąd mam wiedzieć?
- Czy uwierzył w to, co w sądzie mówiono o Jane?
- Nie.
- Na pewno się nad tym zastanawiał...
- Den zastanawiał się nad wieloma rzeczami.
- Czy uważał, że jego żona się puszcza?
- Pewno, że nie...
- Może potem mieli jakieś kłopoty w łóżku?

Foley wychylił się gwałtownie do przodu i upuścił pustą puszkę na podłogę.

- Posłuchajcie, Jane zrobiła się później jakaś zamknięta w sobie, ale czy można się temu dziwić? Przeżyła załamanie nerwowe. Przestała wychodzić z domu, z nikim nie rozmawiała, nic już praktycznie nie robiła. Przyjaźniła się z dziewczyną, z którą kiedyś się spotykałem, wychodziliśmy razem na miasto, ale po procesie... nie, po gwałcie... nie była już sobą. Den udawał, że wszystko gra, ale tylko tłumił to w sobie. I oszukiwał siebie. Jak zawsze. Kiedy więc Franklin wyszedł z sądu jak pieprzony Mandela, jakby to on był ofiarą...

Thome patrzył, jak Foley odchyła się do tyłu, opada na sofę i zaczyna obracać jeden z pół tuzina srebrnych pierścionków zdobiących palce jego lewej dłoni.

- Posłuchajcie, nie mam pojęcia, co chodziło wtedy Denowi po głowie. Mówił jakieś brednie, od czasu do czasu, ale zajmował się wszystkim najlepiej, jak umiał. Pewne rzeczy potrafią złamać człowieka. Wzbudzić w nim wątpliwości. W sądzie zadaniem obrońcy podsądnego jest wzbudzić powątpiewanie u przysięgłych i to mu się udało. Przecież należy ufać policji, czyż nie powinniśmy wierzyć glinom...

Foley spojrzął na Hollanda, po czym przeniósł wzrok na Thome a. Po raz pierwszy wyglądał na swoje lata. Thome zlustrował zmarszczki na twarzy Petera Foleya i zorientował się, że tamten musiał w przeszłości sporo ćpać, a kto wie, może robił to nawet teraz.

- Coś pękło - rzucił półgłosem Foley.

Bez wyraźnego powodu Thome przeszedł przez pokój i podniósł puszkę z podłogi. Postawił ją na zakurzonej szafce obok telewizora, po czym odwrócił się do Foleya.

- Co się stało z dziećmi?
- Słucham...?
- Z Markiem i Sarą. Z pańskim bratankiem i bratanicą. Co później się z nimi stało?
- Znaczy, bezpośrednio po tym...? Kiedy znalazły...?

- Później. Gdzie trafiły?

- Do opieki społecznej. Policja je tam umieściła. Znalazły się, jak sądzę, pod opieką psychologów. Chłopiec potrzebował tego bardziej, oile dobrze pamiętam... miał jakieś osiem, dziewięć lat...

- Siedem. A jego siostra pięć.

- Tak... to by się zgadzało.

- No i...?

- W końcu trafiły do rodziny zastępczej.

- Rozumiem.

- Żyła tylko mama Jane i była już dość mocno posunięta w latach. Nie było innego wyjścia, naprawdę. Ja z moją dziewczyną chcieliśmy wziąć te dzieci do siebie, ale nikt jakoś na to nie poszedł. Miałem zaledwie dwadzieścia dwa lata...

- No i w dodatku twój brat rozwalił głowę własnej żonie lampką z nocnego stolika...

- Powiedziałem, że je wychowam. Chciałem je wychować jak własne.

- Ale utrzymywał pan z nimi kontakt?

- Oczywiście...

- Często się pan z nimi widywał?

- Przez pewien czas, ale one często się przeprowadzały. To nie było łatwe.

- Ma pan nazwiska i adresy?

- Czyje...?

- Zastępczych rodziców. Mówił pan, że dzieciaki często się przeprowadzały. Do wielu rodzin trafiły?

- Do kilku.

- Zna pan szczegóły?

- Już nie. Ale znałem. Kartki z życzeniami, pocztówki na Boże Narodzenie...

- A potem całkiem stracił pan z nimi kontakt?

- Tak czasem bywa, co nie?

- A więc nie wie pan, gdzie Mark i Sarah obecnie mieszkają?

Foley zamrugął i zaśmiał się ponuro.

- Czyżbyście wy tego nie wiedzieli?

- Wyśledziliśmy wszystkich Marków Foleyów w tym kraju. Wszystkie Sary Foley i Sary, które nosiły panięskie nazwisko Foley, ale nikt z nich nie pamięta, aby miał nieszczęście ujrzeć własnego ojca dyndającego na linie holowniczej. Nikt nie przypomina sobie, aby widział własną matkę leżącą na łóżku, z roztrzaskaną czaszką, w kałuży krwi.

Może jestem staroświecki, ale nie przypuszczam, aby coś takiego mogło zatrzeć się w pamięci.

Foley pokręcił głową.

- Nie mogę pomóc, stary. A nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego, z oczywistych powodów...

Thome spojrzął na Hollanda. Pora iść. Kiedy wstali, Foley położył obie nogi na kanapie i sięgnął po kolejną puszkę piwa.

- Zanim to wszystko się stało, zanim wszystko wzięło w łeb, Jane i Den byli normalni, rozumiemy się? Byli zwyczajną rodziną z dwójką dzieci, miłym domkiem i całą resztą. Dobrze im się układało, byli zgraną parą. Podejrzewam, że mogliby jakoś poradzić sobie z tym, co ten skurwiel zrobił Jane. Czas leczy rany, niejedna para przez to przeszła, Den pomógłby jej, ponieważ ją kochał. Ale to, co stało się później, podczas procesu i potem... tego nie da się zapomnieć. Nigdy. A wszystko to dzięki WAM.

Foley mówił o czym, co wydarzyło się dawno temu. Mówił o pomyłkach, których nie sposób już było naprawić, bo było na to za późno, i o policjancie, który od dawna przebywał na emeryturze.

Ale wskazywał palcem na Thom'a.

## 18

Thome lubił drogie wina, ale częściej pijał tanie piwo. To, które przykuło jego uwagę w supermarkecie, było tym samym gatunkiem, jaki pił Peter Foley..

Kolejna sobota, kiedy wrócił do domu o dziesiątej. Eve prawdopodobnie jeszcze nie spała, mógł do niej zadzwonić, ale nie zrobił tego. Przez ostatnie dwa tygodnie widział ją tylko raz i choć często rozmawiali przez telefon, wyczuwał narastające napięcie. Zaczął wykorzystywać nawal pracy jako wymówkę.

Thome wiedział, że w relacjach damskomęskich był skończonym leniem. Taki już był, odkąd spotykał się z dziewczętami w piątej klasie. Od czasu pierwszych „poważnych” związków i tak samo potem z Jan. Z radością wypatrywał każdej nadarzającej się okazji, ale z byle powodu był gotów natychmiast zmienić front. Aż w końcu to Jan zmieniła front. I zaczęła spotykać się z wykładowcą z kursu kreatywnego pisania...

Wszystko dlatego, że on czuł się dobrze, gdy nie musiał nic zmieniać w swoim życiu i podobne odczucie miał teraz wobec Eve.

Na początek sprawa z łóżkiem. Kiedy tak leżał z nieznacznie uniesionymi nogami na kanapie, na której spędzi kolejną noc, mimowolnie zastanawiał się, czemu u licha nie był w

stanie zebrać się i kupić tego cholernego materaca. Wyprawa umówiona na zeszły tydzień musiała zostać odwołana z oczywistych powodów. Żartował z Eve, że mordercy i włamywacze sprzysięgli się, by nie dopuścić do skonsumowania ich związku, ale w rzeczywistości ta zwłoka była mu na rękę. Jakaś jego częśćka, o której wołał nawet nie myśleć, zastanawiała się, do jakiego stopnia będzie nadal zainteresowany Eve, kiedy już zaciągnie ją do łóżka, choć w gruncie rzeczy nie był to wielki problem. Pod koniec dnia czuł się po prostu śmiertelnie zmęczony i rozleniwiony...

Z nowiutkich głośników popłynął smętny głos Johnny ego Casha śpiewającego własną wersję Highway Patrolmana Bruce a Springsteena. Kiedy Cash śpiewał, że nie ma nic wspanialszego nad krew z krwi, Thome uznał, iż tylko ten jeden jedyny głos potrafi uchwycić cały bezmiar miłości i cierpienia, nienawiści, radości i więzów rodzinnych. Oczywiście, było to tym prostsze, jeśli żyło się w ten sposób.

Kotka kręcąca się po podłodze zaczęła miauczeć, domagając się, by ją przytulić. Thome schylił się, odstawił puszkę na dywan i położył sobie kotkę na podolku.

Tak często wszystko sprowadzało się do rodzin.

Pomyślał o Marku i Sarze Foley, których rodzina została unicestwiona na ich oczach i nie pozostał im nikt, kto mógłby ich ochronić. Pokolenie później, pozostawali w ukryciu jak duchy. Ale - tego właśnie pragnęli.

Mark Foley, obecnie mężczyzna po trzydziestce, niegdyś mały przerażony chłopiec wymagający pomocy psychologa. Czy dorósł, by tkwiąca w nim groza przerodziła się w nienawiść i trawiła go jak jątrząca się rana? Czy odczekał dwadzieścia lat, a potem zabił mężczyznę, który zgwałcił jego matkę, człowieka odpowiedzialnego za jej śmierć i samobójstwo jego ojca? Mark Foley był idealnym podejrzanym, ale co się wydarzyło od 1996 roku, pomiędzy śmiercią Alana Franklina a nową serią zabójstw? Co zapoczątkowało zabójstwa tych niepowiązanych ze sobą gwałcicieli? Thome w głębi duszy zawsze wiedział, że kluczem do tej sprawy był gwałt. Czy nie próbował tłumaczyć tego Hendricksowi?

Element gwałtu w zabójstwach Remfry ego i Welcha, a teraz także Howarda Southema od początku wydawał mu się istotny. Bardziej nawet niż same zabójstwa. Teraz Thome wiedział już, dlaczego. I choć nie w pełni to rozumiał, to przynajmniej zdawał sobie sprawę, iż łączyła się z tym pewna historia...

I jeszcze ta ambiwalencja ze strony wielu osób związanych ze śledztwem. Trzecia ofiara i kolejny skazany gwałciciel. Starszy, to fakt, i dłużej przebywający na wolności, ale mimo to jednak zboczeniec seksualny. Jeden z tych, po których mało kto będzie płakał i niewielu będzie starało się dopaść jego zabójcę.

Thome, jeśli chciał być uczciwy wobec siebie, musiał przyznać, że ta ambiwalencja udzieliła się również jemu... Wygląda na to, że ten, kto zabił Remfiry ego, wyświadczył światu przysługę.

Ludzie będą pytać, czy nie powinniśmy być wdzięczni... To nie to samo, co zamordować jakąś staruszkę, prawda? Thome musiał przyznać, że trudno mu było nie podzielać tych opinii, ale jako że przez całe swe dorosłe życie, jeśli nawet nie łapał przestępców, przynajmniej wierzył, że to robi, więc starał się trzymać od tego z daleka. Jeśli chodzi o niektóre sprawy, było to proste. Nienawidź zabójcy, Kochaj ofiarę. Thome nigdy nie zapomni miesięcy, kiedy ścigał człowieka, który zabijał kobiety, usiłując wprowadzić je w stan żywej śmierci, permanentnej śpiączki. Albo ostatnią dużą sprawę, pościg za parą morderców, z których jeden był psychopatycznym manipulatorem, a drugi zabijał za namową tego pierwszego...

Były też inne sprawy, nie tak klarowne i oczywiste: żona popchnięta do zbrodni przez maltretującego ją męża, bandzior rozwalony przez kumpli, którzy brali z nim udział w skoku i których próbował sypnąć, handlarz prochami, poćwiartowany przez rywala...

I teraz ta sprawa.

Kiedy Thome zwiesił nogi na podłogę, Elvis zeskoczyła i obrażona pomaszerowała do kuchni. Thome poszedł za kotką. Wrzucił puste puszkę do kosza i przez pół minuty, bez konkretnego powodu, wlepił wzrok w lodówkę.

Wszedł do sypialni i wyjął z szafy pościel oraz poduszkę. Thome gardził gwałcicielami. Mordercami również. To, kim bardziej gardził, niczego nie zmieniało.

Eve i Denise wypily niemal całą butelkę wina. Śmiech przybrał na sile, kiedy zjadły już swoje pizze i otworzyły drugą butelkę czerwonego...

- Chrzań go, jeśli nie jest zainteresowany - rzekła Denise.

Eve zakręciła winem w kieliszku i spojrzała przez nie.

- Ale w tym właśnie sęk. On jest zainteresowany, to pewne.

- Skąd wiesz?

- To nie takie trudne, aby się zorientować...

Denise uśmiechnęła się lubieżnie.

- Cóż, jeśli nie sprawdziłaś choćby manualnie, nie możesz być stuprocentowo pewna.

Eve nieomal bryznęła winem na blat stolika. Kiedy przestała się śmiać, wstała i pozbierała pudełka po pizzy.

- Nie wiem, co on kombinuje. Chyba sam tego do końca nie wie.

Denise zdążyła zgarnąć jeszcze kawałek obrzeża zimnej już pizzy, zanim pudełko zostało wyniesione.

- Może to szajbus, jak ci, których ściga.

- Może...

- Często opowiada o swojej pracy? O dochodzeniach, które prowadzi?

Eve zgięła pudełka na pół i wcisnęła do kosza. Wzruszyła ramionami.

- Nie bardzo.

- Daj spokój, przecież musi coś opowiadać, no nie?

- Parę tygodni temu próbowaliśmy pogadać o tych dziwnych morderstwach. - Eve podeszła do zlewu i umyła ręce. - Skończyło się kłótnią i od tej pory nie pisał o tym ani słowem.

- Jasne. Chyba że chce to wykorzystać jako wymówkę?

- Może jestem przeczulona na tym punkcie...

Denise naląła to, co zostało w butelce, do swego kieliszka. Triumfalnym gestem uniosła pustą butelkę. Zadzwoił dzwonek.

- To pewnie Ben - rzekła Denise. - Musiał zostać dłużej w pracy, zakończyć pewien projekt. - Dopiła wino jednym haustem i wyszła z pokoju.

Eve wsłuchiwała się w tupot stóp współlokatorki na schodach. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi i cichy jęk, kiedy Ben uściskał ją jeszcze w progu...

Postanowiła, że się położy, zanim jeszcze Ben wejdzie na górę. Poczyta trochę i postara się nie myśleć za wiele o Tomie Thomie, o tym, czy jutro zadzwoni. Wyszła na korytarz i zawołała do Denise i Bena, otwierając drzwi sypialni:

- Chyba się położę. Do zobaczenia rano...

Ostatnią rzeczą, jaką chciała ujrzeć, to tych dwoje, obściskujących się bez najmniejszych zahamowań.

Promienie słońca wpadały przez dwa wielkie okna na końcu wąskiego pomieszczenia, ale wydawały się chłodne, jakby odbijały się od mroźnych drzwiczek i stalowych narzędzi znajdujących się w sali sekcyjnej.

Oślepiające białe światło, ale Thome wiedział, że jest środek nocy. Miał na sobie piżamę i brązową, skórzaną kurtkę. Przemaszerował pospiesznie przez pomieszczenie, echo jego kroków zdawało się układać w rytm jakiejś piosenki, której nie potrafił jednak rozpoznać.

Trzy łóżka stały w równej odległości jedno od drugiego, w jednym rzędzie. Były metalowe jak łóżka szpitalne, ale większe i wygodniejsze. Wyglądały identycznie, każde z wielką poduszką, czystą pościelą i ciałem.

Thome stanął w nogach pierwszego z łóżek, zacisnął dłonie na metalowej poręczy i spojrzał na Douglasa Remfry ego, tyłek uniesiony do góry, twarz wciśnięta w poduszkę. Zaczął kołysać łóżkiem, przekrzykując towarzyszący temu hałas. Kołysał łóżkiem i wrzeszczał z pogardą do tego mężczyzny, za to kim był i co zrobił.

- No dalej, leniwy śmieciu. Tam są kobiety, które na ciebie czekają. Rusz się i pokaż, na co cię stać...

Ciało na łóżku zadygotało, skóra zaczęła zsuwać się z niego i spoczęła na pościeli, wokół nagich kości jak bmdne gacie, zsunięte aż do kostek.

Thome zaśmiał się i wskazał na to, co pozostało, na skórę i szkielet gwałciciela, powykrywane i zmięte jak wy linka.

- Ależ z ciebie leń, daję słowo, czy kiedykolwiek zwleciesz się z tego łóżka?

Podszedł do drugiego i strząsnął skórę z kości lana Welcha. Przez cały czas był wściekły. Nic nie czuł do tych martwych mężczyzn. Do tych stert kości i skóry...

Przy łóżku Howarda Southema Thome przystanął i patrzył, jak mebel zaczyna się trząść, kiedy pod podłogą coś przetoczyło się z głośnym łoskotem. Za wielkimi oknami przemknął cień, a Thome uniósł wzrok. Obserwował to poruszenie, w tę i z powrotem, dopóki nie poczuł nieprzyjemnej woni. Zaśmiał się, kiedy ponownie spojrzał na łóżka i zobaczył, w co zamieniły się trzy ciała. Czym tak naprawdę były, przez cały czas. Thome mógł jedynie domyślać się, że każdy z nich został wprawnie wydalony na sam środek jego łóżka z ciała zwieszającego się na końcu sznura, gdzieś powyżej.

Kiedy tylko Thome się obudził, sen zaczął blednąć, a obrazy pochłonał mrok i pozostały jedynie doznania. Pogarda, gniew i wstyd.

Było parę minut po wpół do trzeciej nad ranem. Kiedy nawet te doznania zbladły, pozostały już tylko myśli o kobiecie, której upokorzenie, upodlenie i śmierć dawno temu zapoczątkowały cały ten łańcuch tragicznych zdarzeń. Teraz przemykała przez jego śledztwo, jakby wciąż była istotą z krwi i kości, a Thome był gotów ją uściskać.

Nie żyła od blisko trzydziestu lat, podobnie jak jej zabójca, ale to nie miało znaczenia. Thome odnalazł w końcu w Jane Foley ofiarę, która nie była mu obojętna.

Był poniedziałkowy ranek. Minęło dokładnie siedem tygodni, odkąd odnaleziono zwłoki Douglasa Remfry ego. Ponad dwadzieścia pięć lat, odkąd Jane Foley została zgwałcona, a później zatłuczona na śmierć. Thome wciąż poszukiwał związku pomiędzy tymi dwoma zabójstwami. Miał nadzieję, że kobieta siedząca naprzeciw niego zdoła mu pomóc.

Pomimo dość szemranej reputacji i starych dowcipów dotyczących inteligencji i seksualnych upodobań tamtejszych kobiet, Essex było pełne niespodzianek. Jako najstarsze z założonych miast w całym kraju i stolica rzymskiej Brytanii, Colchester miało bogatszą historię niż większość innych miejsc. A jednak Thome nie spodziewał się, że budynek samorządowy pośrodku miasta będzie wyglądał jak niewielki samotny dom otoczony pustym placem.

Biura wydziału adopcyjnego i rodzin zastępczych wydawały się ciut zaniedbane, ale i tak prezentowały się imponująco. Thome uznał, że wszystkie inne okoliczne budowle stylizowane na epokę musiały zostać zniszczone przez piłkarzy albo zagrabione przez bezwzględnych bandziorów dawno temu. Zdumienie musiało odmalować się na jego twarzy, kiedy on i Holland zostali powitani przez jednego z kierowników działów i wprowadzeni do dużego gabinetu wyłożonego dębową boazerią z masywnymi, drewnianymi krokwiami, przecinającymi się na ozdobnym sklepieniu powyżej.

- Niegdyś to była powozownia. Wiem, że wygląda atrakcyjnie, ale możecie mi panowie zaufać, praca tutaj to prawdziwa udręka... - Joanne Lesser była ciemnoskórą kobietą po trzydziestce, wysoką i, jak dla Thomea, trochę za szczupłą. Włosy miała proste i wzmocnione lakierem, brwi grube, ciężkie, a twarz pełną powagi, dopóki nie rozjaśnił jej promienny uśmiech. Wówczas nietrudno już było wyobrazić ją sobie, śmiejącą się wbrew sobie ze sprośnych dowcipów albo podpiętą na bożonarodzeniowym przyjęciu.

- To wszystko całkiem się sypie - oznajmiła. - Nie możemy zanadto obciążać podłogi, szafki z aktami muszą stać tylko pod pewnymi ścianami, jedynie do określonego poziomu. Jeżeli nie będziesz uważał, fotel przetoczy ci się spod jednej ściany pod drugą...

Thome i Holland uśmiechnęli się uprzejmie, nie wiedząc, czy skończyła, czy może jeszcze nie. Po kilku sekundach wzmszyła ramionami i uniosła brew, by dać do zrozumienia, że to ona czeka na nich.

Jedynym dźwiękiem w gabinecie był terkot metalowego wentylatora, który także wyglądał na antyk. Z jednej strony na biurku przy brudnym beżowym komputerze stała cała armia trolli, figurek i pluszaków.

- Rozmawiała pani przez telefon z nadinspektorem Brigstockiem - rzekł Thome. Nieznacznie podniósł głos, aby było go słychać pośród zgrzytów obracającego się wentylatora - o Marku i Sarze Foleyach?

Lesser sięgnęła po leżącą na biurku kartkę papieru i spojrzała na nią.

- Siedemdziesiąty szósty rok - dodał Holland, aby pchnąć temat naprzód.

- Mam nadzieję, panowie, że nie oczekiwaliście wyczerpujących informacji... - Uniosła wzrok i spojrzała na nich z uśmiechem. Thome nie uśmiechnął się w odpowiedzi - Mogę jedynie powiedzieć wam z całą pewnością, że nigdy nie trafili do takiej rodziny zastępczej, która byłaby u nas zarejestrowana jako nadal aktywnie funkcjonująca.

Holland wzruszył ramionami.

- Chyba to byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe...

- Fakt - przyznał Thome. On też nie próbował się łudzić.

- Mówimy o wydarzeniach sprzed dwudziestu pięciu lat - rzekła Lesser. - Całkiem możliwe, że rodzina zastępcza, do której trafili, jest wciąż aktywna, ale przeniosła się w inne miejsce.

- Jak możemy to sprawdzić? - spytał Thome.

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. To zresztą mało prawdopodobne, tak tylko głośno myślałam...

Thome poczuł, że zaczyna go boleć głowa. Przysunął się z krzesłem w stronę biurka i wskazał na wentylator.

- Przepraszam, czy można by...?

Sięgnęła ręką i wyłączyła wiatrak.

- Dzięki - rzekł Thome. - Postaramy się uporać z tym najszybciej, jak to możliwe. Czemu wspomniała pani, że to jedyna rzecz, jaką może powiedzieć nam z całkowitą pewnością?

- Bo jedyne akta, do jakich mam tutaj dostęp, to te bieżące. Te, które dotyczą aktywnych rodzin zastępczych.

- Ma to pani w komputerze?

Parsknęła.

- Zaledwie dziesięć lat temu zaczęto tu w ogóle pisać na maszynie, nawet dziś wiele zapisków jest wykonywanych ręcznie. Nie tylko budynek to relikwizum zamierzchłej przeszłości...

Thome zamrugnął powoli. To typowe. Tylko on miał takie szczęście, że gdy potrzebował pomocy, trafiał do organizacji, której archiwa były popieprzone bardziej niż te, z którymi miał do czynienia na co dzień.

- Ale przecież są jakieś rejestry, zapisy w tej czy innej postaci, sięgające dalej w przeszłość...

- W tej - czy innej postaci, przypuszczalnie tak. Bóg jeden wie, w jakim będą stanie, gdybyśmy się do nich dokopali, do tych paru ręcznie zapisanych stronic sprzed trzydziestu lat. Choć część może być na mikrofilmach, jak sądzę...

Thome starał się nie sprawiać wrażenia zniecierpliwionego.

- Ale rejestry istnieją?

- Zapomniane akta...

- Tak, i te zapomniane akta z zapisami z połowy lat siedemdziesiątych muszą być gdzieś składowane, zgadza się?

- Tak, powinny być w ratuszu w Chelmsford. Prawo stanowi, że musimy je przechowywać.

Holland mruknął.

- Ustawa o ochronie danych...

- Otóż to. Wszyscy którzy korzystają z naszych usług, mają prawo zobaczyć swoje akta, mieć do nich dostęp. Niektórzy czekają na to latami. Mają dziś po czterdzieści, pięćdziesiąt lat i szukają informacji o ludziach, którzy przyjęli ich do siebie jako rodzice zastępczy, gdy oni sami byli jeszcze dziećmi.

- Czemu decydują się na to tak późno? - spytał Holland.

- Może zaczynają to doceniać dopiero po pewnym czasie... Kiedy byli dziećmi, to wszystko z pewnością było dla nich traumatycznym przeżyciem...

Thome pomyślał o Marku i Sarze Foley Cokolwiek przeszły w rodzinie zastępczej, nie mogło to być nic bardziej traumatycznego niż to, co wydarzyło się wcześniej.

- Co im mówicie? - zapytał. - Tym ludziom, którzy tu przychodzą.

- Życzymy im powodzenia. - Usiadła wygodniej na krześle, ujęła skraj bluzki kciukiem i palcem wskazującym i odciągnęła materiał od ciała. Poruszała nią w tę i z powrotem, kilka razy podmuchała na skórę. - Mamy te akta, ale nie potrafię powiedzieć na pewno, gdzie się one znajdują. Powinny być w ratuszu, ale żeby się do nich dostać, trzeba się nieźle napocić. To nie takie proste. - Joannę uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć: „Nic nie mogę zrobić”. Thome przypomniał sobie podobny moment: on i Holland siedzący w niemal identycznych pozach w gabinecie Trący Lenahan w zakładzie karnym Derby. To wydawało się tak dawno temu, kilka śmierci temu...

Thome pokręcił głową.

- Wiem, że mówimy o materiałach z odległej przeszłości i dała pani jasno do zrozumienia, że system nie funkcjonuje jak powinien, ale chyba macie jakiś magazyn główny?

- Przykro mi, wydawało mi się, że już to wyjaśniłam. Mamy tylko bieżące dane, bo za każdym razem, kiedy biuro się przenosi, pozostawia stare akta, nie zabierając ich ze sobą. Teoretycznie powinny one trafić do ratusza, i jak to pan powiedział, do tamtejszego magazynu.

W rzeczywistości są tam składane w kartonowych pudłach. Zdarza się, że coś może zaginąć.

- Czemu się w ogóle przeprowadzacie?

- Nie jesteśmy przypisani do jednego, konkretnego miejsca. Jutro ktoś może zdecydować, że w tym budynku powstanie biuro opieki społecznej albo zarządu oczyszczania miasta. O ile rada nie przedłuży najmu, za parę lat może tu być nawet hotel.

- Jasne. To jak często się przeprowadzacie?

- Pracuję tu zaledwie od dziesięciu lat i od tamtej pory przenieśliśmy naszą siedzibę trzy - nie, cztery razy. - Thome z tmdem pohamował się, by nie zakląć ani nie wybić pięścią dziury w blacie biurka. - Ale to nie wszystko. Wiem, że parę lat temu część akt uległa zniszczeniu, kiedy niektóre z pomieszczeń archiwum zostały zalane.

Thome i Holland wymienili spojrzenia. Jak po grudzie...

- A co z rejestrami szkolnymi? - spytała Lesser. - Może tam się wam poszczęści...

Holland zajął do notesu.

- Te dzieci chodziły do miejscowych szkół aż do osiemdziesiątego czwartego, lecz w następnych latach ich nazwisk nie ma w żadnym rejestrze.

Zamyśliła się przez chwilę.

- Jesteście pewni, że nadal żyją?

- Niczego nie jesteśmy pewni - odparł Thome.

Prawdę mówiąc, od czasu do czasu brał pod uwagę ewentualność, że Mark i Sarah Foley mogli już nie żyć. Kto to wie, może samobójstwo Dennisa Foleya zostało upozorowane, a było w rzeczywistości morderstwem. Może sprawca, kimkolwiek był, chciał zabić również dzieci. Pół godziny ślęczenia nad aktami oryginalnej sprawy i raportem z autopsji Dennisa Foleya położyło kres tej dziwacznej teorii.

- Jak tonący, chwytamy się brzytwy - zauważył Holland - ale nie przypuszczam, aby w waszym biurze był jeszcze ktoś, kto pracował tu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku?

- Przykro mi. Zmiany kadrowe są u nas równie częste jak przeprowadzki.

- Wasi pracownicy są jak piłkarze - zauważył Holland.

- Chciałabym dostawać taką pensję jak oni. - Thome owi wydawało się, że uśmiech, jaki posłała Hollandowi, był cieplejszy niż ten, którym obdarzyła jego.

Thome poruszył się na krześle. To wystarczyło, aby Holland przeniósł wzrok z Joannę Lesser na niego. Pora iść.

- Tak, no to, dzięki...

- Macie przed sobą długą drogę - zauważyła.

Holland sięgnął po marynarkę.

- O tej porze raczej nie powinno być dużych korków...

- Nie, miałam na myśli, że zadajecie sobie wiele trudu, by odnaleźć tych dwoje, Marka i Sarę Foleyów, i sporo jeszcze przed wami. A co z zakładem ubezpieczeń społecznych? Albo z wydziałem ewidencji pojazdów mechanicznych? Przepraszam, nie chciałam uczyć was, panowie, co macie robić...

- Nic nie szkodzi - rzekł Thome.

Wychyliła się na krześle do przodu.

- Po co ich w ogóle szukacie?

Holland schował swój notes.

- Przykro mi, nie mogę udzielać...

Thome wszedł mu w słowo.

- Po śmierci rodziców tych dwoje trafiło do rodziny zastępczej. Ich ojciec zamordował matkę, a potem popełnił samobójstwo. Dzieci odnalazły oba ciała. - Lesser nieznacznie opadła szczęka. - Sądzimy, że to, co się wtedy stało, ma pewien związek z serią morderstw, nad którą obecnie pracujemy.

- Serią? - Wypowiedziała to słowo jak magiczne zaklęcie.

- Tak.

- Te dzieci są z nią powiązane? Tych dwoje? Mark i Sarah Foleyowie?

Thome dostrzegł wyraźne zaczerwienienie jej skóry na wysokości dekoltu. Głos kobiety stał się nieco wyższy. Była podniecona.

Thome wstał i zaczął wkładać swoją skórzaną kurtkę.

- Posłuchaj, Joannę, wyślemy kogoś do ratusza, aby poszukał tych akt. Ty na pewno jesteś bardzo zajęta, ale bylibyśmy wdzięczni, gdybyś mogła udzielić mu wszelkiej niezbędnej pomocy.

Odsunęła krzesło i również wstała.

- Nie musicie nikogo przysyłać. Z przyjemnością sama się tym zajmę. To znaczy mam sporo pracy, ale jakoś wygospodaruję trochę czasu. - Rumieniec sięgnął jej szyi. - Szczerze mówiąc, sama zapewne szybciej się z tym uporam. No wiecie, jeżeli nikt nie będzie mi przeszkadzał ani wchodził w drogę...

Thome zastanowił się nad tą propozycją. To był strzał w ciemno, zapewne przydzielenie do tych poszukiwań jednego lub więcej funkcjonariuszy byłoby tylko marnowaniem zasobów ludzkich. Ale...

- Dziękuję - powiedział.

Przy drzwiach, kiedy Holland zapisał numer telefonu Joannę Lesser i wręczył jej wizytówkę, Thome obejrzał plakaty wiszące na sąsiedniej ścianie. Zwłaszcza jeden zwrócił jego uwagę: dziewczynka i chłopiec trzymający się za ręce, patrzący błagalnie w obiektyw aparatu, błyszczącymi, wilgotnymi oczami. Choć o wiele młodsze od Marka i Sary Foleyów, te dwa maluchy musiały już być niezłymi aktorami. Ich oblicza zwróciły jednak uwagę Thome a... Całe jego ciało napięło się jak struna, kiedy niespodziewanie Lesser położyła mu dłoń na ramieniu.

- To zabawne - rzekła - kto by pomyślał, że ludzie mogą tak po prostu zniknąć, prawda?

Thome pokiwał głową, a w głębi duszy pomyślał, że niektóre osoby miały ten talent opanowany wręcz do perfekcji.

Gdy wracali samochodem przez centrum, Holland rozgadał się o Joannę Lesser. Żartował, że wyglądała na kobietę, która boi się własnego cienia, a kiedy wraca do domu, wchodzi do wanny i w jednej ręce trzyma pitawał najokropniejszych zbrodni, drugą zaś...

Thome prawie go nie słuchał. Miał wrażenie, jakby ktoś zalał mu uszy betonem. Myśli przelewały się leniwie w jego głowie, podczas gdy wyraz twarzy był jak zawsze prosty do rozszyfrowania.

- Jak powiedziała, posunęliśmy się daleko WSTECZ - ciągnął Holland. - Przypuszczalnie to strata czasu. Znajdziemy ich gdzieś indziej...

Thome stęknął. Przyznawał rację Hollandowi, ale mimo wszystko liczył na nieco bardziej pozytywny komentarz. Holland zmierzał w stronę szosy prowadzącej do wyjazdu z miasta wzdłuż linii rzymskiego muru. To właśnie tu, przy St. Marys of the Wall, podczas angielskiej wojny domowej miało rzekomo spaść z muru wielkie działo rojalistów zwane Humpty Dumpty, co później zostało unieśmiertelnione w wierszyku dla dzieci. Minęli pradawne wejście do miasta, przez które Klaudiusz, cesarz najeźdźca, wjechał ongiś do Colchester na grzbiecie słonia. Thome uznał, że to dziwne, iż dwa tysiące lat później, czy to

celowo, czy przypadkiem, bardziej współczesna historia zwyczajnych ludzi mogła być tak niezgłębiona.

- Mogę się założyć, że gdzieś tam panna Marple już przegląda swoje akta spraw zamkniętych - rzekł Holland. Zaśmiał się, a Thome także wysilił się na uśmiech, choć tylko półgębkiem, jakby miał sparaliżowaną część twarzy. - Jak pan myśli?

Thome myślał, że postępuje słusznie, sprawdzając kolejne tropy. Ten wydawał się dość mocny, może gdzieś ich w końcu doprowadzi. Śledztwo nabrało rozpędu, a Thomeowi nie pozostało nic innego, jak podążać dalej tym tropem i uczynić wszystko, aby go nie zgubić.

Kromka białego chleba w ręku Petera Foleya poczerniała od tuszu z gazety, którym miał umazane palce. Patrzył na swoje dłonie. Na kłykciach wciąż miał strupy i brud pod paznokciami od oleju po porannej naprawie motocykla. Zgarnął chlebem resztkę sosu, pochłonął kromkę i sięgnawszy po kubek z herbatą, oparł się plecami o czerwone, plastikowe obicie siedzenia. Wyrzwał przez okno kafejki i obserwował przejeżdżające auta. Myślał o swojej rodzinie. Tej martwej i zaginionej.

Obijałem się...

Tak właśnie powiedział tym skurwielom, kiedy zapytali go, co robił, kiedy to się stało, i od tamtej pory robił niewiele więcej. Utrzymanie pracy, kiedy już na powrót odnalazł się w tym wszystkim, stało się naprawdę trudne. Rozwinął w sobie tendencję do pojmowania rzeczy opacznie, niewłaściwych reakcji na niesmaczne komentarze czy krzywe spojrzenia. Trudno powiedzieć, czy to, co się wtedy stało, było przyczyną wszystkiego. Może zawsze pisana mu była rola straceńca, włóczęgi ze skłonnością do wybuchów niekontrolowanej przemocy, ale co tam, dobrze było móc zwalić na coś winę za niektóre zdarzenia.

Na coś albo kogoś.

Powinien był się stąd wynieść. Zawsze trafił się tu ktoś, mający ugruntowane zdanie na jego temat albo kilka młodych mam szepczących między sobą i ochraniających dzieci. Zawsze znalazł się jakiś usłużny kutas, który z radością informował o jego szczęśliwej rodzinie każdą kobietę, do której zdołał się zbliżyć. Ludzie mieli dobrą pamięć. Choć nie tak dobrą jak on...

Przypomniawszy sobie kłótnię z Denem, na kilka dni przed tym zdarzeniem. Chciał przyjść, zapytać Dena, dlaczego nikt od jakiegoś czasu nie widział Jane i czy wszystko w porządku. Den nie wytrzymał, kazał mu pilnować swoich spraw i powiedział, że wie dobrze, co jest grane. Przypomniawszy sobie twarz swego brata, to drżenie wokół jego ust, kiedy oskarżył go o podrywanie Jane, choć w gruncie rzeczy niedwuznacznie sugerował, że mogli po cichu

pieprzyć się za jego plecami. Przypomniał, sobie poczucie winy, jakie go przepełniło wtedy i później, ponieważ Jane naprawdę mu się podobała i zawsze miał do niej słabość.

I przypomniał sobie twarzyczki dzieci, kiedy widział je po raz ostatni, zanim zabrała je ta suka z opieki społecznej. Sarah była cicha i milcząca, zapewne nie do końca pojmowała, co się działo, ale twarz Marka przylepiona do tylnej szyby auta była wilgotna od smarków i łez.

Wstał od stolika, zgarnął gazetę i podszedł do lady, by zapłacić za lunch.

Pamiętał o swoim bratanku i bratanicy, miał nadzieję, że byli teraz razem, gdzieś daleko stąd. W miejscu, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie i nie spieprzy życia, które wspólnie sobie ułożyli.

Popołudnie wlokło się niemiłosiernie. Wróci, położy się i będzie czekał na zmierzch. A wtedy włączy jakąś ostrą muzykę i napije się. Będzie opróżniać jedną puszkę za drugą, aż hałas pod jego czaszką zostanie zagłuszony przez ryk heavymetalowej kapeli wypełniającej jego sypialnię.

Po powrocie do Becke House Thome opowiedział Kitson i Brigstocke owi, jak im poszło w Colchester. Dyskutowali na temat postępów w równoległej fazie operacji. Zabójstwo Southema miało wiele cech wspólnych z poprzednimi morderstwami - przyczynę śmierci, ogólny wygląd miejsca zbrodni, wieniec zamówiony w całodobowej kwiaciarni - tym razem jednak dostarczony tylko do drzwi hotelowego pokoju i tam porzucony, kiedy się okazało, w jakim stanie znajdował się „odbiorca” przesyłki. Ale było też kilka różnic. Nowe tropy, które należało sprawdzić...

Southern został zwolniony z więzienia blisko dziesięć lat temu. Nie wybrano go w ten sam sposób jak poprzednie ofiary i z całą pewnością zabójca zbliżył się do niego. W przeciwieństwie do Remfry ego czy Welcha musieli uważnie przyjrzeć się całemu jego życiu, jeśli chcieli dowiedzieć się, jak zabójca zdołał się do niego dostać. Wciąż trwały przesłuchania setek osób, które miały kontakt z Southemem; ludzi, z którymi pracował, przyjaciół od kieliszka, kolegów z siłowni, na której trenował, dziewczyny, z którą ostatecznie zerwał...

Ludzie ci, stanowiący część jego nowego życia, w większości nie mieli pojęcia, że Howard Southern siedział kiedyś w więzieniu. Nawet jeżeli o tym komuś wspomniał - a mógł to zrobić podczas jakiegoś zakrapianego spotkania w większym gronie - wątpliwe, aby wyjawiał im, za co odsiadywał wyrok. Niestety, ktoś wiedział DOKŁADNIE, co zrobił kiedyś Howard Southern i za to właśnie go zabił.

W swoim gabinecie Thome powoli przeglądał pocztę. Jak zawsze były to w większości śmieci. Bezsensowne okólniki, informacje dla prasy, statystyki przestępczości i plany nowych projektów. Przejrzał branżowy miesięcznik, gazetkę federacji policyjnej i rzucił okiem na artykuł o miejscowych stróżach prawa nagrywających samych siebie, jak gwizdzą bądź nucą znajome tematy przewodnie z najsłynniejszych seriali kryminalnych. Nagrania te miały być rozpropagowane w co bardziej niebezpiecznych dzielnicach i centrach handlowych w nadziei, że to powstrzyma ulicznych rzezimieszków.

Kiedy Thome przestał się śmiać, sprawdził ostatnio otrzymane wiadomości. Joannę Lesser dzwoniła, by poinformować go, że nazajutrz zacznie sprawdzać archiwa i że niektóre akta zostały najwyraźniej przeniesione z ratusza do nowego magazynu w dzielnicy przemysłowej, na obrzeżach Chelmsford. Następny był Chris Barratt z Kentish Town. Eve się nie odezwała...

Thome sięgnął po telefon, dziwiąc się przepelniającemu go przy tym uczuciu bolesnego rozczarowania. Wybierając numer, nie mógł się nadziwić swemu, zdawałoby się niezamierzonemu niezdecydowaniu i obojętności... Wszystko potrafił spieprzyć...

- W samą porę - wycedził.

- Spokojnie - rzekł Barratt. - Jeszcze go nie mamy. Ale wiemy, kto to. Zgarniemy go jutro z samego rana.

- Jak go znaleźliście?

- Słuchasz mnie? To zabawne jak jasna cholera...

- Wal.

- Ten gnój pozbył się stereo, no nie? Pewno opchnął je tego samego dnia, żeby się jak najszybciej naćpać. Ale potem pojawił się problem...

- Jaki?

- Chodzi o twoje gusta muzyczne.

- Że co?

- Ten kretyn w końcu popełnił błąd. Zaczął za bardzo zwracać na siebie uwagę. Dostaliśmy cynk, że koleś przez ostatnie cztery tygodnie próbował pozbyć się twojej cholernej kolekcji kompaktów.

- Co takiego? - Ulga, jaką poczuł Thome, została wyparta przez falę zaślepiającego gniewu.

Barratt nawet nie próbował ukrywać rozbawienia.

- Był gotów ZAPŁACIĆ, żeby ktoś tylko zabrał od niego ten towar. Nikt nie chciał tych płyt. Zabierał je ze sobą na każdy targ i do każdego sklepu z artykułami używanymi w całym Londynie...

- Widzę, że bardzo cię to bawi, Chris. No dobrze. Dla mnie najważniejsze jest, żebym odzyskał swoje płyty.

- Posłuchaj, gdybym był tobą, kiedy już je odzyskasz, postawiłbym kilka z nich przy oknie, na widocznym miejscu. No, wiesz, żeby odstraszały potencjalnych włamywaczy.

- Nie słucham cię. Zadzwon do mnie, kiedy aresztujecie tego gnoja, dobra?

- Mówisz i masz...

- I jeszcze jedno. Chcę pięć minut...

- Nie ma sprawy, jestem tu przez cały dzień.

- Nie z tobą, cwaniaczku. Chcę zostać z NIM, na pięć minut, sam na sam...

## 20

Widywał w telewizji komików żartujących sobie, że kobiety są w stanie myśleć o stu rzeczach naraz i wykonywać parę różnych czynności, podczas gdy mężczyźni nie potrafią robić dwóch rzeczy równocześnie. Masturbacja i manipulowanie myszką to szczyt manualnych możliwości mężczyzny.

Choć wiedział, że to bzdura, ten żart nadal go śmieszył. Nawet gdy tak siedział i planował następne zabójstwo...

Wielozadaniowość była jego specjalnością, musiała być i choć bardziej kręciły go rzeczy uważane przez większość społeczeństwa za nie do przyjęcia, musiał przyznać, że lubił swoją dzienną pracę. Szczycił się tym, co robił. Oczywiście, gdyby nie to zajęcie, nie mógłby dokonać niczego więcej. Następnego zabójstwa...

Nie wiedział jeszcze na pewno, czy następne faktycznie będzie ostatnie, ale to wydawało się logicznym rozwiązaniem. Wszystko zatoczyłoby pełen krąg. To będzie pod wieloma względami inne, bardziej symboliczne od innych, ale nie mniej satysfakcjonujące. Należało jeszcze ustalić datę, ale to był już ostatni szczegół. Ofiara została wybrana wiele tygodni temu. A właściwie zgłosiła się sama.

Po prostu znalazła się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu...

Thome myślał o konferencji pojednawczej, w której wziął udział przed paroma tygodniami. Przypomniał sobie Darrena Ellisa i pisk podeszew jego białych adidasów. Wyobraził sobie siebie siedzącego na miejscu tamtego staruszka...

Naprzeciw niego w pokoju przesłuchań postemunku Kentish Town siedział chłopak, który, o czym Thome wiedział, miał siedemnaście lat, ale poza oczyma, strzelającymi nerwowo na prawo i lewo, wyglądał na czternastolatka. Noel Mullen kradł auta na zamówienie, podczas gdy jego rówieśnicy kradli batony ze spożywczego. Gdy jego rówieśnicy dojrżeli i zaczęli interesować się dziewczętami i wypadami do pubów, Noel zagustował w narkotykach i był znany policji w całym północnozachodnim Londynie. W sądzie dla młodocianych, gdzie niegdyś regularnie gościli jego starsi bracia, powinna znajdować się sala wynajęta wyłącznie dla niego. Wciąż wyglądał, jakby matka prała mu bieliznę idolewała mleka do płatków...

- Dlaczego nafałdałeś na moje łóżko? - spytał Thome.

Chłopak robił, co mógł, żeby wyglądać na znudzonego, ale od czasu do czasu nerwowo kręcił głową, a jego palce podejrzenie drżały. Thome zastanawiał się, kiedy tamten ostatni raz strzelił sobie działkę. Może kiedy opchnął za bezcen stereo Thome a. Komplet płyt Johnny ego Casha...

- No, gadaj, Noel...

- Po cholere? Wstawisz się za mną? Ujmiesz się za mną w sądzie?

- W życiu.

- To niby po kiego miałbym z tobą gadać?

Thome rozsiadł się wygodnie i zaplótł ramiona.

- Posłuchaj, Noel. Włamania, to jeszcze rozumiem. Bądź co bądź to twój fach. Włamania i lekka rozpierducha, kiedy szukasz fantów, za które mógłbyś zgarnąć możliwie najwięcej kasy. To akurat rozumiem, jasna sprawa.

Ale proponuję ci nie tylko włamy do domu zamożnych osób. Nie obrabiaj samych tylko bogatych frajerów, co do których złupienia mógłbyś rościć sobie prawo. Nie pojmuję, czemu nie miałbyś robić włamów w swojej dzielnicy. Praktycznie mógłbyś nawet obrobić własny dom. I nafałdać na progu. Włamuj się do domów uczciwie pracujących, Bogu ducha winnych biedaków, którzy mieszkają w twojej okolicy, w cuchnących stęchlizną kamienicach, które ty i tobie podobni jeszcze upiększacie, odlewając się w windach i zostawiając brudne igły w miejscach, które uchodzą za placyki zabaw dla dzieci. Wywal drzwi do sąsiada i przekonaj się, na jaki haj zarobisz za jego czarnobiały telewizor. Albo za tandetną biżuterię. Chrzanić to, cały porządny sprzęt, szerokoekranowe telewizory i DVD na pewno byłyby wypożyczone, więc kogo to obchodzi? Ci głupi frajerzy nie są ubezpieczeni, to nie twoja wina, prawda?

- Jezu, skończyłeś wreszcie?

- Zrób to, kompletnie beznamiętnie, bez emocji. Jak coś zobaczysz, od razu bierz, bo istotne jest jedynie, co za to możesz mieć dla siebie. Wal wszystko...

- Marnujesz tylko...

- Olej wszystko. A potem zobaczymy, co powiesz, kiedy któryś z twoich kumpli będzie potrzebował kasy i wlezie przez okno do mieszkania twojej matki. Gnój w nike ach numer dziewięć szwendający się po pokojach i grzebiący w szufladach. Może ten gnój będzie akurat na głodzie, będzie nerwowy, a twoja matka będzie właśnie w łóżku...

- To dlatego, że jesteś gliną.

Thome przerwał, wziął głęboki oddech i czekał.

- Dlatego postawiłem klocka na twoim łóżku. Jasne?

To miało sens, Thome nie był w ciemni bity i zdawał sobie sprawę, że jego mieszkanie jako należące do policjanta mogło znaleźć się na celowniku. Na tym polegał problem ze Strażą Obywatelską. Nigdy nie było wiadomo, którą część dzielnicy akurat patrolowali...

- Skąd wiedziałeś? - spytał Thome.

- Nie wiedziałem, dopóki nie wszedłem do środka. Za jedną z kolumn leżało zdjęcie. Twoje, w tym cholernym mundurze... - Mullen zaplótł ręce, tak jak Thome. Spojrzał na niebo, jak mógłby patrzeć na stereo albo wideo, oszacowując, czy warto je zabrać.

- Miałeś wtedy ciemniejsze włosy - ciągnął Mullen. - I nie byłeś taką tłustą świnią.

Thome pokiwał głową. Pamiętał to zdjęcie, zastanawiał się, gdzie znikło. Nie przepadał za nim, ale mimo to odpowiedź Mullena, który widział je zaledwie parę tygodni wcześniej, była dość surowa.

- Rzuciłeś okiem na fotkę i postanowiłeś użyć mego łóżka zamiast klopa?

Mullen uśmiechnął się, najwyraźniej dobrze się bawił. Zęby miał zbrązowiałe, tuż przy dziąsłach.

- No, mniej więcej...

- Ty mały chujku...

Ruch Thome'a i szurnięcie nóg krzesła po podłodze sprawiły, że Mullen szarpnął się w tył i znieruchomiał, przyjmując pozycję obronną. Ale równie szybko odzyskał dawną pewność siebie.

- Zrozum, to nie było nic osobistego...

- I nie będzie, jeśli teraz podejdę, przewrócę cię na podłogę, a potem nasram ci do gęby, rozumiemy się? Jestem gliną, a ty złodziejem. Zgadza się, Noel? Nie ulega wątpliwości, że musimy uregulować pewne sprawy do końca...

Na twarzy Mullena malowało się tyleż znudzenia, co współczucia.

- Nic mi nie zrobisz.

Thome faktycznie mógł najwyżej nastraszyć tego butnego gnojka. Zastanawiał się, czy starszek siedzący naprzeciw Darrena Ellisa czuł się równie bezradny.

- Czy żałujesz swego czynu, Noelu?

- Że co?

- Czy żałujesz tego, co zrobiłeś?

- Tak, żałuję, że dałem się złapać.

Uśmiech Thome a był szczery. Poczł, że odzyskuje utraconą wiarę. Przywróciła mu ją niezłomna szczerość Mullena. Może jeśli posiedzi kilka lat za kratkami, nauczy się kilku sztuczek i będzie je wykorzystywał jak Darren Ellis. Teraz jednak w odpowiedzi Mullena było coś budującego. To, że złodziej ani trochę nie dbał o to, co zrobił, i nie żałował tego, uspokoiło Thome a wewnątrz.

Przez chwilę Thome prawie go polubił.

Chwila przeminęła i przez ponad minutę Thome wpatrywał się w beznamiętne oczy Mullena, aż chłopak zerwał się z miejsca, przebiegł przez cały pokój przesłuchań i nerwowo zaczął tłuc pięściami w drzwi.

\*\*\*

Stone odebrał telefon i podał słuchawkę Hollandowi.

- Do ciebie... - Kiedy Holland przechodził przez niewielki gabinet, Stone zakrył dłonią mikrofon słuchawki. - Brzmi seksownie, jak zawsze...

Holland bez słowa wziął od niego słuchawkę. Nauczył się ignorować arogancję Stone a, ale wciąż drażniły go ironiczne uśmiešky, wzruszenia ramion i dwuznaczne spojrzenia. Ostatnio drażniło go niemal wszystko.

- Konstabl Holland.

- Mówi Joannę Lesser...

- Witaj, Joannę. - Holland uniósł wzrok, by zobaczyć, jak Stone przewraca oczami i szepcze jej imię. Holland pokazał mu palec.

- Jak dotąd nic, jeżeli chodzi o akta - rzekła. - Wczoraj zostawiłam wiadomość. O tym, że zostały przeniesione.

- Jasne. Nie odebrałem tej wiadomości, ale...

- Bez obawy. Wciąż nad tym pracuję. Mam jednak coś nowego.

- Słucham... - Holland sięgnął po pióro i słuchając z uwagą, zaczął gryzmolić na kartce.

- Kolega z zespołu uważa, że stare karty z archiwum z dawnych lat znajdują się u nas w piwnicy. Spróbuję je wydobyć, o ile nie zbutwiały...

- Uważa, pani, że mogą się tam znajdować karty Marka i Sary Foley?

- Dlatego właśnie dzwonię. Tak właśnie przypuszczam. Zapewne nie ma tam wielu informacji, te karty są raczej nieduże. Właściwe akta mają jakieś piętnaście centymetrów grubości.

- Co w nich jest? - Holland zauważył, że Stone przygląda mu się z żywym zainteresowaniem.

- Podstawowe informacje - odparła Lesser. - Numer ewidencyjny, daty urodzenia, daty umieszczenia w rodzinie zastępczej, nazwiska rodziców zastępczych...

Holland przestał bazgrać i zapisał: daty i nazwiska.

- Brzmi cudownie, Joannę. Naprawdę bardzo mi pomogłaś.

- Zadzwoń, kiedy tylko zdobędę te informacje, dobrze?

- Czy mogłabyś przesłać mi mejla? Tak będzie bezpieczniej... - Kiedy ponownie podziękował jej za fatygę, nieomal usłyszał, jak się zapłoniła.

- Naprawdę brzmi nieźle - powiedział Stone, gdy Holland odłożył słuchawkę.

- Chyba może załatwić nam listę wszystkich zastępczych rodziców tych dzieci - wyjaśnił Holland. - Sprawdzić, kiedy trafiły pod ich kuratelę.

Stone się zamyślił.

- Czy będzie nadal szukać pełnych akt?

- Zapewne tak, choć w rzeczywistości potrzebujemy tylko nazwisk i dat.

- Daj mi znać, kiedy je zdobędziesz - rzekł Stone. -.Pomogę ci.

Holland usiadł wygodniej, przeciągnął się.

- Nie ma potrzeby Sam sobie poradzę.

- Jak chcesz. - Stone przeniósł wzrok na ekran komputera i zaczął stukać w klawisze.

Holland wiedział, że zachował się z przesadną protekcyjnością. Poza tym nie sądził, aby akurat ten trop był najważniejszy w całym śledztwie. Thome suszył mu o to głowę, więc Holland zrobił to, co należało, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że po prostu marnują czas. Nie rozumiał, jak wiedza o tym, gdzie byli Mark i Sarah Foley dwadzieścia pięć lat temu, może pomóc im dowiedzieć się, gdzie przebywają obecnie.

Thome wyszedł z metra przy Kentish Town Road. Ruszył w stronę domu, maszerując ku Camden i postemnkowi policji, gdzie prawie dwadzieścia godzin wcześniej spotkał się z Noelem Mullenem.

Pomyślał o słowach chłopaka...

„Żałuję, że dałem się złapać”.

...i zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła zmusić zabójcę Remfiyego, Welcha, Southema i Charliego Dodda, aby poczuł żal za to, co zrobił. Miał wrażenie, że gdyby go złapał, to właśnie tego i tylko tego żałowałby zabójca.

Thome rozmyślał, stojąc na chodniku przed Bengal Lancerem, kiedy rozległ się sygnał jego komórki.

Odsłuchał wiadomość i nacisnął przycisk, aby od razu oddzwonić do Eve. Nie zaczął od przeprosin, ale już po chwili wydusił to z siebie:

- Przepraszam...

- Za co?

- Za wiele rzeczy. Choćby za to, że nie dzwoniłem.

- Wiem, że byłeś zajęty.

Właściciel restauracji, który znał Thome a, zobaczył go przez szybę. Gestem dłoni jął zapraszać go do środka. Thome odmachnął mu, wskazując palcem na telefon.

- Gdzie jesteś? - spytała Eve.

- Właśnie idę do domu i zastanawiałem się, co zjem dziś na kolację.

- Ciężki dzień?

Może wychwyliła to w jego głosie. Zaśmiał się.

- Zastanawiam się, czy nie rzucić tego wszystkiego w cholerę i nie zostać florystą.

- Bloom i Thome, to brzmi nieźle...

- Ale chyba się na to nie zdecyduję, nie cierpię wczesnego wstawania.

- Ty paskudny leniu...

Thome a znów nawiedziły obrazy, dźwięki i wonie z tamtego koszmarne snu. Zadygotał, choć było na tyle ciepło, że zdjął kurtkę i przewiesił ją sobie przez ramię.

- Tom?

- Wybacz... - Zamrugał, by odegnać wizję. - Mówiłaś coś o sobocie. Kiedy mi się nagrałaś...

- Wiem, że pewnie pracujesz do późna.

- Akurat nie. Mam wolne. Chyba że wydarzy się coś szczególnego. Nagłe zebranie, nowy trop, kolejny trup... No to... może być...

- To nic wielkiego, ale Denise ma urodziny, więc ona, Ben i ja wybieramy się w sobotę do pubu. To tyle. Mógłbyś pójść z nami, gdybyś zechciał.

- Co, podwójna randka?

- Nie. Pomyślałam tylko, że tak byś wolał. Bez nacisków...

- Nacisków?

- Cóż, bywasz na przemian bardzo spontaniczny i oziębły...

- Wybacz...

Nastała cisza. Thome znów dostrzegł właściciela restauracji, unoszącego obie ręce w górę. Usłyszał, jak Eve przekłada słuchawkę z jednego ucha do drugiego.

- Ja też chcę cię przeprosić - rzekła. - Tylko nie chciałam tego robić przez telefon. Wybierzmy się w sobotę na drinka. Zobaczymy, co będzie dalej.

- Brzmi obiecująco. Ja też chciałbym ci coś pokazać.

Thome z przyjemnością słuchał jej śmiechu. Wyobraził sobie tę szparę między zębami.

- Masz kosmate myśli, odpuść sobie - rzuciła. - A teraz idź i zjedz coś wreszcie...

W kilka minut później, dziesięć minut, odkąd zatrzymał się pod restauracją, Thome wciąż zastanawiał się, co chciałby zamówić. W lodówce miał coś, co mógłby zjeść. Co powinien zjeść... Pchnięciem otworzył drzwi, a aromat indyjskich potraw stał się dla niego pokusą nie do odparcia. Jego przyjaciel, właściciel restauracji, właśnie przed chwilą otworzył butelkę kingfishera.

## 21

- Na kogo stawiasz dziś po południu, Dave?

Holland uniósł wzrok znad biurka, by ujrzeć szczerzącego się doń sierżanta Karima.

- Słucham...?

- Charity Shield. Jak sądzisz, kto ją zdobędzie?

Holland skinął głową. Tradycyjny mecz poprzedzający rozpoczęcie nowego sezonu. Pomiędzy ubiegłorocznym zdobywcą pucharu a mistrzem Ligi Premiership.

- Każda drużyna, byle nie Manchester United - odparł Holland.

- Jak uważasz, stary, ale śmiem twierdzić, że przyjdzie nam to z łatwością. I powalczymy raz jeszcze o zwycięstwo w lidze.

- Nie rozumiem, Sam. Jesteś przecież z Hounslow. Zgadza się?

Karim oddalił się; wciąż się uśmiechał.

- Po prostu nam zazdrościsz...

Holland znów sięgnął po telefon i wybrał numer. Nie fascynował się futbolem. Wszystko, co wiedział na temat piłki nożnej i rozgrywek, zawarł przed chwilą w tej krótkiej, piętnastosekundowej rozmowie.

Linia wciąż była zajęta. Odłożył słuchawkę i rzucił okiem na swoje notatki. Odkąd dzień wcześniej Joanne Lesser przesłała mu mejla z informacjami, jakie udało jej się zdobyć, Holland z godnym podziwu uporem przedzierał się przez otrzymaną listę nazwisk. Dopnie swego, ale sporo go to kosztowało. Pomimo iż przed Andym Stone'em zgrywał twardziela, skontaktowanie się z niektórymi osobami nie było łatwe, nawet jeśli ludzie ci nie mieli powodów, aby go unikać.

Dzieci Foleyów po śmierci rodziców spędziły pół roku pod nadzorem opieki społecznej. Wreszcie, w styczniu 1977, trafiły po raz pierwszy na dłużej do rodziny zastępczej. Holland nie rozmawiał jeszcze z dwojgiem z rodziców zastępczych, ale z tego, czego dotąd zdołał się dowiedzieć, wyklarował sobie pewien niezmienny schemat. Prawie we wszystkich wypadkach dzieci przystosowywały się dość szybko, ale stopniowo zamykały się w sobie i stawały się agresywne, zwłaszcza w rodzinach, które już miały dzieci. Rodzice, z którymi Holland rozmawiał, przyznawali, że to było trudne, ale i zrozumiało zarazem, zważywszy na to, co przeszli wcześniej ich podopieczni. Mark i Sarah byli zasadniczo miłymi dziećmi, choć skrytymi i spędzającymi coraz więcej czasu na osobności, z dala od innych.

To wszystko było dość ciekawe, ale Holland nie miał pewności, czy może mu się to do czegoś przydać. Nie rozmawiał jak do tej pory z ostatnimi w kolejności chronologicznej przybranymi rodzicami, a to mogłoby rzucić pewne światło na to, z czym mieli do czynienia. Brigstocke napalił się na pomysł z cyfrowym postarzeniem zdjęć obojga dzieci. W sumie czemu nie. Może to coś by im dało. Nobleowie, którzy opiekowali się tymi dziećmi do początku 1984, powinni jeszcze dziś wrócić z Majorki i zapewne dysponowali najbardziej aktualnymi zdjęciami tej dwójki... Holland sięgnął po telefon. Numer Lloydów, rodziców zastępczych numer trzy, był wciąż zajęty. Ale kiedy tylko odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił. To był Thorne.

- Masz ochotę napić się dziś wieczorem? - zapytał.

- Czemu nie? - Gdy tylko te słowa padły z jego ust, Holland uświadomił sobie, dlaczego nie i poczuł wyrzuty sumienia. Wiedział, że zwłaszcza w sobotę wieczorem powinien był najpierw pomówić z Sophie. Równie dobrze wiedział, że jedynie by się uśmiechnęła i powiedziała, że nie ma nic przeciw temu. - Dokąd się wybierzemy?

- Do baru w Hackney - odparł Thorne.

Holland wyobrażał sobie, jak wkłada kurtkę i odwracając się w stronę drzwi, dostrzega błysk łez napływających do oczu Sophie. Usłyszał też trzask zamykanych za sobą drzwi i tupot własnych kroków, z których każdy przepelniał go bólem, jak cios poniżej pasa.

- O której? - spytał Holland.

- Około wpół do dziewiątej. Może po ciebie przyjadę?

- He? Z Kentish Town do Elephant, a potem stamtąd do Hackney? To przecież panu nie po drodze...

- Nic nie szkodzi.

- Podjadę metrem do Bethnal Green, a potem po prostu się przejadę...

- Ależ naprawdę...

- Jak się nazywa ta knajpa? Spotkamy się na miejscu. - Ton głosu Thome a był nieprzejednany. - Przyjadę po ciebie o wpół do dziewiątej, Dave.

Thome nacisnął dzwonek, a potem cofnął się o dwa kroki. Zanim Holland wypadł z mieszkania, Thome stał już przy swoim samochodzie, opierając się o niego z uśmiechem, jak podstarzały model z lat sześćdziesiątych prezentujący nowe auto.

- Super - pochwalił Holland. - A więc wypłacili panu pieniądze z ubezpieczenia?

- Jeszcze nie, ale wypłacą. Wziąłem pożyczkę w banku.

Holland stał z rękoma w kieszeniach i wyjątkowo niepewną miną.

- To bmw - dodał Thome, na wypadek, gdyby Holland miał jakiegokolwiek wątpliwości.

- Bardzo STARE bmw...

- Klasyk. Trzylitrowy Csi. To markowe auta, prawdziwe perełki, stary.

- Jest żółty.

- To pulsarowa żółć.

- Przepraszam - Holland zaczął powoli obchodzić samochód dookoła.

Thome miał wrażenie, jakby tamten oglądał dopiero co odnalezionego trupa. Thome wskazał przez szybę do środka.

- Ma skórzane fotele...

Holland stanął przy samochodzie, z tyłu. Przyjrzał się tablicy rejestracyjnej.

- P? Od kiedy...?

- W bagażniku jest zamontowany kompakt dysk. Na dziesięć płyt...

- Który to rocznik?

- Siedemdziesiąty piąty. - Thome wiedział, że to nie brzmi najlepiej.

Holland zaśmiał się.

- Chryste, ma prawie tyle samo lat, co ja.

- I tylko dziewięćdziesiąt trzy tysiące kilometrów...

- Odbiło panu. Sprawdził pan, czy karoseria nie przerdzewiała?

- Owszem, sprawdziłem to. Wygląda nieźle...

- Mam na myśli, czy skontrolował pan podwozie. Wziął go pan na podnośnik?

- Cztery lata temu ten wóz przeszedł kapitalny remont, a facet powiedział mi, że od wymiany silnika auto przejechało zaledwie szesnaście tysięcy kilometrów.

- Ile pan za nie zapłacił?

- Sprzęgło jest nowiutkie... a może skrzynia biegów. W każdym razie jedno z nich...

- Pięć tysięcy? - Thome milczał. - Więcej? Do cholery, za mondeo nie wypłacą panu aż tyle...

- To prezent, jasne? Nie miałem na co wydać pieniędzy, więc sprawiłem sobie tę brykę.

- Nie zna się pan na starych samochodach. Za te same pieniądze mógł pan kupić nowe auto, coś fajnego, tak jak ten wózek z wypożyczalni. Na dłuższą metę ten samochód będzie pana kosztował fortunę...

- Ale jest piękny, nie uważasz? - Thome wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną i zaczął polerować znaczek firmowy na masce auta.

Holland wzruszył ramionami i otworzył drzwiczki.

- To nie będzie miało większego znaczenia, kiedy rozkraczy się panu gdzieś na autostradzie, no nie?

Thome z poważną miną podszedł i zajął miejsce za kierownicą.

- Szczerze mówiąc, kusi mnie, żebyś po czymś takim powędrował do pieprzonego Hackney na piechotę. Cholerny czamowidz...

- Po prostu mam praktyczną naturę. A jak ten wspaniały wóz wysiądzie akurat, gdy będzie pan jechał na miejsce zbrodni?

Thome rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i odwrócił do Hollanda, który także umościł się już na swoim siedzeniu.

- Następnym razem, gdy będę chciał się z kimś napić, zaproszę Trevora Jesmonda...

W godzinę później nastrój Thome a znacznie się poprawił. Po dokonaniu prezentacji, Eve i pozostali natychmiast mszyli, żeby obejrzeć nowe auto i wszyscy zgodnie przyznali, że jest wspaniałe. To nie powstrzymało jednak Hollanda przed poszukiwaniem sojusznika później, kiedy impreza zaczęła się na dobre rozkręcać.

- No powiedz, Ben, czy nie zdecydowałbyś się na coś nowszego?

- Niestety nie. Uważam, że jest świetne - odparł Jameson. - Sam mam bmw...

Thome uniósł butelkę w bezgłośnym salucie i uśmiechnął się sarkastycznie do Hollanda.

- Tom mówi, że kręcisz filmy.

- Głównie wideo dla dużych korporacji.

- Chyba nieźle ci się wiedzie. Bmw...

- To fakt, ale próbuję też zrobić na boku coś własnego. Sam to zaprojektowałem i napisałem...

Holland pokiwał głową.

- Podejrzewam, że to trudne?

- Wszystko zależy od pieniędzy. Muszę po prostu zrealizować kilka kolejnych dużych zleceń dla Sony albo Deutsche Bank i nakręcić parę szkoleniowych kaset wideo.

- Czym się obecnie zajmujesz? - spytał Thome.

Jameson pociągnął łyk z butelki budvara.

- Och, to doprawdy porywające zajęcie. Pilne zlecenie dla miejscowych władz i parę reklam dla QVC.

Thome zgarnął garść chrupiek z leżącej przed nim, otwartej paczki.

- A więc to twoja sprawka, tak?

- Przepraszam - rzekł Jameson, uśmiechając się i unosząc obie ręce w górę.

Holland uśmiechnął się drwiąco do Thome'a.

- Nie wiedziałem, że mam do czynienia z miłośnikiem telezakupów.

- Założyłem kablówkę, głównie ze względu na futbol. - Thome włożył chrupki do ust i otarł palce. - Ale w nocy, kiedy nie mam nic ciekawego do roboty, lubię popatrzeć, jak jakiś nedorobiony aktorzyzna o pomarańczowej twarzy próbuje mi wcisnąć sprzęt do czyszczenia albo zestaw AGD.

Cała trójka siedziała przez chwilę w milczeniu. Thome wyjrzał przez okno, zerkając na stojący przed pubem samochód. Holland napił się piwa, pokiwał głową, usłyszawszy pierwsze takty piosenki zespołu Coldplay, a Jameson przeniósł wzrok w stronę baru, gdzie stały Denise i Eve.

Wóz był bezpieczny i wciąż wyglądał wspaniale. Thome odwrócił się i powiódł wzrokiem dokoła. Znajdowali się w nowym, ale już dość modnym gastropubie. Eve wyjaśniła, że na tyłach lokalu znajduje się przytulna restauracja, ale Thome nie chciał się nigdzie przenosić, było mu tutaj dobrze z belgijskim piwem z beczki i oliwkami w miseczkach przy barze. Siedzieli w rogu, przy mocno porysowanym masywnym stole otoczonym różnymi siedziskami. Thome wybrał dla siebie podniszczony, lecz wygodny skórzany fotel i robił, co mógł, by drugi taki sam, stojący obok, zarezerwować dla Eve.

Choć miejsce to było popularne, lokal nie pękał w szwach. Większość ludzi cieszyła się pogodnym, ciepłym wieczorem i gromadziła się przy stolikach na zewnątrz. Bar nie był

klimatyzowany, ale powyżej kręciły się wentylatory, a piwo - na tyle, na ile Thome pozwolił sobie wypić - było przyjemnie chłodne.

Po części swój pogodny nastrój Thome zawdzięczał samochodowi, ale w sumie już od dawna nie czuł się tak rozluźniony.

Wróciły Eve i Denise, niosące kolejne piwa i butelkę wina, na co Holland, Thome i Jameson, jak przystało na prawdziwych mężczyzn, srodze się oburzyli. A jednak, choć starali się protestować i złościć, bawili się w najlepsze: zwłaszcza Thome, któremu już od dawna nikt nie poświęcał tyle uwagi. Rozmawiali o futbolu, telewizji i cenach. A także, co nieuniknione, o pracy.

- No dalej, Dave - rzekła Denise. - Opowiedz nam o tym świrze, którego ścigacie, o tym, co nagrał się Evie na automatycznej sekretarce...

Eve starała się przerwać tę rozmowę.

- Den... - Odwróciła się do Thome a. - Wybacz...

Thome tylko wzruszył ramionami, niczym się nie przejmując.

- Nic nie szkodzi...

- Owszem, to świr - przyznał Holland. - I rzeczywiście wciąż go ścigamy. Przez cały czas...

- Wydaje się zdrowo rąbnięty - wtrącił Jameson. - Ale zarazem fascynujący...

Denise nachyliła się w stronę Hollanda.

- Niby się wie, że tacy ludzie istnieją, to oczywiste. Ale kiedy nawiąże się kontakt z którymś z nich, choćby nawet przelotny, to musi być straszne.

- Bez obawy - rzekł Holland. - Nie jesteś w jego typie.

- Wiem. On poluje na mężczyzn, zgadza się? Na mężczyzn, którzy krzywdzili kobiety...

Zapadła krótka, ale mimo to niezręczna chwila ciszy, którą Denise przerwała jak gdyby nigdy nic.

- Ludzi zawsze fascynują takie rzeczy, nieprawdaż? To dość upiorne, ale o niebo ciekawsze niż komputery...

Thome wykorzystał ten moment, by opowiedzieć mocno już wyświechtany, ale mimo to nadal śmieszny, dowcip. Pozostali odpowiedzieli śmiechem, a Denise i Ben podjęli z Hollandem pogawędkę na temat pracy. Może naprawdę go polubili, a może nie chcieli, aby poczuł się jak piąte koło u wozu, w każdym razie dzięki temu Thome miał okazję zamienić parę słów z Eve.

Przysunął się do jej fotela i nachylił w jej stronę.

- To był dobry pomysł - zauważył.

- Ale nie byłeś do niego przekonany, prawda? - Skinęła głową na Hollanda. - Dlatego sprowadziłeś posiłki...

- Jesteś zła?

- Byłam, jeszcze godzinę temu. Ale już mi przeszło.

Thome sięgnął po swoje piwo.

- Chciałem tylko pokazać mu samochód...

Eve przyjrzała mu się z uwagą. Najwyraźniej mu nie uwierzyła.

- A zatem, pomijając, że sprawa, którą się zajmujesz, trochę się skomplikowała, co się wydarzyło pomiędzy wieczorem, kiedy przyszedłeś na kolację, a obecnym?

Thome wlepił wzrok w szklanekę z piwem, zakręcił nią, ale nic nie powiedział.

- Sądziłam, że ci zależy. Sam mi to mówiłeś.

- Ja...

- Tamtego wieczoru, kiedy mnie odprowadziłeś, po tym, jak poszliśmy do pubu, też byłeś jakiś dziwny. Wszystko zaczęło się od tego, jak pojechałeś na ślub...

Thome pochylił głowę i niemal szeptem powiedział:

- Posłuchaj, czasami, gdy muszę powziąć jakąś poważną decyzję, zaczyna mi odbijać.

Nie wiem, czego naprawdę chcę i o co mi...

- Poważną decyzję? Przecież nawet jeszcze ze sobą nie spaliśmy.

- Właśnie o to mi chodzi. Wygląda na to, że do tego zmierzamy. No wiesz, chyba trochę się spieszyłem nieuchronnością tego wszystkiego i zacząłem się wycofywać...

- Cały ten cyrk z kupnem nowego łóżka...

- Chyba tak.

Eve odwróciła się, by na niego spojrzeć. Odczekała sekundę lub dwie, aż uniesie głowę i odnajdzie jego spojrzenie.

- To jak, Tom, czego tak naprawdę chcesz?

Na twarzy Thome a powoli pojawił się uśmiech. Nachylił się i delikatnie jedną ręką objął Eve w talii.

- Chcę pójść z tobą do hotelu...

Przez chwilę Eve wydawała się wstrząśnięta, ale w końcu też się uśmiechnęła.

- Jak to, jeszcze dziś wieczorem?

- A czemu nie? Kwaciarnia jest jutro zamknięta, zgadza się? Pod pubem mam ekstra brykę... - Eve przeniosła wzrok na Denise i Jamesona, wciąż gawędzących z Hollandem.

- Boże, to fantastyczny pomysł, ale dziś chyba nie na miejscu. Denise ma urodziny...

- Udawajmy, że ja też.

- No, nie wiem. Przecież nie mogę tak po prostu wyjść.

- Ona na pewno nie będzie miała nic przeciw temu.

Eve wzięła Thome a za rękę i mocno ścisnęła.

- Zobaczymy, co da się zrobić...

W godzinę później, gdy stali na zewnątrz i żegnali się, Eve ujęła Thorne a za ramię i odwróciła ku sobie.

- Myślę, że dziś wieczorem to nie jest dobry pomysł.

- Rozmawiałaś z Denise? - Spojrzał na współlokatorkę Eve, która właśnie całowała Hollanda w oba policzki. Jameson czekał nieco z tyłu z dłońmi w kieszeniach. Denise wychwyciła spojrzenie Thome a i posłała mu zastanawiający uśmiech...

- Nie żebym teraz nie mogła, ale nie jestem całkiem trzeźwa - ciągnęła Eve. - Zanim złożyłeś mi niedwuznaczną propozycję, wypiliśmy butelkę czerwonego wina.

Thome uśmiechnął się.

- Im więcej wypijesz, tym bardziej ci to służy, naprawdę.

- A co z następnym weekendem? Moglibyśmy wynająć na parę dni pokój w hotelu na wybrzeżu. - Spojrzała na niego i wolno pokiwała głową. Wyraz jego twarzy musiał powiedzieć jej wszystko. - No jasne, rozumiem...

- Wybacz. Dopóki nie zakończymy tej sprawy, nie mogę sobie pozwolić na żadne... Niech to szlag, cały weekend wolnego... nie ma takiej możliwości.

- To był głupi pomysł.

- Wręcz przeciwnie, wspaniały. Wybierzemy się gdzieś któregoś wieczoru, w przyszłym tygodniu. W sobotę albo może...

- W przyszłą sobotę... może być.

- Świetnie...

Przeszli kilka kroków, oddalając się od pubu.

- Jeszcze nie jest późno. Chodźmy gdzieś. Może do któregoś z tych miłych hotelików na West Endzie. Wyobraź sobie pyszne, pełne angielskie śniadanko...

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. A potem, zanim pocałowała go delikatnie w policzek, szepnęła:

- W sobotę...

Kiedy się rozdzielili, Thome przeniósł wzrok na pozostałych stojących przy wejściu do baru i dostrzegł coś, jakby niesmak malujący się na twarzy Bena Jamesona. Odwracając

się, Thome zauważył, że Jameson patrzył na Keitha, zmierzającego szybkim krokiem w stronę grupy z reklamówką w dłoni.

Nie mogąc słyszeć, o czym rozmawiają, Thome patrzył, jak Keith sięga do reklamówki i podaje Denise jakiś przedmiot zapakowany w czerwony papier. Denise rozpakowała prezent i uśmiechnęła się promiennie na widok małego, ozdobnego pudełka. Objęła Keitha za szyję, uściskała go, po czym odwróciła się, by pochwalić się tym, co dostała, Hollandowi i Jamesonowi.

Keith odwrócił się zapłoniony i spojrzał na Eve, stojącą obok Thorne'a. Pomachała do niego i ruszyła w jego stronę. Holland poczłapał w kierunku Thome'a, uśmiechając się do Eve, kiedy ją mijał. Trochę się zdziwił, gdy Thome położył mu dłoń na ramieniu.

- Odwiozę cię do domu, Dave.

Holland wydawał się zakłopotany. Obejrzał się przez ramię i patrzył, jak Eve dołączyła do przyjaciół.

- Ale... nie trzeba... złapię taksówkę...

- Nie ma takiej potrzeby.

Thorne jechał Whitechapel Road, kierując się na południe, ku Tower Bridge. Nie spieszył się, wciąż przyzwyczajał się do kierownicy i sprzęgła, ale z drugiej strony cieszył się tym i chciał, aby ta podróż potrwała jeszcze trochę. Objężdżając Aldgate, słuchali piosenki Merle Haggarda.

- Co tam się stało? - spytał Holland.

- Keith czasem pomaga Eve w kwiaciarni. Myślę, że jest trochę...

- Chodziło mi o to, że zabrał mnie pan na piwo, jak zapasowego wacka na noc poślubną.

Thome spojrzał w lusterko wsteczne.

- Chciałem pokazać ci auto. - Sam w to nie wierzył, tak jak w to, co wcześniej powiedział Evie.

- Między panem a Eve wszystko w porządku?

Thome zawahał się. Takie rozmowy między nimi należały do rzadkości i nie wiadomo, do czego mogły prowadzić. Gdyby Holland nie wypił o parę kufelków za dużo, zapewne w ogóle nic by nie powiedział. Nawet po pracy nie zapominali o dzielącej ich różnicy szarż. Jednak niewypowiedziana potrzeba zachowania pewnego dystansu od czasu do czasu ulegała niewielkiemu zachwianiu.

Tej nocy byli po prostu przyjaciółmi wracającymi z baru, a Thome postanowił nie psuć miłej atmosfery.

- Szczerze mówiąc, Dave, nieźle namieszałem jej w głowie...

- Że co?

- Nie, nic z tych rzeczy. My jeszcze nawet...

- Och...

- To długa historia, ale można powiedzieć, że ona myśli, że sam nie wiem, czego chcę, i poniekąd to prawda. W jednej chwili próbuję zaciągnąć ją do łóżka, a w następnej oddycham z ulgą, że do tego nie doszło.

Przez najbliższe dziesięć sekund żaden z nich się nie odzywał.. Holland sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się nad słowami Thome a.

- To o co panu właściwie chodzi?

- Nie wiem...

Thome faktycznie tego nie wiedział i skoro sam miał mętlik w głowie, mógł się jedynie zastanawiać, co sobie myślała Eve. Cały ich związek trącił sztubackim zauroczeniem. Górki i dołki, sprzeczne sygnały...

Jednak w krótkim filmie, który pojawił się nagle w myślach Thorne a, nie było nic sztubackiego ani niejasnego. Widział siebie i Eve w windzie, która wiozła ich do przytulnego, hotelowego pokoiku. Przez cały czas kleili się do siebie, ich usta łapczywie badały szyje i ramiona, a dłonie sondowały obszary pod paskami i sprzączkami.

Thome mocniej ścisnął kierownicę, słysząc gorączkowe oddechy, które rozległy się, gdy ustały pocałunki, a potem jęki, kiedy muzyka zaczęła się od nowa. Dał się słyszeć dzwonek, gdy drzwi windy rozsunęły się i szelest nóg Eve pod spódnicą, kiedy niemal biegli w stronę ich pokoju. Zobaczył siebie, jak wkłada kartę do czytnika w drzwiach, a potem oboje weszli do środka i tuląc się do siebie, po omacku szukali włącznika światła...

Na ich łóżku leżały zwłoki. Wyprężone, krwawiące ciało. Błękitny naszyjnik, tani i okropny, wpijał się głęboko w szyję...

Thome dał mocno po hamulcach, aby z piskiem opon zatrzymać wóz na czerwonym świetle. Holland wyciągnął rękę i zaparł się o deskę rozdzielczą.

- Przepraszam - rzucił Thome. - Wciąż jeszcze przyzwyczajam się do auta...

Przez chwilę milczeli obaj, aż przed nimi pojawiła się oświetlona londyńska Tower i wolno wjechali na pobliski most. Thome szturchnął Hollanda w ramię i wskazał na rzekę.

- Piękna, kurwa, co?

Uwielbiał przekraczać Tamizę nocą, nigdy nie miał dość spektakularnego widoku rzeki po zmierzchu. Z południa na północ przez most Waterloo to była jego ulubiona trasa - po lewej London Eye, nieco dalej na wschód w City kopuła katedry św. Pawła, ale tak

naprawdę o tej porze przejazd przez każdy most poprawiał Thomeowi humor. Teraz w oddali po lewej majaczyło Butler's Wharf, a poniżej, po prawej stał skąpany w bursztynowym świetle HMS Belfast, rzeka dokoła mieniła się miodowymi barwami za sprawą latami ciągnących się wzdłuż obu brzegów.

Choć to miasto było zepsute, złe i plugawe, jak rzadko które, Thome sądził, że po przejeździe takiej jak ta potrafiłby wybić z głowy każdemu chęć wyprowadzki z Londynu...

- A co z tobą i z Sophie? - spytał Thome. - Jesteście już gotowi na wielki dzień?

Holland odwrócił się i uśmiechnął, ale wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Jeżeli chce pan wiedzieć, ze strachu mam pełne gacie.

- Wcale ci się nie dziwię, to może wzbudzić strach nawet u największego kozaka. Ja nigdy nie miałem dzieci, ale...

- Nie chodzi tylko o dziecko. Tylko o to, co ono oznacza.

- W sensie pracy i w ogóle?

- Mam wrażenie, jakbym nad niczym już nie panował. Jakbym przestawał się liczyć w czymkolwiek. - Thome pokręcił głową i otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Holland mówił dalej, coraz głośniej i z coraz większym ożywieniem. - Sophie twierdzi, że to, co będzie potem, zależy tylko ode mnie, ale ona zostanie w domu z dzieckiem, a ja będę jedynym żywicielem rodziny...

- Wolałaby, abyś robił coś innego?

- Tak, lecz to przerabialiśmy, jeszcze zanim zaszła w ciążę. Na pewno by się ucieszyła, gdybym rzucił tę robotę, ale nie próbuje mnie naciskać. Martwię się, że to w końcu ja zacznę zastanawiać się nad zmianą pracy. Na coś bardziej popłatnego, rozumie pan?

- Na coś bezpieczniejszego?

Holland odwrócił się i spojrzał surowym wzrokiem na Thome'a.

- Właśnie. - Znow się odwrócił, żeby wyjrzeć przez okno na billboardy i salony samochodowe przy New Kent Road, przesuujące się z prędkością blisko pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. - Martwię się, że znienawidzę dziecko - ciągnął Holland. Oparł się głową oszybę. - Za wybory, jakich będę musiał przez nie dokonać...

Thome milczał. Nacisnął guzik na panelu sterowania kompaktu, przeszukując płyty, aż w końcu odnalazł właściwą piosenkę. Kiedy rozbrzmiała znajoma melodia, podkręcił głoś.

- Powinieneś tego posłuchać - rzekł.

- Co to za kawałek?

- Mama Tried. Opowiada o facecie, który siedzi w więzieniu...

- Bo o to właśnie w tym wszystkim chodzi, prawda?

- Chodzi o dorastanie i przyjmowanie na siebie odpowiedzialności. O dokonywanie właściwych wyborów...

Przez chwilę Holland słuchał lub przynajmniej udawał, że słucha. Do tego czasu dotarli do zjazdu przy Elephant Castle, ulica, przy której mieszkał, była już niedaleko. Nagle pokręcił głową i zaśmiał się.

- Mówimy o dorastaniu? Przecież to nie ja sprawiłem sobie wóz typowy dla facetów cierpiących na kryzys wieku średniego...

Zanim dotarł do domu, Thome umierał z głodu. Włożył trzy kromki chleba do opiekacza, równocześnie przewijając wideo. Udało mu się przetrwać dzień, nie poznając wyniku meczu i właśnie zamierzał go obejrzeć.

Po pół godzinie nudnej rozgrywki Thome zaczął się zastanawiać, po co zadał sobie tyle trudu... Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Tottenham Hotspur brali udział w grze o Charity Shield, ale Thome i jego ojciec byli na tych kilku ostatnich meczach. Widzieli ten, który zakończył się bezbramkowym remisem z Arsenalem w '91 i kolejne dwa w latach 81 i 82 po zdobyciu fuksem zwycięstwa w finale walki o Puchar.

Pierwszy wielki mecz, na jakim był, to rozgrywka o Charity Shield w 1967. Wyprawa na Wembley, dodatkowy prezent na siódme urodziny po tym, jak Spursi pokonali Chelsea stosunkiem goli dwa do jednego i zdobyli Puchar. Thome wciąż pamiętał ten ryk i swoje zdumienie na widok całej tej zieleni, kiedy ojciec prowadził go po schodach na ich miejsca. Zawsze uwielbiał widok boiska, ten pierwszy rzut oka na, zdawałoby się, niemający końca bezmiar zieloności i napawał się nim przez te wszystkie lata. Kiedy wspólnie chodzili na mecze, i powoli, niespiesznie, wśród hałasu i świateł wspinali się na trybuny stadionu przy White Hart Lane.

Zastanawiał się, czy jego ojciec oglądał dzisiejszy mecz. Jeżeli tak, to na pewno miał na ten temat swoje zdanie. Thome wybrał numer, a potem przez dwadzieścia minut wysłuchiwał dowcipów pozbawionych puent.

## 22

Carol Chamberlain odłożyła gazetę, kiedy Thome wrócił do stolika, niosąc dwie kawy.

- Nie jest dobrze - rzekła.

Thome spojrzał na krzykliwy nagłówek, równocześnie mieszając kawę.

- To nie mój problem.

Pomimo gorączkowych wysiłków Trevora Jesmonda i wszystkich nad nim, media - po zabójstwie Southema, mniej więcej dwa tygodnie temu - podjęły temat i zaczęły pisać o sprawie. Obyło się bez typowego dla brukowców bicia piany, którego tak obawiał się Brigstocke, ale podawano wiele szczegółów. Jedna z gazet opublikowała zdjęcia zaopatrzonych w suwaki masek gwałcicieli z czerwonymi krzyżami w poprzek i nagłówkiem TRZECH MNIEJ. Inna wydrukowała zeznania kilku ofiar gwałtu i opinie czytelników w rodzaju: „Dajcie mu medal” czy „Dobry gwałciciel to martwy gwałciciel...”.

W poniedziałek w prasie pojawiły się skargi osób domagających się poszanowania praw i integracji byłych więźniów. Domagano się dołożenia wszelkich starań, aby schwytać zabójcę, i rzucono gromy na ślamazarną, nieudolną policję. Nie dalej jak wczoraj wieczorem Thome oglądał burzliwą debatę w London Live pomiędzy przedstawicielami organizacji zrzeszającej ofiary gwałtów a ich przeciwnikami z grup walczących o prawa byłych więźniów i starszymi funkcjonariuszami policji. Zastępca komisarza, w towarzystwie mocno wystraszonej pani oficer i pocącego się obficie Trevora Jesmonda, przypomniał jednemu lobby, że ofiary zabójstw także zostały zgwałcone, drugie zaś zapewniał, że czynione są wszelkie możliwe starania.

Thome wyłączył telewizor, kiedy ujrzał Jesmonda miotającego się jak królik w blasku reflektorów nadjeżdżającego auta i mamroczącego, że dwa złe uczynki nie stanowią jednego dobrego...

- Pańscy przełożeni mogą sprawić, że to jednak będzie pański problem - rzekła Chamberlain.

Thome uśmiechnął się.

- Pani też tak robiła?

- Oczywiście. Uczęszczałam na kurs „Psychologii” w Hendon...

Siedzieli przy stoliku w cieniu, przed małą wegetariańską kafejką w samym środku Highgate Woods. Wszystko tu było trochę za bardzo organiczne i układne, jak na gust Thome a, ale Carol chciała zjeść gdzieś na mieście i to miejsce wydawało się równie dobre, jak każde inne.

Za modne ekologiczne pieczywko zapłacił jak za zboże, ale to przecież i tak wliczą sobie w koszty...

Carol Chamberlain straciła swoją „zamkniętą” sprawę, kiedy tylko dochodzenie znów zostało otwarte. Nie dano jej wyboru, ale zaraz znalazła sobie coś nowego. Mimo to Thome wiedział, jak wiele jej zawdzięczał, i jeżeli mógł cokolwiek zrobić, to sprawić, aby nadal z poświęceniem i pełnym oddaniem wykonywała swoje obowiązki. Co więcej, polubił

rozmowy z nią, gdyż okazało się, że Carol Chamberlain ma podobne poglądy jak on. Spotkali się i rozmawiali przez telefon już kilka razy, odkąd wpadła jak burza do jego gabinetu. Wspólnie plotkowali, psioczyli i dyskutowali na różne tematy.

- Przynajmniej nie połączyli jeszcze tej sprawy z zabójstwem Foleya - powiedziała. - Nie wiedzą o Marku i Sarze...

Thome sięgnął po gazetę i przejrzał ją. Rzucił okiem na dział sportowy.

- To tylko kwestia czasu.

- Może wyniknie z tego coś dobrego?

- To znaczy?

- Może dzięki temu uda się nam ich znaleźć.

- Albo na dobre ich to wypłoszy.

Kiedy już dopili kawę i mimo wszystko zjedli jednak pudding, Chamberlain wstała i zaczęła odstawiać talerze, jeden na drugi.

- Przejdźmy się trochę, nim wrócimy do samochodu. - Potarła dłonią brzuch. - Chciałabym spalić nieco kalorii...

\*\*\*

- Pytała o ciebie, Dave...

Karim wywołał go z gabinetu, podprowadził do kobiety, która chciała się z nim widzieć, po czym zostawił Hollanda w progu sali odpraw. Stone bezszelestnie pojawił się obok Hollanda i obaj spojrzeli na Joanne Lesser siedzącą na krześle przy oknie.

- Mniam... - mruknął Stone. - Smakowita czekoladka...

Holland pokiwał głową i odwrócił się do niego.

- Rasizm i seksizm zawarty tylko w dwóch słowach. Nawet jak na ciebie, Andy, to prawdziwy rekord.

- Wal się.

- No, no, coraz lepiej, stary...

- Ona naprawdę jest niezła. Szczęściarz z ciebie. - Holland spojrzął na niego. - Najwyraźniej jej zależy. Najpierw dzwoni, a teraz przyjeżdża osobiście...

Holland wszedł do sali odpraw, a Lesser wstała, kiedy on i Stone powoli do niej podeszli. Był pewien, że sugestie Stone a stanowiły jedynie wytwór jego chorej, przepojonej seksualnymi fantazjami wyobraźni. A jednak, pomijając oczywiste powody, miał nadzieję, że Joanne Lesser miała mu do zakomunikowania coś ważnego.

Pięć minut później siedzieli już we trójkę w gabinecie Hollanda i Stone a. Na blatach biurek stały plastikowe kubki z herbatą.

- Daty nie dawały mi spokoju - rzekła Lesser.
- Daty umieszczenia dzieci w rodzinach zastępczych?

Holland zaczął wertować swoje notatki.

- Teraz jest trochę inaczej, ale wtedy musieliśmy przestać monitorować rozwój wydarzeń, z chwilą kiedy dziecko kończyło szesnaście lat. Od tego momentu kuratela opieki społecznej nad wychowankiem dobiegała końca.

- No tak... - Holland wciąż szukał.

- Sprawdziłam raz jeszcze informacje z fiszek, no wie pan, te informacje, które panu przesłałam - i coś mi tu nie pasuje.

- To znaczy? - spytał Stone.

- Ostatnia data monitoringu w rejestrowanych zapisach pochodzi z lutego osiemdziesiątego czwartego. Zapewne to była wizyta domowa. A może rozmowa telefoniczna...

Holland znalazł kartkę, której szukał. Powiódł palcem w dół listy i zatrzymał się przy dacie wymienionej przez Lesser.

- Państwo Noble. - Noble owie powinni już byli wrócić do domu z wakacji na Majorce. Zostawił im wiadomość, ale nie oddzwonili...

Lesser wychyliła się na krześle do przodu i powiedziała, zerkając to na Stone a, to na Holland.

- Sprawdziłam daty urodzin dzieci, tak dla pewności, ale wciąż mam pewien problem.

Holland zerknął na daty. Przewrócił stronę, szukając czegoś jeszcze, a gdy to znalazł, zrozumiał, na czym polegał ów kłopot.

- Były za małe - powiedział.

Lesser skinęła głową i zaczerwieniła się. Hollandowi też niewiele do tego brakowało. Gdyby przyjrzał się temu dokładniej, sam powinien był to dostrzec. Opuścił sobie, nie uważał, aby to było istotne. Powinien był pozwolić, aby Stone pomógł mu, gdy sam mu to zaproponował. A teraz Stone siedział obok, najwyraźniej bawiąc się w najlepsze, kiedy Lesser mówiła o pozostałych, oczywistych faktach.

- Osiemdziesiąty czwarty? - spytał Stone - A więc dzieci musiały mieć wtedy...

- Piętnaście i trzynaście lat - rzekła Lesser. - Mark w zasadzie miał już prawie szesnaście. Gdyby chodziło o niego, nie przejęłabym się tym zbyt, ale dziewczynka była za mała, aby zrezygnowano z nadzoru nad nią. Teraz rozumiecie panowie, dlaczego uważam, że to może być ważne.

- Co może być powodem zaniechania kontroli nad wychowankiem? - spytał Holland.

- Przychodzą mi do głowy jedynie dwa. W wypadku przeprowadzki rodziny może ona znaleźć się poza naszym rejonem działania, podobnie jak przy przenosinach do innego hrabstwa.

- Przypuszczam, że tak właśnie było - rzekł Holland. Zaczął wertować strony, aż znalazł obecny adres Noble ow.

- Czy Romford to dostatecznie daleko?

Lesser skinęła głową.

- Nie podlega nam.

- Czy wiadomo, od jak dawna tam mieszkają? - wtrącił Stone.

- Nie, będę musiał to sprawdzić. Ostatni wpis z miejscowej szkoły pochodzi z osiemdziesiątego czwartego, więc przypuszczalnie właśnie wtedy doszło do przeprowadzki. - Odwrócił się do Lesser. - A drugi powód, Joanne? Mówiła pani, że jeden powód to przeprowadzka...

- Adopcja. - Holland i Stone spojrzeli na nią pytającym wzrokiem. - Przepisy są dziś bardziej rygorystyczne, ale wtedy, po podpisaniu dokumentów adopcyjnych, sprawa przestawała dla nas istnieć. Odtąd to nie był nasz problem.

- Coś mi mówi, że już to pani sprawdziła...

Wzruszyła ramionami.

- Znam kogoś w wydziale adopcyjnym, więc pozwoliłam sobie do niej zadzwonić. Ich archiwum jest nieco lepiej zorganizowane niż nasze. Ma pan pióro?

Holland uśmiechnął się mimowolnie. Wyciągnął rękę i podniósł leżący na biurku długopis.

- Słucham...

- Irene i Roger Noble oficjalnie adoptowali Marka i Sarę Foleyów dwunastego grudnia osiemdziesiątego czwartego roku. Wkrótce potem się przeprowadzili, ale właśnie wtedy doszło do ostatniego kontaktu ze strony pracowników opieki społecznej z Essex.

Holland zapisał te informacje. Z tego, co było im wiadomo, właśnie wtedy Mark i Sarah Foley po raz ostatni mieli kontakt z kimkolwiek.

Szli powoli skrajem boiska do krykieta w stronę placu zabaw dla dzieci, wzdłuż smugi cienia rzucanej przez rząd strzelistych dębów i brzoź. Choć były wakacje szkolne, wciąż kręciło się tu sporo ludzi. Temperatura zaczęła spadać, gdy niebo zachmurzyło się, ale tu i ówdzie widać było splechotki ciemnego błękitu, jak sińce na napuchniętym ciele.

- Mark Foley. To na niego postawiłabym wszystkie pieniądze.

- Tak, ja też - przyznał Thome. - Choć przyznam się, że chciałbym coś wygrać.

- Doczekasz się. On nie może się ukrywać w nieskończoność.

- Mam też problem z ustaleniem motywu.

Chamberlain spojrzała na Thome a z udawanym zdziwieniem.

- Sądziłam, że nie jesteś z tych, którzy przejmują się motywami...

- W gmnacie rzeczy to nie moja sprawa, prawda? Ale gdyby to miało pomóc mi go dopaść...

- Mów dalej...

- Dla mnie jest oczywiste, co było motywem śmierci Alana Franklina...

- I pewnie masz rację. Wszystko stało się przez niego, równie dobrze on sam mógł zabić jego rodziców... Tyle tylko, że długo trwało, zanim w końcu się na nim zemścił.

- Chyba rozumiem, skąd tak długie oczekiwanie - rzekł Thome.

Chamberlain uśmiechnęła się.

- Może jest po prostu leniwy.

Thome uważał, że jest upoważniony, aby wyrazić swą opinię w tej kwestii.

- Nie sądzę... On dorastał - powiedział Thome. - Pozwolił, aby jego ciało nabrało krzepy, aby nienawiść w jego sercu się wzmocniła. A potem zczekał, aż Franklin się zestarzeje, poczuje się bezpieczny i dopiero wtedy dopadł go na parkingu, aby zrobić to, co od tak dawna planował.

- Ale na tym się nie skończyło...

- To prawda. Choć przecież powinno, czyż nie? Mark wyrównał rachunki, uszło mu to płazem i mógł ułożyć sobie życie.

- Jakkolwiek ono wyglądało...

- Dlaczego znów dał o sobie znać? Czemu zabił pozostałych? Czemu zabił Remfrygo, Welcha i Southema?

- Może to lubi.

- Teraz na pewno, ale nie dlatego znowu zaczął mordować. Musiało wydarzyć się coś innego...

- Kluczowym elementem jest gwałt, stale to powtarzasz. Może sam został zgwałcony.

- Może. - Thome miał wrażenie, jakby stąpali po dobrze mu znanym gruncie. Zastanawiali się nad tym, kiedy sądzili, że zabójca może być byłym więźniem, pragnącym wyrównać stare rachunki. To było prawdopodobne, ale nie poświęcał tej ewentualności większej uwagi.

Chamberlain aż podskoczyła, kiedy z tyłu za nimi rozległ się głośny trzask. Sześciu chłopców uganiało się po boisku do krykieta i oboje przystanęli na chwilę, aby przyjrzeć się

grze. Kiedy Chamberlain w końcu się odezwała, musiała nachylić się ku niemu, aby mógł ją usłyszeć, wśród hałasu czynionego przez dzieciaki.

- Przypomniałam sobie fragment wiersza, który czytałam w szkole - rzekła. Thome obserwował grę i przekrzywił głowę, aby móc ją usłyszeć: - „Dzieciństwo jest królestwem, w którym nikt nie umiera...”.

- Z czego to fragment? - zapytał Thome.

- Z jednej z antologii, którą musieliśmy przeczytać. Lektura obowiązkowa. Nie pamiętam tytułu...

Kiedy dotarli do swoich samochodów, stojących przy głównej ulicy, Chamberlain zatrzymała się i położyła dłoń na ramieniu Thome a.

- Fajnie z tobą pogadać, Tom. Takie dyskusje dają do myślenia. Ale nie zapomnij, że jeśli odpowiedź istnieje, jeśli jest gdzieś tam, to musi tkwić w szczegółach, w faktach, które stanowią wzorzec całej sprawy.

Thome pokiwał głową i otworzył drzwiczki bmw. Wiedział, że odpowiedzi istnieją. Wiedział też, że już się z nimi zetknął, ale zostały źle sklasyfikowane i były już teraz nie do odzyskania. Zaginęły wśród dziesiątków tysięcy faktów, zarówno istotnych, jak i nieistotnych dla sprawy. Powiększające się bez przerwy brzemie niepotrzebnych śmieci, które dźwigał ze sobą przez cały czas: nazwiska, miejsca, daty i fragmenty zeznań; słowa, liczby, cyfry i drobne gesty; kody dostępu i czasy zgonów, ciężar wątroby martwego mężczyzny...

Thome wiedział, że odpowiedź była gdzieś tam ukryta i to nie dawało mu spokoju. Dręczyło go coś jeszcze i zastanawiał się dwa razy, zanim powiedział głośno.

- To, co mówiłaś, na temat wzorców...

- A konkretnie?

- W związku z drugą i trzecią ofiarą. Zmienił wzorzec zabójstwa pomiędzy Welchem a Southemem.

- To oczywiste. Uznał, że skoro połączyliście te zabójstwa, skontaktujecie się z zakładami karnymi i ostrzeżecie ich.

Następne zabójstwo musiało być dokonane inaczej.

- A jeśli nie tyle uznał, ile raczej WIEDZIAŁ? - zastanawiał się Thome. - Jeżeli wiedział, bo jest blisko prowadzonego śledztwa? Od początku uważaliśmy, że musi mieć jakiś wewnętrzny dostęp do informacji. Ale pojawiły się te nowe dane i przestaliśmy zwracać sobie tym głowę. A jeśli popełniłem błąd, odrzucając ewentualność, że zabójca jest jednym z nas...?

Kiedy Thome wracał do Becke House, skierowano go z marszu do gabinetu Brigstocke a. Holland opowiedział Brigstocke owi i Kitson, co usłyszał od Joannę Lesser, a później także przez telefon od Irene Noble. Thome przyhamował rozpędzającego się Hollanda, domagając się, by ten powtórzył wszystko, co dotyczyło wizyty Lesser, aby być dzięki temu na bieżąco.

- To ciekawe, że daty adopcji i przeprowadzki nie są wcale odległe - powiedział Brigstocke.

- Potem jest jeszcze ciekawiej. Kiedy w końcu zdołałem skontaktować się z Irene Noble i wyjaśniłem, że chcę pomówić o Marku i Sarze Foley, pierwszą rzeczą, o jaką zapytała, było to, czy udało się nam ich znaleźć.

Thome spojrzał na Brigstockea.

- Skąd wiedziała, że ich szukamy?

- Nie to miała na myśli - odrzekł Holland. Zajrzał do swego notesu i przeczytał na głos: - „Czy w końcu ich odnaleźliście?” To jej słowa. Chodziło jej o to, co stało się przed dwudziestoma laty. - Holland uniósł wzrok i spojrzał na Thome a. - Ona twierdzi, że dzieciaki zaginęły w osiemdziesiątym czwartym...

- Zaraz po tym, jak Nobleowie je adoptowali - dodał Thome.

- Otóż to. - Brigstocke wstał i wyszedł z biurka. - Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wyprowadzili się z Colchester.

Holland odłożył notes i usiadł wygodniej na krześle.

- Teraz będzie jeszcze ciekawiej. Pani Noble twierdzi, że w tamtym czasie wszczęte było oficjalne śledztwo. Dzieci zostały uznane za zaginione. Policja szukała ich przez wiele tygodni...

- Sprawdziłeś to? - wtrącił Brigstocke.

- To bzdury. Cofnąłem się aż do osiemdziesiątego trzeciego, na wypadek gdyby pomyliły jej się daty, ale na nic takiego nie natrafiłem. Zero danych o jakichkolwiek poszukiwaniach czy zgłoszeń o zaginionych dzieciach. Ani na szczeblu lokalnym, ani tym bardziej krajowym. W ogóle czegoś takiego nie było...

- Jakie odniosłeś wrażenie, kiedy z nią rozmawiałeś? - spytał Thome.

- Wydawała się szczerą. Była zdenerwowana...

- Udawała?

- Raczej nie. Była dość przekonująca.

- Co z jej mężem?

- Roger Noble zmarł w dziewięćdziesiątym. Atak serca...

Thome zastanawiał się nad tym, po czym odwrócił się do Brigstocke a.

- Cóż, sugemję, że powinniśmy zamienić z nią słówko. - Brigstocke pokiwał głową. -  
Gdzie ją znajdziemy, Dave?

- Mieszka w Romford, ale jutro przyjedzie do miasta. Twierdzi, że lubi robić zakupy na West Endzie.

Thome udał zdziwienie.

- Doprawdy?

- Umówiłem się z nią na spotkanie, o wpół do jedenastej.

Brigstocke zdjął okulary, wyjął z kieszeni spodni zmiętą chustkę i otarł pot z oprawek.

- Dobra robota, Dave. Omów jeszcze raz to wszystko z sierżantem Karimem. Będzie musiał pozmieniać przydziały, wyznaczyć ludziom nowe obowiązki...

- Sir... - Holland otworzył drzwi i wyszedł.

- Yvonne, czy mogłabyś też się tym zająć? Może dopisze nam szczęście i odnajdziemy Marka Foleya i jego siostrę, teraz, kiedy już wiemy, że zmienili nazwiska...

Kitson nic nie powiedziała, tylko skinęła głową i postąpiła krok w stronę drzwi.

- Wiesz co, to się ciekawie zapowiada - mruknął Brigstocke. - Miło będzie przekazać nadkomisarzowi kilka dobrych wieści.

Thome nie mógł się powstrzymać.

- Powiedz mu, że wyglądał zabójczo tamtego wieczoru w telewizji...

Brigstocke uśmiechnął się wbrew sobie.

- Jasne, masz ochotę wpaść później na kufelek piwa, aby to uczcić?

- Nie mam czego uczcić - wycedził Thome. - Ale na piwo i tak przyjdę...

- Yvonne?

Kitson pokręciła głową.

- Mam za dużo pracy - Odwróciła się i wyszła, rzucając pod adresem Brigstocke a: -  
Muszę zmienić nazwiska z Foley na Noble w stu tysiącach danych, które nadal na bieżąco wyszukujemy.

Brigstocke zerknął na Thome a.

- Co ją ugryzło?

- Mnie o to nie pytaj.

- Może powinienes z nią pomówić...

Zadzwoiła komórka Thome a. Popatrzył na wyświetlacz i zobaczył, kto dzwoni. Powiedział Brigstocke owi, że skontaktuje się z nim później i wyszedł na korytarz, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Sobota jest nadal aktualna? - spytała Eve.
- Mam nadzieję.
- To świetnie. Pójdziemy gdzieś na kolację, a potem do ciebie.
- Brzmi kusząco. O cholera, wiesz, czego nadal nie zrobiłem?
- Kogo to obchodzi? Masz przecież kanapę, prawda?

Miał sporo pracy, zarówno zawodowej, jak i związanej z tym drugim, bardziej osobistym projektem. Nie żeby traktował zabijanie jako coś osobistego, a przynajmniej nie w kategoriach dotyczących jego samego. To go nie dotyczyło. Nie bezpośrednio.

Tego, co robił tym bydlakom w hotelowych pokojach, nie robił dla siebie ani ze względu na siebie. Zawsze się tego wypierał, kiedy podejmowali ten temat, i nadal tak będzie. Był szczęśliwy, mogąc to robić, bardziej niż szczęśliwy, kiedy okręcał linkę wokół ich szyj, by mocno ją potem zacisnąć, ale gdyby chodziło tylko o niego, nigdy by się na to nie zdobył.

On był tylko bronią...

To dziwne, ale w swojej dziennej pracy nabrał sporej pewności siebie. Wkładał coraz więcej zaangażowania w to, co robił, niż w patrzenie, jak te ścierwa błagają o łaskę, a potem umierają. Co prawda za bycie odpowiedzialnym uznawano możliwość spłaty hipoteki, a to co robił, mimo iż robił dobrze, nie przynosiło mu korzyści finansowych, ale zawsze był później dumny ze swoich dzieł. Gdzieś tam pozostawał po nim jakiś ślad.

Zaśmiał się, kiedy o tym pomyślał, i powrócił do pracy. Miał sporo obowiązków, musiał się sprężyć, jeżeli chciał się ze wszystkim uporać na czas. Oczywiście miał teraz mniej czasu, aby przygotować inne pilne sprawy, ale nie było powodów do paniki, bo to, co niezbędne, zostało już załatwione. Pozostały jedynie drobiazgi do dogrania.

Jeżeli chodziło o ostatnie zabójstwo, prawie wszystko było już zapięte na ostatni guzik.

## 23

Thome nie wyglądał na przekonanego.

- Nigdy nikogo nie przesłuchiwałem tam, gdzie kupuję spodnie.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz - zauważył Holland.

Zanieśli kawę do miejsca, gdzie siedziała Irene Noble, czekając na nich, choć centrum było otwarte zaledwie od pół godziny - z dwoma pękatymi reklamówkami od Marksa Spencera. Kafejka była względnie nowym dodatkiem dużego sklepu przy Oxford Street, wciśniętym w samym rogu działu z konfekcją damską. Siedziało w niej już kilka kobiet, które najwyraźniej wyruszyły na zakupy równie wcześnie jak Irene Noble.

Kiedy Thome wślizgnął się za stolik i usiadł obok Hollanda, zlustrował wzrokiem blisko tuzin kobiet, odpoczywających przez chwilę i szykujących się, by zabrać się ponownie do dzieła. Było tu też kilku wyraźnie znudzonych mężczyzn, zadowolonych z okazji, że mogą przysiąc nareszcie i na razie nikt ich nie pyta o zdanie.

Irene Noble wyjęła z torebki małe plastikowe pudełko słodzika. Nacisnęła wieczko, wrzuciła małą tabletkę do latte i spojrzała na Dave'a Hollanda, unosząc brwi.

- Pewnie myślą, że jestem pańską matką - rzekła.

Dobrze się trzymała jak na kobietę pod sześćdziesiątkę. Choć Thome uznał, że chyba trochę za bardzo stara się odmłodzić. Miała nieco zbyt jasne i zniszczone włosy i trochę przesadziła z tą szminką w kolorze wściekłej czerwieni. Thome pomyślał, że teatralny wręcz makijaż jest lądowym śpiewem przed zupełną z niego rezygnacją. Zanim zacznie mówić nieznanym, ile ma lat, zawsze nosić płaszcz i przestanie przejmować się czymkolwiek.

- Pani Noble, proszę nam opowiedzieć o Marku i Sarze...

Zamyśliła się przez chwilę i uśmiechnęła lekko, zanim wypła łyk kawy.

- Roger często żartował na ten temat, mówiąc, że zgubiliśmy ich oboje podczas przeprowadzki. No, wiecie panowie, jak serwis do herbaty czy coś w tym rodzaju. - Dostrzegła reakcję Thome'a i pokręciła głową. - To nie złośliwy żart, raczej przyjazny. Roger już taki był. Zawsze umiał mnie rozbawić, gdy było mi smutno. A ja często płakałam, kiedy to się stało...

- To stało się zaraz po tym, jak adoptowaliście te dzieci? - spytał Holland.

- Na początku osiemdziesiątego czwartego. Były z nami już od czterech lat. Mieliśmy pewne problemy, to oczywiste, ale dopiero wtedy wszystko faktycznie wzięło w łeb.

Thome zdał sobie sprawę, że miała miły głos. „Telefoniczny”. Jego matka też taki miała. To prawdziwy dar od Boga dla lekarzy, nauczycieli czy policjantów...

- Już wcześniej zdarzały się im pewne problemy, zgadza się - rzekł Holland. - Z poprzednimi rodzicami zastępczymi.

- Owszem, ale oni od razu rezygnowali z tych dzieci. Tylko Roger i ja jakoś sobie z nimi radziliśmy. Wiedzieliśmy, że musimy przez to przebrnąć. Te dzieci miały poważne zaburzenia i w sumie wcale im się nie dziwię.

- O jakich problemach mówimy? - spytał Thome.

Przerwała na chwilę, po czym odparła:

- Zaburzenia behawioralne, problemy z zachowaniem. Z przystosowaniem, rozumie pan? Roger i ja uważaliśmy, że udało się nam nad tym zapanować. Najwyraźniej się

pomyliliśmy. - Sięgnęła po łyżeczkę i mieszając kawę, wpatrywała się w swoją filiżankę. - Zaburzenia behawioralne - powtórzyła.

Thome spojrzął z ukosa na Holanda, który w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

- I dlatego postanowiliście je państwo adoptować? - zapytał Holland.

Pani Noble pokiwała głową.

- Co na to dzieci?

Spojrzała na Hollanda, jakby zadał naprawdę idiotyczne pytanie.

- Straciły biologicznych rodziców i od tamtej pory raz po raz doznawały zawodu ze strony rodziców zastępczych. Bardzo się ucieszyły, że staniemy się prawdziwą rodziną, my również nie mogliśmy się tego doczekać. Choć nie wychowywaliśmy ich od małego, mieliśmy dzięki nim wiele bezsennych nocy...

- W to akurat nie wątpię - rzekł Thome.

- I jeszcze więcej po ich zniknięciu. Całe mnóstwo...

- Jak to się stało? Jak zniknęły?

Odstawiła filiżankę i złożyła jedną pokrytą plamami wątrobowymi dłoń na drugiej.

- Przeprowadzaliśmy się w sobotę rano. Był przy tym olbrzymi chaos, ale to chyba oczywiste, czyż nie? Wszędzie pudła, pracownicy firmy przewozowej ślizgali się na oblodzonym, zaśnieżonym gruncie. Powiedzieliśmy dzieciakom, że mogą uporządkować swoje sprawy, załatwić, co miały do załatwienia... Poleciliśmy im zostać na górze...

- I powalczyć między sobą, które z nich dostanie większy pokój, mam rację?

Przeniosła wzrok na Thome'a.

- Nie. Sypialnie dla nich wybraliśmy już wcześniej, jeszcze przed przeprowadzką...

- Co się wydarzyło? - spytał Thome.

- Potrzebowały przestrzeni dla siebie, rozumie pan?

- Co się stało, pani Noble?

- Nikt nie słyszał, jak wychodziły, nikt nic nie widział. Wymknęły się jak duchy...

- Kiedy zorientowaliście się, że ich nie ma?

- Krzątaliśmy się po całym domu, próbując ogarnąć cały ten bałagan. Szukaliśmy herbaty, czajniczka czy czegoś tam. - Zaczęła skubać paznokcie. - To było chyba w porze kolacji. Nie pamiętam dokładnie. Było już raczej ciemno...

- I co państwo pomyśleli?

- Z początku nic. Oni często gdzieś znikali. Byli bardzo niezależni, wszędzie chodzili razem. Mark jednak zawsze czuwał nad Sarą. Stale opiekował się młodszą siostrą.

Thome zerknął z ukosa na Hollanda.

- Kiedy wezwaliście państwo policję? - spytał Holland.

- Następnego ranka, kiedy nie wrócili, zrozumieliśmy, że coś musiało się stać. Nie wrócili na noc do domu...

Thome wychylił się do przodu. Wziął jeden z włoskich biszkoptów, które podano mu do kawy, i przełamując go na pół, rzucił, jakby mimochodem:

- Kto zawiadomił policję?

Zero wahania:

- Roger. Sam poszedł nawet na posterunek. Uznał, że sprawie zostanie nadany szybszy bieg, jeśli pofatyguje się tam osobiście, i miał rację. Mówił, że od razu się tym zajęli. Dwóch funkcjonariuszy przyszło do naszego domu, kiedy ja przeszukiwałam park i okoliczne alejki.

- Roger powiedział pani, że przyszło dwóch funkcjonariuszy?

Skinęła głową.

- Zajrzeli nawet do sypialni dzieci. Zadawali pytania, jakie są w takich wypadkach wskazane. Zabrali kilka zdjęć...

Thome spojrział na Hollanda. Przypomnienie, aby zdobyć zdjęcia Marka i Sary w celu cyfrowego postarzenia, zgodnie z planem Brigstocke a. Holland zrozumiał, o co go poproszono, pokiwał głową i zapisał w notesie, co trzeba, żeby nie zapomnieć. Thome włożył resztę biszkopta do ust i żuł przez chwilę, zanim znów się odezwał.

- Czy policja od początku podejrzewała, że dzieci uciekły?

- W tym właśnie sęk, rozumie pan? Wszystko było w pudłach, rozsiane po całym domu. Trudno się było zorientować, czy zabrały coś ze sobą...

- Ale w końcu - powiedział Thome - musieliście dojść do takiego wniosku.

- Tak, dzień lub dwa później zorientowałam się, jakich rzeczy brakuje. Znikła też pewna suma pieniędzy, ale to uświadomiłam sobie znacznie później. Pomyślałam, że może poprzekładałam je podczas przeprowadzki. Kiedy policja dowiedziała się o dzieciach, o tym przez co przeszły, Roger powiedział, że od razu zaczęli traktować ten przypadek jak klasyczną ucieczkę z domu.

- I co zrobili?

- Byli bardzo drobiazgowi. Przeczესali cały kraj wzdłuż i wszerz. Były apele z prośbą o informacje, poszukiwania przeprowadzone przez wszystkie posterunki i w ogóle. Roger był przez nich informowany na bieżąco. Potraktowali tę sprawę bardzo poważnie. A przynajmniej przez pierwszych kilka tygodni, jak mówił Roger.

- Jak mówił Roger...

- Zgadza się. Codziennie chodził na posterunek i suszył im głowę. Niekiedy nawet dwa razy dziennie. Dopytywał się o rezultaty poszukiwań.

- Przez pierwszych kilka tygodni, mówi pani. A co później...?

- Inspektor powiedział Rogerowi, że jest pewien, iż dzieci są bezpieczne. Byli przekonani, że no wie pan, gdyby coś stało się Markowi lub Sarze, dowiedzieliby się o tym. To znaczy... odnaleźliby ciała...

Thome zauważył, że Irene Noble, obgryzając paznokcie, zdarła sobie kawałek skórki; popłynęła krew. Patrzył, jak polizła rozek serwetki i przyłożyła ją do skaleczonego miejsca. Kiedy znów się odezwała, ze zdziwieniem stwierdził, że nie miała już „telefonicznego” głosu i że wyraźnie było w nim słyhać akcent z Essex. Czy nie potrafiła dłużej utrzymać iluzji, czy może przestało jej zależeć, tego akurat nie był w stanie stwierdzić.

- Jako że nigdy nie miałam własnych - rzekła - nie mogę powiedzieć z całą pewnością, czy poczułam stratę, bo przecież Mark i Sara nie byli moimi rodzonymi dziećmi... to nie była moja krew... Rozumie pan, do czego zmierzam? - Thome pokiwał głową. - Kiedy policja poinformowała Rogera, że dzieci są bezpieczne, pogodziłam się z tym... Przestaliśmy się bać. I już się tak nie martwiliśmy. Ale wciąż za nimi tęskniliśmy. I w końcu przywykliśmy do tej tęsknoty... przyzwyczailiśmy się do tego, że ich nie ma...

- Czy widziała się pani wtedy z jakimś stróżem prawa? - spytał Thome. - Czy w czasie, kiedy prowadzone były poszukiwania Marka i Sary, rozmawiała pani z kimś z policji?

Thome spodziewał się chwili ciszy, bladej na twarzy, a tymczasem pani Noble tylko się uśmiechnęła. Po kilku sekundach uśmiech nieco przygasł, a kobieta niespodziewanie posmutniała, kiedy zaś się odezwała, jej oblicze gwałtownie się ożywiło...

- Roger chciał mi tego oszczędzić. Zajmował się wszystkim, wyręczał mnie. Może w ten sposób próbował uporać się z tym, co się stało, biorąc na siebie odpowiedzialność, angażując się w to wszystko, ale wiedziałam, że stara się mnie ochronić. Zajmował się wszystkim od strony oficjalnej. Całe to napięcie - wszystko, co się wydarzyło, i jeszcze ta sprawa ze szkołą - doprowadziło mego męża do przedwczesnej śmierci.

Thome zamrugał, wziął jeszcze jeden czy dwa głębsze oddechy. Jego podejrzenia zaczęły się krystalizować.

- O co chodzi z tą szkołą? - zapytał.

- Roger pracował w St. Josephs. To do tej szkoły mieli pójść Mark i Sarah - powiedziała to od niechcenia, jakby dzieci oblały egzamin wstępny. - To była tylko praca na pół etatu, drobne naprawy i takie tam. Któregoś dnia pojawił się ten mężczyzna, jeden z rodziców, dobijał się do drzwi. Powiedział, że jego syn był zamieszany w jakiś incydent i

wymienił imię Rogera. To rzecz jasna kompletna bzdura, facet miał nie po kolei w głowie, ale Roger bardzo się zdenerwował. Ten szaleniec nie chciał odpuścić i poszedł do dyrektora. Szkoła chciała zatuszować sprawę, co było właściwym rozwiązaniem, bo to przecież jednak wielka bzdura, ale Roger uznał, że powinien odejść. Zrobił to po cichu, żeby nie niepokoić dzieci. To było dla niego typowe. To skandal i potwarz, że ktoś mógł choćby sugerować... Po szkole i w wakacje zawsze było tu mnóstwo dzieci... W naszym domu zawsze były dzieci...

- Roger lubił dzieci...

Uniosła wzrok, jej oblicze złagodniało z wdzięczności za podpowiedź Thome'a. Za jego zrozumienie.

- O, tak. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale myślę, że w głębi duszy zawsze pragnął zrekompensować brak Marka i Sary. Przebywanie wśród innych dzieci było dla niego sposobem na poradzenie sobie z tym, co się stało. Później, po całej tej paskudnej aferze, wszystko zaczęło go przytłaczać. I w końcu jego serce nie wytrzymało...

- A jaki ty miałaś sposób, aby sobie z tym radzić, Irene? - spytał Thome.

- Po prostu modliłam się, aby dzieci były bezpieczne - odparła.

- Żeby Markowi i Sarze, gdziekolwiek się znajdowali, nie stało się nic złego...

Te słowa zapadły Thomeowi w pamięć. Kiedy opuszczali West End, przedzierając się przez korki i sunąc w żółtym tempie wokół Marble Arch, wóz i pasażerowie byli bardziej niż tylko trochę przegrzani.

- Dla Rogera Noble'a to było bardzo wygodne - zauważył Holland. - Dzieciaki zaginęły pomiędzy jedną szkołą a drugą. Zniknęły ze wszystkich rejestrów ministerstwa edukacji...

- Tak, to faktycznie wygodne - przyznał Thome.

- Ale one naprawdę zniknęły, zgadza się? Tylko głośno myślę...

Thome pokręcił głową.

- Za ich ucieczkę odpowiedzialny był Noble i dlatego nigdy nie zgłosił ich zniknięcia, ale chyba w grę nie wchodzi gorsze rozwiązanie. Gdyby je zabił, kogo byśmy teraz szukali?

- Co teraz zrobimy? - spytał Holland. - Czy nie powinniśmy tego zgłosić? Ten skurwiel mógł molestować wiele innych dzieci.

- To nie ma sensu. On już od dawna nie żyje. Nie skrzywdzi nikogo więcej.

- A co z nią? Myśli pan, że ona wiedziała?

Thome zastanowił się nad tym, co powiedziała Irene Noble. O tym, że modliła się, aby dzieci były bezpieczne. Pokręcił głową. Gdyby wiedziała, na pewno zdradziłby ją wyraz twarzy, kiedy mówiła te słowa, jej oblicze zaś pozostało spokojne i szczere.

W Grafton Arms, o rzut kamieniem od jego mieszkania, Thome wypił parę piw i rozegrał kilka partyjek bilarda z Philem Hendricksem. Piwo nie uderzyło mu do głowy, a na sześć partii bilarda pięć sromotnie przegrał.

- Jakoś dziś wyjątkowo nie cieszy mnie wygrana z tobą - rzekł Hendricks. - Jesteś wyraźnie czymś zaabsorbowany.

Thome, opierając się plecami o bar, nie odezwał się słowem. Patrzył, jak Hendricks wbija kolejne bile do łóz, by na koniec bez najmniejszych tmdności zrobić to samo z czarną.

- Może zagramy na pieniądze? To mogłoby pomóc ci się trochę skupić...

- Odpuśćmy sobie - mruknął Thome. - Dopiję piwo i spadam do domu...

Hendricks zabrał swego guinnessa z półki automatu z papierosami i podszedł, by stanąć obok Thome a przy barze.

- Wciąż tego nie rozumiem - powiedział. - Jak mogły o tym nie wiedzieć. Jak to możliwe, że niczego nie podejrzewały...?

Thome pokręcił głową, unosząc kufel do ust. Rozmawiali między innymi o Irene Noble i Sheili Franklin. O dwóch kobietach w podobnym wieku, mających kochanych, drogich ich sercom mężów, którzy dziś już nie żyli i których wspominały z czułością i oddaniem. Dwóch mężczyzn, o których wspomnienia żyły nadal, hołubione i troskliwie pielęgnowane. Dwóch ukochanych mężczyzn...

Jeden gwałcieciel, a drugi pedofil.

Thome przełknął ślinę.

- Może to kwestia wieku. No wiesz, różnica pokoleń.

- Bzdura - uciął Hendricks. - A co z moimi rodzicami? - Thome spotkał ich tylko raz, prowadzili pensjonat w Salford. - Mój stary nie mógłby nawet puścić bąka, żeby mama o tym nie wiedziała.

Thome pokiwał głową. Uwaga była słuszna.

- Z moimi to samo... - Musiała wiedzieć, o czym myślał, a co dopiero, czym się zajmuje na boku.

Hendricks sięgnął do górnej kieszeni dżinsowej kurtki i wyjął z paczki silk cuta. Thome zdenerwował się tak, jak może się zirytować tylko były palacz. Wkurzył go fakt, że jego przyjaciel mógł wypalić jedną czy dwie fajki, a potem przez tydzień lub dwa nie sięgnąć po kolejnego papierosa, aż do następnej okazji. Wypalał papierosa, czerpiąc z tego przyjemność, i nie potrzebował kolejnego przez dłuższy czas. W dodatku paczka zawierała tylko dziesięć fajek...

- Czy ktoś im powie? - spytał Hendricks. - Tym kobietom? Czy ktoś przekaze im całą mroczną prawdę o ich nieżyjących mężach?

- Na razie nie. Bo i po co? Jeżeli rozwiążemy tę sprawę, prędzej czy później i tak się dowiedzą...

Hendricks pokiwał głową i zapalił papierosa. Wstęgi siwego dymu popłynęły w powietrzu i w stronę stołu bilardowego, przy którym grali teraz mężczyzna z kobietą. Dym zawisł w powietrzu, pod lampą nad stołem.

- Może tylko się nam wydaje, że wiemy, jak to jest z naszymi rodzicami - rzekł Thome. - Może wiemy tylko tyle albo aż tyle co oni.

- Może...

- Jest taka stara piosenka country zatytułowana Behind closed doors, „Za zamkniętymi drzwiami...”.

- Niech to szlag, znowu się zaczyna...

- Ale to prawda, tak trudno ci to pojąć? Wiele z tego, co mówi się o rodzinach, to zwykle legendy. Mity przekazywane z pokolenia na pokolenie i nigdy nie wiesz, co się zdarzyło naprawdę, a co jest jedynie czymś wymysłem. Nikomu nie przyjdzie do głowy, aby usiąść z tobą i powiedzieć wszystko jak na spowiedzi, całą prawdę. I zanim się zestarzejesz, twoja historia staje się pogłoską. - Thome napił się. Wiedział, że w którymś momencie powinien porozmawiać z ojcem. Dowiedzieć się więcej o jego rodzicach i ich rodzicach. Ale teraz to nie miało większego sensu...

- Ja pierdolę - mruknął Hendricks - i to wszystko w jednej tylko piosence?

- Ale z ciebie palant...

Odeszli od barn, aby zrobić miejsce dla paru chłopaków, i dopili piwo, stojąc przy drzwiach.

- Co z tego wszystkiego wynika, jeżeli chodzi o Marka Foleya? - zapytał Hendricks.

- Wciąż pozostaje naszym głównym podejrzanym.

- Kimkolwiek jest...

- Tak, i gdziekolwiek jest. Ale nie stara się bynajmniej ułatwić mi życia...

- Popęlni błąd. A wtedy go przyskrzynimy.

- Nie mówię o schwytaniu go. - Thome owi trudno było myśleć o tym zabójcy, nie wyobrażając go sobie jako piętnastoletniego chłopca. Widział brata chroniącego siostrę, porywającego ją z miejsca, gdzie jedno z nich, a może oboje, padło ofiarą molestowania. - Wciąż staram się dociec, kim on naprawdę jest. - Thome odwrócił się, by spojrzeć na Hendricksa. - Cała ta sprawa jest cholernie pogmatwana i zaczyna stawać na głowie, tak że

coraz trudniej mi się w tym wszystkim połapać. Mark Foley, Noble czy kimkolwiek jest teraz, za kogokolwiek by się podawał, to zabójca i ofiara zarazem.

Hendricks wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- To z tego, że pewnej części JEGO pewna część mnie wcale nie chce złapać...

Thome odprowadził Hendricksa do metra. Hendricks zapytał Thorne'a o Eve; zaczął żartować na temat ich planowanej, gorącej sobotniej randki i jął skarżyć się na swe burzliwe, choć z drugiej strony przeraźliwie puste życie erotyczne.

Thome nie zwracał większej uwagi na jego smętne wywody. Był zmęczony, wyobrażał sobie siebie opadającego delikatnie na znajomy stok, paprocie zafalowały na powitanie, gdy się do nich zbliżył. I nagle obok niego znalazła się Jane Foley, opadała w dół ku ziemi tuż przy nim i choć nie widział wyraźnie jej twarzy, wyobraził sobie malujący się na niej ból, udrękę i cierpienie jej własne i jej dzieci.

Thome wiedział, że kiedy on i Jane Foley dotknie ziemi, ich ciała przebiją się przez warstwę paproci i popłyną dalej. Wiedział, że zbrocze wzgórza zapadnie się pod ich ciężarem i runą w dół, w głąb ziemi, tam, gdzie wilgoć, ciekąca woda i zbutwiałe drewno starych trumien. Będą przedzierać się przez kruche, rozsypujące się w pył kości i jeszcze dalej. W ciemność, gdzie nie było już słycać żadnych dźwięków, a ze wszystkich stron otaczać ich będzie twarda, zbita, czarna ziemia.

## 24

Głos Irene Noble nagrany na automatycznej sekretarce był jeszcze dźwięczniej szy niż w rzeczywistości. Holland zaczekał na sygnał, po czym rzekł:

- Mówi detektyw konstabl Holland z Grupy ds. Przepięstw Szczególnych. Wczoraj, kiedy ja i inspektor Thome panią przesłuchiwałem, zapomnieliśmy zapytać o zdjęcia dzieci. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zdołała pani wypożyczyć nam jakieś zdjęcia, naturalnie do zwrotu po zakończeniu sprawy. Mam nadzieję, że oddzwoni pani jak najszybciej na jeden z numerów, które pani zostawiliśmy wraz z wizytówką. Będziemy wielce zobowiązani. Z góry dziękuję...

Holland odłożył telefon i uniósł wzrok. Andy Stone patrzył na niego zza swego biurka.

- Zdjęcia dzieci Foleyów? - spytał Stone.

- Inspektor chce je wrzucić do komputera i postarzyć.

Stone pokręcił głową.

- To strata czasu. Nigdy nie wyglądają tak jak poszukiwani, kiedy ich w końcu dorwiemy.

- Jeśli ma zdjęcia tuż przed ucieczki dzieciaków, powinny mieć piętnaście i trzynaście lat. Nie mogły zmienić się aż tak bardzo.

- Zdziwiłbyś się, stary. Wpadłeś kiedyś na kogoś, kogo nie widziałeś kilka lat, i go nie poznałeś? A mówimy tu tylko o paru latach.

Holland zamyślił się nad tym i musiał przyznać, że to prawda. Dzięki pracy przy poszukiwaniach sprawców zabójstw symultanicznych, rok wcześniej, wraz z Thome'em wiedział, że jeśli ludzie chcieli zmienić wygląd, nie było to wcale takie trudne. Mimo to, skoro mieli do dyspozycji taką technologię, nie widział powodu, czemu nie miałyby z niej skorzystać.

Stone nie był przekonany. To prosty program polegający na cyfrowym postarzaniu fotografii. Koniec końców masz tylko sporo domysłów i przypuszczeń. Skąd wiadomo, czy ktoś stracił swą bujną czuprynę, przybrał na wadze, czy coś takiego.

- Widziałem udane zdjęcia - upierał się Holland. - Podobieństwo było dość duże.

Stone wzruszył ramionami i wrócił do swoich zajęć.

- Czy wiadomo na pewno, że ona ma jakieś ich zdjęcia? - rzucił, nie unosząc wzroku.

- Czy na pewno, to nie wiadomo. Ale byłoby dziwne, gdyby nie miała. Naprawdę bardzo je lubiła...

- Zamierzasz zlecić komuś, żeby po nie pojechał? - ciągnął Stone.

- Czy sam się tam pofatygujesz?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Zobaczymy, co powie, kiedy oddzwoni, wszystko zależy od tego, czy nie będę wtedy zajęty. A ty chciałbyś pojechać?

- Nie...

- Jest samotna, ale chyba troszkę za stara, nawet jak dla ciebie.

- Chyba tę jedną sobie odpuszczę...

- Jak chcesz. - Holland zanotował czas nagrania wiadomości. Środa, siódmego, 10.40. Da Irene Noble czas do końca dnia, a potem znów zadzwoni. Kiedy Stone zaczął coś mówić, Holland spojrzał na niego. Stone rozsiadł się wygodnie, wlepiając wzrok w przestrzeń.

- Bardzo je lubiła? Chyba trochę przesadzasz...

- Myślę, że lubiła je nawet więcej niż bardzo - rzekł Holland. - Ale owszem, była przy tym wyjątkowo naiwna. Możesz nawet powiedzieć głupia, jeśli chcesz...

Stone przeniósł wzrok na Hollanda.

- Jeżeli miłość jest ślepa, to ona musiała być naprawdę ślepa jak kret albo może nietoperz...

Ktokolwiek sądził, że komputery uwolnią ludzi od papierkowej roboty, srodze się omylił. Na biurkach jak zawsze piętrzyły się całe sterty papierów. Jedyna różnica polegała na tym, że pochodziły one obecnie z komputerowych drukarek.

Thome siedział i czytał historię czterech zabójstw. Te same strzępki informacji, które zamulały mu umysł, były również gdzieś zapisane na papierze. Na laserowych wydrukach formatu A-4, na wyblakłych, zawijających się ryzach papierem do faksu, na samoprzylepnych karteczkach i stronicach wyrwanych z notesu. Całe dochodzenie miał rozłożone przed sobą na biurku. Sterty papierem z oślimi uszami, białych, pożółkłych i poszarzałych. Spiętych gumką, włożonych do foliowych koszulek, wciśniętych w plastikowe okładki, zszytych zszywkami albo poukładanych w kartonowych teczkach...

Thome nie pominął żadnego elementu tej papierowej układanki. Szukał odpowiedzi, która, jak wiedział, gdzieś tam się kryła. Gmerał w śmieciach, jak mewa wśród odpadków. Czame jak paciorek oko poszukiwało chciwie jakiegoś łakomego kąska.

Wciąż słyszał yorkshirski akcent w głosie Carol Chamberlain. Głęboki sens zawierał się w każdej silnie wypowiedzianej zgłosce.

Jeśli gdziekolwiek to jest, musi być w szczegółach.

Naprzeciw niego Yvonne Kitson siedziała, stukając w klawiaturę, jej oblicze znikło za równie wielką stertą papierów, z którymi musiała się uporać. Wciąż pracowała nad poszukiwaniami Foley Noble, sprawdzając dziesiątki tysięcy adresów, numerów rejestracyjnych aut i NIPów, zbierając przy tym i sortując wciąż nadchodzące informacje na temat zabójstwa Southema.

Thome patrzył na nią. Aby zwrócić jej uwagę, zaczął wrzucać do kosza zmięte w kulkę kostki papierem. Przez chwilę zerkał na rzeczy znajdujące się na biurku, w poszukiwaniu czegoś, co mógłby poświęcić, ale ostatecznie zmitygował się...

- Pomijając całą resztę - rzekł Thome - mordercy nie wpływają najkorzystniej na ratowanie lasów deszczowych.

Kitson uniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Słucham?

Pbdniósł cały plik raportów z autopsji i pomachał nimi. Skinęła głową na znak, że zrozumiała.

- Jak ci idzie, Yvonne?

- Nie udało się nam znaleźć go ani jako Foleya, ani jako Noblea. Zresztą Markiem Noble em był zaledwie przez chwilę...

- I nienawidził tego. Nie cierpiał nazwiska tego mężczyzny.

- To fakt. Na jego miejscu zmieniłabym nazwisko albo przynajmniej przestałabym się nim posługiwać, gdy tylko zdołałabym się stamtąd wyrwać.

Thome nie mógł spierać się z tym, co mówiła Kitson. Będzie musiał pójść do Brigstocke a i zasugerować, aby zajęli się czymś innym, bardziej konstruktywnym. Tyle tylko, że nie miał pojęcia, czym...

- Ryjmy dalej - powiedział.

Trop wiążący się z adopcją molestowaniem ucieczką był jednym z tych, które nieodparcie zdawały się prowadzić w ślepią uliczkę. Trudno było ustalić, co stało się z kimś, kto uciekł z domu zaledwie pół roku temu. Ustalenie, choćby w teorii, dokąd mogła trafić para nastolatków, które zniknęły z domu w Romford prawie dwadzieścia lat wcześniej, graniczyło z niemożliwością.

Mimo to musieli spróbować i podczas gdy Holland, Stone i reszta zespołu robili, co w ich mocy, Thome raz jeszcze przejrzał wszystko, czym dotychczas dysponowali. A mieli tego dość sporo. Do lunchu nie odkrył niczego istotnego, ale odniósł wrażenie, jakby przeczytał owszystkich morderstwach, jakie kiedykolwiek się wydarzyły. Widział dłonie patologów zagłębiające się we wszystkich klatkach piersiowych ichłodnych, śliskich wnętrznościach. Wysłuchiwał wszystkich, bynajmniej niczego niewnoszących słów ludzi, którzy kiedykolwiek trafili na ten sam przystanek autobusowy co ofiary.

Miał dość.

- Z czym masz dziś kanapki?

Kitson pokręciła głową, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

- Nie miałam dziś czasu. Dzieciaki dokazywały i ogólnie zrobił się niezły... - Nie dokończyła, aż Thome wreszcie się odezwał.

- Nie możesz stale żonglować wszystkimi piłeczkami równocześnie, Yvonne. Czasem trzeba którąś upuścić, no wiesz. - Kitson uniosła wzrok i uśmiechnęła się słabo. - Czy wszystko w porządku, Yvonne?

- A ktoś coś mówił? - odparowała, nieco zbyt impulsywnie.

- Nie, ale wydajesz się trochę... rozkojarzona.

Uśmiech Kitson pogłębił się i po chwili znów wyglądała tak jak zawsze. Jak ktoś, w kogo mógł rzucać kulkami z papieru.

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała.

Następne zabójstwo musiało być ostatnie, przynajmniej na pewien czas. Będzie spektakularne i całkiem uzasadnione. Później jednak policyjne śledztwo ruszy z kopyta i ryzyko schwytania, choćby tylko z punktu widzenia statystyk, gwałtownie wzrośnie. Gdyby miał zostać złapany i sądzony za swoje zbrodnie, następne zabójstwo pograży go na amen. Zostanie skazany praktycznie bez procesu. Teraz jednak, gdy miał na koncie tylko tamtych, sprawa przedstawiałaby się zgoła inaczej. Gdyby miał stanąć przed sądem za zabójstwa Remfry ego, Welcha i Southema, mógłby chyba zaryzykować...

Jeżeli teraz gazety robiły szum co do szeroko zakrojonej obławy, sprawa sądowa stałaby się sensacją na skalę krajową. Był pewien, że miałby za sobą poparcie bulwarówek. Może nawet zdołałby przekonać którąś z nich, aby sypnęła groszem i wynajęła dla niego najlepszego adwokata. Już postanowił, że gdyby do tego doszło, sam będzie wypowiadał się w swojej obronie, stanie dumnie wyprostowany, z uniesioną głową i powie wszystkim dokładnie, co zrobił i dlaczego. Był przekonany, że po takim wystąpieniu tylko wyjątkowo odważny sędzia pokusiłby się o dłuższy wyrok dla niego.

Niektórzy na pewno będą utyskiwać; ci, co błędzą i rozczulają się nad wszystkimi. Podobnie jak ci, co sądzą, że powinien spłacić swój dług wobec społeczeństwa w taki sam sposób, jak ci porządni, prawi obywatele, których zabił, a którzy też wcześniej odsiedzieli swoje.

A niech gadają. Niech protestują, ci dumi kretyni. Niech korzystają do woli ze słów w rodzaju „perwersja” i „sprawiedliwość” i niech łączą je ze sobą, jakby były ich własnością, choć żaden z nich nie miał zielonego pojęcia o ich prawdziwym znaczeniu.

Perwersja i sprawiedliwość. Upadek i stracone nadzieje. Upiorna komedia, która zapoczątkowała wszystko...

Naturalnie tak tylko fantazjował, chyba że w następnych dniach gliny zapukają do jego drzwi. Po tym ostatnim zabójstwie nic, co mógłby powiedzieć, nie zdoła go ocalić. Prasa bulwarowa weźmie go na celownik, jak całą resztę, z chwilą gdy tylko zostanie odkryte ciało ostatniej ofiary. Gwałciciele to jedno, ale w tym wypadku chodziło o kogoś całkiem innego.

Thome stał w sali odpraw, wrzucając monety do automatu z kawą, kiedy podszedł do niego Karim.

- Panie inspektorze, panna Bloom na trójce...

Chwilowo zdezorientowany Thome sięgnął do tylnej kieszeni i stwierdził, że jest pusta. Zostawił komórkę na biurku w gabinecie. Eve na pewno zadzwoniła najpierw na komórkę, a gdy nie odebrał, zatelefonowała na jego numer służbowy do pracy...

Thome podszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Przyłożył ją do piersi, aż Karim oddalił się na dostatecznie dużą odległość.

- To ja. Co się dzieje?

- Nic wielkiego. Keith mnie zawiódł, więc muszę zmienić godzinę naszego sobotniego spotkania. Powiedziałam mu, że wychodzę, a on zaoferował się, że zamknie za mnie kwiaciarnię. Aż tu nagle zjawia się i mówi, że też musi wyjść wcześniej... więc jestem w kropce...

- Nic nie szkodzi. Przyjdiesz, o której będziesz mogła.

- Wiem, ale chciałam zjawić się jak najwcześniej i trochę się wyluzować, zanim pójdziemy na jakąś kolację...

- Brzmi ciekawie...

- Przypuszczam, że będę gdzieś na siódmą. Tyle potrwa, zanim zamknę interes i zrobię choć delikatny makijaż...

- Ja i tak pewnie nie zjawiłbym się w domu wcześniej.

- Wybacz, że tak się to wszystko pogmatwało, nasze ustalenia wzięły w łeb, ale to nie moja wina. Keith jest raczej obowiązkowy i można na nim polegać. Tom...?

Głos Eve cichnął w oddali.

Thome już jej nie słuchał. Nasze ustalenia.

Zbliżenie i stopklatka.

Pewność, jakiej nagle nabrał, pojawiła się równo szybko i gwałtownie, jak zadziergnięta na szyi pętla. Jak niebieska, rozmyta smuga, kiedy sznur opada przed twoją twarzą, na moment przed tym, jak wpije się w skórę na szyi, Thome nagle pojął, co przez cały ten czas mu umykało. Co znajdowało się, jak ulotny cień, poza jego zasięgiem. A teraz ujrzał to wszystko, wyraźniej niż kiedykolwiek...

Coś, co czytał, i coś, o czym nie przeczytał...

Znaleziono wszystkie listy Jane Foley do Remfry ego, te które dostał w więzieniu, i kilka, które nadeszły na jego adres domowy, po tym jak zwolniono go z zakładu karnego. Nic nie wskazywało, aby któregoś z listów brakowało, bo niby skąd?

A jednak brakowało.

Thome czytał te listy tuzin razy, a może nawet więcej i w żadnym z nich Jane Foley nie pisała na temat planów swego spotkania z Douglasem Remfrym. Nigdy nie padły konkrety dotyczące tej z dawna wyczekiwanej randki. Nie podano czasu ani miejsca. Nie padła również nazwa hotelu...

Jak u licha zdołali to wszystko zaaranżować?

I wtedy Thome przypomniał sobie coś, co wyczytał z notatek Dave'a Hollanda, a konkretnie z jego raportu z pierwszej wizyty mającej na celu odebranie rzeczy Remfry ego w dniu, kiedy udał się tam z Andym Stone'em i wyciągnął te listy spod łóżka Remfry ego. Mary Remfry podkreśliła to, jak dużym powodzeniem wśród kobiet cieszył się jej syn. Wspomniała, że odkąd wyszedł z więzienia, kobiety stale uganiały się za Douglasem. Wydzwaniały do niego... Remfry, Welch i Southern wynajęli pokoje w hotelach, bo mieli coś więcej niż nadzieję na spotkanie z Jane Foley.

Mieli pewność.

Rozmawiali z nią.

## 25

- I to rozmawiali nie tylko przez telefon - powiedział Holland. - Nie wiem jak inni, ale śmiem twierdzić, że Southern mógł się z nią spotkać osobiście.

Zebrał się w gabinecie Brigstocke'a, przed zarządzoną ad hoc odprawą. Minęło osiemnaście gorączkowych godzin, odkąd Thome poskładał to wszystko w całość. Odkąd odkrył, że w grę wchodzi także kobieta...

- Mów dalej, Dave - rzekł Brigstocke.

- Przesłuchałem byłą dziewczynę Southema...

Thome przypomniał sobie, że czytał sprawozdanie na ten temat.

- Zgadza się. Rozstali się niedługo przed jego śmiercią, zgadza się?

- Otóż to. Powiedziała, że rzuciła go przede wszystkim dlatego, że dowiedziała się o tej drugiej, o tym, że Southern rzekomo za jej plecami spotykał się z inną. Ktoś powiedział jej, że Southern chwalił się tym w pubie. Opowiadał kumplom, że poderwał ekstra towar. Ale tak naprawdę...

- Tak?

- Muszę zajrzeć do zapisów z przesłuchania, ale chyba powiedział kumplom, że to raczej ta dziewczyna poderwała jego.

Thome powiódł wzrokiem w stronę biurka Brigstocke'a na ułożone w dwa rzędy czarnobiałe zdjęcia.

- Jane Foley - rzekł.

- Kim ona jest, tak naprawdę? - rzuciła Kitson.

- Może być kimkolwiek - odparł Thome. - Nie możemy wykluczać żadnej ewentualności. Może być wynajętą przez niego modelką albo dziwką. Zabójca mógł

wykorzystać ją do sporządzenia zdjęć i zapłacił ekstra, aby zadzwoniła do Remfry ego i Welcha. A potem dorzucił coś górką, by poderwała Howarda Southema...

Brigstocke pozbiierał swoje notatki. Nie wierzył w tezę Thome a bardziej niż on sam.

- Nie, to Sarah. Siostra. To musi być ona...

- Używa nazwiska matki - wtrącił Thome.

- Bo w tym wszystkim w ogóle chodzi o matkę - dodał Holland.

- Wszystko kręci się wokół Jane.

Thome mszył w stronę biurka, a mijając Hollanda, poprawił go:

- Chodzi o RODZINĘ...

- Czyli że nic nie jest tym, czym się wydaje - rzekł Brigstocke.

- Cała ta sprawa jest o wiele bardziej poplątana i pogmatwana, niż możemy sobie wyobrazić.

Thome myślał na głos.

- Ja zaczynam sobie wyobrażać - oznajmił. - Rodziny są w stanie znieść niejedną tragedię...

- Skończyliśmy? - zapytała nagle Kitson. Nie czekając na odpowiedź, mszyła w stronę drzwi. - Mam do załatwienia jeszcze kilka spraw, zanim się zacznie odprawa.

- Myślę, że tak. Czy wszyscy wiedzą, co mają robić? - Brigstocke spojrzał na zegarek, a potem na Thome a. Oblicze inspektora w porównaniu do tarczy zegarka pozostawało nieodgadnione.

- Wobec tego za pięć minut zaczynamy...

Na biurku Hollanda leżała kartka z nabazgranym pospiesznie napisem „nieodebrane połączenie”. Zmiał kartkę w dłoni, wybierając numer.

- Pani Noble? Mówi detektyw konstable Holland. Bardzo dziękuję, że zechciała pani odebrać. - Zamierzał skontaktować się z nią jeszcze wczoraj, ale po rewelacjach Thome a wszystko wzięło w łeb.

- Niestety pańską wiadomość odebrałam dość późno - rzekła. - I nie wiedziałam, czy powinnam zadzwonić do pana na numer domowy.

- Trzeba było to zrobić - powiedział Holland. Przypuszczalnie i tak nie usłyszałby telefonu w hałasie, jaki zrobił, kiedy pokłócił się wczoraj z Sophie.

- Odzyskam te zdjęcia, tak?

- Oczywiście. Obiecuję, że się nimi zaopiekujemy.

- Potrzebuję trochę czasu, aby je znaleźć. Podejrzewam, że są w piwnicy. A może na poddaszu. Tak czy owak, znajdę je...

Holland obejrzał się przez ramię. Sala odpraw wypełniała się. Zapewne na zewnątrz wciąż pozostawało około tuzina zagorzałych palaczy, chłonących ostatniego na najbliższych parę godzin dymka, ale wszystkie wolne krzesła i blaty biurek były już pozajmowane.

- Jak pani przewiduje, ile może to zająć? Dzień, dwa?

- Tak. Myślę, że tak. Przez lata nagromadziłam sporo różnych rupieci, sam pan rozumie...

- A kiedy znajdzie już pani te zdjęcia, kiedy moglibyśmy przyjechać, żeby je odebrać?

- Słucham?

Holland powtórzył pytanie, nieco podnosząc głos, by przebić się przez otaczający go gwar.

- Kiedy tylko chcecie - odparła. - Nigdzie się nie wybieram.

Thome był sam w gabinecie Brigstockea. Do rozpoczęcia odprawy zostało tylko pięć minut. Brigstocke, który ją zarządził, był już w sali odpraw. Kiedy powie swoje, przekaze pałeczkę Thome owi.

Stanął przed galerią zdjęć na biurku Brigstockea. Serią obrazów starannie przemyślanych, by kusić i zwodzić. Sugerować coś więcej, niczego równocześnie nie zdradzając... Thome nie miał pewności, że kobietą na zdjęciu była Sarah Foley. Ale to bez znaczenia. Była tam, a zarazem jakby jej nie było. Na większości zdjęć klęczała, z pochyloną głową, ukryta wśród artystycznie pomyślanych światłocieni. Thome brał do ręki kolejne zdjęcia, oglądał je i na próżno czekał, by zdradziły mu coś, co skrzętnie zachowywały dla siebie.

Poza niepokojącymi, silnymi sensacjami, jakie widok zdjęć wywoływał w jego kroczu, Thome nie doświadczył niczego nowego.

Nawet fizycznie, choć obietnica pełnego zniewolenia pozostawała niezmienna, ujawniano niewiele. Na kilku zdjęciach kobieta zdawała się mieć czarne włosy, na innych zaś wyglądała na blondynkę. Rzecz jasna mogła nosić perukę. Nawet samo ciało zdawało się zmieniać, w zależności od upozowania i oświetlenia. Było na pewno wiotkie i muskularne, ale jego pozycja nie pozwalała na określenie wzrostu ani nawet budowy kobiety, do której należało.

Sarah Foley, jeżeli to była ona, nie pozwoliła uchwycić na tych zdjęciach prawdziwej siebie.

Thome spojrzał na zegarek. Jeszcze chwila i musi stąd wyjść. Musi ich zmobilizować, dać zespołowi jakiś impuls, który pchnie ich ku rozwikłaniu tej sprawy.

Przez następnych kilka dni będą urabiać sobie ręce po łokcie, on może nawet bardziej niż inni. Jak zawsze będą się cofać, by przyjrzeć się wszystkiemu w świetle nowych dowodów, przez cały czas jednak posuwając się naprzód. Czuł już to pragnienie, ten głód, który narasta, gdy rozchodzi się zapach szykowanych potraw, to było niczym zew krwi. Śledztwo szybko nabierało rozpędu, przyspieszało coraz bardziej. Od tej chwili Thome zamierzał dopilnować, aby nic mu nie umknęło. Mimo to, jeżeli nie dojdzie do aresztowania, jeszcze przed weekendem będzie gotowy na małą przerwę. Sobotni wieczór z Eve i niedziela z ojcem. Pozwolił sobie na uśmiech. Gdyby w sobotni wieczór wszystko poszło dobrze, zapewne następnego dnia nie będzie zrywał się bladym świtem. Pośni trochę dłużej.

Thome uważał, że do soboty będzie potrzebował czegoś, co pomoże mu się odprężyć. Pewne jego części, te lepsze, wymagały treningu i nie miał tu na myśli jedynie seksu. Miło byłoby dać się ponieść emocjom wspólnie z Eve, popłynąć z prądem i zawierzyć niewypowiedzianym obietnicom. To niepokojące napięcie i cudowne wyzwolenie. Nie mógł też już doczekać się, kiedy spędzi kilka godzin z ojcem. Pragnął poczuć ten szwung, który narastał za każdym razem, kiedy ojciec zwykle nieświadomie dawał mu popalić...

W drzwiach pojawił się Karim i spojrzał na niego.

- Już idę, Sam - rzucił Thome.

Z prawdziwą pasją przemówił do funkcjonariuszy, którzy na niego czekali. Teraz bardziej niż kiedykolwiek pragnął dopaść tego zabójcę i chciał, by to pragnienie przeszło na innych niczym choroba. Chciał wykorzystać uczucie przygnębienia i przekonanie, że może sprawić, aby pewne rzeczy wydarzyły się same z siebie.

Musiał jednak ukryć w sobie inne odczucie, to które pojawiała się i odchodziło, a niekiedy sprawiało, że miał wrażenie, jakby coś wrywało się i przemykało w jego piersi, pod żebrami. Tak, rwali ostro naprzód. Ni stąd, ni zowąd, posuwali się coraz szybciej, zbliżali się do finiszu. Ale Thome miał niepokojące wrażenie, że coś z równie zawrotną szybkością i niezłomną determinacją kierowało się z naprzeciwnika, w ich stronę. Zbliżało się do nich. Zderzenie było nieuchronne, ale nie wiedział, kiedy ani z której strony nadejdzie.

Nie zdoła dostrzec zagrożenia na czas.

Thome pozbierał zdjęcia z biurka, włożył do teczki i mszył w stronę sali odpraw.

## 26

Rozmawiali powoli, szeptem.

- Obudziłam cię?

- Która godzina?

- Późna. Śpij...

- Nic nie szkodzi...

- Przepraszam.

- Znow miałas ten sen?

- Śnię o tym każdej nocy. Jezu...

- Wcześniej nie miewałaś snów, prawda? Ja śniłem o tym przez cały czas, noc w noc, ale ty nigdy...

- Cóż, teraz już je mam. Są naprawdę zabójcze.

- To właściwe określenie.

- Jak sądzisz, czy kiedyś przestaną mnie nękać? Kiedy już będzie po wszystkim?

- O czym mówisz?

- O snach. Czy przestaną mnie nękać, kiedy to wszystko się skończy?

- Niedługo się przekonamy.

- Denerwuję się tym teraz, no wiesz.

- Nie powinnaś.

- Tego kontrolujemy słabiej niż innych. Zdajesz sobie z tego sprawę? Z tamtymi wiedzieliśmy, czego oczekiwać, wiedzieliśmy wszystko, co może się wydarzyć. Na tym polegała przewaga hoteli, byli tacy przewidywalni...

- Damy radę...

- Jasne, że tak. Wiem, że masz rację. Kiedy budzę się z takiego snu i myślę o tym, co w nim widziałam, mam kompletny mętlik w głowie.

- Tylko dlatego się denerwujesz? Boisz się, że coś pójdzie nie tak?

- A czego innego miałabym się bać?

- W takim razie o nic się nie martw.

- Obyś zjawił się na czas...

- Nie wygłupiaj się...

- Mam, kurwa, nadzieję, że się nie spóźnisz. I to nie są żarty. Weź pod uwagę korki.

- Nigdy nie miałem problemu z korkami i zawsze byłem na czas, gdzie trzeba.

- No, wiem, przepraszam...

- A co z Thomeem?

- Thome to nie problem.

- Świetnie...

- Jestem taka zmęczona, spróbuję się choć trochę zdrzemnąć. Wyciągnął rękę i objął ją w talii.

- Chodź tu, pomogę ci...

## 27

Nie tak dawno temu, w mroźną noc, kiedy pogoda i osamotnienie wydawały się tworzyć zgrany duet, Thome wybrał numer, spisany z ogłoszenia na szybie w kiosku. Pojechał do mieszkania w suterenie w Tufnell Park, wręczył kilka banknotów i patrzył jak tłusta, różowa dłoń stara się go zaspokoić. Wysłuchał niezbyt przekonujących stęknień i słów zachęty kobiety; bransoletka z amuletami na jej dłoni pobrzękiwała w rytm jej pracy. Słyszał swój własny oddech i ciche, zdesperowane jęki, kiedy skończył.

Później pojechał do domu i położył się do łóżka, gdzie zrobił to samo, sam, nie płacąc dwudziestu pięciu funtów...

Teraz Thome krzątał się po swoim gabinecie, odganiając od siebie obowiązki nudnej roboty i wspominając obyczajową ręczną robotę z jeszcze mniejszą przyjemnością, niż czuł podówczas. To była wykładnia tego, jak fatalną miał wówczas samoocenę. I jak bardzo czekał na wieczór w towarzystwie Eve Bloom.

Opuszczając Becke House, będzie naprawdę szczęśliwy. Już od dawna tak się nie czuł. Sprawy potoczyły się błyskawicznie. W ciągu kilku dni, odkąd kobieta - która mogła, choć niekoniecznie, być Sarą Foley - wdarła się przemocą do właściwej części mózgu Thome'a i sprawiła, że śledztwo ruszyło z kopyta; istniała nawet nadzieja na pomyślne jego zakończenie.

Przesłuchali byłą dziewczynę Howarda Southema, potwierdzili jej wersję na temat innej kobiety i bardzo szybko zdołali znaleźć kilka osób, które twierdziły, że widziały Southema w towarzystwie kobiety w dniach poprzedzających jego zabójstwo. Podawane rysopisy były mgliste i sprzeczne - „szczupła” i „jasnowłosa”, to jedyne przymiotniki pojawiające się więcej niż raz. Barmanka powiedziała, że widziała, jak kobieta zaciąga Southema w ciemny kąt, gdzie kleiła się do niego, jakby chciała mieć go tylko dla siebie. Za pomocą komputera sporządzono portret pamięciowy, ale był nijaki i bardziej anonimowy niż zazwyczaj. Nie dowiedzieli się o tej kobiecie więcej niż ze zdjęć wysłanych do mężczyzn, którzy mieli zostać zabici.

A jednak to jakiś postęp...

Kolejny trop wiązał się z możliwością, że kobieta nie tylko uwodziła ofiary i wabiła do miejsc, gdzie mieli umrzeć. Choć Thome miał co do tego wątpliwości, musiał przyznać, że najprawdopodobniej była obecna przy ich śmierci.

Wracali do hotelu w Slough i Roehampton, do noclegowni w Paddington, zadając pytania. Nie natrafiono na nic ciekawego podczas ponownych oględzin zapisów z kamer przemysłowych, ale to akurat nikogo nie zdziwiło. Jeżeli Mark Foley znał rozmieszczenie kamer, to ona również. Kobieta pracująca w recepcji hotelu Greenwood w noc, kiedy zginął Ian Welch, przypomniała sobie, że widziała kręcącą się tam blondynkę. Sądziła, że jest z kimś, kto akurat poszedł do barn, ale nie zauważyła, aby z kimkolwiek rozmawiała. Recepcjonistka twierdzi, że „wyglądała zabawnie”...

Thome nie był pewien, jaką rolę odgrywała ta kobieta. Zastanawiał się, jakie zarzuty jej postawią, kiedy ją w końcu znajdą. Zapewne „współdział w zaplanowanej zbrodni”. Owszem, mogła pojawiać się w hotelach, może nawet pukała do drzwi pokoi ofiar, podczas gdy Mark Foley stał opodal, w ukryciu, skręcając w dłoniach sznur do bielizny..

A co poza tym...? Jeżeli tą kobietą była Sarah Foley, Thome nie wyobrażał sobie, aby mogła na to patrzeć. Nie wyobrażał sobie, aby mogła patrzeć, jak jej brat gwałci innego mężczyznę...

Takie właśnie mroczne myśli Thome odganiał od siebie, przynajmniej na jeden wieczór, żegnając się z kolegami w sali odpraw.

Kiedy dotarł do windy, drzwi właśnie się otworzyły. Nie zwalniając kroku, Thome wszedł do kabiny i odwrócił się, aby nacisnąć guzik. Po kilku sekundach drzwi zamknęły się, a on pozostawił pracę i prowadzone śledztwo za sobą... jakby chciała mieć go tylko dla siebie. Za pomocą komputera sporządzono portret pamięciowy, ale był nijaki i bardziej anonimowy niż zazwyczaj. Nie dowiedzieli się o tej kobiecie więcej niż ze zdjęć wysłanych do mężczyzn, którzy mieli zostać zabici.

A jednak to jakiś postęp...

Kolejny trop wiązał się z możliwością, że kobieta nie tylko uwodziła ofiary i wabiła do miejsc, gdzie mieli umrzeć. Choć Thome miał co do tego wątpliwości, musiał przyznać, że najprawdopodobniej była obecna przy ich śmierci.

Wracali do hotelu w Slough i Roehampton, do noclegowni w Paddington, zadając pytania. Nie natrafiono na nic ciekawego podczas ponownych oględzin zapisów z kamer przemysłowych, ale to akurat nikogo nie zdziwiło. Jeżeli Mark Foley znał rozmieszczenie kamer, to ona również. Kobieta pracująca w recepcji hotelu Greenwood w noc, kiedy zginął Ian Welch, przypomniała sobie, że widziała kręcącą się tam blondynkę. Sądziła, że jest z kimś, kto akurat poszedł do barn, ale nie zauważyła, aby z kimkolwiek rozmawiała. Recepcjonistka twierdzi, że „wyglądała zabawnie”...

Thome nie był pewien, jaką rolę odgrywała ta kobieta. Zastanawiał się, jakie zarzuty jej postawią, kiedy ją w końcu znajdą. Zapewne „współudział w zaplanowanej zbrodni”. Owszem, mogła pojawiać się w hotelach, może nawet pukała do drzwi pokoi ofiar, podczas gdy Mark Foley stał opodal, w ukryciu, skręcając w dłoniach sznur do bielizny...

A co poza tym...? Jeżeli tą kobietą była Sarah Foley, Thome nie wyobrażał sobie, aby mogła na to patrzeć. Nie wyobrażał sobie, aby mogła patrzeć, jak jej brat gwałci innego mężczyznę...

Takie właśnie mroczne myśli Thome odganiał od siebie, przynajmniej na jeden wieczór, żegnając się z kolegami w sali odpraw.

Kiedy dotarł do windy, drzwi właśnie się otworzyły. Nie zwalniając kroku, Thome wszedł do kabiny i odwrócił się, aby nacisnąć guzik. Po kilku sekundach drzwi zamknęły się, a on pozostawił pracę i prowadzone śledztwo za sobą...

Thome wyszedł z windy i pomaszerował na parking, przez cały czas zastanawiając się, co później na siebie włoży. Uznał, że od powrotu z pracy do przybycia Eve będzie miał jakieś pół godziny. Może więcej, jeśli nie będzie korków.

Bmw podjechało do bariery, piętnaście sekund później prześliznęło się pod nią i wyjechało na szosę. Wybór padł na wiązkę przebojów Carter Family, podkreślił głos. Zastanawiał się, jaką muzykę powinien włączyć później. Czy Eve ucieknie z krzykiem, kiedy tylko dowie się o jego zamiłowaniu do country?

Był kompletnym idiotą. Czemu tak się opierał? Dlaczego choćby tylko podświadomie próbował to odwlec?

Thome wciąż był mocno podekscytowany autem, jego linią, odgłosami i tym, jak się prowadziło. Docisnął pedał gazu, wsłuchując się w dźwięki silnika i uśmiechając się z kilku powodów, kiedy, przyspieszając, pomknął w stronę North Circular i domu.

Przyspieszał coraz bardziej...

Holland przejechał przez Lambeth Bridge o niecałe dziesięć minut od domu. Przypomniał sobie, jak pokonywał rzekę na wschód stąd w sobotni wieczór, dokładnie przed tygodniem. Był zalany w pestkę i bredził coś trzy po trzy, w samochodzie Thomea. Myślał o wyrazie twarzy Sophie, kiedy odnalazła go leżącego na podłodze w łazience. Uniósł głowę znad chłodnej porcelany sedesu i nie dostrzegł nic, co dodałoby mu otuchy. Ujrzał natomiast troskę, rysującą się w głębokich zmarszczkach, i za sprawą osobliwej przejrzystości, jaką daje tylko alkohol, Holland pojął, że nie martwiła się o niego. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że martwiła się o siebie i dziecko, które nosiła. Zastanawiała się, czy wybierając go na ojca swego dziecka, nie popełniła największego życiowego błędu...

Kac rozpląnął się szybciej niż poczucie winy.

Holland postanowił, że dziś zrekompensuje jej wszystko z nawiązką. Kupi butelkę dobrego wina na wspólną kolację i późniejszy wieczór przed telewizorem. Sophie lubiła od czasu do czasu wypić kieliszek wina. To miało być dobre dla jej zdrowia. Choć przed ciążą nie skończyłyby się tylko na jednym. Lubiła wypić nawet całą butelkę, podczas gdy Holland patrzył, jak różowieją jej policzki i czekał, nigdy nie wiedząc, czy stanie się przymilna, czy raczej nieprzyjemna. Był gotów na jedno i drugie. Zdarzało się, że drwiła z niego i przekomarzała się albo oplatała ramionami i opowiadała o przyszłości, ale zawsze kończyło się tym, że się kochali.

Przed ciążą...

Za Imperial War Museum znajdował się ciąg sklepików, turecki spożywcza, papierniczy i mały supermarket. Kiedy Holland zatrzymał wóz przy chodniku, z wielkim żalem stwierdził, że coraz trudniej jest mu przypomnieć sobie, jak wyglądało ich życie przed ciążą Sophie.

A przynajmniej te miłe i przyjemne chwile.

Przygotowania nigdy nie zajmowały mu wiele czasu.

Nie przebierał się w nic szczególnego. Nie było żadnych bezsensownych rytuałów, głębokich mentalnych przygotowań, nic z tych rzeczy. Myślał o tym, co miał zrobić, to oczywiste. Był rozsądny, o niczym nie zapominał, ale nie zajmowało mu to więcej czasu niż spakowanie torby. Nie miał w niej wielu rzeczy. Cała zawartość zmieściłaby się w niedużym plecaku. Wcześniej, w hotelu, korzystał z większych toreb podróżnych, aby włożyć do nich pościel i prześcieradła. Tym razem to nie będzie konieczne.

Rękawiczki, kaptur, broń...

Naostrzył nóż i odciął odpowiedni kawałek sznura do bielizny Zwinął go później i włożył do przedniej kieszeni czarnego, skózanego plecaka.

To zabawne, jakie rzeczy ludzie nosili w swoich torbach. Kto wie, jakie sekrety mogłyby wyjść na jaw, gdyby opróżnić ich aktówki i plecaki, torby podróżne i walizki? Rzecz jasna trzeba by przekopać się przez całą górę teczek i akt, gazet i zafoliowanych kanapek, zanim natrafiłoby się na coś naprawdę ciekawego. List szantażysty albo żądanie okupu. Może jakiś świerszczyk, parę kajdanek. A przy odrobinie szczęścia w jednej na dziesięć tysięcy toreb udałoby się znaleźć pistolet, zakrwawiony młotek albo odcięty palec...

Można by się zdziwić, gdyby takie skarby znalazły się w podręcznej damskiej torebce.

Uśmiechnął się, wkładając do plecaka ostatni przedmiot i zaciągając ramię ściągnięty. Gdyby ktoś zechciał sprawdzić zawartość tego plecaka, mocno by się zdziwił i kto wie, zapewne również zaczerwienił...

Thome stał, przeglądając się w lustrze na drzwiach szafy. Zastanawiał się, czy zostać w prostej, białej koszuli, czy wybrać raczej dżinsową, kiedy dzwonek do drzwi rozwiązał ten dylemat za niego.

George Jones był najodpowiedniejszy na wszelkie, pożądane tego wieczoru nastroje i klimaty. Miał przygotowany cały wybór znanych szlagierów z lat pięćdziesiątych, ale był gotowy sięgnąć po piosenki Billyego Sherilla z lat siedemdziesiątych, o ile zajdzie taka potrzeba. Nie było wszak bardziej romantycznego kawałka niż *He stopped loving her today...*

Eve stanęła pośrodku pokoju, rozejrzała się pospiesznie dookoła i zlustrowała wzrokiem Thome'a.

- Wyglądasz promiennie - rzekła. Miała na sobie prostą, brązową, bawełnianą sukienkę zapinaną z przodu na guziki.

- Ty również - odparł Thome. Spojrzał na swoją białą koszulę. - Zastanawiałem się, czy włożyć krawat...

Postąpiła krok w jego stronę.

- Boże, chyba nie wybieramy się do jakiegoś modnego lokalu?

- Nie...

- Świetnie. Poza tym wolę koszule rozpięte pod szyją...

Zaczęli się całować, dłonie były z każdą chwilą coraz bardziej nerwowe. Kiedy palce Thome'a zajęły się drugim guzikiem w jej sukience, Eve cofnęła się z uśmiechem.

- Wiesz, nie uważam, że dziki, spontaniczny seks z pełnym brzuchem to dobry pomysł - powiedziała. - Ale chętnie bym coś zjadła... no i mam ochotę czegoś się napić...

Thome się zaśmiał.

- Czy nie jest za gorąco na curry?

- Curry brzmi wyśmienicie - niezależnie od wszystkiego.

- Tuż za rogiem jest fantastyczna hinduska knajpka.

- Doskonale.

- Są też świetne restauracje w Islington czy Camden. Albo w Crouch End. Nie miałaś dotąd okazji przejechać się moim nowym autem...

Eve podeszła do okna, zapinając guziki.

- Odwiedzmy coś w najbliższej okolicy. Nie byłoby ucziwie, gdyby tylko jedno z nas mogło się napić.

- Jestem za. Wezmę tylko kurtkę...
- Zaczekaj, nigdzie jeszcze nie idziemy.
- Nie?

Eve odwróciła się od okna i uniosła rękę, aby poprawić spinki we włosach. Jej piersi naprężyły materiał sukienki, a Thome dostrzegł zaczerwienienie pod jej wygolonymi pachami.

- Mam coś w furgonetce - rzekła. - Potrzebuję kogoś, kto by to przyniósł.

Dopiero kiedy Holland spojrzął na zegar na desce rozdzielczej, zdał sobie sprawę, że upłynęło dziesięć minut, odkąd zatrzymał się przed domem.

Właśnie minęła siódma.

Ponad dziesięć minut siedzenia z reklamówką z winem w dłoni, kiedy nie był w stanie zmusić się, aby wysiąść z samochodu. W kilka minut później, gdy Holland ze zdziwieniem przyjrzał się małym, ciemnym plamkom na materiale spodni, zdał sobie sprawę, że płakał. Uniósł głowę i mocno zacisnął powieki, następny wydech zmienił się w westchnienie, które zastygło mu w gardle i przerodziło się w szloch.

Każdy spazmatyczny dreszcz wstrząsający jego ciałem był jak cios w samo serce. Nie mogąc uczynić nic innego, otulił reklamówkę ramionami, przytulając twarz do butelki opartej o kierownicę, kiedy powoli, lecz zdecydowanie opuścił głowę. Poczul twardość butelki przez reklamówkę, poczul jej chłód, ale już w parę minut później torebka zaczęła się nagrzewać i zrobiła się śliska od łez, przy każdym zaś rozpaczliwym westchnieniu pomiędzy płaczliwymi chlipnięciami wciągał wilgotny plastik do ust...

Niczym wymiotujący bezsilnie opój, którym był przed kilkoma dniami, Holland nie mógł zrobić nic, jak tylko wyrzucić z siebie nagromadzone emocje i czekać, aż to wszystko się skończy.

Oplakiwał samego siebie, Sophie i ich dziecko, które przyjdzie na świat za pięć tygodni. Szlochał, przepelniony poczuciem winy, żalem, strachem i ogłupieniem. Łzy, które piekły najmocniej i których chciał pozbyć się jak najszybciej, uronił w gniewie, wściekły na bezwolnego, egoistycznego łajdaka, jakim się stał, i co więcej, miał tego świadomość. Kiedy było po wszystkim, Holland uniósł wilgotną od łez twarz i wytarł ją rękawem, jak dziecko. Potem siedział, pociągając nosem i wlepiął wzrok w dom, w którym mieszkał. Wcześniej ogólne zakłopotanie i żaloszny, nienazwany lęk jak niewidzialne ręce wciskały go w fotel, nie pozwalając, aby wszedł do środka. Teraz jednak równie skuteczny okazał się wstyd, trawiący go od środka niczym wewnętrzny ogień.

Nie mógł wejść do domu, jeszcze nie teraz.

Holland spojrział na aktówkę leżącą na podłodze, przy fotelu pasażera. Wiedział, że gdyby zabrał ją na górę i spróbował przejrzeć zawartość, jeden uśmiech Sophie wystarczyłby, aby wytrącić go z równowagi. Może pojeździ trochę po mieście...

Sięgnął po aktówkę, otworzył i gmerał w niej przez chwilę, aby wyjąć kartkę, której szukał. Odchrząknął, wyjął komórkę i wybrał numer. Mimo to, kiedy uzyskał połączenie, pierwszych kilka słów zabrzmiało niepewnie i niewyraźnie.

- Pani Noble, to znowu ja, Dave Holland. Wiem, że pora jest może nieodpowiednia, ale zastanawiałem się, czy mógłbym właśnie teraz przyjechać i odebrać zdjęcia...?

## 28

Holland zdołał dotrzeć do Romford w niecałe czterdzieści minut; a gdy wysiadł z samochodu, ujrzał już czekającą w progu domu Irene Noble. Podeszła ścieżką ku niemu.

- Szybko się pan uwinął. Zwykle w tunelu Blackwall jest korek. Chyba dotarł pan tu w rekordowym czasie...

Miała na sobie kremowy spodnium i elegancki makijaż. Holland zauważył, że popatrywała w kierunku domów po obu stronach. Chyba wypatrywała ruchu firanki, oznaki, że któryś z sąsiadów może przyglądać się ukradkiem młodemu mężczyźnie, zmierzającemu w stronę domu.

- To było względnie proste - rzekł Holland. - Prawie nie było korków...

Wszedł za nią do środka, gdzie z entuzjazmem powitał go mały biały psiak. Miał zmierzwioną sierść i cuchnął, ale Holland starał się udawać, że spodobało mu się, jak piesek poszczekuje i lawiruje wokół jego nóg.

Pani Noble przegnała psa do kuchni.

- Candy nie jest już najmłodsza - oznajmiła. - Właściwie kiedyś należała do Rogera. Była jeszcze szczeniakiem, kiedy odszedł.

Holland uśmiechnął się ze współczuciem, gdy weszli do salonu. Na dywanie w różowofioletowe zawijasy stał trzyczęściowy zestaw mebli, a przy kominku nieduży stolik do kawy ze szklanym blatem. Wymięta sztruksowa poducha pokryta kłakami białej psiej sierści była jedynym elementem w tym pokoju, który nie wyglądał nieskazitelnie.

Holland postąpił krok w stronę regału z bukowego drewna, ciągnącego się wzdłuż jednej ze ścian. Miał lustrzane drzwiczki, a na szczycie stały oprawne w ramki zdjęcia dzieci. Pani Noble podeszła i sięgnęła po jedno z nich.

- Marka i Sary tu nie ma - powiedziała. - Nie mogłabym patrzeć na nich oboje i nic o nich nie wiedzieć. Schowałam je, kiedy pojęłam, że już nie wrócą. Schowałam i kompletnie

zapomniałam, gdzie je włożyłam. - Musiała dostrzec wyraz z troską na twarzy Hollanda i delikatnie dotknęła jego ramienia. - Bez obawy, to nie będzie dla pana strata czasu. W końcu znalazłam ich zdjęcia, włożone do naszego starego albumu weselnego...

Holland pokiwał głową. Uniosła trzymane w ręku zdjęcie, aby mógł je zobaczyć.

- David jest maklerem, dobrze mu się powodzi. - Odstawiła zdjęcie na miejsce i wskazała kolejne. - Susan jest pielęgniarką w Royal Free, Gary zaciągnął się do wojska, a teraz uczy się fachu, aby zostać drukarzem. Claire niedługo urodzi trzecie dziecko...

- Sporo ich - zauważył Holland.

- Stanowiliśmy rodzinę zastępczą dla wielu dzieci, wychowywaliśmy je od małego, bo ja tak chciałam. Nie mogłam znieść tego, jak odchodzili, i to wówczas, kiedy zaczynały czuć się jak w prawdziwej rodzinie. Mimo to mieliśmy ponad dwadzieścioro dzieci, przed i po Marku i Sarze. Wiem, co robi dziś większość z nich...

Uśmiechnęła się ze smutkiem, nie musiała mówić nic więcej. Holland odpowiedział uśmiechem, myśląc o tych dwadzieścioru dzieciach, mężczyźnie, który był ich przybranym ojcem, i zaczął się mimowolnie zastanawiać...

- Nie wiem, czy jest pan najedzony - rzekła - więc kiedy pan zadzwonił, wyjęłam z zamrażarki lasanię. To zajmie tylko parę minut...

- No, w sumie...

- Zakładam, że może pan się napić...?

Wbrew temu, co myślał o niej wcześniej, Holland nagle szczerze polubił tę kobietę. Pomyślał o tych wszystkich dzieciach, utraconych w ten czy inny sposób, i jej prostej wierze w człowieka, którego serce było zbyt wypełnione mrokiem, aby mogło bić dłużej. Poczł się swobodnie...

- Napijmy się oboje - powiedział. - Mam w samochodzie butelkę dobrego wina.

\*\*\*

- Muszę ci oddać pieniądze za materac - rzekł Thome.

- Nie ma potrzeby. Możesz w zamian zaprosić mnie na kolację...

- Ile kosztował?

- Potraktujmy to jako spóźniony prezent urodzinowy - powiedziała Eve. - Aby zastąpić ten poprzedni. - Uśmiechnęła się. - Nie przypominam sobie, abym widziała w twoim mieszkaniu roślinkę, więc podejrzewam, że ją załatwiłeś.

- No, tak. Właśnie miałem ci o tym powiedzieć - mruknął Thome.

Kelner przyniósł wino, a szef restauracji równocześnie podał talerz z przekąskami.

- Na koszt firmy - powiedział. Położył dłoń na ramieniu Thome a i puścił perskie oko do Eve.

- To jeden z moich najlepszych klientów - oznajmił. - Ale dziś pierwszy raz zjawia się tu w towarzystwie pięknej, młodej kobiety...

Kiedy szef się oddalił, Eva nałała dla siebie i Thome a po kieliszku wina.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć - rzekła. - Czy chciał przez to powiedzieć, że zwykle przychodzisz tu z młodymi mężczyznami?

Thome pokornie pokiwał głową.

- O tym też chciałem ci powiedzieć...

Zaśmiała się.

- A więc, często tu przychodzisz?

- Niezbyt często - skinął głową w stronę szefa. - Ale regularnie kupuję posiłki na wynos. I właśnie TO miał on na myśli...

- Już sobie ciebie wyobrażam, jak siedzisz sam w mieszkaniu, pałaszując kurczaka tikka masala...

- Spokojnie - Thome zrobił urażoną minę. - Mam jednego czy dwóch przyjaciół...

Eve podzieliła orientalne przekąski na kawałki. Wybrała jeden i dodała cebuli oraz sosu korzennego.

- Opowiedz mi o nich. Co robią?

Thome wzruszył ramionami.

- W ten czy inny sposób są związani z moją pracą - sięgnął po przekąskę i skosztował.

- Phil jest patologiem...

Skinęła głową, jakby to o czymś świadczyło.

- No co? - rzucił Thome.

- Nie umiesz się wyłączyć, prawda?

- Prawdę mówiąc, zwykle rozmawiamy z Philem o futbolu...

- Coś podobnego.

Thome upił łyk wina, czując, jak zmywa resztki przekąski z jego zębów i myśląc o słowach Eve.

- Nie sądzę, by ktokolwiek potrafił na dobre pozostawić za sobą to, czym się zajmuje - powiedział. - Rozmawiamy głównie o twojej kwaciarni, zgadza się? Wszystkim przypomina się to czy tamto...

- Spojrzała na niego, przesuwając krawędzią kieliszka po podbródku. - Przecież jeśli jesteś gdzieś i zobaczysz urzekająco piękne kwiaty..

- Kwiaty to nie ciała, prawda?

Thome zdumiał się, czując narastające rozdrażnienie. Próbował je stłumić, gdy sięgnął po butelkę i ponownie napełnił oba kieliszki.

- Cóż, niektórzy mogliby powiedzieć, że od chwili, gdy się je zetnie, kwiaty są martwe.

Eve powoli skinęła głową.

- Wszystko umiera - rzekła. - Jaki jest sens tego wszystkiego? Równie dobrze możemy poprosić kelnera, aby dosypał nam do biryani tłuczonego szkła.

Thome spojrział na nią, zauważył rozszerzone oczy i lekkie drżenie warg. Oboje w tej samej chwili wybuchnęli śmiechem.

- Nigdy nie wiem, kiedy mnie nabierasz - powiedział.

Przesunęła dłonią nad stołem i ujęła go za rękę.

- Czy możesz choć na chwilę zapomnieć o wszystkim, Tom? - spytała. - Chciałabym, abyś dziś wieczorem całkiem się wyłączył...

- Dzieciaki są niesamowite - powiedziała Irene Noble. - Wszystko odmieniają nie do poznania. - Popatrzyła na Hollanda. - Ale mimo to cieszysz się, że są.

Holland domyślał się, że jeżeli będą rozmawiać, to właśnie o dzieciach. Nie spodziewał się, że tematem rozmowy będą jego dzieci.

- Mam wyrzuty sumienia - powiedział - że chciałem odrzucić to, co mnie spotkało. Ze w ogóle o tym pomyślałem.

- Będzie jeszcze dziwniej i jeszcze dotkliwiej. Będziesz gotów za nie umrzeć, a w następnej chwili chętnie zadusiłbyś je własnymi rękami. Będziesz zamartwiał się, gdzie się podziewają, a potem pragnął dla siebie choćby chwili odpoczynku i spokoju. Każda emocja jest bezwarunkowa...

- Mówi pani o tym, co wydarzy się, kiedy dziecko już przyjdzie na świat. A co z moimi obecnymi odczuciami?

- To normalne. Nie tylko kobieta przeżywa huśtawki emocji. Bądź co bądź ty nie możesz tłumaczyć się zaburzeniami hormonalnymi...

Holland zaśmiał się, wypite dwa kieliszki wina pomogły mu się odprężyć. A jeszcze przed godziną nie czuł się tak pewny siebie. Kiedy zasiedli do posiłku i nagle zaczął to z siebie wyrzucać, sądził, że się rozklei, ale Irene pomogła mu zachować spokój, przekonała, że wszystko jakoś się ułoży...

- Wyniosę to. - Wstała, zabierając tacę z pustego miejsca na kanapie, obok niej. Holland podał jej pusty talerz.

- Dzięki. Było naprawdę ekstra. - Nie miał na myśli samej lazanii, która w środku była zimna.

Usiadł i słuchał, jak Irene krząta się po kuchni. Słyszał, jak szepcze coś do psa, wkładając naczynia do zmywarki.

Holland nigdy nie odbył takiej rozmowy ze swoją matką. Irene Noble była mniej więcej w wieku jego matki - kobiety, która przez ostatnie pół roku kupowała ciuszki dla dziecka. Kobiety, która nie chciała przyznać, że cokolwiek, kiedykolwiek mogło pójść nie tak i nie miała zielonego pojęcia, iż sprawy pomiędzy jej najstarszym synem a jego ciężarną dziewczyną wcale nie układają się różowo.

Wróciła Irene z lodowym deserem czekoladowym.

- Zawsze mam zapas w lodówce. To pychota... zwłaszcza przy tej pogodzie...

Przez chwilę oboje milczeli. Siedzieli, pałaszując lody i wsłuchując się w odgłos psich pazurów skrobiących po linoleum, kiedy suczka uganiała się po kuchni.

Kiedy Irene Noble znów się odezwała, podkulając nogi na kanapie jak nastolatka, Holland patrzył na jej twarz, na której odmalowały się wszystkie przeżyte lata.

- Jakiegokolwiek macie problemy, mam nadzieję, że poradzicie sobie z nimi, we trójkę. Ale na pewno nie będą to takie problemy, jakie miały moje dzieciaki. Każdy dostaje swoje jak z przydziału. Temu trafi się łysina, drugiemu cukrzyca, komu innemu taki a nie inny kolor oczu...

- Mówi pani o Marku i Sarze...

- Kiedyś byłam bardzo surowa, jeżeli chodzi o dwie pary rodziców zastępczych, którzy opiekowali się tymi dziećmi, zanim trafiły do nas. Drażniło mnie, że sobie nie poradzili. Prawda jest taka, że wcale nie radziłyśmy sobie lepiej od innych.

- Adoptowaliście je.

- Myślę, że to była z naszej strony ostatnia próba, aby poczuły się częścią czegoś większego. Dwoje rodziców i dwoje dzieci. Chcieliśmy, aby nauczyły się przystosowywać, aby otworzyły się bardziej wobec świata.

- To całkiem zrozumiałe - rzekł Holland - że byli ze sobą związani. Nic dziwnego, że byli ze sobą blisko po tym, co się stało. - Wlepił wzrok w podłogę i pomyślał: I po tym, co nadal się dzieje...

- Byli ze sobą ZBYT blisko - zaoponowała. - W tym cały problem. Kiedy zniknęli, Sarah była w ciąży, a dziecko, które nosiła, było dzieckiem Marka.

Szli wolno Kentish Town w stronę domu, gdzie mieszkał Thome. Minęła dziewiąta i już robiło się ciemno, ale było na tyle ciepło, że nie musiał włożyć kurtki. Na ulicy panował taki sam gwar i ruch jak zawsze. Przez cały czas mijaly ich samochody; te które mogły, miały opuszczone dachy, większość jechała na włączonych światłach.

Pomimo tego, co wcześniej mówiła Eve, oboje sporo zjedli, jednak Thome nie przypisywał ucisku w swoim brzuchu przejedzeniu. Zanim wyszli z domu, Eve pomogła mu postać łóżko, nakładając na nowy materac, który przywiozła, czyste prześcieradło. Thome wiedział, że kiedy tam wrócą, postarają się oboje, aby łóżko nie wyglądało tak nieskazitelnie i schludnie.

Pewne rzeczy w jego życiu wydawały się pewne - gdzieś tam zawsze było kolejne ciało, nigdy nie da się całkiem usunąć krwi, ludzie, którzy mordowali bez motywu, niewątpliwie znowu to zrobią. Ale tego rodzaju obietnic Thome nie miał już od dłuższego czasu...

Wtem Eve schwyciła go za rękę, ich nagie przedramiona zetknęły się.

- Lepiej byś wyglądał z porządną opalenizną - rzekła.

- Czy to zaproszenie?

- Kiedy ostatni raz miałeś urlop z prawdziwego zdarzenia?

Nawet po dłuższym namyśle Thome musiał przyznać, że chyba z rok temu. Nie chodziło nawet o brak czasu, ale raczej o brak motywacji i osoby, z którą mógłby wyjechać.

- Dość dawno.

- Lubisz wylegiwać się na plaży czy wolisz bardziej aktywny wypoczynek?

- W sumie jedno i drugie. Leżenie na plaży uważam za nużące, ale nie tak nudne jak zwiedzanie muzeów...

- Niełatwo cię zadowolić, prawda...?

- Wybacz...

- Gdzie chciałbyś pojechać, gdybyś mógł się wybrać dokądkolwiek zechcesz?

- Zawsze lubiłem Nashville.

Skinęła głowę.

- No jasne. Uwielbiasz country and western...

- To jeszcze jeden z moich mrocznych sekretów...

- Ja nawet lubię ten gatunek muzyki.

- Naprawdę?

- Ale później nie zaczniesz wydziwiać, dobra? Nie będziesz wkładać kowbojek z ostrogami i kapelusza? Nie będziesz wymachiwał nad głową batem ani lassem?

Skręcili w Prince Wales Road, a z Pizza Express na rogu doszły ich dźwięki jazzowego koncertu na żywo. Thome zastanawiał się, czy nie powinien był wybrać raczej pizzy. Było parno, a w połączeniu z curry oznaczało to, że zaczną się pocić jak wieprz.

Wciąż trzymali się za ręce, Thome poczuł wilgoć na skórze. Nie był jednak pewien, czy to on się pocił, czy może raczej ona.

Motocykl bez trudu przedzierał się przez zatłoczone ulice. Od czasu do czasu, gdy trafił na rzeczywiście spory korek albo zwężenie drogi, musiał posiedzieć i cierpliwie czekać. Stał wówczas z tyłu, wśród kurierów i taksówkarzy; stażystów na motorowerach. Jednak prędzej czy później zawsze pojawi się gdzieś luka i będzie mógł pojechać dalej z plecakiem objającym mu się o grzbiet, omijając dziury w asfalcie i pokonując „śpiących policjantów”. Zatrzymał się na światłach i spojrzął na zegarek. Prawdopodobnie dotrze na miejsce przed czasem, ale to już bez znaczenia. Zaparkuje motor i pójdzie na spacer, czekając. Będzie trzymał się na uboczu, aż nadejdzie pora.

Obok niego wielki kawasaki zagrał równym rytmem w oczekiwaniu na zielone światło. Na siodełku motocykla dziewczyna w króciutkich dżinsowych spodenkach z każdym kolejnym rykiem silnika mocniej obejmowała swojego chłopaka. Już na żółtym japończyk wyrwał się ostro do przodu, a on odprowadził go wzrokiem, powoli odjeżdżając spod światła.

Pośpiech i nadmierna prędkość nie były konieczne...

Miał mnóstwo czasu, a ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć, to zostać zatrzymanym przez policję.

Nie chodziło o mandat czy punkty karne. Był tak podekscytowany tym, co zamierzał zrobić, tak go to przepelniało, że gdyby jakiś gliniarz zatrzymał go i spytał, czemu tak się spieszy, mógłby powiedzieć prawdę.

Holland spojrzął na zegarek i zdziwił się, że spędził tam już półtorej godziny.

- Muszę wracać - oznajmił. - Czy mogę dostać te zdjęcia?

Irene Noble z pewnym znużeniem podniosła się z kanapy i wzięła buty.

- Przyniosę je...

Holland czekał, siedząc, wspominając ich rozmowę i dziwiąc się, do jakiego stopnia ludzie potrafią oszukiwać samych siebie. Irene Noble nie była głupią kobietą. Trudno mu było pojąć, dlaczego, choć twierdziła, że zarówno oni, jak i poprzedni rodzice zastępczy przyłapali te dzieciaki razem w łóżku, czemu tak łatwo przyjęła, że Sarah Foley zaszła w ciążę z własnym bratem. Czy nie przychodziły jej na myśl inne wytłumaczenia?

Usłyszał, jak schodzi po schodach, nawołując go.

- Mam wrażenie, jakby zrobiono je nie dalej jak pięć minut temu.

Zapewne inne wyjaśnienie w jej wypadku było nie do przyjęcia...

Weszła do pokoju, niosąc plik zdjęć, pół tuzina polaroidowych i parę nieco większych, standardowych fotografii. Holland odebrał je od niej. Coiłęła się i przycupnęła na podłokietniku kanapy, wskazując na zdjęcia, które zaczął przeglądać.

- Te stały oprawione w ramki na regale. Zrobiono je w szkole na rok przed ich zniknięciem. Inne pochodzą z urządzanego przez nas przyjęcia urodzinowego Sary. Skończyła wtedy jedenaście lat. Roger kupił polaroid...

Od chwili gdy spojrział na pierwsze zdjęcie, Holland słyszał tylko własny oddech. Dziewczynka w niebieskiej sukience, z włosami w koński ogon uśmiechała się, jakby usłyszała zabawny dowcip. Holland uniósł zdjęcie Sary, ukazując znajdującą się pod nim fotografię jej brata.

- Jezu - wyszeptał.

Irene wstała.

- Co się stało?

Holland przejrzał pozostałe zdjęcia, aby się upewnić, dotarł do wyjątkowo udanego i wlepił w nie wzrok, z uniesieniem i konsternacją zarazem. Nie słyszał, jak Irene Noble ponownie pyta, co się stało, i nie widział, jak podchodziła do niego.

Sarah Foley siedziała za stołem, trzymając w dłoni nóż, przed nią stał tort, a dziewczynki wkoło wydawały się bardziej tym wszystkim przejęte niż ona sama. W rogu sali stał, ledwie widoczny na zdjęciu Mark. Palce miał zaciśnięte na framudze drzwi, jakby chciał gwałtownie je otworzyć i uciec jak najdalej albo odsunąć się od nich, by pobiec w stronę fotografa z aparatem.

Wtedy jej twarz była bardziej pociągła, bardziej wychudzona, a jego pełniejsza. Oczy wydawały się osadzone szerzej, skóra gładsza, ale to całkiem zrozumiałe. To były twarzyczki dzieci, których rysy wyostrzą się z czasem, ale Holland rozpoznał je bez trudu.

Miał przed sobą zdjęcia osób, które znał i widział całkiem niedawno.

## 30

Thome leżał w łóżku, usilnie nasłuchując i próbując domyślić się, co się dzieje, na podstawie odgłosów dochodzących z łazienki...

Nie mając na podorędziu nic bardziej oryginalnego, kiedy tylko wrócili do mieszkania, zaproponował Evie kawę, licząc, że odmówi i ucieszył się, gdy to zrobiła. Potem

poszła do toalety, a on pokręcił się po mieszkaniu, otwierając okna i uśmiechając się do lustra jak uczeń, kiedy podchodził, by włączyć stereo. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki Goodyearfor the roses, Thome odwrócił się, by ujrzeć ją stojącą tuż za nim...

Na wpół tanecznym, na wpół zataczającym się krokiem dotarli do łóżka i osunęli na nowy materac. Śmiech szybko przerodził się w bardziej namiętne odgłosy, kiedy ich dłonie i usta zaczęły szukać się wzajemnie. Wino i oczekiwanie uczyniło każdy ruch bardziej pożądanym, bardziej desperackim niż poprzednio, przed wyjściem do restauracji.

Nagle Eve przestała i znów wybuchnęła śmiechem. Poderwała się z łóżka, uśmiechnęła i oznajmiła, że musi znów wyjść do toalety. Kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, Thome szybko się rozebrał i wślizgnął pod koc, ciesząc się, że zdołał uniknąć tej niezręcznej chwili, kiedy mogły zostać ujawnione mankamenty jego urody, ale mimo wszystko czuł, że aura spontaniczności nieodwołalnie prysła... Teraz nie słyszał żadnych dźwięków dochodzących przez ścianę z łazienki do sypialni. Gdy to sobie uświadomił, jego euforia nieco osłabła, ale nie bardziej, niż gdyby musiał niezdarnie rozpakować i nałożyć gumkę. Pomyślał o pakiecie kondomów, który kupił dzień wcześniej w automacie w toalecie przy Royal Oak. Pacuszka leżała w szufladzie szafki nocnej, obok kremu do stóp i tabletek na niestrawność. Uznał, że mógłby oszczędzić czasu i kłopotów, gdyby wyjął kondom z opakowania i przygotował do użycia. Już sięgał do szuflady, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. Może ona tak długo siedziała w łazience, bo próbowała założyć sobie diafragmę...

Thome usłyszał szum puszczonej wody. Usiadł na łóżku, oparł głowę o ścianę i wytężył słuch.

Pewnie myła zęby...

Zastanawiał się, czy powinien wstać z łóżka, nałożyć szlafrok i dołączyć do niej. Jak by to było, gdyby ona miała świeży oddech, a on wciąż pachniał curry? Czy to nie byłoby dziwne, gdyby oboje odpluwali do umywalki, zanim zdecydują się poznać nieco bliżej?

Drzwi otwarły się i Eve wróciła do pokoju. Stała przy łóżku i popatrzyła na niego. Jej ubranie wyglądało nieskazitelnie i gładko, jakby już był następny dzień, a ona przyszła dać mu całusa na pożegnanie. Wyglądała seksowniej niż zwykle i sprawiała wrażenie, jakby on wydawał się jej seksowniejszy niż kiedykolwiek, a Thome ją zastanawiał, czy Eve odwróci się teraz na pięcie i wyjdzie.

Zanim zdążył coś powiedzieć, delikatnie odłożyła torebkę na podłogę, obok łóżka, cofnęła się o krok i zaczęła się rozbierać.

Domowy numer był zajęty, toteż Holland spróbował dodzwonić się do Thome a na komórkę. Telefon stał na stoliku w małej niszy pod schodami, gdzie Holland walczył o odrobinę przestrzeni z płaszczami, parasolkami i reklamówkami pełnymi butów i pantofli.

Irene Noble przystanęła za nim.

- Do kogo pan dzwoni? Mogę wiedzieć?

- Do detektywa inspektora Thome a. Poznała go pani...

- Ach, tak. Może ma komórkę...

- Właśnie dzwonię na ten numer... - Holland odwrócił się, jej bliskość sprawiła, że czuł się niezręcznie. Tak się spieszył, by zadzwonić i przekazać przełożonemu nowinę, że nie przyszło mu na myśl, aby zrobić to na osobności. Był rozluźniony, zadowolony. A teraz wrócił do swoich obowiązków i wiedział, że o pewnych rzeczach, które chciał przekazać Thomeowi, Irene Noble nie powinna wiedzieć. - Bardzo mi przykro, ale nie mogę...

Holland usłyszał głos Thome a przepraszającego, że nie może teraz odebrać telefonu i proszącego o pozostawienie wiadomości. Holland przerwał połączenie. Tę wiadomość pragnął przekazać osobiście. Ściskając w dłoni zdjęcie Marka i Sary Foleyów, Holland w niecałą minutę później opuścił gościnny dom. Idąc do swego auta, podziękował Irene Noble i przez cały czas zastanawiał się, czy istniał jakiś szybszy dojazd do północnego Londynu, a także upomniał się, że nie powinien się denerwować, bo przecież podejrzani nie mogli wiedzieć, że zostali rozpoznani, zidentyfikowani i nigdzie nie uciekną.

Zanim mszył, Holland zawołał jeszcze do Irene Noble przez opuszczoną szybę, że postara się zadbać o przekazane mu zdjęcia. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy Irene odzyska je. Trzeba je pokazać Thome owi.

IBrigstocke owi. Wykorzystają je, aby zdobyć nakaz aresztowania... Holland nie był pewien, co powinien teraz zrobić, jakie przedsięwziąć procedury, ile czasu to zajmie i ile przeniknie do mediów. Każde dochodzenie kończyło się inaczej. Mimo to istniała spora szansa - jeśli uda im się zachować tajemnicę przed prasą i dokonać aresztowań przed końcem weekendu - że następnym razem Irene Noble ujrzy zdjęcia swoich przybranych pociech na pierwszej stronie poniedziałkowego, porannego wydania wszystkich londyńskich gazet.

Jesteś piękna - powiedział Thome, taksując ją wzrokiem i czując narastające pożądanie. - Nie wierzę, że tak długo trwało, zanim tu wylądowaliśmy.

- Czyja to wina?

- Moja, wiem, wiem...

- Ale cieszysz się, że tu teraz jesteś?

- Boże, jasne, że tak. - Thome uśmiechnął się. - Myślę o tym, co by się stało, gdybym wtedy, w hotelu nie odebrał telefonu po tym, jak znaleźliśmy pierwsze ciało. Mogłaś zadzwonić godzinę później. Równie dobrze telefon mógł odebrać ktoś inny...

Wzruszyła ramionami.

- W takim razie byłabym teraz z kimś innym...

Jej ciało było ciepłe i gładkie w zetknięciu z jego skórą. Choć wyszedł z wprawy jeżeli chodzi o odczytywanie kobiecych emocji, był pewien, że dostrzegł w jej oczach pożądanie. A jednak kiedy przez chwilę po raz pierwszy położył dłoń na jej nagiej piersi, poczuł lekkie napięcie, wahanie sprzeczne z tym, czego oczekiwał.

To ona wykonała pierwszy ruch, rzucając sprośne żarciki na temat łóżka i chęci „pójścia na całość”. Teraz zaś, gdy nadeszła ta chwila, okazało się, że nie jest na to do końca gotowa, wbrew temu, co sugerowała.

Thome poczuł, że pojawiła się jakaś bariera. Eve była taka delikatna, zmysłowa i seksowna...

Chciała, aby to on zaczął, aby pokazał, jakim jest mężczyzną. Zupełnie jakby pragnęła poddać się jemu i samej sobie, ale potrzebowała niewielkiej pomocy Thome był bardzo podniecony Czuł, co mogło się wydarzyć, gdyby pozwoliła sobie na odrobinę zapomnienia. Bardziej niż czegokolwiek pragnął, by się zapomniała i zatraciła w tym wszystkim...

- Jesteś taka piękna - powiedział i przyłgął ustami do jej warg.

Jak na komendę, Thome usłyszał piosenkę płynącą z sąsiedniego pokoju. Tę, która jego zdaniem była wręcz wymarzona do tej sytuacji. Opowieść o mężczyźnie, którego miłość do ukochanej kobiety skończyła się w dniu, kiedy wyniesiono go w trumnie na cmentarz. Thome upajał się bogactwem głosu George'a Jonesa, wodząc dłońmi po ciele Eve.

Jak przez mgłę wychwycił dźwięk. Skrzyknęły otwierające się drzwi sypialni, a potem rozległ się syk, kiedy coś przemknęło po dywanie. Ten dźwięk często budził go z rana, ale dziś mógł się bez niego obejść.

Thome przerwał to, co robił, i uśmiechnął się do Eve, czekając aż nieproszony gość, beczelna kotka, wskoczy lada chwila na łóżko...

Holland dotarł Romford Road aż do Forest Gate, po czym skręcił w stronę Wanstead Fiat. Tej części Londynu nie znał zbyt dobrze. Z jedną ręką na kierownicy, trzymając w drugiej otwartą mapę miasta, na bieżąco wyszukiwał dla siebie trasę przejazdu.

Kiedy tylko wyszedł od Irene Noble, zadzwonił do Sophie, by wyjaśnić, czemu jeszcze nie wrócił do domu. Powiedział, że zdarzyło się coś bardzo ważnego i ucieszył się, że

nie musiał kłamać. Odparła, że jest zmęczona i wcześniej się położy, ale po głosie poznał, że jest zła jak osa. Zanim odłożyła słuchawkę, zdążył jeszcze zapewnić, że ją kocha.

Holland spróbował zadzwonić na domowy numer Thome a. Wciąż był zajęty. A na komórce Thome a włączała się automatyczna sekretarka...

Jechał pięćdziesiątką po prostej jak stół szosie przecinającej Hackney Marshes. Na mapie miasta ten teren zaznaczono na zielono, ale po zmierzchu wydawał się on szary, ponury i nieprzyjemny. Z niekłamaną radością opuści to miejsce i wyjedzie w końcu na A-7 przy Clapton. Widział tę trasę u dołu strony, o szerokość palca od miejsca, gdzie obecnie się znajdował. Stamtąd prosta już droga wiodła przez Stamford Hill do Seven Sisters Road. Dziesięć minut później, minąwszy Finsbury Park i przecinając Holloway Road, dotrze do domu Thome a.

Znów zastanawiał się nad prostszym rozwiązaniem, czyli telefonem do Brigstocke a. Zapewne było ono również słuszne i właściwe, ale on chciał wykazać lojalność przede wszystkim wobec Thome a. Przypomniawszy sobie amerykański serial policyjny, który oglądał wspólnie z Sophie któregoś wieczoru: Nowojorscy gliniarze albo może Wydział zabójstw. Oficer łajał jakiegoś glinę za to, że poszedł z pewną złożoną sprawą do swego partnera, a nie do przełożonego. Thome, rzecz jasna, nie był jego partnerem, a jednak Holland tak się właśnie czuł względem niego.

Thome będzie mu wdzięczny, gdy Holland przekaże mu zdobyte właśnie informacje... Odzyskawszy choć trochę pewności siebie, Holland odłożył mapę miasta na siedzenie obok i znów wybrał domowy numer Thome a. Wsłuchiwał się przez chwilę w sygnał zajętej linii, zastanawiając się, czemu do tej pory nie usłyszał ani razu denerwującego głosu informującego o połączeniu oczekującym.

Holland domyślał się, z kim tak słodko i długo gawędził Thome. Pamiętał noc w Royal Oak, kiedy Thome mówił o sobie, swoim ojcu i ich „czterdziestopięciominutowych dyskusjach o niczym”. Dziś zapewne rozmawiali o niczym i o tym, że Spursi wygrali pierwszy mecz na otwarcie sezonu. Holland wyobraził sobie Thome a siedzącego i słuchającego, z puszką taniego piwa w ręku, rozpaczliwie usiłującego zakończyć przedłużającą się rozmowę, aby obaj mogli usiąść i obejrzeć powtórki goli w telewizji. Dwa do jednego z Chelsea na Stamford Bridge. Thome powinien być w dobrym nastroju.

Holland sięgnął i wyjął zdjęcie leżące pod mapą Londynu. Zastanawiał się, w jakim nastroju będzie Thome za dwadzieścia minut, kiedy zobaczy te fotografie...

Thome zastygł w bezruchu, zakłopotany, kiedy odwrócił się i ujrzał mężczyznę zdejmującego kask motocyklowy.

- Jak tutaj wszedłeś, do cholery? - rzucił Thome. Przez kilka sekund zdezorientowany i ogłupiały pomyślał, że to jakiś zazdrosny kochanek Eve. Niewygodna sytuacja, w jakiej znalazł się przez przypadek, ani chybi skończy się nieuchronnym mordobiciem. Jednak rzut oka na twarz mężczyzny i nóż, który wyjął z plecaka, wyjaśnił Thorneowi, że działo się coś całkiem innego.

Thome odwrócił się do Eve i w jej ręku także zobaczył nóż wymierzony w jego kierunku. Ostrze prześlizgnęło się płazem po jego podbródku, a czubek zagłębił się na około centymetr w miękkiej tkance poniżej żuchwy.

Krzyknął, rzucił się w bok, a krew, która popłynęła z rany, zachlapała poduszkę.

Mężczyzna postąpił krok w stronę łóżka.

Jakaś mała cząstka mózgu Thome a, która wciąż funkcjonowała prawidłowo, sformułowała klarowną myśl. Miała ten nóż w torebce. Reszta zaczęła kształtować się w coś bardziej mrocznego, strach, jaki poczuł wcześniej, lęk do tej pory ulotny i nieopisany, zagnieździł się teraz na dobre w jego wnętrzu, gdzieś poniżej mostka. Wyobraził go sobie, jako żywą istotę żerującą na jego trzewiach. Poczuł silne, smukłe palce opasujące jego żebra, zwieszające się z nich i ściągające go w dół.

Thome uniósł głowę i przyłożył dłoń do rany na podbródku. Kiedy się odezwał, starał się nie sprawiać wrażenia przerażonego.

- Mark i Sarah...

Gdy padło jego prawdziwe imię, oblicze mężczyzny spochmumiało.

- Odsuń się od mojej siostry, ale już.

Thome przesunął się po materacu, dziwnie skrępowany własną nagością. Patrzył, jak kobieta cofa się, naga i uśmiechnięta, od łóżka z dmgiej strony i zbiera swoje rzeczy.

- Eve, to jakiś absurd...

Ben Jameson błyskawicznie przeniósł wzrok z ciała siostry na Thomea.

- Na podłogę, ale już...

## 31

Kiedy go przygotowywali, Thome starał się odsunąć od siebie myśli ostrachu, bólu i krwi. Gdzieś gdzie mógłby je wykorzystać, przeradzając te emocje w słuszny gniew. Reszta jego umysłu była skupiona, podsuwając odpowiedzi i łącząc pozornie niezwiązane ze sobą fakty Adrenalina przydała mu sił...

Oboje działali szybko i skutecznie. Zanim Thome choćby spróbował stawić opór, ze świadomością, że miał przeciw sobie dwa noże, jego jedyna szansa prysła. Eve wyciągnęła

pasek od spodni Thome a i zadzierzgnęła go na przegubach inspektora tak mocno, że aż zaboląło. Ben kierował jego ciałem, zmuszając go, by pochylił głowę do podłogi, balansując na kolanach, z lekko rozchylonymi nogami. Działali jak zgrany zespół, jedno terroryzowało go nożem, a drugie robiło swoje. Ostrze przez cały czas znajdowało się o parę centymetrów od ciała Thome a. Jakikolwiek ruch, poza tym, co mu nakazano, nie wchodził w rachubę.

Teraz jego ciało przybrało tę samą pozycję, jakie widział u innych. Tyle że tamte były zniekształcone i posiniałe. Te z hotelowych pokoi iz jego snów...

Thome leżał twarzą do ziemi, z podkulonymi kolanami i wypiętymi pośladkami. Jego głowa i ręce były skierowane ku drzwiom sypialni, krew z rany od noża wsiąkała w dywan i sprawiała, że cały policzek wydawał mu się lepki.

- W tamtych pokojach to nie miało znaczenia - rzekł Thome. - W tych hotelach ślady zatracają się wśród dziesiątków innych. Ale ty musiałaś się pozbyć pościeli, prawda, Eve? Choć była czysta i nie było na niej śladów twoich i ofiary...

Thome tego nie widział, ale Eve się uśmiechnęła.

- Kiedy tylko zaciągałam ich do łóżka, byli kompletnie bezbronni. Tak jak ty.

- Eve, ja nigdy nikogo nie zgwałciłem...

- Trochę na to za późno, nie uważasz...? - wtrącił Jameson. - Zebrało ci się na dociekanie prawdy z rozsypanych fragmentów układanki? To raczej bez sensu, biorąc pod uwagę twoją obecną sytuację.

- Kto chciałby umrzeć w niewiedzy?

- Niewiele ci to da... - ciągnął Jameson - niezależnie od tego, ile odpowiedzi uzyskasz...

- Czy to o tym małym projekcie mówiłeś? O tych zabójstwach?

O osobnych planach, które pragnąłeś zrealizować?

Jameson zaśmiał się.

- To w sumie zabawne. Na pewno ciekawsze niż nagrania szkoleniowe dla miejscowych władz. No to dołożę ci jeszcze jeden element do tej układanki. Żeby nie przytłaczała cię niewiedza...

Thome już się tego domyślał.

- To w ten sposób dostałeś się do Rejestru, zgadza się? Nie byłem pewien, gdzie doszło do przecieku. Zakład ubezpieczeń społecznych?

To Eve udzieliła mu odpowiedzi.

- Krajowa rada do spraw zwolnień warunkowych. A konkretnie wydział przestępczości na tle seksualnym w połączeniu z departamentem więziennictwa...

- „Strategia na rzecz ogólnokrajowego zorganizowania informacji” to nie Obywatel Kane - rzekł Jameson. - Ale z niekłamaną życzliwością udzielili mi wsparcia w prowadzonych przeze mnie badaniach, a ich zabezpieczenia były wyjątkowo mame. Nie przejmowali się, że komputery nie mają dozom, że mogę z każdego z nich uzyskać dostęp do baz danych i w ogóle. I co więcej, właśnie dlatego chcieli, żebym zrealizował swój projekt...

Thome dopiero teraz zrozumiał, że nazwisko Jamesona musiało zapewne znajdować się na liście kontaktów Charliego Dodda. Firma produkująca nagrania wideo nie wzbudzała podejrzeń, zważywszy na to, czym zajmował się Dodd. Thome nie wiedząc o tym, i tak zapewne nie rozpoznałby nazwy firmy Jamesona. Teraz zaś nie miało to już większego znaczenia...

- Mielście dużo szczęścia - rzekł Thome.

- Wszystkim nam go potrzeba od czasu do czasu - odparła Eve. - Niektórzy mają go więcej od innych...

Thome uniósł głowę z dywanu, czując włókna i drobinki piasku przylepione do krwi powoli krzepnącej na jego podbródku. Oparł się czołem o podłogę i nieznacznie odwrócił głowę, zerkając przez szparę pod ramieniem. Jameson grzebał w plecaku, który położył na łóżku. Eve stała obok niego, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Thome a.

- Powinniśmy już kończyć - rzekła.

Thome spostrzegł niebieski błysk, gdy Jameson wyciągnął sznur do bielizny, a potem coś czarnego, przypuszczalnie kaptur. Poczł, że strach, ta istota w jego wnętrzu, rośnie w siłę. Zamknął oczy i ujrzał to stworzenie, jak się wspina niczym po drabinie, po jego żebrach, przesuając się z każdą chwilą coraz wyżej i wyżej.

Jak to często bywa podczas jazdy, ostatni odcinek okazał się najbardziej frustrujący. Całe wieki trwało przejechanie przez Holloway Road przy Nag s Head i dotarcie do Tufñall Park. Teraz, jakby tego było jeszcze mało, sprzysięgły się przeciw niemu światła i przechodnie przechodzący przez Kentish Town Road.

Holland zastanawiał się, czy nie zadzwonić raz jeszcze. Uznał, że nawet jeśli Thome skończył pogawędkę albo włączył komórkę, powinien być w domu, więc dzwonenie chyba raczej mijalo się z celem.

Holland zjechał na wewnętrzny pas, ale zaraz wrócił na poprzedni, gdy na jego drodze pojawił się autobus, zręcznie wymijając przy tym charakterystyczną, czarną, londyńską taksówkę. Przy następnych światłach taryfa wyprzedziła jego, a kierowca opuścił szybę, by posłać mu soczystą wiązanke. Holland pokazał mu legitymację, powiedział tamtemu, żeby zjeżdżał, i patrzył z uśmiechem, jak taksiarz wykonuje polecenie.

Kiedy światła się zmieniły, Holland zjechał na Prince Wales Road. Thome mieszkał przy trzeciej ulicy po lewej. Zwolnił i przyhamował, spoglądając na zdjęcia i czekając, żeby włączyć się do mchu. Gdy w końcu nadarzyła się okazja, skręcił, zastanawiając się, czy przełożeni pozwolą Thomowi, aby był obecny podczas aresztowania.

- To doprawdy fantastyczna historia - rzekł Jameson. - Może powinienem ją spisać, naturalnie zmieniając nazwiska, by ochronić niewinnych...

- Kimkolwiek są - dodał Thome.

- To byłaby sztuka w trzech częściach. Albo raczej w trzech aktach, jak klasyczny dramat teatralny...

- Każdy dzień życia czegoś nas uczy.

- Już niedługo.

Czarna istota wewnątrz Thome a pokonała kolejne żebro...

- W części pierwszej mamy retrospekcję. Spodnie dzwony, włosy jak strzecha i szumowina, która zapewne może się pochwalić jednym i drugim. Facet, który zaciąga kobietę do magazynu i tam gwałci.

- Waszą matkę...

Thome poczuł wibracje, kiedy stopy przemaszerowały szybko po dywanie w jego stronę, a potem ból, kiedy obcas buta wpił mu się w policzek.

- Daj mu mówić - rzuciła Eve.

- Gwałciiciel, głównie dzięki policji, zostaje uwolniony od zarzutów. Kobieta przeżywa załamanie nerwowe. Jej mąż popada w obłąd. - Jameson wypluwał z siebie kolejne słowa. - Morduje ją, a potem popełnia samobójstwo; ich ciała odnajduje dwójka dzieci, które trafiają potem do rodziny zastępczej. Dramatyczny początek, nie uważasz?

- Dlatego tu jestem, czyż nie? - odparował Thome. But znów przygniótł mu ucho i żuchwę. Jameson powiedział coś, czego Thome nie dosłyszał, i stopa uniosła się. Thome odwrócił się i zobaczył Eve podchodzącą do brata z drugiego końca pokoju.

- Głównie dzięki policji, powiadasz. A więc muszę umrzeć, bo jakiś palant trzydzieści lat temu nie potrafił poprowadzić należycie sprawy o gwałt. - Odpowiedzi nie było. - Czy tak? O to chodzi?

362

- Nie ma sensu biadolić, że życie jest niesprawiedliwe - rzekła Eve. - Nie oczekuj od nas współczucia. Jesteśmy ostatnimi osobami, od których mógłbyś się go spodziewać...

- Nawet domyślałem się dlaczego. Ale chciałbym wiedzieć, czemu akurat ja?

- Bo odebrałaś telefon.

Thome zrozumiał wtedy, że to było takie proste. Wiadomość pozostawiona przez zabójcę na automatycznej sekretarce Eve Bloom od początku nie dawała mu spokoju i wreszcie zrozumiał, dlaczego. „Pozostawiono” ją, aby Eve miała powód, by zadzwonić do hotelu, na miejsce zbrodni, gdzie jej telefon odbierze jakiś policjant. Wieńce zamówione po kolejnych zbrodniach miały przydać zabójstwu cech określonego wzorca. Wybierali gwałcicieli nader pieczołowicie. Ich ostatnia ofiara zaś, Thome, został wybrany zupełnie przypadkowo. Przypomniawszy sobie, co powiedział do Eve i co ona odpowiedziała mu w łóżku dwadzieścia minut wcześniej: „Równie dobrze telefon mógł odebrać ktoś inny...”, „W takim razie byłabym teraz z kimś innym...”.

Wciąż widział wyraz jej twarzy, gdy wypowiadała te słowa. Wyobraził sobie wyraz twarzy swego ojca, gdy dowiedział się o jego śmierci.

- Mam doskonały tytuł - rzekł Jameson. - Idealny dla tego całego horroru. Co powiesz na „Z deszczu pod rynnę”?

- Wiemy o Rogerze Noble u...

- Doprawdy? - Po raz pierwszy Jameson nie podniósł głosu. Thome usłyszał w nim nutę jakiejś emocji, rozpalonej do białości i zabójczej. - Możesz wiedzieć, co zrobił, ale nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

- Dostatecznie paskudne, abyscie chcieli się stamtąd wyrwać.

- Brawo...

- Aby chronić siostrę...

- Noble nie chciał mnie skrzywdzić - wtrąciła Eve. - Chciał skrzywdzić moje dziecko.

- To było jego dziecko?

Jameson zaśmiał się.

- Powracamy do krainy niewiedzy. Powinniśmy mieć tutaj brzęczyk albo dzwonek uruchamiany w razie błędnej odpowiedzi lub gdy powiesz coś wyjątkowo głupiego. Noble lubił chłopców. Dziecko było moje.

- Nasze - poprawiła Eve. - Uciekliśmy stamtąd, kiedy próbowali zmusić mnie, abym się go pozbyła.

Thome uświadomił sobie, że to, co wychwytał w głosie Irene Noble, kiedy wlepiając wzrok w filiżankę kawy od Marksa Spencera, mówiła o „problemach z zachowaniem”, było zwyczajnym wstydem. Zapewne to ona wpadła na pomysł z przewodzką, aby dokonać aborcji gdzieś indziej dla uniknięcia skandalu...

- Co się stało z dzieckiem? - spytał Thome.

Jameson odparł beznamiętnie:

- Straciliśmy je. Kto wie, może gdy to wszystko się skończy, spróbujemy ponownie. -  
Przez blisko pół minuty żadne z nich się nie odezwało.

Thome leżał cierpiący i zbolący, a jego nagą skórę omiatał podmuch chłodnego, płynącego nie wiadomo skąd powietrza. Stracił czucie w rękach, a jego serce biło tak mocno, że podrywało całą klatkę piersiową ponad podłogę.

Kiedy to wszystko się skończy...

Wyobraził sobie spojrzenia wymieniane przez dwójkę osób, które zamierzały go zabić. Wyobraził sobie coś czułego, wyraz miłości pojawiający się między mężczyzną i kobietą, którzy rozmawiali o wspólnych staraniach o dziecko, kiedy tylko on, Thome zostanie zgwałcony, a potem zaduszony na śmierć. Thome jęknął z bólu, przekrzywiając głowę w drugą stronę.

- Domyślam się, że ostatnia część tej historii dotyczy zabójstw - powiedział. - Remfry ego, Welcha, Dodda i Southema. Oraz mnie w formie symbolicznej kulminacji. Środkowa część wciąż jest dla mnie ciut niejasna, zwłaszcza okres po waszym zniknięciu. Co się wydarzyło pomiędzy Franklinem a tymi wyrokowcami? Dlaczego znów zaczęliście zabijać?

- Błyskawica uderzyła dwa razy - odparła Eve.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi...

Thome spiął całe ciało i uniósł głowę, ale ich szybkość i zaangażowanie okazały się ponad jego siły. W mgnieniu oka oboje byli przy nim, przytykając mu ostrze noża do gardła i nie pozwalając wziąć głębszego oddechu, jakiego potrzebował, aby krzyknąć i zacząć wzywać pomocy...

Hendricks odebrał telefon niemal po pierwszym sygnale.

- Posłuchaj - rzekł Holland. - Jestem pod domem inspektora Thome a, ale on nie otwiera, jego telefon domowy jest stale zajęty...

- Pewnie zdjął słuchawkę z widełek, a teraz pokornie poddaje się drobiazgowym oględzinom Elizy Doolittle.

Holland poczuł, jakby lodowata dłoń ścisnęła go za serce.

- Że co?

- Ma dziś upojną randkę z tą swoją kwaciareczką. Wcale mnie nie dziwi, że nie otwiera...

- O Jezu...

- Co jest?

Holland opowiedział Hendricksowi o zdjęciach oraz o Marku i Sarze Foley. Hendricks powiedział, że zaraz przyjedzie. Panika w głosie patologa dorównywała tej, która niczym fala przyływu narastała w nim samym.

Wtem, zerkając na drugą stronę ulicy, zauważył motocykl...

- Dave...?

Holland poczuł, że maszyna pracująca na pełnych obrotach w jego wnętrzu jeszcze bardziej przyspieszyła.

- Phil, zanim wyjdiesz, zadzwoń do Brigstocke a i powiedz mu owszystkim. Niech tu ściągnie posiłki. I karetkę...

- A ty co zamierzasz?

Holland wolnym krokiem oddalał się od domu, gdzie mieszkał Thome. Myślał o bocznej alejce, która, o czym wiedział, biegła równoległe do budynku trzy lub cztery mieszkania dalej.

- Właściwie to nie wiem...

Widział twarz rysującą się za owiewką kasku. Widział oblicze zabójcy uśmiechającego się, gdy mówiąc prawdę, równocześnie wprowadził go w błąd.

„Sam mam bmw...”

Uśmiechnął się, ponieważ bmw, prócz aut, produkuje także motocykle...

## 32

- Czemu stąd nie uciekniecie, póki to jeszcze możliwe? - rzucił Thome. - Resztę życia spędzicie w więzieniu. Nigdy więcej nie zobaczycie się nawzajem...

Jameson niezbyt się tym przejął.

- Nie rób sobie nadziei. Ktokolwiek to był, już sobie poszedł.

Thome odwrócił głowę i rzekł do Eve:

- Ludzie wiedzą, że się tu wybierałaś. Wszędzie będą włókna, płatki skóry. W łóżku...

- To oczywiste - odparła Eve. - Jestem twoją dziewczyną. I dlatego to ja wezwę policję.

Thome zdumiał się, ale równocześnie zrozumiał, że może im się upiec. To było bardzo proste. Kiedy Thome umrze, Jameson ucałuje siostrę na pożegnanie i zniknie na pewien czas. Wychodząc, kopniakiem wyważy drzwi, które wcześniej sama mu otworzyła, aby zostawić ślady wtargnięcia do domu siłą.

A ona tymczasem zadzwoni na policję...

Nie wątpił, że Eve doskonale odegra rolę wstrząśniętego świadka, a później pograżonej w żałobie kochanki. Wiedział, że była w tym niezła, bo doskonale zdołała zatuszować pewne fragmenty swego życia. Będzie naprawdę przekonująca. Oczyma duszy widział, jak funkcjonariusze tracą dla niej głowę, spisując szokujące zeznanie. Na myśl otym, że ta dwójka nie poniesie kary za jego śmierć, ciało Thorne'a przepełniła wściekłość. Nie potrzebował tego, ale czuł narastającą determinację, wzmagającą trawiący go gniew.

- Opowiedz mi o błyskawicy, Eve.

Milczała, ale za to Jameson złapał przynętę.

- Franklin od początku miał zapłacić za to, co zrobił. Ale trochę to trwało, zanim wymierzyłem mu sprawiedliwość...

Jameson podszedł, by stanąć pomiędzy Thome'em a drzwiami. Eve zajęła miejsce przy łóżku. Thome podejrzewał, że Jameson wciąż trzyma w dłoni kaptur i sznur do bielizny, ale nie miał pewności. Thome uznał, iż Roger Noble miał szczęście, że umarł.

Coś w głosie Jamesona zdawało się sugerować, że gdyby żył, Jameson i jemu „wymierzyłby sprawiedliwość”...

- Czemu na tym nie skończyliście? - spytał Thome.

- Skończyliśmy - odparła Eve. - Wiedliśmy spokojne życie, które sami sobie ułożyliśmy, tak jak tego chcieliśmy, aż na pewnej imprezie zatańczyłam o jeden wolny taniec za dużo. Dopóki jakiś śmieć nie uznał, że „nie” znaczy „tak” i poszedł za mną do domu...

Mimo iż leżał twarzą do dołu, Thome wyobraził sobie, jaki wyraz malował się teraz na jej twarzy. Widział go już wcześniej, tamtej nocy, kiedy szli przez London Fields, a on opowiadał jej o sprawie. Mówił jej rzeczy, o których wiedziała więcej niż on...

Pomyśl o tym facecie jak o kimś, kto wrywa chwasty...

- Może to głupie, ale zapytam, czy zgłosiłaś ten gwałt na policji?

- powiedział Thome.

Jameson zrobił krok w jego stronę, w polu widzenia Thome a pojawiły się jego czarne buty.

- To cholernie głupie. Rozprawiliśmy się z nim sami...

Thome przypomniał sobie tę dmgą sprawę, którą Holland i Stone odnaleźli w archiwum. Zgwałcony, uduszony mężczyzna w bagażniku auta. Linki nie było, ale Thome domyślał się, że do zabójstwa użyto sznura do bielizny. Rozwiązał zagadkę kolejnego morderstwa na parę chwil przed tym, jak sam zostanie zamordowany...

- Powróćmy już zatem do terażniejszości - rzekł Jameson.

Do mnie, pomyślał Thome. Wiedział, że był ostatnim z całej grupy martwych mężczyzn, połączonych najsilniejszą i najdziwniejszą ze wszystkich więzi. Rodzinnymi więzami, których nie sposób zerwać, nawet gdy zostaną splugawione i wypaczone ponad wszelkie wyobrażenia.

- Zabiłeś mężczyznę, którego obwiniałeś za śmierć rodziców i za molestowanie ze strony przybranego ojca w rodzinie zastępczej.

Zabiłeś mężczyznę, który zaatakował twoją siostrę. Zasmakowałeś w tym...

- Nie zasmakowałem w zabijaniu... wcale nie.

- Mój błąd. Zasmakowałeś w wymierzaniu spaczonych sprawiedliwości...

- Posłuchaj, co mówisz...

- Powiedz, że to cię nie kręci...

Głos Eve brzmiał jak szept.

- Chcę to zrobić teraz - rzekła. Thome poczuł, jak do niego podeszła. W tej samej chwili Jameson błyskawicznie zrobił dwa kroki, zatrzymując się obok Thome'a, a potem stając nad nim okrakiem.

Thome wiedział, co go czeka, ale nie zamierzał biernie czekać na śmierć. Zareagował instynktownie, wyrzucając obie nogi do tyłu i przywierając krocem do dywanu. Dłonie schwyciły go za nogi, paznokcie orały jego uda, gdy oboje próbowali zmusić go, aby uniósł pośladki i przyjął to, co dla niego przygotowali...

Ból i odrętwienie sprawiły, że góma połowa ciała Thome'a była dla niego bezużyteczna. Wydawała się martwa i tylko ciemna masa wczepiona w jego żebra wciąż funkcjonowała w najlepszy sposób. Kołysała się w jego wnętrzu, wilgotna i ciężka, objając się o klatkę żeber, gdy inspektor wierzgał i miotał się rozpaczliwie.

- Przestań - rzucił Jameson.

Thome krzyknął, zgroza okazała się przez moment silniejsza niż gniew. Jego głos wydawał się wysoki i słaby, ale szybko zastąpił go ogłuszający ryk i jęk bólu, gdy urękawiczona pięść Jamesona zaczęła tłuc go po głowie raz po raz, bez końca, aż Thome nie miał innego wyjścia, jak zaprzestać dalszej walki i znieruchomiał, czekając aż bicie ustanie.

Sekundy wydłużały się i mijały, a choć Thome stracił rozeznanie, kto gdzie jest, wciąż wychwytywał ruch, widział ręce i nogi, czuł nacisk...

Głos Eve, brzmiący niczym krzyk w jego głowie, nieznacznie ucichł i usłyszał, jak powiedziała:

- Przytrzymaj go.

Zdawał sobie sprawę, że płacze i ucieszył się, że nie stracił kontroli nad pęcherzem i zwieraczem.

Thome nieznacznie uniósł głowę. Słone krople spłynęły mu na zraniony podbródek, wywołując piekący ból.

- Jeszcze jedno - rzekł, spoglądając na Jamesona, ochryłym, lekko świszczącym głosem - dla mojej własnej ciekawości. Czy zamierzasz zgwałcić mnie przed czy po tym, jak mnie udusisz? Nie potrafiliśmy tego ustalić...

Jameson przygniótł grzbiet Thome a, siadając na nim całym ciężarem. Nachylił się i wyszeptał mu wprost do ucha:

- Dzyń, dzyń. Znów głupie pytanie. Ja nigdy nikogo nie zgwałciłem...

Thome poczuł, że silne palce chwytają go za włosy i zmuszają, aby uniósł głowę, nieznacznie odwracając ją w bok. Natychmiast zapomniał o palącym bólu w szyi, karku i ramionach, kiedy ujrzał to, co oburącz trzymała Eve. To było ciemne, obłe i grube jak jego pięść. Spaczona kopia męskiego członka, zaprojektowana dla zaspokajania gustów tych, którzy lubowali się w dominacji i zadawaniu bólu.

Broń, czysta i prosta.

- Tym razem kondom nie będzie potrzebny - powiedziała Eve.

Thome pomyślał o śladach znalezionych podczas autopsji pierwszej ofiary Z przyczyn oczywistych uznano, że penetracji dokonano z użyciem naturalnego organu. Ze gwałciciel założył kondom. I że gwałciciel był mężczyzną...

W zgoła odmiennych okolicznościach Thome pewnie by się zaśmiał, ale wiedział doskonale, co przedmiot trzymany przez Eve może spowodować, w gumce czy nie, kiedy z całej siły bmtalnie zostanie wepchnięty w głąb jego ciała.

- Ale w odpowiedzi na twoje pytanie - rzekł Jameson - stwierdziliśmy, że najbardziej nam pasuje, gdy robimy swoje równocześnie.

Hollandowi wydawało się, że usłyszał krzyk, gdy rozpląszczył się na podłodze w kuchni. Zastygł w bezruchu, nasłuchując. W salonie grała muzyka. Jak zwykle country, szajs uwielbiany przez Thome a. A potem zapadła cisza. Poruszał się wolno i cicho, by prześlizgnąć się do pokoju tą samą drogą co włamywacz, który dostał się tu przez to samo okno, sześć tygodni temu. Kątem oka dostrzegł czerwony błysk diody na obudowie aparatu telefonicznego stojącego na stoliku. Słuchawkę zdjęto z widełek. Obok leżała komórka Thome a. Holland nie musiał podchodzić bliżej, by wiedzieć, że została wyłączona...

Piosenka dobiegła końca, a w przerwie przed następną Holland usłyszał stłumione głosy. Odwrócił się w tę stronę i w tej samej chwili muzyka rozbrzmiała na nowo.

Byli w sypialni: Jameson, dziewczyna i...

Choć nie słyszał, o czym rozmawiali, odetchnął z ulgą, gdy wśród gwałtownych głosów wychwycił ten należący do Thome'a.

Ulgą przerodziła się w coś bardziej gorzkiego, kiedy Holland uświadomił sobie, że musi działać szybko, a nie ma pojęcia, czego powinien się spodziewać za tymi drzwiami. Pomyślał o Sophie, kiedy wyprostował się i stanął jak wryty, rozglądając się po kuchni w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć mu za broń.

Thome poczuł przejmujący ból w karku i ramionach, gdy Jameson nieznacznie zmienił pozycję. Zobaczył dłoń przesuwającą się przed jego twarzą. Wokół palców owinięty był sznur do bielizny...

- To dziwne, jak działa umysł mężczyzny - zauważył Jameson. - Nawet u progu śmierci bardziej obawiają się tego, co dzieje się z ich dolnymi, tylnymi partiami, zamiast z tym, co na górze.

Thome skrzywił się, kiedy dłoń Eve dotknęła jego pleców na wysokości krzyża. Zamarł i usłyszał oddech, czując dotyk chłodnego plastiku, muskającego jego udo.

- W skali jeden do dziesięciu - rzekła. - Jak czujesz się TERAZ?

Thome zacisnął zęby i próbował przywrzeć biodrami do podłogi, ale nie mógł rozplaszczyc się na dywanie. Poczuł jedynie delikatny opór poduszek, które podłożono pod jego ciało, aby unieść biodra i pośladki w górę i uniemożliwić mu dalszy opór...

Jameson schwycił Thome'a za włosy i unióś mu głowę.

- Dam ci dobrą radę - powiedział. Thome stęknął i pokręcił głową.

- Lepiej nie walcz z naporem linki, kiedy już zaciśnię ci się na szyi...

Thome resztkami sił spróbował opuścić głowę jak najniżej do podłogi. Poczuł, że w dłoni tamtego zostaje wyrwana kępka jego włosów... A potem poczuł czubek fallusa napierający i usiłujący wślizgnąć się pomiędzy jego pośladki.

Wcisnął twarz w dywan, wiedząc, że Jameson potrzebował więcej miejsca, aby nałożyć kaptur. Potem szybko zadzierzgnąłby mu na szyi linkę i razdwa byłoby po wszystkim...

- Jak sobie chcesz - rzekł Jameson. - Choć szczerze mówiąc, gdybyś pozwolił mi robić swoje, byłbyś nieprzytomny na długo przed tym, zanim ona z tobą skończy..

Thome wrzasnął i w tej samej chwili Jameson przestał ciągnąć, a zamiast tego trzasnął głową Thome'a o podłogę. Thome znieruchomiał, przez moment otępiąły, ale tych kilka sekund wystarczyło, aby Jameson włożył mu na głowę kaptur.

Nawet szarpiąc się i szamocząc, Thome poczuł osobliwy spokój, który pogłębił się z chwilą, gdy na jego szyi zaczął zaciskać się sznur. Strach w jego wnętrzu skurczył się i zniknął. Ujrzał twarze pojawiające się i rozpraszające w oślepiających błyskach światła. Płynął przez bezmiar czarnej pustki, tak gęstej, że zdawał sobie sprawę, iż nie był to mrok, lecz raczej przedśmionek śmierci.

Trzaśnięcie drzwi i krzyki brzmiące jak odległe efekty dźwiękowe, odbijające się zwielokrotnionym echem i nagle narastające tak bardzo, że zagłuszają wszystko inne w chwili, gdy ucisk wokół jego szyi słabnie, aż wreszcie znika zupełnie...

Thome nabrał powietrza do płuc i szarpnął się w tył z głośnym charkotem, uderzając z całej siły potylicą w coś miękkiego, co ustąpiło pod jego naporem. Ciężar spadł lub może został zdjęty z jego pleców, a on rzucił się naprzód i przetoczył na wznak. Uniósł obie ręce, zdrętwiałe od opinającego je paska, po czym jął zeszywniałymi palcami zdejmować z głowy kaptur. Krzyk, potem trzask i w końcu przeraźliwy zgrzyt łóżka przesuwającego się z dużą szybkością po podłodze...

Wlepił wzrok w sufit, usłyszał stęknienia wysiłku i bólu, a potem łomot ciał uderzających w coś twardego i solidnego. Opuszczając głowę w bok, Thome ujrzał Jamesona i Hollanda splecionych w mocnym uścisku przy szafie. Zobaczył, jak drzwi szafy otwierają się powoli i w lustrze znajdującym się po ich wewnętrznej stronie spostrzegł podchodzącą do niego Eve. Błyskawicznie przeniósł swoją uwagę z odbicia na prawdziwą postać...

Z uniesionym do ciosu nożem rzuciła się, a może raczej zatoczyła się i upadła na niego, Thome zaś nie mógł zrobić nic więcej, jak odwrócić głowę i z całą siłą kopnąć obunóż. Kiedy otworzyła usta, krzywiąc się z wysiłku lub może z nienawiści, stopa Thome a trafiła ją poniżej zuchwy, odrzucając jej głowę do tyłu, a gęsta struga krwi uniosła się w powietrzu nad nimi, tworząc szkarłatny łuk. Ostatnie krople wciąż jeszcze spadały na dywan parę chwil po tym, jak Eve runęła na podłogę ciężko jak połeć mięsa...

Thome energicznie poderwał się z ziemi i wolno podchodził do miejsca, gdzie stał Holland, zgięty w pół, blady jak ściana i kompletnie zdyszany. Jameson leżał na podłodze, pojękując z jedną ręką wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem do tyłu, a drugą wyciągniętą do przodu po nóż, którego jednak nie zdołał dosięgnąć. Uniósł wzrok, wyrazu jego twarzy nie sposób było odczytać, bo po zderzeniu z potylicą Thome a oblicze tamtego przypominało jedną wielką, krwawą miazgę.

Pod szafą leżała butelka wina, Thome szturchnął ją stopą, a Holland tymczasem zaczął rozsupływać pasek zadzierzgnięty wokół nadgarstków inspektora.

- Tylko to udało mi się znaleźć - rzekł Holland, łapczywie łykając powietrze. - Chyba złamałem nią skurwielowi rękę...

Kiedy Holland poradził sobie wreszcie z paskiem, Thome odwrócił się i podszedł do Eve leżącej na podłodze, przy drzwiach sypialni. Wciąż trzymała nóż, ale prawie nie zauważyła, kiedy Thome go jej odebrał. Była zbyt zajęta przepatrywaniem okrwawionego dywanu w poszukiwaniu połowy języka, odgryzionej równie gładko, jak w wypadku jej ojca, kiedy konał w męczarniach, rzuciwszy się ze schodów z pętlą na szyi, wiele lat temu.

Thome osunął się na podłogę i oparł się plecami o łóżko. Poczuł, że ból zaczyna powracać. Bolała go głowa, szyja, ramiona, całe ciało...

Z drugiego pokoju dobiegały dźwięki kolejnej piosenki; George Jones śpiewał dalej, jak gdyby nigdy nic.

Thome przejrzał się w lustrze znajdującym się na drzwiach szafy od wewnątrz. Nagi i zbryzgany krwią wyglądał jak dziki barbarzyńca. Patrzył na swoje odbicie, które powoli uniosło rękę, aby zakryć przyrodzenie.

- Zadzwoń do Hendricksa - rzekł Holland. - Wsparcie jest już w drodze.

Thome pokiwał głową.

- To świetnie. Naprawdę doskonale, Dave. A teraz czy zechciałbyś podać mi moje cholerne gatki...?

## CZĘŚĆ CZWARTA

### KRÓLESTWO, W KTÓRYM NIKT NIE UMIERA

33

Yvonne Kitson zadzwoniła do niego, gdy jechał do St. Albans.

- Jak się czujesz, Tom?

- Świetnie. A ty?

- Też nieźle. Posłuchaj...

Thome wiedział doskonale, że z Kitson wcale nie jest tak różowo. Mąż zabrał dzieci, gdy dowiedział się o jej romansie ze starszym rangą funkcjonariuszem, i jej kariera zaczęła się sypać, podobnie jak małżeństwo. To jej mąż skontaktował się z przełożonymi Kitson i powiedział, co jego żona wyprawia i z kim...

- Posłuchaj - rzekła. - Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć, więc nie będę owijać w bawełnę. Wyznaczono już wstępną datę rozpoczęcia procesu.

Upłynęło sześć tygodni od aresztowania Eve Bloom i Bena Jamesona. Od dnia, gdy wprowadzono Thome a z jego mieszkania podtrzymywanego za rękę i z kocem narzuconym na ramiona jak ofiary, które oglądał w przeszłości, sunące powłóczystym krokiem w stronę radiowozów i karetek, z twarzami bladymi jak ściana i wielkimi, pustymi, smętnymi oczami...

Teraz będą musieli przechodzić to raz jeszcze. Sprawę oficjalnie zamknięto, ale obecnie, kiedy znano już datę, działania nabierały tempa. Dokumenty musiały zostać przekazane do sądu, trzeba było również odpowiednio przygotować świadków. Wszystko należało zapiąć na ostatni guzik, aby zawodowcy mogli zrobić w sądzie swoje i doprowadzić do uzyskania wyroku skazującego. Rzecz jasna, Thome owi oszczędzono najcięższej mordęgi. Jego czas nadejdzie później, kiedy zostanie wezwany na świadka. Ale Thome i tak nie przestał o tym wszystkim myśleć...

W odróżnieniu od rzeczywistości, Eve Bloom była zawsze szczerą aż do bólu podczas sesji pojednawczych, które Thome wyobrażał sobie z udziałem ich obojga praktycznie każdego dnia. Rzecz jasna, nigdy nie była nim zainteresowana pod względem seksualnym. Gdyby chciała, mogłaby przespać się z nim w swoim mieszkaniu. Ale biorąc pod uwagę obecność współlokatorki, ona i jej brat nie mogliby zrealizować wiążących się z tym nieodłącznie sekretnych planów. Za zwłokę, za to, że nie miała okazji zrobić tego wcześniej i zwabić Thome a tam, gdzie chciała, czyli do jego mieszkania, był odpowiedzialny

siedemnastoletni ćpun, który się tam włamał i zgoła nieświadomie uratował inspektorowi życie.

W grę wchodziło coś jeszcze...

Thome nazywał to lenistwem. Strachem przed podejmowaniem kolejnych działań. Wahaniem, które nie pozwalało na pogłębienie istniejących relacji. Czy to mogło być coś całkiem innego? Jakiś nieokreślony instynkt samozachowawczy? Czymkolwiek był, Thome mógł być mu jedynie wdzięczny. Miał nadzieję, że gdyby, uchowaj Boże, ponownie musiał z niego skorzystać, zdoła go rozpoznać i zorientować się na czas...

Thome zakończył rozmowę z Kitson i ponownie włączył Nixona. Dał kapeli Lambchop drugą szansę i ucieszył się, że to zrobił. Ich brzmienie, na swój sposób proste i rozbudowane zarazem, było wręcz hipnotyczne. Wsłuchiwał się w osobliwy szept wokalisty i myślał o procesie. Myślał o otwartych ranach i świeżych bliznach, o tych, których życie zostało dotknięte, naruszone, obrócone w perzynę lub w brutalny sposób przerwane...

Myślał o Sheili Franklin, Irene Noble i Peterze Foleyu...

O Denise Hollins, która żyła z jednym mordercą, a z drugim dzieliła łóżko. Thome utrzymywał z nią kontakt, ale ich rozmowy rzadko należały do łatwych. Nie potrafiła się zebrać w sobie, aby poskładać do kupy rozsypaną układankę, w jaką zmieniło się jej życie, bo wyglądało na to, że brakowało w niej co najmniej kilku ważnych fragmentów.

O Davie Hollandzie, od trzech dni dumnym ojcu nowo narodzonego dziecka. Thome był pewien, że konstabl uczyni wszystko, by uprościć życie swej nowej, powiększonej rodziny.. Thome zbliżał się do zjazdu i jeszcze przez chwilę próbował skupić się na co bardziej pospolitych i przyziemnych sprawach związanych ze zbliżającym się procesem.

Włączył migacz i zjechał na wewnętrzny pas, zastanawiając się, czy nie zgolić brody, którą zapuścił, aby zasłonić bliznę. Powinien też chyba oddać garnitur do pralni chemicznej. A poza tym zamierzał przypomnieć Philowi Hendricksowi, aby powymował wszystkie ćwieki i pozdejmował kolczyki, zanim stanie przed sądem w celu złożenia zeznań...

Ojciec Thome a miał na stole przed sobą części dwóch lub trzech różnych, rozebranych radiodbiorników. Od czasu do czasu z hukiem rzucał którąś z części o blat albo kłął głośno, wyraźnie sfrustrowany. Następnie spoglądał na Thome a siedzącego na kanapie i uśmiechał się jak dziecko przyłapano na jakiejś psocie.

Thome patrzył na zdjęcie ojca sprzed mniej więcej trzydziestu lat. Większość starych albumów ze zdjęciami wyblakła i zaczynała się rozsypywać. Żadnego nie wyjmowano z kredensu od śmierci matki. To ona była rodzinnym fotografem, nigdy nie zapominała o

zabraniu ze sobą aparatu; kupowała kolejne albumy i skrupulatnie wklejała do nich następne zdjęcia...

Thome przeniósł wzrok ze zdjęcia na oryginał, z młodego mężczyzny na starego. Ojciec popatrzył na niego. Thome, jak zawsze zresztą, zwrócił uwagę, że włosy ojca, tak jak jego własne, z jednej strony posiwiały mocniej.

- Napijesz się herbaty? - zapytał ojciec.

Thome zrozumiał zaszyfrowaną wiadomość.

- Zaraz zaparzę.

Przewrócił sztywną, wyblakłą stronicę i spojrział na zdjęcie przedstawiającą młodą parę, obejmującą ramionami sześciu, może siedmioletnie dziecko. Cała trójka siedziała na trawie, mrużąc oczy od słońca, a z tyłu za nimi rozciągało się istne morze soczystych, zielonych paproci.

Thome uśmiechnął się na widok puszki piwa w dłoni ojca i wyrazu twarzy matki, przekonującej jakiegoś Bogu ducha winnego przechodnia, aby zrobił im zdjęcie. Przeniósł wzrok na chłopca szczerzącego się radośnie do obiektywu aparatu. Brązowe oczy dziecka były okrągłe i żywe, pełne świetlistych iskierek; cienie spłyną na jego oblicze wiele lat później.

To zdjęcie powstało dawno temu.

Na długo przed tym, zanim śmierć zaczęła zbierać swoje żniwo.